



MAGGIE STIEFVATER

PRZEBUDZENIE
KRÓLA



Maggie Stiefvater

PRZEBUDZENIE KRÓLA

przełożył Piotr Kucharski



Tytuł oryginału: *The Raven King*

Copyright © 2016 by Maggie Stiefvater. All rights reserved.

Published by arrangement with Scholastic Inc., 557 Broadway, New York, NY 10012, USA.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Piotr Kucharski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

Epilog

Podziękowania

O autorce

Przypisy

Dla Sarah, która dzielnie zasiadła w fotelu zguby

Spać, pływać i śnić, na wieki.

Algernon Charles Swinburne, *A Swimmer's Dream* [przeł.
Piotr Kucharski]

To były znaki mej nadzwyczajności,

A mego życia świadczy bieg, że nie jest

Wpisany w rejestr ludzi pospolitych.

William Szekspir, *Henryk IV* [przeł. Leon Ulrich]

Mój drogi, kompozytor wstąpił już w ogień.

Anne Sexton, *Pocałunek* [przeł. Teresa Truszkowska]

Prolog

Richard Gansey III zapomniał już, ile razy mówiono mu, że jest przeznaczony do rzeczy wielkich.

Miał po temu odpowiednie pochodzenie, ponieważ szlachetność i niezłomność cechowały obie gałęzie rodzinne, z których wyrósł. Ojciec jego matki był dyplomata, architektem fortun, zaś ojciec ojca – architektem, swoistym dyplomata. Matka matki pracowała jako guwernantka europejskich księżniczek. Matka ojca z odziedziczonego spadku wybudowała szkołę dla dziewcząt. Ganseyowie bywali dworzanami i królami, zaś jeśli żaden zamek nie chciał ich przyjąć, sami go sobie budowali.

Był królem.

Dawno, dawno temu młody Gansey został śmiertelnie użądłony przez szerszenie. Otrzymał przewagę we wszystkim, co możliwe, i śmiertelność nie stanowiła tu wyjątku. Głos wyszeptał mu do ucha: „Będziesz żył dzięki Glendowerowi. Ktoś inny na linii mocy umiera, choć nie powinien, a ty będziesz żył, choć nie powinieneś”.

Umarł, lecz nie pozostał martwy.

Był królem.

Jego matka, również arystokratka, postanowiła kandydować do Kongresu z ramienia stanu Wirginia i co niezbyt zaskakujące, z gracją wspinała się na szczyt sondaży. Coraz wyżej. Czy ktokolwiek miał jakieś wątpliwości? Owszem, w zasadzie zawsze miał, ponieważ Ganseyowie nie żądali od innych przysług. Zwykle nawet nie prosili o nie. Wyświadczali je innym z cichą nadzieją, że ci inni w odpowiedzi będą wyświadczać je im.

Zwątpienie – jedyne, co robił Gansey, to wątpił. Sięgnął

dzielnie do czarnej jak noc wody, nie znając swego losu, dopóki nie poczuł rękojeści miecza wciskanej w jego ufną dłoń.

Wyjątek – tyle że zaledwie kilka miesięcy wcześniej tenże Gansey sięgnął w mroczną niepewność jutra, szukając obietnicy miecza, lecz zamiast niego wyciągnął lustro.

Sprawiedliwość – w pewien pokrętny sposób wydawało się to słuszne.

Był 24 kwietnia, wigilia świętego Marka. Przed laty Gansey przeczytał *Wielką tajemnicę: linie mocy na świecie* Rogera Malory'ego. Autor wyjaśniał tam z namaszczeniem, że czuwanie w wigilię świętego Marka pozwala przyjrzeć się duchom tych, którzy mają umrzeć w ciągu następnego roku. Do tamtej chwili Gansey doświadczył już rozmaitych cudów dokonywanych na liniach mocy bądź w ich pobliżu: dziewczyna czytała książkę w pełnej ciemności, staruszka unosiła skrzynkę owoców siłą umysłu, urodzone na linii mocy trojaczki o śniadej skórze płakały krwawymi łzami i krwawiły słoną wodą. Żadna z tych rzeczy nie dotyczyła go jednak osobiście. Nie wymagała jego obecności. Nie wyjaśniała jego istoty.

Nie wiedział, dlaczego został uratowany.

Musiał się tego dowiedzieć.

Odbył więc całonocne czuwanie na linii mocy, która stała się jego labiryntem, drząc samotnie z zimna na parkingu przed kościołem Świętego Odkupiciela. Niczego nie zobaczył, niczego nie usłyszał. Następnego poranka przykucnął przy swym camaro, zmęczony do stanu ogłupienia, i odtworzył zarejestrowane w nocy dźwięki.

Na nagraniu jego własny głos wyszeptał „Gansey”. Krótka przerwa. „To wszystko”.

Wreszcie się stało. Przestał być jedynie obserwatorem na tym świecie, a został uczestnikiem.

Już wtedy niewielka część Ganseya podejrzewała, co tak naprawdę oznaczało brzmienie jego nazwiska. Wiedział to zapewne, gdy godzinę później przyjaciele pojawili się przy jego samochodzie, by go uratować. Wiedział to zapewne, gdy jasnowidzki z Fox Way 300 stawiały mu tarota. Wiedział to zapewne, gdy opowiadał osobiście całą historię Rogerowi Malory'emu.

Gansey wiedział, czyje głosy szeptały na linii mocy w wigilię świętego Marka. Przez poprzednie lata skuwał jednak swe obawy łańcuchami i nie był jeszcze gotowy, by zrzucić więzy.

Dopiero gdy zginęła jedna z jasnowidzek z Fox Way 300, śmierć znów stała się namacalna i Gansey nie potrafił już dłużej zaprzeczać prawdzie.

Ogary z Klubu Łowieckiego Aglionby wyły tej jesieni:
„Odejdzie, odejdzie, odejdzie”.

Był królem.

I w tym roku miał umrzeć.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o kobietach z Fox Way 300.

Opowieści mogą rozciągać się w rozmaitych kierunkach. Dawno, dawno temu była sobie dziewczyna, której świetnie wychodziła zabawa z czasem. Kroczek w bok: dawno, dawno temu była sobie córka dziewczyny, której świetnie wychodziła zabawa z czasem. A teraz skok w tył: dawno, dawno temu była sobie córka króla, której świetnie wychodziła zabawa z czasem.

Początków i zakończeń po horyzont.

Z istotnym wyjątkiem Blue Sargent, wszystkie pozostałe kobiety z Fox Way 300 posiadały moce parapsychiczne. Może to sugerować, że wszystkie mieszkanki domu posiadały coś wspólnego, lecz w istocie łączyło je tyle samo co grupę muzyków, lekarzy albo przedsiębiorców pogrzebowych. *Moce parapsychiczne* oznaczały nie tyle typ osobowości, ile zespół umiejętności. System wierzeń. Ogólne przekonanie, że czas, niczym opowieść, nie miał natury liniowej, lecz był jak ocean. Jeśli ktoś nie potrafił odnaleźć konkretnej chwili, której szukał, być może nie dopłynął wystarczająco daleko. Możliwe, że po prostu nie stał się jeszcze odpowiednio biegłym pływakiem. Było również możliwe, co kobiety z niechęcią przyznawały, iż pewne momenty ukrywały się na tyle daleko w czasie, że tak naprawdę powinno się je pozostawić głębinowym stworzeniom. Takim jak te żabnice – ryby z garniturem zębów i latarniami zwisającymi nad pyskiem. Albo jak Persefona Poldma. Nie żyła już jednak, więc być może stanowiła kiepski przykład.

Był poniedziałek, gdy pozostałe przy życiu kobiety z Fox Way 300 postanowiły wreszcie zająć się przeanalizowaniem nadciągającej zguby Richarda Ganseya, końca ich życia

w dotychczasowej postaci oraz tego, co te dwie rzeczy miały ze sobą wspólnego, jeśli w ogóle cokolwiek. Poza tym Jimi przeprowadziła zabieg oczyszczania czakry w zamian za butlę porządnej torfowej whisky i nie mogła się doczekać, by obalić ją z ferajną.

Calla wyszła na gryzący październikowy chłód, by odwrócić umieszczoną przy skrzynce pocztowej tabliczkę na stronę z napisem „ZAMKNIĘTE, WRÓĆ WKRÓTCE!”. Z kolei Jimi, wielka zwolenniczka magii ziół, przyniosła kilka poduszczyków wypchanych bylicą pospolitą (mającą wzmocnić projekcję duszy na inne płaszczyzny egzystencji) oraz rzuciła na rozgrzane węgle rozmaryn (poprawiający pamięć i zdolności jasnowidzenia, a więc tę samą umiejętność działającą w dwóch różnych kierunkach). Orla dymiącą wiązką szaławii okadzała talie tarota. Maura napełniała misę wróżebną z czarnego szkła. Gwenllian śpiewała wesołą, sprośną piosenkę, rozpalając ustawione w kręgu świece i zaciągając zasłony. Calla wróciła do czytelnicy, trzymając na ręku trzy rzeźby.

– Pachnie tu jak w cholernej włoskiej restauracji – rzuciła w stronę Jimi, która, nie przestając nucić, rozpraszała dym wachlarzem i kołysała sporym zadkiem.

Calla ustawiła srogą rzeźbę Oji na własnym fotelu, zaś tańczącą statuetkę Oszun obok Maury. Następnie złapała trzecią figurkę, Jemaję, wodną boginkę Jorubów, która gdy nie znajdowała się na komodzie w sypialni Calli, stała zawsze przy miejscu Persefony.

– Mauro, nie wiem, gdzie umieścić Jemaję.

Maura wskazała palcem Gwenllian, która odpowiedziała podobnym gestem skierowanym w jej stronę.

– Mówiłaś, że nie chcesz tego robić z Adamem, więc musi stanąć koło niej.

– Wcale nie – odparła Calla. – Mówiłam, że jest zbyt powiązany z całą sytuacją.

Problem w tym, że każda z nich była zbyt powiązana z całą sytuacją, i to już od miesięcy. Na tyle mocno, że trudno było stwierdzić, czy same nie stały się jej częścią.

Orla przestała przeżuwać gumę na wystarczająco długą chwilę, by zapytać:

– Jesteśmy gotowe?

– YhmmmmmmaleczyjestBluehmmmmmmmmmm – odezwała się Jimi, wciąż nucąc i kołysząc się.

Owszem, nieobecność Blue rzucała się w oczy. Jej silne umiejętności intensyfikowania mocy psychicznych przydałyby się w takim przypadku, ale zgodnymi szeptami ustaliły zeszłej nocy, że okrucieństwem byłoby dyskutować przy niej o Ganseyu w stopniu większym niż to absolutnie niezbędne. Musiała im wystarczyć Gwenllian, choć była dwukrotnie słabsza i dwukrotnie bardziej kłopotliwa.

– Później prześlemy jej wynik – powiedziała Maura. – Chyba lepiej wyciągnę Artemusa ze spiżarni.

Artemusa: dawnego kochanka Maury, biologicznego ojca Blue, doradcę Glendowera, mieszkańca kanciapy na Fox Way 300. Został wydobyty z magicznej jaskini zaledwie przed tygodniem z niewielkim okładem i przez ten czas udało mu się wnieść absolutnie zerowy wkład w ich zasoby emocjonalne oraz intelektualne. Calla uważała go za tchórzliwego (nie myliła się). Maura sądziła, że jest niezrozumiany (nie myliła się). Jimi uznała, że miał największy nos, jaki kiedykolwiek widziała (nie myliła się). Orla nie wierzyła, by zabarykadowanie się w spiżarni dawało wystarczającą ochronę przeciwko jasnowidzce, która go nienawidziła (nie myliła się). Natomiast Gwenllian sądziła, że ma powód, by go nienawidzić (nie myliła

się).

Maura musiała podjąć niemały wysiłek, by przekonać go do opuszczenia kryjówki, jednak nawet gdy dołączył do nich przy stole, wyglądał, jakby czuł się zdecydowanie nie na miejscu. Po części dlatego, że był mężczyzną, po części zaś, ponieważ wzrostem znacznie przewyższał zebrane kobiety. Głównie chodziło wszakże o jego ciemne, wiecznie zmartwione oczy, wskazujące, że sporo widziały i że było to dla niego o wiele za dużo. Jego szczerzy strach pozostawał w zdecydowanej sprzeczności z różnymi stopniami pewności siebie, jaką emanowały jasnowidzki.

Maura oraz Calla znały go przed narodzinami Blue i obie uważały, że obecny Artemus stanowił zaledwie cień dawnego siebie. A przynajmniej Maura tak sądziła. Calla po prostu miała o nim kiepskie zdanie, jako że jej opinia na jego temat już wcześniej nie była zbyt dobra. Wychudzeni mężczyźni wyłaniający się z mistycznych zagajników nigdy nie byli w jej typie.

Jimi naląła whisky.

Orla zamknęła drzwi czytelnicy od środka.

Kobiety zasiadły.

– Co za ekipa – odezwała się Calla, by jakoś zagaić (nie myliła się).

– Nie można go ocalić, zgadza się? – spytała Jimi.

Miała na myśli Ganseya.

W jej oczach połyskiwały lekko łzy. Nie przepadała jakoś szczególnie za Ganseyem, jednak była bardzo sentymentalna i wizja przedwczesnej śmierci dowolnego młodzieńca wprawiała ją w niepokój.

– Mmm – stwierdziła Maura.

Kobiety napiły się. Artemus nie. Zerknął nerwowo na

Gwenllian. Gwenllian, jak zwykle rzucająca się w oczy dzięki gniazdu splecionych włosów pełnych ołówków i kwiatów, w odpowiedzi zmierzyła go spojrzeniem. Gdyby w jej szklaneczce został alkohol, żar obecny w jej wzroku zapewne by go podpalił.

– A więc czy powinniśmy to powstrzymać? – zapytała Maura.

Orla, najmłodsza i najgłośniejsza z obecnych, roześmiała się młodzieńczo i głośno.

– A jak właściwie chciałybyś go powstrzymać?

– Powiedziałam *to*, nie *go* – odrzekła nieco arogancko Maura. – Nie zamierzam sobie roić, że dysponuję jakąkolwiek mocą pozwalającą powstrzymać tego chłopca przed przetrząsaniem całej Wirginii w poszukiwaniu własnego grobu. Chodzi o pozostałych.

Calla z trzaskiem odstawiła naczynie.

– Och, potrafiłabym go powstrzymać. Nie o to jednak chodzi. Wszystko trafiło już na swoje miejsca.

(Wszystko trafiło już na swoje miejsca: emerytowany płatny zabójca obecnie sypiający z Maurą; jego były szef owładnięty obsesją na punkcie wszystkiego, co ponadnaturalne, obecnie sypiający w Bostonie; przerażająca istota przysypana skałami pod linią mocy; nieznanne stworzenia wyłazące z jaskini w pobliżu porzuconego gospodarstwa; wzrost mocy płynącej przez linię; leżący na niej magiczny świadomy las; układ pewnego chłopca z owym magicznym lasem; zdolność innego chłopca do urzeczywistniania przedmiotów ze snów; martwy chłopiec, który nie chciał udać się na wieczny spoczynek; pewna dziewczyna w ponadnaturalny sposób wzmacniająca dziewięćdziesiąt procent zjawisk z powyższej listy).

Kobiety znów się napiły.

– Czy powinni dalej jeździć do tego szalonego lasu? – odezwała się Orla.

Niezbyt przejmowała się Cableswater. Pojechała tam kiedyś wraz z pozostałymi i podeszła do lasu wystarczająco blisko, by... poczuć go. Jej moce najlepiej działały za pośrednictwem kabli telefonicznych lub e-maili, ponieważ twarze wchodziły jedynie w drogę prawdzie. Cableswater nie miało twarzy, zaś linia mocy stanowiła w zasadzie najlepszy kabel telefoniczny na świecie. Poczwała, że las ją o coś prosi. Nie zdołała stwierdzić, o co konkretnie, i nie sądziła, by chodziło o coś złego. Wiedziała, że prośby posiadały ogromne znaczenie i wiele sobą obiecywały. Sugerowały odmianę w życiu. Orla była jednak zadowolona ze swego życia, ukłoniła się więc uprzejmie i oddaliła stamtąd.

– Las jest w porządku – skomentował Artemus.

Kobiety spojrzały na niego.

– Zdefiniuj „w porządku” – odparła Maura.

– Cableswater ich uwielbia.

Artemus złożył ogromne dłonie na kolanach i wymierzył w nie równie ogromny nos. Wzrok umykał mu wciąż ku Gwenllian, zupełnie jakby obawiał się, że kobieta na niego skoczy. Gwenllian wymownie nakryła jedną ze świec szklaneczką. W czytelnicy zrobiło się o jeden malutki płomyk ciemniej.

– Mógłbyś rozwinąć myśl? – poprosiła Calla.

Artemus nie uczynił tego.

– Weźmiemy tę opinię pod rozwagę – uznała Maura.

Kobiety się napiły.

– Czy ktokolwiek z nas tu obecnych umrze? – zapytała Jimi. – Czy ktoś nam znany pojawił się podczas czuwania w kościele?

– To nie dotyczy nikogo z nas. Czuwanie w kościele

zazwyczaj przewidywało jedynie śmierć tych, którzy urodzili się (czy też, jak w przypadku Ganseya, *odrodzili*) w mieście lub bezpośrednio na drodze duchów, zaś wszyscy obecni pochodzili z innych miejsc.

– Ale dotyczy Blue – wskazała Orla.

Maura agresywnymi gestami składała swoje karty w stosiki, po czym demontowała je.

– To nie jest gwarancja bezpieczeństwa. Istnieje los gorszy niż śmierć – skomentowała.

– A zatem potasujemy – zaproponowała Jimi.

Wszystkie kobiety przyłożyły swe talie do serc, potasowały je, po czym wybrały przypadkową kartę. Umieściły je odkryte na stole.

Tarot to niezwykle osobista rzecz i w związku z tym grafiki każdej talii stanowiły odzwierciedlenie ich właścicieli.

W przypadku Maury urzeczywistniało się to w ciemnych liniach i prostych barwach, zarazem niedbałych i dziecinnych. U Calli wzory były bogate, przesycone barwami oraz szczegółami. Na każdej karcie w talii Orli widniała para całująca się lub uprawiająca miłość, niezależnie od tego, czy jej znaczenie dotyczyło całowania bądź uprawiania miłości. Gwenllian stworzyła swoją, bazgrząc ciemne, szaleńcze symbole na zwykłych kartach do gry. Jimi trzymała się talii „Święte koty i przenajświętsze kobiety”, którą znalazła w sklepie ze starzyzną w 1992.

Wyciągnęły pięć różnych wersji Wieży. W przypadku Calli grafika chyba najlepiej obrazowała znaczenie karty: zamek podpisany „Stabilność” był bombardowany przez błyskawice, palony i szturmowany przez coś wyglądającego niczym węże pończoszniaki. Kobieta w oknie doświadczała pełnych efektów pioruna. Na szczycie budowli mężczyzna został wyrzucony

z blanków, a być może sam z nich skoczył. W każdym razie również płonął i leciał za nim wąż.

– A zatem wszyscy umrzemy, jeśli nic nie zrobimy – skomentowała Calla.

– *Owynus dei gratia Princeps Waliae*, ha la la, *Princeps Waliae*, ha la la... – zaśpiewała Gwenllian.

Artemus zaskomlał i wyglądał, jakby chciał wstać. Maura położyła uspokajająco dłoń na jego rękach.

– Wszyscy umrzemy – powiedziała. – Kiedyś. Nie panikujmy.

Calla spojrzała na Artemusa.

– Tylko jedno z nas panikuje.

– Pora znaleźć jakieś rozwiązanie, moje drogie – stwierdziła Jimi, puszczając butelkę w obieg. – Jak zamierzamy go szukać?

Kobiety spojrzały na ciemną misę wróżebną. Nie wyróżniała się niczym szczególnym, była po prostu szklanym naczyniem kupionym za jedenaście dolarów w jednym z tych sklepów pełnych karmy dla kotów, ściółki ogrodniczej i przecenionych sprzętów elektronicznych. Wypełniający ją sok żurawinowo-winogronowy nie posiadał żadnych mistycznych właściwości, a jednak emanowało z niej coś złowróżbnego. Płyn wydawał się niespokojny, odbijał jedynie ciemny sufit, ale wyglądał, jakby chciał pokazać coś więcej. Misa nasuwała możliwości i nie wszystkie z nich były dobre.

(Jedna z możliwości: użycie odbicia, by oddzielić swą duszę od ciała, co kończyło się śmiercią).

Wprawdzie to Maura podsunęła pomysł z naczyniem, jednak teraz je odepchnęła.

– Wykonajmy pełny odczyt – zasugerowała Orla, po czym zrobiła balon z gumy.

– Uch, nie – skomentowała Calla.

– Dla nas wszystkich? – spytała Maura, jakby nie usłyszała sprzeciwu Calli. – Jako grupy?

Orla machnęła ręką, wskazując wszystkie talie. Jej ogromne drewniane bransolety zaklekotały o siebie z satysfakcją.

– Podoba mi się – uznała Maura.

Calla i Jimi westchnęły.

Zazwyczaj do odczytu używało się jedynie części talii liczącej siedemdziesiąt osiem kart. Trzech albo dziesięciu. Może jednej lub dwóch więcej, jeśli potrzebne było dodatkowe wyjaśnienie. Pozycja każdej karty oznaczała pytanie: Jaki jest stan twojej podświadomości? Czego się obawiasz? Czego potrzebujesz? Umieszczona na odpowiednim miejscu karta stanowiła odpowiedź.

Siedemdziesiąt osiem kart to mnóstwo pytań i odpowiedzi.

Zwłaszcza jeśli pomnożyć to przez pięć.

Calla i Jimi znów westchnęły, lecz zaczęły tasować. Nie można było zaprzeczyć, że miały wiele pytań. I potrzebowały wielu odpowiedzi.

W tej samej chwili przestały tasować, zamknęły oczy i przyłożyły talie do serc, skupiając się jedynie na sobie samych i tym, w jaki sposób ich żywoty splatały się ze sobą. Świece zamigotały. Długie, krótkie i znów długie cienie zatańczyły za statuetkami bogiń. Gwenllian zaczęła nucić, a Jimi po chwili dołączyła do niej.

Jedynie Artemus siedział odsunięty, marszcząc brwi.

Kobiety uwzględniły go jednak, gdy zaczęły wykładać karty. Najpierw splotły je w krzepki pień, szepcząc przy tym do siebie pozycje i znaczenia. Następnie ułożyły gałęzie wskazujące Artemusa, Jimi oraz Orle. Później umiejscowiły korzenie celujące w Callę, Maurę i Gwenllian. Zderzały się głowami,

kładły karty na innych, śmiały się przy pomyłkach, kłóciły nad odpowiednią kolejnością.

Wreszcie wyłoniła się opowieść. Mówiła o ludziach, których zmienili, oraz tych, którzy zmienili je. Odczyt nie pomijał żadnych pikantnych szczegółów: Maury zakochującej się w Artemusie, Jimi uderzającej Callę, Orli opróżniającej po kryjomu wspólne konto bankowe, by sfinansować internetową stronę firmową, która jeszcze nie zaczęła przynosić dochodów, Blue uciekającej z domu i przywożonej przez policję, umierającej Persefony.

Gałąź prowadząca do Artemusa była ciemna i zbutwiała, usiana mieczami i strachem. Jej mrok biegł z powrotem do pnia, łącząc się z czymś złowieszczym, gnijącym w korzeniu należącym do Gwenllian. Było oczywiste, że to właśnie ta ciemność zabije ich wszystkich, jeśli nic nie zrobią, choć nie dawało się określić jej natury. Jasnowidzące zdolności kobiet nigdy nie były w stanie przeniknąć obszaru leżącego bezpośrednio na linii mocy, a mrok skupiał się właśnie tam.

Rozwiązanie związanego z nim problemu znajdowało się jednak poza linią mocy. Było nieokreślone, niepewne i trudne. Wynik wydawał się jednak nieskomplikowany.

– Mają ze sobą współpracować? – odezwała się z niedowierzaniem Calla.

– Tak mówią karty – odparła Maura.

– A nie możemy po prostu same się tym zająć? – spytała Jimi, sięgając po butelkę, która jednak okazała się pusta.

– Jesteśmy tylko ludźmi – skomentowała Maura. – Tylko zwykłymi ludźmi. Oni są wyjątkowi. Adam jest powiązany z linią mocy. Ronan to śniący. Blue wzmacnia to wszystko.

– Pan Nadziany jest tylko człowiekiem – wtrąciła Orla.

– Owszem, i to on zginie.

Kobiety znów przyjrzały się układowi.

– Czy to oznacza, że ona wciąż żyje? – spytała Maura, stukając palcem kartę na jednej z gałęzi: Królową Mieczy.

– Możliwe – mruknęła Calla.

– Czy to oznacza, że ona odejdzie? – dopytywała Orla, stukając palcem inną kartę i mając na myśli inną „oną”.

– Możliwe – westchnęła Maura.

– Czy to oznacza, że ona wróci? – chciała wiedzieć Calla, wskazując trzecią kartę i mając na myśli trzecią „oną”.

– Możliwe – zaskrzeczała Gwenllian, odskakując od stołu. Zaczęła się obracać, trzymając wysoko ręce.

Żadna z nich nie mogła już dłużej siedzieć. Calla odsunęła fotel.

– Idę po kolejnego drinka.

Jimi klasnęła językiem z aprobatą.

– Jeśli czeka nas koniec świata, to ja też nie pogardzę.

Gdy opuściły stół, Maura została, spoglądając na zatrutą gałąź kart Artemusa i jego samego zgarbionego nad nią.

Przypadkowi mężczyźni z mistycznych zagajników nie byli już w jej typie. Wciąż pamiętała jednak miłość, jaką do niego żywiła, a dzisiejszy Artemus był cieniem siebie dawnego.

– Artemusie? – odezwała się łagodnie.

Nie uniósł głowy.

Gdy dotknęła palcem jego podbródka, wzdrygnął się. Uniosła mu głowę, by znaleźli się twarzą w twarz. Nigdy nie spieszył się z wypełnianiem przestrzeni słowami i nie uległo to zmianie. Wyglądał, jakby zamierzał nigdy już się nie odezwać, gdyby zależało to tylko od niego.

Odkąd wypełzli oboje z jaskini, Maura nie pytała go o nic, co miało miejsce w czasie, odkąd ostatni raz go widziała. Teraz jednak zdecydowała się na to.

– Co się stało, że zrobiłeś się taki jak teraz?
Zamknął oczy.

Gdzie, do cholery, jest Ronan? – spytał Gansey, powtarzając słowa, które wypowiedziały tysiące osób, odkąd ludzkość wykształciła mowę. Gdy wychodził z budynku nauk ścisłych, odchylił głowę w tył, zupełnie jakby Ronan Lynch, senny śniący, pogromca ludzi, omijacz lekcji, z jakiegoś powodu miał przelatywać mu nad głową. Nie przelatywał. Po ciemnoniebieskim niebie nad kampusem Aglionby sunął jedynie bezgłośnie samolot. Po drugiej stronie żelaznego ogrodzenia miasteczko Henrietta wydawało z siebie produktywne popołudniowe odgłosy pracujących ludzi. Po tej stronie uczniowie Aglionby wydawali z siebie bezproduktywne popołudniowe odgłosy nastolatków. – Był na technologii?

Adam Parrish – mag i zagadka, uczeń i logik, mężczyzna i chłopiec – przełożył ambitnie przeładowaną torbę kurierską na drugie ramię. Nie widział powodu, dla którego Gansey miałby sądzić, że Ronan przebywał gdzieś w okolicy kampusu. Sam Adam potrzebował całej swej siły woli, by po tygodniu wypełnionym magicznymi jaskiniami oraz tajemniczymi śniącymi skupić się znów na szkole, a był przecież jej najbardziej zmotywowanym uczniem. Ronan natomiast pokazywał się z zauważalną regularnością wyłącznie na łacinie, a teraz, gdy wszystkim uczęszczającym dotąd na łacinę haniebnie zamieniono ją na dodatkowe lekcje francuskiego, co mu zostało?

– Był? – powtórzył Gansey.

– Sądziłem, że to pytanie retoryczne.

Gansey wyglądał na rozłoszczonego przez czas potrzebny spóźnionemu motylowi na przemknięcie obok nich na jesiennym wietrze.

– Nawet się nie stara.

Minał tydzień z okładem, odkąd z płataniny jaskiń wyciągnęli Maurę – matkę Blue – oraz Artemusa – jej... ojca? Trzy dni, odkąd zapakowali Rogera Malory'ego, sędziwego brytyjskiego przyjaciela Ganseya, do powrotnego samolotu. Dwa dni od powrotu do szkoły.

W tym zero obecności Ronana.

Czy było to głupie zachowanie? Owszem. Czy odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na Ronanie Lynchu? Owszem.

W budynku nauk ścisłych rozbrzmiał hałaśliwie dzwonek – dwie minuty po faktycznym zakończeniu lekcji. Był to porządny dzwonek poruszany porządną liną, za którą powinien porządnie ciągnąć porządny uczeń. Dwuminutowe spóźnienie sprawiło, że Adam Parrish postarzał się przedwcześnie. Lubił, gdy ludzie porządnie wykonywali swoje obowiązki.

– Powiedz coś – odezwał się Gansey.

– Ten dzwonek.

– Wszystko jest straszne – zgodził się Gansey.

Przyjaciele zeszli z chodnika i ruszyli przez tereny sportowe. Spacer od gmachu nauk ścisłych do Budynku Grubera, zajmujący dziesięć luksusowych minut pomiędzy zajęciami, wypełnionych haustami czystego powietrza i słońca, był niczym dar. Sam pobyt w kampusie zwykle uspokajał Adama. Przewidywalna rutyna dawała mu ukojenie. Ucz się pilnie. Chodź na lekcje. Podnoś rękę. Odpowiadaj na pytania. Zmierzaj ku zakończeniu tego poziomu edukacji. Inni uczniowie narzekali na ilość pracy. Pracy! Praca była niczym wyspa. Adam płynął ku niej przez targane sztormem morze.

Sztorm był silny. Potwory kłębiły się pod nimi na linii mocy. Las rozkwitał w dłoniach i oczach, które Adam

przehandlował Cableswater. Zaś Gansey miał umrzeć przed kwietniem. Ocean był niespokojny, Glendower był wyspą. Po przebudzeniu go dysponowałiby przysługą, dzięki której ocaliliby życie Ganseyowi. Ta zaklęta kraina potrzebowała zaklętego króla.

W miniony weekend Adam dwukrotnie śnił, że odnaleźli już Glendowera i teraz szukają go ponownie. Pierwszej nocy sen okazał się koszmarem. Drugiej – ulgą.

– Gdzie teraz szukamy Glendowera? – spytał ostrożnie.

– W jaskini Dittleya – odparł Gansey.

Odpowiedź zaskoczyła Adama. Zazwyczaj Gansey preferował ostrożne podejście, zaś jaskinia Dittleya stanowiła tego przeciwieństwo. Po pierwsze, gdy wyciągnęli z jej środka Gwenllian, córkę Glendowera, zaczęły stamtąd wyłazić dziwne zwierzęta. Po drugie zaś, w wejściu do niej Piper Greenmantle zastrzeliła Jessego Dittleya. Wokół jaskini aż cuchnęło dawną i przyszłą śmiercią.

– Nie uważasz, że Gwenllian powiedziałaaby nam, gdyby sądziła, że jej ojciec znajduje się bardziej w głąb, zamiast kazać nam łązić po grocie pełnej kości?

– Uważam, że Gwenllian służy swoim własnym celom – odrzekł Gansey. – I jeszcze nie ustaliłem, jakie one są.

– Po prostu myślę, że to ryzyko niemieszczące się w granicach rozsądku. Poza tym to miejsce zbrodni.

Gdyby Ronan był z nimi, powiedziałaaby: „Wszędzie jest miejsce zbrodni”.

– Czy to znaczy, że masz inne pomysły? – spytał Gansey.

Pomysły? W liczbie mnogiej? Adam ucieszyłby się, gdyby miał jeden pomysł. Najbardziej obiecująca droga w głąb, grotą w Cableswater, zawałiła się podczas ich ostatniej wyprawy i nie pojawiły się nowe możliwości, które by ją zastąpiły. Gansey

stwierdził, że to jak sprawdzian przydatności, zaś Adam musiał się z nim zgodzić. Cabeswater wyznaczyło im próbę, wzięli się do jej wykonania i z jakiegoś powodu zostali uznani za niedoskonałych. Wszystko wydawało się jednak takie *stuszne*. Wraz z Ronanem pracowali nad tym, by oczyścić jaskinię z zagrożeń, a później cała grupa połączyła swe talenty, by na krótko ożywić szkielety pradawnego stada, które doprowadziło Ronana oraz Blue do Maury. Od tamtych chwil każdej nocy Adam przed snem przeżywał na nowo te wydarzenia. Sny Ronana, Adam koncentrujący się na linii mocy, Blue wzmacniająca, Gansey wprowadzający cały plan w ruch. Adam nigdy wcześniej nie czuł się tak... *naturalnie*. Razem stanowili świetnie działającą maszynę.

Nie zaprowadziło ich to jednak do Glendowera.

– Może porozmawiać z Artemusem? – zasugerował Adam.

Gansey wydał z siebie „hmm”. W ustach kogokolwiek innego zabrzmiałoby pesymistycznie, lecz w jego przypadku niosło w sobie podwójną moc.

– Nie sądzę, byśmy mieli kłopot z mówieniem do Artemusa. Martwi mnie natomiast skłonienie go do odpowiedzi.

– Chyba zawsze powtarzałeś, że masz dar przekonywania – przypomniał Adam.

– Doświadczenie wcale tego nie potwierdza.

– Gansey, stary! – zagrział głos po drugiej stronie boiska.

Whitman, jeden z dawnych towarzyszy Ganseya z drużyny wioślarskiej, uniósł trzy palce w geście salutu. Gansey nie odpowiadał, dopóki Adam nie dotknął lekko jego ramienia grzbietem dłoni. Gansey zamrugął, po czym na jego twarzy wykwitł uśmiech Richarda Campbella Ganseya III. Jakimże skarbem był ów uśmiech, przekazywany przez wieki z ojca na syna, ukryty głęboko w kufrach nadziei podczas pokoleń bez

synów, pielęgnowany i dumnie wywieszany, gdy wymagała tego sytuacja.

– Cześć, Whit! – odkrzyknął Gansey, szczerze wlewając w samogłoski przeciągły, południowy akcent. – Winda ci zjechała!

Śmiejąc się, Whitman zapiął rozporek. Podbiegł do nich i rozpoczął z Ganseyem niezobowiązującą rozmowę. Po paru chwilach dołączyło do nich dwóch innych chłopców, a później dwóch kolejnych. Przekomarzali się pogodnie, z humorem, młodzieńczo i przyjaźnie, niczym chodzące reklamy zdrowego stylu życia oraz dobrego wykształcenia.

Adam nigdy nie zdołał osiągnąć wysokich wyników w tym przedmiocie, choć poświęcił całe miesiące na pilną naukę. Analizował zachowanie Ganseya, rozkładał na czynniki pierwsze reakcje innych chłopców i katalogował wzorce dialogowe. Obserwował, w jaki sposób prosty gest otwierał cały bukiet męskiej rozmowy – elegancko niczym w magicznej sztuczce. Zwracał szczególną uwagę na to, co działo się za kulisami: jak przygnębiony Gansey w zaledwie chwilę stawał się serdeczny. Sam nie potrafił jednak nigdy przekuć tego wszystkiego w praktykę. Ciepłe powitania w jego ustach skuwały się lodem. Niedbałe gesty stawały się lekceważące. Pewne spojrzenie przeradzało się w niepokojące mierzenie wzrokiem.

Co kwartał na nowo zapisywał się na te zajęcia, ale choć wydawało się to nieprawdopodobne, dochodził do wniosku, że pewne umiejętności leżały poza zasięgiem nawet Adama Parrisha.

– Gdzie Parrish? – spytał Engle.

– O, tam – odparł Gansey.

– Nie wiem, jak mogłem przegapić wicher wiejący od

lodowca – stwierdził Engle. – Co tam, stary?

Było to pytanie retoryczne, na które odpowiedź stanowił jedynie lekki sztuczny uśmiech. Chłopcy przysli tu dla Ganseya. Gdzie Parrish? W miejscu zbyt odległym, by dało się tam dotrzeć w jeden dzień.

Dawno, dawno temu takie reakcje niepokoiłyby Adama. Czułby się zagrożony. Teraz jednak był pewien swej pozycji jako jednego z dwóch faworytów Ganseya, wsadził więc tylko dłonie do kieszeni i szedł cicho wraz z resztą.

Nagle Adam *poczuł*, jak idący obok Gansey spał się. Pozostali wciąż pokrzykiwali i śmiali się, lecz na twarzy Ganseya pojawiła się zaduma. Adam podążył za jego wzrokiem do wielkich kolumn podtrzymujących dach Budynku Grubera. U szczytu schodów stał dyrektor Child, trzymając w dłoni podręcznik czy coś podobnego. Był żyłastym człowiekiem, a swoim wyglądem propagował rozsądek stosowania filtrów przeciwsłonecznych oraz kapeluszy o szerokich rondach.

– Posłuchajcie, panowie – zawołał. – Słyszałem was ze swego gabinetu. Zachowujecie się jak kruki? Zajęcia czekają.

Wymieniono żółwki, poczochrano włosy, trącono się barkami. Pozostali chłopcy rozproszyli się, zostali Gansey i Adam. Child uniósł lekko dłoń, jakby machając do Ganseya, po czym zniknął w części biurowej Budynku Grubera.

Gansey znów przez chwilę wyglądał na rozzłoszczonego, po czym przybrał zupełnie obojętną minę i podjął marsz w stronę klasy.

– O co chodziło? – chciał wiedzieć Adam.

Gansey udawał, że nie usłyszał, i wspinał się po schodach, na których zaledwie przed chwilą stał dyrektor.

– Ganseyu. O co chodziło?

– Z czym?

– Z dłonią. Childa.

– Przyjazny gest.

Nie było nic dziwnego w tym, że świat wydawał się bardziej przyjazny wobec Ganseya niż Adama, jednak takie zachowanie nie pasowało do dyrektora Childa.

– Powiedz, że mi nie powiesz, ale mnie nie okłamuj.

Gansey zaczął starannie wsuwać mundurkową koszulę w spodnie i wygładzać sweter. Nie spoglądał na Adama.

– Nie chcę się kłócić.

– Ronan – domyślił się Adam.

Gansey zerknął na niego ukradkiem, po czym wrócił spojrzeniem ku swetrowi.

– Nie ma mowy – odezwał się Adam. – Nie. Nie mógłbyś.

Nie miał pojęcia, o co właściwie oskarżał Ganseya.

Wiedział jedynie, czego Gansey pragnął dla Ronana i w jaki sposób osiągał to, czego chciał.

– Nie chcę się kłócić – powtórzył Gansey.

Wyciągnął dłoń do klamki. Adam przykrył ją swoją, zatrzymując go.

– Rozejrzyj się. Widzisz Ronana? Ma to gdzieś. Jeśli będziesz mu wpychał szkołę do gardła, nie sprawisz, że poczuje głód.

– Nie chcę się kłócić.

Uratowało go brzęczenie jego telefonu. W zasadzie uczniowie nie powinni odbierać rozmów podczas pobytu w szkole, jednak Gansey wyciągnął aparat i obrócił go w stronę Adama. Dwie rzeczy uderzyły Parrisha: po pierwsze, telefon identyfikował rozmowę jako pochodzącą od matki Ganseya, co zapewne było prawdą, po drugie zaś, telefon twierdził, iż była 6.21, co już zdecydowanie nią nie było.

Adam zmienił lekko pozycję. Nie blokował już Ganseyowi

wejścia do budynku, lecz raczej służył za wartownika.

Gansey przyłożył telefon do ucha.

– Halo? O, mamó. Jestem w szkole. Nie, weekend skończył się wczoraj. Nie. Oczywiście. Nie, ale pospiesz się.

W czasie, gdy Gansey rozmawiał, Cableswater odzywało się do Adama, proponując, że wesprze jego zmęczone ciało, i zezwolił mu na krótką chwilę. Przez kilka swobodnych oddechów czuł wokół siebie jedynie liście, wodę, pnie, korzenie, kamienie oraz mech. Linia mocy pulsowała w nim, nasilając się i słabnąc w rytm jego tętna, a może odwrotnie. Adam rozumiał, że las chciał mu coś powiedzieć, ale nie był pewien, o co chodziło. Po szkole musiał przeprowadzić wieszczenie albo wręcz znaleźć czas, by pojechać do Cableswater.

Gansey rozłączył się i schował aparat.

– Chciała wiedzieć, czy podoba mi się pomysł przeprowadzenia w ten weekend ostatniej kampanii tu w kampusie. Gdyby przeszkadzało to w Dniu Kruków, czy mógłbym poprosić Childa o zgodę. Powiedziałem, że... Sam zresztą słyszałeś.

Tak naprawdę Adam nie słyszał. Nasłuchiwał Cableswater, i to tak usilnie, że gdy las nagle, niespodziewanie zamarł, on sam się zachwiał. Złapał z zaniepokojeniem klamkę, by się uziemić.

Brzęcząca w nim energia rozproszyła się.

Adam ledwo miał czas, by zastanowić się, co się stało i czy energia wróci, ponieważ linia mocy powróciła do życia w jego wnętrzu. W jego umyśle znów rozkwitły liście. Puścił klamkę.

– O co chodziło? – spytał Gansey.

– Z czym?

Adam lekko dyszał, jednak niemal idealnie zdołał naśladować wcześniejszy ton Ganseya.

– Nie bądź dupkiem. Co się stało?

Stało się to, że ktoś właśnie pobrał olbrzymią ilość energii z linii mocy. Tak dużo, że nawet Cableswater musiało złapać z powrotem oddech. Niewielkie doświadczenie Adama sugerowało ograniczoną liczbę wyjaśnień.

Energia powoli wracała do wcześniejszego poziomu.

– Jestem niemal pewien, co Ronan właśnie robi.

Tego poranka Ronan Lynch zbudził się wcześnie, bez budzika, myśląc: *dom, dom, dom*.

Zostawił Ganseya wciąż śpiącego z telefonem ściśniętym w dłoni i okularami złożonymi we śnie kilkanaście centymetrów dalej na materacu, po czym zszedł po schodach ze swą kruczycą przyciśniętą do piersi, by nie wydawała dźwięków. Na zewnątrz nieskoszona trawa moczyła mu buty rosą, a wokół opon grafitowego bmw kłębiła się mgła. Niebo nad Monmouth Manufacturing miało kolor błotnistego jeziora. Było zimno, lecz napędzane benzyną serce Ronana płonęło. Wsiadł do samochodu, pozwalając, by stał się dla niego niczym druga skóra. Nocne powietrze wciąż czało się pod siedzeniami i w schowkach na drzwiach. Drżał, przywiązując ptaka do klamry pasa przy fotelu pasażera. Nie było to może zbyt wymyślne rozwiązanie, ale skutecznie powstrzymywało kruczycę przed szamotaniem się po wnętrzu. Piła ugryzła go, ale mniej dotkliwie niż poranny chłód.

– Podasz mi kurtkę, gnojowo? – odezwał się do ptaka.

Dziobała właśnie na próbę przycisk otwierania szyby, sam więc wziął okrycie. Marynarka mundurkowa Aglionby też leżała z tyłu, niemiłosiernie zmięta pod pudełkiem łamigłówką, wyśnionym przedmiotem tłumaczącym słowa z kilku języków, w tym jednego wymyślonego, na angielski. Kiedy zamierzał znów pójść do szkoły? Kiedykolwiek? Pomyślał, że być może następnego dnia oficjalnie się wypisze. W bieżącym tygodniu. W kolejnym tygodniu. Co go powstrzymywało? Gansey. Declan. Wspomnienie ojca.

Nawet tak wczesnym rankiem do Singer's Falls jechało się dwadzieścia pięć minut, lecz wciąż było jeszcze długo przed

świttem, gdy mijał nieistniejące miasteczko i wreszcie wjeżdżał do Stodólek. Wrzośce, gałęzie i drzewa otulały samochód, gdy sunął kilkusetmetrowym podjazdem. Posiadłość, wykrojona z zadrzewionych wzgórz i dostępna wyłącznie za pośrednictwem krętej drogi przez splątany las, tętniła od odgłosów okolicznej wirginijskiej puszczy: dębowe liście ocierały się o siebie, kojoty albo jelenie deptały ściółkę, szemrała wyschnięta trawa, sowy nawoływały się nawzajem, wszystko oddychało i przemieszczało się poza zasięgiem wzroku. Było zbyt zimno dla świetlików, ale ich mrowia i tak połyskiwały nad polami.

Wszystko to było jego. Wydumane, pozbawione celu, ale cudowne.

Ronan Lynch lubił śnić o świetle.

Dawniej Stodółki stanowiły dla Ronana cały ekosystem. Za jego dzieciństwa Lynchowie rzadko wyjeżdżali, ponieważ nie musieli, ponieważ było mnóstwo pracy, ponieważ Niall Lynch nie ufał wystarczającej liczbie ludzi, by mogli zająć się posiadłością pod ich nieobecność.

Lepiej było spotykać się ze znajomymi w ich domach, jak wyjaśniała ich matka Aurora, ponieważ na farmie tata miał zbyt wiele łatwo niszczących się rzeczy.

Jedną z nich była Aurora Lynch. Złotowłosa Aurora, oczywista królowa miejsca takiego jak Stodółki, łagodna i wesoła władczyni spokojnej, tajemniczej krainy. Wspierała swych synów w wymyślnych dziedzinach sztuki (choć najstarszy Declan rzadko okazywał się wymyślny) i niestrudzenie towarzyszyła im w udawanych zabawach (choć najstarszy Declan rzadko się bawił). Kochała Nialla, rzecz jasna – wszyscy kochali wybijającego się ponad przeciętność Nialla,

samozwańczego poetę, króla muzyków – lecz w przeciwieństwie do pozostałych wołała go w spokojniejszym nastroju. Kochała prawdę i trudno jej było kochać zarówno prawdę, jak i Nialla Lyncha, gdy ten się odzywał.

Była jedyną osobą, której nie potrafił oślepić swym blaskiem, i kochał ją za to.

Dopiero wiele lat później Ronan odkrył, że król wyśnił swą królową. Z perspektywy czasu widział w tym jednak sens. Jego ojciec również kochał śnić o świetle.

W domu Ronan włączył kilka lamp, by odepchnąć mrok na zewnątrz. Po kilku minutach poszukiwań znalazł wiaderko klocków z literami alfabetu, które przekazał do posortowania Pile. Następnie włączył jedną z ojcowych płyt Bothy Band i gdy skrzypce oraz dudy grzmiały w wąskich korytarzach, ścierał kurze z półek oraz naprawiał zepsuty zawias szafki w kuchni. Poranne słońce, wlewające się wreszcie złotym blaskiem do osłoniętej doliny, zastało go w trakcie usuwania plam z podniszczonych drewnianych schodów prowadzących do dawnego pokoju rodziców.

Wciągnął głęboko powietrze. Wypuścił.

Gdy nie przebywał w domu, zapominał, jak się oddycha.

Czas biegł tutaj własnym rytmem. Dzień w Aglionby to pocięte niezgrabnie obrazki, które nie miały znaczenia, oraz rozmowy, których nie zapamiętywał. Jednak ten sam dzień spędzony w Stodółkach biegł z impetem, wypełniony czterokrotnie wyższą liczbą rzeczy. Czytanie przy oknie, stare filmy w salonie, leniwe majsterkowanie przy zatraskujących się drzwiach stodoły. Godziny trwały tyle, ile trzeba.

Wspomnienia tego co *dawniej* – wszystko, czym to miejsce

było dla niego, gdy mieściło w sobie całą rodzinę Lynchów – zostawały powoli zastępowane wspomnieniami i nadziejami tego, co będzie *później* – każdą minutą, w której Stodółki należały do *niego*, wszystkimi chwilami, jakie spędził tu samotnie bądź z Adamem, śniąc i planując.

Dom, dom, dom.

Nadszedł czas na sen. Śnienie. Ronan starał się stworzyć konkretny przedmiot i nie był na tyle głupi, by sądzić, że osiągnie cel za pierwszym razem.

„Zasady dla snów”, zadeklamował Jonah Milo.

Ronan znajdował się na lekcji angielskiego. Profesor Milo stał przed jaśniejącą elektroniczną tablicą, ubrany w tartan. Palce wystukiwały rytm na tablicy, akompaniując słowom: „Zasady dla śniących. Zasady dla tego, co wyśnione”.

„Cabeswater?” – spytał Ronan klasę.

Nienawiść wygładziła jego myśli. Nigdy nie zapomni tutejszego zapachu: guma, detergenty, pleśń i teriyaki ze stołówek.

„Panie Lynch, czy chce się pan z nami czymś podzielić?”

„Pewnie. Nie zostanę w tej cholernej klasie ani sekundy...”

„Nikt tu pana nie zatrzymuje, panie Lynch. Aglionby to wybór”. Milo wyglądał na rozczarowanego. „Skoncentrujmy się. Zasady dla snów. Proszę przeczytać na głos, panie Lynch”.

Ronan nie czytał. Nie mogli go zmusić.

„Ze snów łatwo wypaść” – recytował Milo. Jego słowa brzmiały niczym piosenka z reklamy środków czyszczących. „Niełatwo jest utrzymać konieczną równowagę pomiędzy świadomością a podświadomością. Na czwartej stronie w waszych podręcznikach znajduje się tabela”.

Trzecia strona okazała się czarna. Czwartej strony nie było. Tabeli również nie.

„Zasady dla tego, co wyśnione. Panie Lynch, może usiądzie pan bardziej prosto, wsunie koszulę w spodnie i okaże skupienie godne ucznia Aglionby? Psychopompa pomogłaby panu w utrzymaniu myśli z jawy. Niech wszyscy sprawdzą, czy jest tu ich senny kompan”.

Nie było sennego kompana Ronana.

W ostatnim rzędzie siedział jednak Adam. Czujny. Pilny. Ten uczeń Aglionby odzwierciedlał dziedzictwo Ameryki. W komiksowym dymku nad głową widać było jego podręcznik, usiany zapiskami oraz schematami.

Milo miał dłuższą brodę niż na początku lekcji. „Zasady dla śniących. Tak naprawdę chodzi o butę, czyż nie? Panie Lynch, czy chce pan porozmawiać o tym, jak to jest, że Bóg nie żyje?”.

„To bzdury” – powiedział Ronan.

„Jeśli wie pan lepiej, może pan tu podejść i sam nauczać tego przedmiotu. Staram się jedynie zrozumieć, dlaczego pan sądzi, że nie skończy martwy jak pański ojciec. Panie Parrish, zasady dla śniącego?”.

Adam zaczął odpowiadać z podręcznikową precyzją. „Na stronie dwudziestej Heaney wyraźnie stwierdza, że śniący powinni być klasyfikowani jako broń. W analizach naukowych widzimy, w jaki sposób przekłada się to na rzeczywistość. Przykład A: ojciec Ronana nie żyje. Przykład B: K nie żyje. Przykład C: Gansey nie żyje. Przykład D: ja również nie żyję. Przykład E: Bóg nie żyje, jak już pan wspomniał. Dodałbym do tej listy również Matthew i Aurorę Lynchów, jednak zgodnie z badaniami Glasera z 2012 nie są oni ludźmi. Mam tutaj schematy”.

„Pierdol się” – skomentował Ronan.

Adam wyglądał, jakby usychał. Nie był już Adamem, lecz Declanem. „Odrób pracę domową, Ronanie, choć raz w swoim cholernym życiu. Nie wiesz nawet, czym jesteś?”.

Ronan obudził się zły i z pustymi rękoma. Wstał z kanapy, by potrząsnąć drzwiami szafek w kuchni. Mleko w lodówce skwaśniało, a Matthew przy ostatniej bytności zjadł wszystkie parówki. Ronan wypadł na zalaną słabym porannym światłem werandę i zerwał dziwny owoc z rosnącego w donicy drzewa, które rodziło opakowania orzeszków w czekoladzie. Przechadzał się niespokojnym krokiem, a Piła dreptała i trzepotała się za nim, dziobiąc ciemne plamy, które w jej nadziejach były opuszczonymi orzeszkami.

Zasady dla śniących: wyśniony Milo spytał go, gdzie jest jego senny kompan. Dobre pytanie. Sierotka nawiedzała jego sny, odkąd tylko sięgał pamięcią. Smutna mała istotka w białej czapce naciągniętej na jasne, krótkie włosy. Kiedyś uważał ją za starszą, ale może to on sam był młodszy. Pomagała mu się ukrywać podczas koszmarów. Teraz to częściej ona chowała się za Ronanem, ale wciąż pomagała mu koncentrować umysł na bieżących zadaniach. To dziwne, że nie pokazała się, gdy Milo o niej wspomniał. Cały sen był dziwny.

„Nie wiesz nawet, czym jesteś?”.

Ronan nie wiedział, nie do końca, lecz sądził, że coraz lepiej żyje mu się z wyjaśniającą się tajemnicą jego istoty. Sen mógł iść się walić.

– Brek – stwierdziła Piła.

Ronan rzucił jej orzeszek i ciężkim krokiem wrócił do środka domu, by poszukać inspiracji.

Czasami dotknięcie czegoś rzeczywistego bardzo mu

pomagało, gdy miał kłopoty ze śnieniem. Aby udało się wynieść przedmiot ze snu, musiał wiedzieć, jaki był w dotyku i smaku, w jaki sposób rozciągał się i zginał, czy działała na niego grawitacja, czy też nie – cechy, które nadawały mu fizyczność, a pozbawiały ulotności.

W pokoju Matthew jego uwagę przykuła jedwabna sakiewka z magnetycznymi kamykami. Gdy przyglądał się materiałowi, Piła przeszła mu bezceremonialnie między nogami, wydając z siebie niski, charkotliwy odgłos. Nigdy nie rozumiał, dlaczego tak często postanawiała chodzić i skakać. Gdyby sam miał skrzydła, latałby cały czas.

– Nie ma go tutaj – poinformował ją Ronan, gdy wyciągała szyję, starając się dojrzeć powierzchnię łóżka.

Stęknąwszy w odpowiedzi, zaczęła bezskutecznie szukać rozrywek. Matthew był głośnym, wesołym dzieciakiem, lecz w jego skromnie urządzonego pokoju panował porządek. Dawniej Ronan sądził, że jest tak, ponieważ brat trzymał cały bałagan w swej kędzierzawej głowie, teraz jednak podejrzewał, że jemu samemu zabrakło wyobraźni, aby wyśnić w pełni ukształtowanego człowieka. Trzyletni Ronan pragnął brata, który w pełni kochałby go nieskomplikowaną miłością. Trzyletni Ronan wyśnił Matthew, który w każdym aspekcie stanowił przeciwieństwo Declana. Czy był człowiekiem? Wyśniony Adam/Declan wydawał się tak nie uważać, lecz wyśniony Adam/Declan najwyraźniej był również kłamcą.

Zasady dla śniących.

„Śniący powinni być klasyfikowani jako broń”.

Ronan wiedział już, że był bronią, lecz starał się to nadrabiać. Dzisiejszy cel stanowiło wyśnienie czegoś, co zapewniłoby bezpieczeństwo Ganseyowi w razie kolejnego ukąszenia. Wcześniej udawało mu się oczywiście wyśnić

surowice, autostrzykawki i lekarstwa, ale problem polegał na tym, że dopóki nie było za późno, nie miał pojęcia, czy zadziałają.

Teraz miał lepszy plan: wzmocnioną skórę. Coś, co ochroniłoby Ganseya, zanim zostałby w ogóle użądłony.

Ronan nie potrafił pozbyć się wrażenia, że kończył mu się czas.

Musiało zadziałać. Będzie dobrze.

W porze obiadowej Ronan opuścił łóżko po dwóch kolejnych nieudanych próbach uzyskania działającego pancerza. Naciągnął kalosze i mocno już zabrudzoną bluzę z kapturem, po czym wyszedł na zewnątrz.

Stodółki były zbiorowiskiem komórek, szop oraz wielkich obór. Ronan zatrzymał się przy jednej z nich, by napełnić wiadra paszą i by położyć na wierzchu jednego z nich bryły soli, co stanowiło wariację na temat jego zwyczaju z dzieciństwa. Następnie ruszył w stronę wyżej położonego pastwiska, mijając ciche cielska wyśnionych przez ojca krów, uparcie śpiące na polach po obu stronach. Po drodze skręcił do jednej z większych szop ze sprzętem. Stojąc na palcach, macał nad framugą wrót, dopóki nie znalazł pozostawionego tam wyśnionego kwiatka. Gdy rzucił go w powietrze, kwiat zawisł mu tuż nad głową, rzucając utrzymujący się żółty blask wystarczający do oświetlenia w niewielkim promieniu drogi przez pozbawione okien wnętrza. Przedzierał się przez kurz obok zniszczonych i niezniszczonych maszyn, aż dotarł do swego albinotycznego nocnego koszmaru skulonego na masce starego zardzewiałego samochodu w całej swojej poszarpanej i groźnej postaci. Blade, paskudne szpony podrapały karoserię do gołego metalu, koszmar

musiał tu już spędzić co najmniej kilka godzin. Stwór otworzył różowawe oko, by na niego spojrzeć.

– Potrzebujesz czegoś, mały gnojku? – spytał go Ronan.

Koszmar znów zamknął oko.

Ronan zostawił go i szedł dalej z grzechoczącymi obiecując wiadrami, pozwalając, by wyśniony kwiatek leciał za nim, choć nie potrzebował go w świetle dnia. Gdy dotarł do największej obory, nie był już sam. W trawie po obu stronach szeleściło. Świstaki, szczury i stworzenia, które nie istniały, wybiegały spomiędzy źdźbeł i tuptały po jego śladach oraz przed nim. Z krawędzi lasu wyłoniły się jelenie o ciemnej sierści, niewidoczne, dopóki się nie poruszyły.

Niektóre ze zwierząt były prawdziwe. Większość jeleni stanowiły zwykle wirginijskie mulaki białoogonowe, karmione i oswajane przez Ronana bez żadnej konkretnej przyczyny, nie licząc własnej przyjemności. Udomowienie okazało się łatwiejsze dzięki obecności wyśnionego cielaka, który żył wśród nich. Był blady i uroczy, o długich, drżących rzęsach i lisich rudych uszach. Teraz jako pierwszy wbiegł na pole i polizał podaną przez Ronana bryłę soli, po czym pozwolił chłopakowi pogłodzić krótką, szorstką sierść w kłębie oraz wyciągnąć parę patyczków z miękkich włosów za uszami. Jeden z jeleni skubnął paszę trzymaną przez Ronana w złożonych dłoniach, a później reszta stała cierpliwie, gdy chłopak wysypywał ją na trawę. Zapewne karmienie ich było nielegalne. Ronan nigdy nie potrafił zapamiętać, co w Wirginii można było zgodnie z prawem karmić albo odstrzeliwać.

Mniejsze zwierzęta podeszły bliżej. Niektóre trącały mu kopytkami kalosze, część układała się obok niego na trawie, jeszcze inne się płoszyły. Dla nich również rozrzucił karmę, po czym zaczął sprawdzać, czy nie mają zranień i drzazg.

Wciągnął głęboko powietrze. Wypuścił.

Zastanawiał się, jak wyobrażał sobie skórnny pancerz. Być może nie musiał być niewidzialny. Mógł być srebrny, a nawet się świecić.

Ronan wyszczerzył zęby na tę myśl, nagle czując się głupio i leniwie. Stał, pozwalając, by całodziennie zmęczenie spływało mu z ramion i lądowało na ziemi. Gdy się przeciągał, biały cielak uniósł głowę, by obserwować go uważnie. Pozostałe dostrzegły to i również skupiły wzrok. Były tak piękne, jak tylko piękne potrafiły być sny Ronana, jak tylko piękne potrafiło być Cableswater, tyle że teraz nie śnił. W jakiś sposób, choć nie zauważył konkretnej chwili, różnica pomiędzy jego jawą a snem zaczęła się zacierać. Chociaż po śmierci chłopaka połowa dziwnego stada zapadłaby w sen, to dopóki tu przebywał, dopóki wdychał i wydychał powietrze, był królem.

Pozostawił zły nastrój na polu.

Gdy wrócił do domu, śnił.

Ronan był lasem.

Leżał twarzą w pyle z rozrzuconymi ramionami i palcami zagrzebanymi w poszukiwaniu energii linii mocy. Czuł palące się i spadające liście, śmierć i odrodzenie. Powietrze było jego krwią. Głosy mrużące do jego uszu spomiędzy drzew należały do niego, nakładały się na siebie. Ronan w pętli, znowu Ronan, znowu Ronan.

– Wstań – powiedziała po łacinie Sierotka.

– Nie – odparł.

– Jesteś uwięziony? – spytała.

– Nie chcę odchodzić.

– Ja chcę.

W jakiś sposób na nią spojrział, choć wciąż był zaplątany w swych korzeniach-palcach oraz atramentowych gałęziach wyrastających z tatuażu na nagich plecach. Sierotka stała z wiadrem na paszę w dłoniach. Miała ciemne i zapadnięte oczy, wiecznie wygłodniałe lub wiecznie pragnące. Biała czapka była nisko naciągnięta na krótkie włosy w kolorze lipowego miodu.

– Jesteś tylko elementem snu – odezwał się do niej. – Tylko jakimś podzjebaniem mojej wyobraźni.

Zaskomlała jak kopnięty szczeniak i natychmiast rozzłościł się na nią, a może na siebie. Dlaczego nie wolno mu było powiedzieć, czym była?

– Szukałem cię wcześniej – rzekł, ponieważ właśnie to sobie przypominał.

Jej obecność nie pozwalała mu zapomnieć, że przebywał we śnie.

– Kerah – oznajmiła wciąż zraniona jego wcześniejszymi słowami.

Ronan poczuł irytację, że ukradła imię, jakim określała go Piła.

– Znajdź coś własnego – rzucił, lecz stracił ochotę, by zachowywać się wobec niej stanowczo, nawet jeśli szczerze.

Usiadła koło niego, podciągając kolana pod brodę.

Trzymając policzek przy zimnej glebie, rozciągnął się dalej w głąb. Opuszkami palców ocierał się o pędraki i dżdżownice, krety i węże. Pędraki rozwijały się, gdy ich dotykał. Dżdżownice towarzyszyły mu w drodze. Krety ocierały się o niego sierścią. Węże zwijały mu się wokół ramion. Był nimi wszystkimi.

Westchnął.

Nad ziemią Sierotka kołysała się i śpiewała sobie smutno, spoglądając z niepokojem w niebo.

– *Periculosum* – ostrzegła. – *Suscitat*.

On nie czuł jednak niebezpieczeństwa. Wyłącznie ziemię, energię linii mocy oraz gałęzie swych żył. Dom, dom.

– Jest tutaj – powiedział.

Ziemia połknęła jego słowa i wypuściła nowe pędy.

Sierotka oparła się zgarbionymi plecami o jego nogę i zadrżała.

– *Quid...* – zaczęła, po czym ciągnęła niepewnym angielskim: – Co tam jest?

Była tam skóra. Lśniąca, niemal przejrzysta. Pod powierzchnią lasu znajdowała się tak wielka jego część, że widział w glebie jej kształt. Miała kształt ciała, jakby wzrastała pod ziemią, jakby czekała na wykopanie. W dotyku przypominała sakiewkę z pokoju Matthew.

– Mam ją – oznajmił Ronan, gładząc powierzchnię palcami. „Pomóż mi ją utrzymać”. Być może tylko to pomyślał, zamiast powiedzieć na głos.

Sierotka zaczęła płakać.

– Uważaj, uważaj.

Ledwo skończyła to mówić, gdy poczuł...

Coś.

Kogoś?

Nie były to chłodne, suche łuski węży. Nie ciepłe, szybko tętniące serca kretów. Nie miękkość dżdżownic ani gładkie, powolne ciała pędraków.

Było ciemne.

Sączyło.

W równym stopniu było istotą, jak i nią nie było.

Ronan nie czekał. Potrafił rozpoznać koszmar.

– Dziewczynko – odezwał się – wyciągnij mnie.

Pochwycił wyśnioną skórę w jedną z korzeniowych dłoni, szybko starając się zapamiętać odczuwane wrażenia. Ciężar, gęstość, namacalność.

Sierotka grzebała w ziemi wokół niego, kopiąc niczym pies i wydając ciche, przestraszone okrzyki. Jakże nienawidził swoich snów.

Mrok, który nie był mrokiem, podpełzał przez ziemię. Pożerał wszystko, czego dotknął. A właściwie niweczył.

– Szybciej – warknął Ronan, wycofując się z pancerzem trzymanym w korzeniowych palcach.

Mógł zostawić wyśnioną skórę i przebudzić się.

Nie chciał jej zostawiać. Mogło zadziałać.

Sierotka chwyciła go za nogę, a może za rękę, a może za jedną z jego gałęzi, i ciągnęła, ciągnęła, ciągnęła, próbując go wydostać.

– Kerah – załkała.

Mrok parł coraz wyżej. Gdyby dosięgnął dłoni Ronana, chłopak mógłby obudzić się bez niej. Musiał ograniczyć straty...

Sierotka upadła na plecy, wyciągając go z ziemi. Czerń

wystrzeliła ponad powierzchnię. Ronan bez zastanowienia skoczył na dziewczynkę, by ją ochronić.

„Nic nie jest niemożliwe” – powiedział las. A może był to mrok. A może Ronan.

Obudził się. Tkwił w miejscu, jak zawsze po tym, gdy wyniósł cokolwiek ze snu. Nie czuł dłoni – „proszę, abym wciąż miał dłonie”, pomyślał – i nie czuł nóg – „proszę, abym wciąż miał nogi”, pomyślał. Przez wiele długich minut wpatrywał się w sufit. Znajdował się w salonie na starej kraciastej kanapie i spoglądał na te same trzy pęknięcia, które od lat układały się w literę M. Wszystko pachniało orzesznikiem i bukszpanem. Piła przez chwilę trzepotała nad nim skrzydłami, po czym wylądowała ciężko na jego lewej nodze.

A więc wciąż musiał mieć przynajmniej jedną nogę.

Gdy już na niego nie patrzył, nie potrafił określić, dlaczego mrok wydawał mu się tak przerażający.

Powoli zaczęły mu się poruszać palce, a więc je również musiał wciąż mieć. Wyśniona skóra wróciła wraz z nim i zwisała z kanapy. Wyglądała zwiewnie i niematerialnie, choć poplamiona ziemią i podarta na strzępy. Zachował kończyny, ale strój do niczego się nie nadawał. Poza tym umierał z głodu.

Zawibrował mu telefon i Piła podfrunęła na oparcie kanapy. W normalnych okolicznościach nie sprawdziłby, kto to, lecz wciąż czuł tak silny niepokój wywołany przez nicość ze snu, że skorzystał ze sprawnych już palców, by wyłuskać aparat z kieszeni i upewnić się, że to nie Matthew.

Pisał Gansey:

Parrish chce wiedzieć czy zabiłeś się już we śnie daj znać

Zanim Ronan zdążył sformułować emocję związaną z tą

Adamową wiedzą, Piła nagle skuliła głowę na oparciu. Pióra na jej karku stanęły na baczność. Skupiła wzrok na jakimś punkcie po drugiej stronie pokoju.

Ronan podparł się i podążył za jej spojrzeniem. Z początku nie widział nic poza znajomym bałaganem. Stolik do kawy, telewizor, automat do gier, kosz z laskami. Nagle jego oczy dostrzegły ruch pod stołem.

Zamarł.

Powoli uświadomił sobie, na co spogląda.

– Cholera – powiedział.

Blue Sargent została wyrzucona ze szkoły.

Tylko na jeden dzień. Dwadzieścia cztery godziny miały wyleczyć ją z rozmyślnego niszczenia własności i „szczerze mówiąc, Blue, zaskakująco niewłaściwej postawy”. Blue nie potrafiła zmusić się do takiej skruchy, którą powinna odczuwać, zresztą nic związanego ze szkołą nie wydawało się szczególnie *rzeczywiste* w porównaniu z resztą jej życia. Stojąc na korytarzu przy biurach administracji, słyszała swoją matkę wyjaśniającą, że w rodzinie miała niedawno miejsce śmierć, że biologiczny ojciec Blue wrócił ostatnio do miasta i że wszystko to było bardzo bolesne. Najprawdopodobniej, dodała Maura – pachnąc bylicą pospolitą, co oznaczało, że musiała odprawiać z Jimi rytuał podczas pobytu Blue w szkole – jej córka odreagowywała, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Och, Blue w pełni zdawała sobie z tego sprawę.

Teraz siedziała pod bukiem za domem na Fox Way 300, czując się rozdrażniona i nie w sosie. Bardzo głęboko ukryta jej część wiedziała, że ma kłopoty – zdecydowanie najpoważniejsze w ostatnim czasie. Bliższa część odczuwała jednak ulgę, że przez cały dzień nie będzie musiała udawać, iż zależy jej na szkole. Blue rzuciła nadgryzionym przez owady orzeszkiem buku. Odbił się od płotu z trzaskiem kojarzącym się ze strzałem.

– No dobra, mam pomysł.

Najpierw usłyszała głos, później poczuła chłód na skórze. Po chwili dołączył do niej Noah Czerny, jak zawsze ubrany w granatowy sweter Aglionby. „Dołączył” było chyba jednak niewłaściwym określeniem. Raczej „objawił się”. Jeszcze lepiej pasowało sformułowanie „złudzenie optyczne”. Najlepsze było „złudzenie umysłowe”, ponieważ Blue rzadko zauważała chwilę,

w której Noah się pojawiał. Nie dlatego, że urzeczywistniał się w łagodny sposób. Chodziło o to, że jej mózg w jakiś sposób przepisał wcześniejszą minutę, by wydawało jej się, że chłopak przez cały czas kucał obok niej.

Posiadanie martwego przyjaciela czasami bywało dziwne.

– A więc należy zdobyć przyczepę – ciągnął przyjaźnie Noah. – Nie tę Adama. Taką towarową.

– Co? *Ja*?

– Ty. Jak to się nazywa, gdy mówi się „należy”, ale nie chodzi o to, że „komuś się coś należy”, tylko że „należy coś zrobić”?

– Nie wiem. Gansey by wiedział. Jak to „przyczepę Adama”?

– Wewnętrzne ja? – podsunął, jakby nic nie mówiła. – Nieważne. W sensie, że twoje ogólne ja. No a potem wymyślasz, powiedzmy, pięć świetnych przepisów na kurczaka. Choćby z różną. To te, które pieką się wiekami, co nie? – Zaczął odliczać na palcach. – I jeszcze po meksykańsku. W miodowym curry. Z grilla. Co jeszcze... Teriyaki? I czosnkowo-jakiśtam. No i potrzebujesz jeszcze może napojów. Zakreconych uzależniających napojów. Ludzie sobie myślą: żejarłbym tego kurczaka w miodowym curry i do tego, no ten, herbata cytrynowa, o tak, do pełna, tak. Kurczę, kurczakowy kurczak!

Nigdy dotąd nie widziała go tak energicznego. Ta paplająca wesoło wersja Noaha z pewnością była bliższa tego, jaki był za życia: uczeń Aglionby jeżdżący na deskorolce i jaskrawoczerwonym mustangiem. Uderzyło ją, gdy uświadomiła sobie, że zapewne nigdy nie zaprzyjaźniłaby się z takim Noahem. Nie był okropny, jedynie *młody* w sposób, w jaki ona nigdy nie była. Nie czuła się dobrze z tą nieprzyjemną, zabłąkaną myślą.

– ...i nazwałbym to... uważaj!... O KURCZĘ. Kumas? Co byś dzisiaj zjadła? O kurczę, mam, proszę, mam ochotę na O KURCZĘ. – Noah pacnął krótki kucyk Blue tak, że uderzył ją w czubek głowy. – Mogłabyś nosić mały papierowy kapelusik! Mogłabyś być *twarzą* O KURCZĘ.

Blue w jednej chwili straciła cierpliwość i wybuchła.

– Słuchaj, Noah, przestań, bo...

Przerwał jej kraczący śmiech. Spadło kilka zeschniętych liści. Blue i Noah odchyliłi głowy.

Gwenllian, córka Glendowera, wylegiwała się na solidnych konarach ponad nimi, długie ciało oparła o pień, a nogi położyła na gładkiej gałęzi. Jak zazwyczaj stanowiła zarazem przerażający i wspaniały widok. Spiętrzone czarne włosy pełne były długopisów, kluczy i świstków papieru. Miała na sobie przynajmniej trzy sukienki i wszystkie z nich zdołały zadrzeć się aż do biodra, czy to w wyniku wspinaczki, czy celowo. Noah patrzył.

– Hej tam, martwa istota – zaintonowała Gwenllian, z jednej strony czupryny wyciągając papierosa, a z drugiej zapalniczkę.

– Od jak dawna tam siedzisz? Palisz? – spytała ostro Blue.

– Nie zabijaj mojego drzewa.

Gwenllian wypuściła obłoczek dymu o zapachu goździków.

– Mówisz jak Artemus.

– Trudno mi to potwierdzić.

Blue starała się, by w jej głosie nie słychać było żalu, jednak czuła go. Nie oczekiwała, że Artemus wypełni ziejącą w jej sercu pustkę, ale nie spodziewała się też, że po prostu zamknie się w schowku.

Córka Glendowera wydmuchnęła solidne kółko z dymu spomiędzy suchych liści, po czym odepchnęła się od pnia

i zjechała na niższą gałąź.

– Twój bojaźliwy ojciec nie jest osobą, którą łatwo poznać, niebieska lilio. Ale podobnie jest z tym stworzeniem tam na dole, prawda?

– Jaką istotą?... Noahem? Noah nie jest *stworzeniem!*

– W krzaczku ptaszek siedział sobie, siedział sobie, siedział sobie – zaśpiewała Gwenllian. Zsunęła się na tyle, by móc machać butami na wysokości wzroku Blue. – I kumpli mnóstwo miał! Całkiem żywo się czułeś, małe martwe stworzenie, pomiędzy nami dwiema, nieprawdaż? Niebieska lilia o lustrzanych zdolnościach, lilia Gwen o lustrzanych zdolnościach, a ty pośrodku przypominałeś sobie życie?

Blue z irytacją uświadomiła sobie, że Gwenllian najprawdopodobniej miała rację. Tak żywiołowy, energiczny Noah niemal na pewno był możliwy tylko dlatego, że tkwił pomiędzy psychicznymi bateriami. Równą irytację wzbudziło w niej, że kobieta zupełnie zniszczyła dobry nastrój chłopaka. Tak bardzo pochylił głowę, że zamiast twarzy widać było jedynie lok włosów na czole.

Blue podniosła spojrzenie.

– Jesteś okropna.

– Dzięki.

Gwenllian zeskoczyła na ziemię, machając rękoma, i zgasła papierosa na pniu buku. Blue poczuła, że powstały czarny ślad odbił się też na jej duszy.

Zmierzyła Gwenllian wzrokiem. Blue była bardzo niska, a kobieta wyjątkowo wysoka, lecz Blue tak bardzo chciała zmierzyć ją wzrokiem, zaś Gwenllian wyglądała, jakby bardzo chciała zostać zmierzona wzrokiem, że wspólnym wysiłkiem osiągnęły sukces.

– A co niby mam powiedzieć? – chciała wiedzieć Blue. –

Że jest martwy? Jaki sens to jątrzyć?

Gwenllian nachyliła się tak mocno, że ich nosy się zetknęły.

– Czy kiedyś rozwiązałaś zagadkę, której ci nie zadano? – wyszeptała w obłoku goździkowego zapachu.

Calla uważała, że Gwenllian zaczęła śpiewać i zadawać zagadki w wyniku pogrzebania na sześćset lat żywcem. Jednak gdy Blue spoglądała teraz w jej radośnie roziskrzzone oczy, przypominając sobie, że zakopano ją za próbę zadźgania poety Owena Glendowera na śmierć, uznała za całkiem prawdopodobne, iż kobieta zawsze taka była.

– Noaha nie da się rozwiązać – odparła Blue. – Chyba że zmusi się go do... przejścia dalej. A on tego nie chce!

Gwenllian zarechotała.

– *Chcieć i potrzebować* to dwie odmienne rzeczy, mój pieśniczku. – Trąciła Noaha w tył głowy uniesionym butem. – Pokaż jej, co ukrywasz, martwa istoto.

– Nie musisz robić niczego, co ona ci każe, Noahu – powiedziała Blue tak szybko, że od razu zorientowała się, że zarówno wierzy Gwenllian, jak i boi się prawdy o chłopaku.

Wszyscy wiedzieli, że egzystencja Noaha opierała się na kruchych podstawach, podlegała kaprysom linii mocy oraz umiejscowieniu jego fizycznych szczątków. Zwłaszcza Blue i Gansey doświadczyli osobiście tego, iż Noahowi coraz trudniej było radzić sobie z dziwacznymi realiami pozostawiania martwym. To, co dziewczyna już wiedziała o Noahu, przerażało ją. Jeśli czekało ją coś gorszego, nie była pewna, czy chciała to poznać.

Noah westchnął.

– Zasługujesz na to. Tylko że... Tak bardzo przepraszam, Blue.

Nerwy w jej wnętrzu zaczęły się przekrzykiwać.

– Nie masz za co przepraszać.

– Oj, nie – odezwał się cicho. – Mam. Nie... tylko...

w porządku.

Gwenllian odsunęła się, by mógł się podnieść. Uczynił to powoli i sztywno, odwrócony plecami do Blue. Wyprostował zgarbione zwykle ramiona, jakby szykował się do walki.

Wyczuła moment, w którym przestał pobierać od niej energię. Zupełnie jakby zrzuciła ciężki plecak na ziemię.

Obrócił się w jej stronę.

Każdego lata do Henrietty przyjeżdżało wesołe miasteczko. Ustawiało się na rozległych terenach targowych za Walmartem i przez kilka wieczorów liczyły się tam tylko zdeptana trawa, faworki oraz światełka podrygujące w mroku. Blue zawsze chciała je polubić – poszła parę razy z ludźmi ze szkoły (ich też zawsze chciała polubić) – lecz zawsze w końcu czuła się, jakby wciąż czekała, aż wydarzy się coś wielkiego. Sądząc, że potrzeba jej dreszczyku emocji, zdecydowała się na spadek z wieży. Platforma uniosła ich wszystkich – zgrzyt, zgrzyt – a później... nic. Nastąpiła jakaś awaria i nie spadli, tylko zjechali w podobny sposób, jak wcześniej się wspięli. Mimo to Blue poczuła, jakby jej żołądek spadał, jakby naprawdę się uwolniła, co było o tyle dziwne, że reszta jej ciała nie ruszyła się ani o centymetr.

Właśnie tak samo czuła się i teraz.

– Och – stwierdziła.

Ujrzała puste nieżywe oczy, odsłonięte zęby i duszę przeplecioną przez nagie kości. Martwą od lat. Nie dało się nie zauważyć stopnia rozkładu duszy, jej oddalenia od człowieczeństwa oraz od czasów, gdy napędzał ją puls.

Noah Czerny umarł.

Zostało tylko tyle.

Tak wyglądała prawda.

Ciało Blue wpadło w drgawki. Całowała to. To chude, zimne wspomnienie człowieka.

Ponieważ było jedynie energią, potrafiło odczytywać jej wspomnienia równie łatwo jak słowa. Poczwała, jak wkrada się w jej myśli, po czym wychodzi drugą stroną.

– Powiedziałem, że przepraszam – zasyczało.

Odetchnęła głęboko.

– A ja powiedziałam, że nie masz za co przepraszać.

Mówiła szczerze.

Blue nie obchodziło, że to/Noah było/był dziwne/dziwny, w stanie rozkładu i przerażające/przerażający. Wiedziała, że to/Noah było/był dziwne/dziwny, w stanie rozkładu i przerażające/przerażający, lecz wiedziała też, że mimo wszystko je/go kochała.

Przytuliła to. Jego. Noaha. Nie miało dla niej znaczenia, że już nie do końca był człowiekiem. Czymkolwiek był, zamierzała nazywać go Noahem, dopóki sam pragnął być tak nazywany. I cieszyła się, że mógł w tym momencie czytać jej myśli, ponieważ chciała, by wiedział, jak bardzo poważnie do tego podchodziła.

Jej zaciśnięte wokół niego ramiona zlodowaciały, gdy pozwoliła, by zaczerpnął od niej energii.

– Nie mów innym – poprosił.

Gdy odsunęła się, znów nałożył na swe rysy twarz chłopca.

– Musisz odejść? – spytała Blue.

Chodziło jej o to, czy „na zawsze”, ale nie potrafiła wypowiedzieć tego na głos.

– Jeszcze nie – wyszeptał.

Blue wierzchem dłoni starła łzę z twarzy, on zaś wierzchem

własnej dłoni stał łąz z jej drugiego policzka.

Jego podbródek zadrżał tak, jak to zwykle się zdarza, zanim popłyną łzy, lecz przyłożyła do niego palce i znieruchomiał.

Zmierzali w stronę końca czegoś i oboje o tym wiedzieli.

– Dobrze – odezwała się Gwenllian. – Nienawidzę kłamców i tchórzy.

Nie zwlekając, zaczęła z powrotem wchodzić na drzewo. Blue obróciła się znów do Noaha, lecz zniknął. Być może nie było go już, zanim Gwenllian przemówiła, ponieważ podobnie jak z jego pojawieniami się równie trudno było określić moment odejścia. Mózg Blue zaczął już na nowo przepisywać wszystkie sekundy otaczające jego zniknięcie.

Zawieszenie w szkole wydawało się teraz niczym zapomniany sen. Co było rzeczywiste? To.

Okno kuchenne otworzyło się ze skrzypnięciem.

– Blue! – wrzasnęła Jimi. – Twój chłopcy są od frontu. Wyglądają, jakby szykowali się do zakopania jakiegoś ciała. „Znowu?”, pomyślała Blue.

Gdy Blue wdrapała się do czarnego SUV-a Ganseya, odkryła, że Ronan umościł się już z tyłu. Miał świeżo ogoloną głowę, trzymał buty na siedzeniu i ubrany był jak do bójki. Jego obecność na tylnej kanapie zamiast jak zwykle w fotelu pasażera, sugerowała, że szykują się kłopoty. Jego miejsce zajął Adam w białej koszulce i czystych roboczych ogrodniczkach z górą spuszczoną do pasa. Gansey siedział za kierownicą w mundurku Aglionby i z rozemocjonowaną miną, która zaskoczyła Blue. Wydawał się skoncentrowany i promieniał, zupełnie jakby za jego oczyma ktoś skrzesał zapałkę. Widywała go już tak ożywionego, lecz zwykle wtedy, gdy byli sami.

– Cześć, Jane – powiedział głosem równie żywym i rozemocjonowanym jak jego oczy.

Trudno było nie dać się porwać temu Ganseyowi, jednocześnie silnemu i niepokojącemu w swoim napięciu.

„Nie gap się”... za późno. Adam przyłapał ją. Odwróciła wzrok i zajęła się podciąganiem sięgających uda skarpetek.

– No hej – odrzekła.

– Masz czas, żeby się z nami przejechać? – spytał Gansey.

– Musisz pracować? Odrobić pracę domową?

– Nie mam pracy domowej. Zostałam zawieszona – odparła Blue.

– Nie pierdol – skomentował z podziwem Ronan. – Sargent, ty dupku.

Blue niechętnie pozwoliła mu przybić sobie żółwika. Gansey w tym czasie przyglądał jej się znacząco w lusterku wstecznym.

Adam obrócił się na swym fotelu – w prawo zamiast w lewo, tak że teraz wyglądał z drugiej strony zagłówka.

Sprawił wrażenie, jakby się chował, lecz Blue wiedziała, że jedynie skierował w ich stronę zdrowe ucho zamiast głuchego.

– Za co? – zapytał.

– Za opróżnienie plecaka innego ucznia na jego samochód.

Nie mam za bardzo ochoty o tym rozmawiać.

– Ja mam – stwierdził Ronan.

– A ja nie. Nie jestem z tego dumna.

– Ja będę dumny za ciebie – uznał Ronan, klepiąc ją po nodze.

Blue skierowała na niego miażdżące spojrzenie, lecz po raz pierwszy w tym dniu poczuła, że ma w kimś oparcie. Kobiety z Fox Way 300 zdecydowanie stanowiły jej rodzinę, tam tkwiły jej korzenie i nic nie mogło tego pomniejszyć. Chodzi o to, że w tej drugiej rodzinie, zebranej w samochodzie, pojawiło się coś nowego i potężnego. Wszyscy wzrastali i opierali się na sobie niczym drzewa sięgające razem ku słońcu.

– A więc co się dzieje? – spytała.

– Jeśli możesz w to uwierzyć – odezwał się Gansey, wciąż posługując się swoim chłodnym, maksymalnie grzecznym tonem, który oznaczał ogromne zirytowanie – pierwotnie zamierzałem porozmawiać z Artemusem o Glendowerze. Ronan postanowił jednak to zmienić. Ma *inne* pomysły na spędzenie przez nas popołudnia. Chce w *ważniejszy* sposób wykorzystać nasz czas.

Ronan wychylił się do przodu.

– Powiedz mi, tato, czy wściekasz się za to, że zjechałem, czy tylko za to, że zerwałem się ze szkoły? – spytał.

– Sądzę, że jedno i drugie kwalifikuje się jako zjebanie, nieprawdaż? – odrzekł Gansey.

– Och, przestań – zripostował Ronan. – W *twoich* ustach to brzmi wyłącznie wulgarnie.

Gdy Gansey ze sporą prędkością zjeżdżał z krawężnika, Adam spojrzał porozumiewawczo na Blue. Jego mina mówiła: „Tak, już od jakiegoś czasu tak się zachowują”. Blue poczuła dziwną wdzięczność za to niewerbalne porozumienie. Po ich burzliwym zerwaniu (czy w ogóle ze sobą chodzili?) Blue pogodziła się z tym, że Adam był zbyt zraniony lub czuł się zbyt niezręcznie, aby wciąż się z nią mocno przyjaźnić. Starał się jednak. Ona również. I wyglądało na to, że im się udawało.

Tyle że zakochała się w jego najlepszym przyjacielu i nie powiedziała mu o tym.

Blue natychmiast opuścił dotychczasowy spokój, zastąpiony tym samym uczuciem, jakiego doświadczyła tuż przed wysypaniem zawartości plecaka Holtzclawa na maskę jego samochodu. Wszystkie emocje rozmyły się w biel.

Naprawdę musiała znaleźć jakiś sposób, by sobie z tym radzić.

– Gansey, stary!!!

Wszystkich zaskoczył okrzyk, który dobiegł przez otwarte okno samochodu. Zatrzymali się na światłach w pobliżu głównej bramy Aglionby. Na chodniku stała grupa uczniów trzymających tablice. Gansey z wahaniem wykonał w ich stronę salut trzema palcami, który wywołał kolejne krzyki: „Hop, hop, hop!”.

Widok wszystkich tych chłopców w mundurkach natychmiast wywołał w Blue nieprzyjemne uczucie. Było to utrzymujące się od dawna, wielogłowe wrażenie ukształtowane z opinii, doświadczenia oraz zazdrości i miała je gdzieś. Niekoniecznie uważała, że jej negatywny osąd kruczych chłopców był *niewłaściwy*. Po prostu fakt, że знаła Ganseya, Adama, Ronana i Noaha, komplikował dalsze przetwarzanie przez nią tych opinii. Znacznie łatwiej było jej wcześniej, gdy po prostu zakładała, że może pogardzać nimi wszystkimi ze swoich

moralnych wyżyn.

Blue przekrzywiła szyję, próbując dostrzec napisy na tablicach, lecz chłopcy niezbyt sprytnie kierowali je we wszystkie strony oprócz ulicy. Zastanawiała się, czy gdyby sama uczyła się w Aglionby, też trzymałaby transparent.

– Przeciwno czemu oni protestują?

– Przeciwno życiu – odparł cierpko Adam.

Uświadomiła sobie nagle, że rozpoznaje jednego z uczniów stojących na chodniku. Miał na głowie charakterystyczną kępę wystylizowanych czarnych włosów, na nogach zaś parę ekskluzywnych tenisówek, które mogłyby wyglądać drożej tylko wtedy, gdyby owinać je banknotami dolarowymi.

Henry Cheng.

Gdy widziała go ostatnim razem, wracała z sekretnej randki z Ganseyem. Nie pamiętała szczegółów, tylko to, że jego elektryczny supersamochód zepsuł się na skraju drogi, że rzucił żart, którego nie uznała za zabawny, i że przypomniał jej o wszystkim, czym Gansey różnił się od niej. Kiepskie zakończenie randki.

Henry najwyraźniej również ją zapamiętał, ponieważ uśmiechnął się do niej szeroko, po czym wskazał dwoma palcami najpierw swoje oczy, a później jej.

Jej i tak już mieszane uczucia zmieszały się jeszcze bardziej.

– Jak to się nazywa, gdy mówi się „należy”, ale nie, że „komuś się coś należy”, tylko „coś należy zrobić”? – spytała Blue, nachylając się i nie spuszczać wzroku z Chenga.

– *Czasownik niewłaściwy* – odparł Gansey. – Tak myślę.

– Zgadza się – rzekł Adam.

– Co za wyszukani pozerzy – uznał Ronan.

Trudno było stwierdzić, czy miał na myśli Ganseya

i Adama wraz z ich gramatyczną biegłością, czy też uczniów Aglionby stojących z ręcznie wypisanymi tablicami.

– Och, jasne – odparł Gansey wciąż z chłodem i irytacją. – Boże broń, by młodzi ludzie przedstawiali swoje zasady podczas bezcelowych, lecz publicznych demonstracji, gdy mogliby opuszczać zajęcia i oceniać innych uczniów z tylnego siedzenia pojazdu mechanicznego.

– Zasady? Zasady Henry’ego Chenga kręcą się wokół uzyskania większego kroju pisma w szkolnym biuletynie – powiedział Ronan, po czym kontynuował lekko obraźliwą imitacją głosu Henry’ego: – Szeryfowy? Bezseryfowy? Większe wytłuszczenie, mniej kursywy.

Blue ujrzała, że Adam jednocześnie uśmiechnął się i pospiesznie odwrócił twarz, by Gansey tego nie dostrzegł, było już jednak za późno.

– *Et tu, Brute?* – spytał Gansey Adama. – Czuję się rozczarowany.

– Nic nie mówiłem – odparł Adam.

Światło zmieniło się na zielone i SUV zaczął oddalać się od demonstrantów.

– Gansey! Gansey! Richard, stary! – dobiegł głos Henry’ego, nawet Blue go rozpoznała.

Nikt za nimi nie jechał, więc Gansey zwolnił i wychylił głowę przez okno.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Cheng?

– Masz... otwartą tylną klapę, tak sądzę.

Nonszalancka mina Henry’ego zmieniła się w skomplikowaną. Wesóły uśmiech nie zniknął do końca, lecz coś się za nim kryło. Blue znów poczuła niepewność. Wiedziała, jaki był Henry, lecz jednocześnie tego nie wiedziała.

Gansey zerknął na kontrolki na desce rozdzielczej.

– Wcale nie... Och. – Jego głos zmienił się, dopasowując do miny Henry’ego. – *Ronanie!*

– Co? – warknął Ronan.

Jego zazdrość o Henry’ego była widoczna z orbity.

– Mamy otwartą *tylną klapę*.

Za nimi zatrąbił samochód. Gansey pomachał mu w lusterku wstecznym, zasalutował Henry’emu i wcisnął gaz. Blue obejrzała się przez ramię akurat, gdy Henry obracał się z powrotem do innych uczniów, znów przywołując na twarz nieskomplikowany szeroki uśmiech, który gościł tam wcześniej.

Interesujące.

W tym samym czasie Ronan wykręcił się, by zajrzeć do przestrzeni bagażowej za tylnym siedzeniem.

– Nie wychylaj się – syknął.

Wyraźnie *nie* mówił do Blue. Zmrużyła oczy i spytała ostrożnie:

– Dokąd właściwie jedziemy?

– W swej niezmiernej mądrości – odrzekł skwapliwie Gansey – Lynch postanowił śnić, zamiast pójść do szkoły, i sprowadził więcej, niż prosił.

Spotkanie z Henrym pozostawiło szczerbę w wesołej agresywności Ronana.

– Mogłeś mi po prostu powiedzieć, żebym sam to załatwił – warknął. – Moje śnienie to wyłącznie mój interes.

– Oj, nie, Ronanie – wtrącił się Adam. – Nie chcę stawać po niczyjej stronie, ale to głównie prawda.

– Dziękuję – odparł Gansey.

– Hej, stary...

– Przestań – polecił Gansey. – Jesse Dittley nie żyje, ponieważ inni zainteresowali się twoją śniącą rodziną, więc nie udawaj, że to nie ma wpływu na innych. Owszem, przede

wszystkim ty obrywasz, ale my też znajdujemy się w polu rażenia.

Ronan zamilkł. Opadł z powrotem na siedzenie, wyglądał przez szybę i skubał zębami jedną ze swych skórzanych bransolet.

Blue usłyszała już wystarczająco wiele. Pociągnęła za pas, by dać sobie trochę miejsca na obrócenie się, po czym wystawiła brodę nad skórzaną tapicerką siedzenia, by zajrzeć do bagażnika. Nie od razu coś dostrzegła. A może dostrzegła, ale nie chciała tego przyznać, ponieważ gdy jej oczy wychwyciły już sen Ronana, nie mogła uwierzyć, że nie zauważyła od początku.

Blue była zdecydowanie odporna na szok.

Teraz jednak go poczuła.

– Czy to... Czy to jest dziecko? – chciała wiedzieć.

Obok torby, w której Gansey nosił rzeczy na siłownię, oraz jego torby kurierskiej kulila się mała istota. Miała ogromne oczy niemal zupełnie przysłonięte naciągniętą nisko czapką, podarty, wybrudzony i zdecydowanie za duży rybacki sweter oraz albo ciemnoszare nogi, albo legginsy. Coś, co znajdowało się na końcu nóg, mogło być butami albo kopytkami. Umysł Blue zaczął się zakrzywiać.

– Kiedyś nazywałem ją Sierotką – poinformował beznamiętnie Ronan.

Adam zaproponował Cableswater, więc zabrali ją właśnie tam.

Nie był jeszcze pewien, co tam zrobią, po prostu las przyszedł mu jako pierwszy do głowy. Właściwie jako drugi, lecz pierwsza myśl była tak haniebna, że natychmiast jej pożałował.

Spojrzał na dziewczynkę i uznał, że gdyby była kolejnym nocnym koszmarem, mogliby ją zabić lub gdzieś zostawić.

Po sekundzie – nie, mniej niż sekundzie, po połowie sekundy, w tej samej chwili – znienawidził się za to, że przyszło mu to na myśl. Właśnie czegoś takiego mógłby się spodziewać po synu swojego ojca. „Co, chcesz odejść? Idziesz sobie? To twoja torba? Uwierz mi, gdybym tylko mógł, sam wrzuciłbym cię do rowu. Ze wszystkiego robisz sceny”.

Nienawidził siebie, później nienawidził ojca, następnie w głowie przekazał tę myśl Cableswater, a Cableswater ją rozwiało.

Teraz znajdowali się już w samym lesie, w rzeczywistym Cableswater, w drugim pomysle Adama żałującego, że nie był pierwszym, i zabierali Sierotkę do Aurory, matki Ronana. Oto pole, które dawno temu zauważyli z powietrza, z wielkim krukiem utworzonym z muszli. Gansey nie mógł całkowicie ominąć porzrzucanych skorup, lecz uważał, by nie zawadzić samego kruka. Adam doceniał tę troskę Ganseya o wszystko, co powierzano jego pieczy.

Samochód zatrzymał się. Gansey, Blue i Adam wysiedli. Ronan i jego dziwna dziewczynka zostali. Wyglądało na to, że toczyły się jakieś negocjacje.

Czekali.

Szare chmury wisiały nisko, ocierając się o szczyty wyrastające ponad brązowo-czerwono-czarnymi drzewami Cableswater. Z miejsca, w którym stali, niemal można było wyobrazić sobie, że są w zwykłym lesie w zwykłych wirginijskich górach. Jeśli jednak przyglądać się Cableswater wystarczająco długo przymrużonymi oczyma w odpowiedni sposób, dostrzegało się tajemnice przemykające między drzewami. Cienie rogatych zwierząt, choć one same nigdy się nie pojawiały. Migoczące świetliki z przyszłego lata. Szmer wywołany przez liczne skrzydła albo wielkie stado wiecznie pozostające poza zasięgiem wzroku.

Magia.

Tak blisko lasu Adam czuł się bardzo... Adamowo. W głowie tłoczyło mu się od zwykłego wrażenia góry od ogrodniczek zwiniętej na plecach i zwykłych myśli o egzaminie z literatury następnego dnia. Wydawało się, że gdy znajdował się w pobliżu Cableswater, powinien stawać się bardziej obcy, bardziej odmienny, lecz tak naprawdę osadzał się jedynie bardziej w rzeczywistości. Gdy mógł unieść dłoń i dotknąć lasu, nie musiał błędzić umysłem, by się z nim porozumieć.

To dziwne, że wtedy, przed miesiącami, nie przeczuwał, czym to miejsce się dla niego stanie. A może jednak wcale nie dziwne? W tak wiele rzeczy związanych z magią, czy ogólnie z potęgą, należało uwierzyć, by je zaakceptować.

Gansey odebrał telefon. Adam się wysikał. Ronan pozostał w SUV-ie.

Adam dołączył do Blue po drugiej stronie samochodu. Z trudem powstrzymywał się przed spoglądaniem na jej piersi lub wargi. Nie byli już ze sobą, jeśli można powiedzieć, że kiedykolwiek byli, ale zerwanie i świadomość, że było ono dobre dla nich obojga, nie pomniejszało estetycznego aspektu jej

ciała. Odkąd ją poznał, jej włosy stały się mniej uporządkowane, mniej okiełznane wszystkimi tymi spinkami, usta mniej grzeczne, bardziej pożądające zakazanych pocałunków, a postawa bardziej stanowcza, podkreślona smutkiem i niebezpieczeństwem.

– Sądzę, że musimy porozmawiać – powiedziała.

Nie dokończyła zdania, lecz jej wzrok spoczął na Ganseyu. Zastanawiał się, czy wiedziała, jak przejrzyste było jej spojrzenie. Czy kiedykolwiek tak pożądliwie patrzyła na niego?

– Zgadza się – odparł.

Zbyt późno uświadomił sobie, że zapewne chodziło jej o poszukiwania Glendowera, by poprosić go o przysługę, a nie o przyznanie się do sekretnego związku z Ganseyem. Cóż, o tym też musieli porozmawiać.

– Kiedy?

– Zadzwoń do ciebie wieczorem. Moment... Pracuję. Jutro po szkole.

Skinęli głowami. Zawarli umowę.

Gansey wciąż rozmawiał przez telefon.

– Nie, nie będzie ruchu, chyba że to wieczór z bingo.

Autobus kursujący wahadłowo? Ilu osób się spodziewasz? Nie sądzę... Och. Zdecydowanie można by wykorzystać autobus wycieczkowy.

– Kerah!!!

Blue i Gansey wzdrygnęli się gwałtownie, słysząc dziki wrzask. Rozpoznawszy imię, jakim Piła określała Ronana, Adam zaczął przepatrywać niebo.

– Jezu – warknął Ronan. – Przestań być niemożliwa.

Ponieważ to nie Piła krzyczała, lecz zabiedzona Sierotka. Zwinęła się w niemożliwie mały kłębek na bezbarwnej trawie obok SUV-a, wyglądając jak kupka ubrań. Kołysała się i nie

chciała wstać. Gdy Ronan wysyczał do niej coś innego, znów wrzasnęła mu w twarz, nie głosem dziecka, lecz dziwnego stworzenia.

Adam widział już wiele urzeczywistnionych snów Ronana i wiedział, jak dzikie, cudowne, przerażające oraz kapryśne potrafiły być. Ta dziewczynka była jednak najbardziej *Ronanowa* ze wszystkiego, z czym się zetknął. Cóż za straszliwy potwór.

– To apokalipsa. Wyślij mi esemesa, gdy tylko wymyślisz coś jeszcze. – Gansey się rozłączył. – Co się z nią dzieje? – spytał tonem pełnym wahania, jakby nie był pewien, czy rzeczywiście coś się z nią działo, czy też po prostu taka była.

– Nie chce wejść do środka – odparł Ronan.

Bez wahania pochylił się, podniósł dziewczynkę i zaczął iść w kierunku skraju lasu. Teraz, gdy jej pajęczne nogi zwisały mu przez rękę, wyraźnie było widać, że kończyły się drobnymi kopytkami.

Po drugiej stronie Adama Blue przyłożyła palce do ust, po czym znowu je opuściła.

– Och, Ronanie! – powiedziała bardzo cicho, lecz takim tonem, jakim można by szepnąć: „O rany!”

Ponieważ to wszystko wydawało się niemożliwe. Wyśniona istota była dziewczynką, a jednak nią nie była, była sierotą, nie istnieli rodzice. Adam nie mógł tak naprawdę osądzać Ronana za to, że śnił z takim rozmachem, ponieważ on sam również miał do czynienia z magią, której do końca nie rozumiał. Obecnie wszyscy z nich wystawiali ręce ku niebu, licząc na przelot komety. Jedyna różnica polegała na tym, że szalony i coraz większy wszechświat Ronana Lyncha istniał w jego głowie.

– *Excelsior* – powiedział Gansey.

Weszli za Ronanem.

Cabeswater pomrukiwało, głosy syczały ze starych jesiennych drzew i znikwały w starych omszałych głązach. Las oznaczał coś innego dla nich wszystkich. Adam, jego opiekun, zobowiązał się, że będzie jego rękoma i oczyma. Zdolność wzmacniania Blue była z nim jakoś powiązana. Ronan, Greywaren, trafił tu na długo przed pozostałymi, na tyle wcześniej, by podpisać się na kamieniach. A Gansey... Gansey po prostu go kochał – ze strachem, podziwem i uwielbieniem.

Ponad ich głowami drzewa szeptały w tajemnym języku i po łacinie, a później w łamanej wersji obu języków, z dorzuconymi angielskimi słowami. Gdy nastolatki je znaleźli, nie mówiły po angielsku, lecz szybko się uczyły. Bardzo szybko. Adam nie mógł się powstrzymać przed myślą, że za tą językową ewolucją krył się jakiś sekret. Czy nastolatki naprawdę byli pierwszymi anglojęzycznymi osobami, które się tu znalazły? Jeśli nie, to dlaczego drzewa dukały po angielsku dopiero *teraz*? Dlaczego posługiwały się łaciną?

Adam niemal dostrzegał prawdę kryjącą się za łamigłówką. – *Salve* – odezwał się do drzew wiecznie uprzejmy Gansey. Blue podniosła rękę, by dotknąć gałęzi. Nie potrzebowała słów, by się przywitać.

„Witajcie”, zaszemrały w odpowiedzi drzewa. Liście otarły się o opuszki palców Blue.

– Adamie? – odezwał się Gansey.

– Dajcie mi chwilę.

Czekali, aż Adam się dostroi. Ponieważ na linii mocy czas i przestrzeń stanowiły kwestię umowną, istniała realna możliwość, że opuszczą las w innym miejscu lub czasie, niż do

niego weszli. Z początku to zjawisko wydawało się kapryśne, lecz stopniowo, gdy Adam coraz lepiej dopasowywał się do linii, zaczął uświadamiać sobie, że całym procesem rządziły zasady, tyle że nie liniowe, które brali za oczywistość w zwykłym świecie. Podobnie jak z oddychaniem: można wstrzymać oddech, można oddychać szybciej lub wolniej, można dopasować tempo oddechów do kogoś stojącego obok. Przemieszczanie się przez Cableswater w przewidywalny sposób wiązało się z koniecznością zharmonizowania z bieżącym wzorcem oddechu. Należało podążać wraz z nim, nie wbrew niemu, jeśli chciało się wrócić do czasu i miejsca, które się pozostawiło.

Adam zamknął oczy i pozwolił, by linia mocy na kilka uderzeń zawładnęła jego sercem. Wiedział już, w jakim kierunku biegła im pod stopami, i czuł, w jaki sposób przecina się z kolejną linią wiele kilometrów na lewo oraz z dwiema innymi jeszcze dalej na prawo. Odchylił głowę, sięgnął ku gwiazdom i *wyczuł* swoje położenie w odniesieniu do nich. W jego wnętrzu Cableswater rozwijało ostrożnie pędy, sprawdzając jego nastrój. Nigdy teraz nie przekraczało granic, nie licząc nagłych sytuacji, i wykorzystywało jego umysł oraz oczy, by przepatrywać teren przed nim. Wkopywało się, by odnajdywać wodę i skały ułatwiające dalszą orientację.

Adam ćwiczył wiele rzeczy i dzięki temu był w nich dobry, lecz to... Jak to się w ogóle nazywało? Wieszczenie, wyczuwanie, magia, magia, magia. Nie tylko był w tym dobry, lecz również tego pragnął, kochał to w sposób, który niemal przepełniał go wdzięcznością. Wcześniej nie wiedział, że potrafi prawdziwie kochać. Wraz z Ganseyem klócili się kiedyś o to. Gansey powiedział z niesmakiem: „Przestań mówić, że to przywilej. Miłość nie jest przywilejem”. Gansey zawsze jednak

kochał, zawsze był zdolny do miłości. Teraz, gdy Adam również odkrył w sobie to uczucie, był bardziej niż kiedykolwiek pewny, że postępuje słusznie. Podstawą Adama, jego pulsem, była *potrzeba*. Natomiast *miłość* stanowiła przywilej. Adam stał się uprzywilejowany i nie chciał z tego rezygnować. Chciał wciąż pamiętać, jakie to wrażenie.

Gdy Adam już w pełni otworzył swe zmysły, Cableswater próbowało niezdarnie porozumiewać się ze swym ludzkim magiem. Wzięło jego wspomnienia i wywróciło na nice, wykorzystując je na nowo w hieroglificznym języku snów: grzyb na drzewie, Blue niemal potykająca się w pośpiechu, by przed nim uciec, strup na nadgarstku, specyficzny skrawek skóry, który, Adam dobrze to wiedział, był zmarszczonym obszarem pomiędzy brwiami Ronana, wąż znikający pod błotnistą powierzchnią jeziora, kciuk Ganseya na jego dolnej wardze, uchylony dziób Piły z robakiem wychodzącym ze środka, zamiast w nim znikać.

– Adamie? – spytała Blue.

Wycofał się z myśli.

– Tak, jestem gotów.

Ruszyli. Trudno było stwierdzić, ile czasu zajmie im dojście do miejsca, w którym mieszkała matka Ronana. Czasami nie trwało to nawet chwili, a czasami całe wieki, na co Ronan gorzko narzekał, niosąc Sierotkę. Próbował ją przekonać, by znów szła sama, lecz natychmiast zwinęła się w bezładną kupkę na leśnej ściółce. Nie trudził się próbami negocjacji, lecz po prostu z rozzłoszczoną miną podniósł ją z powrotem.

Niesiona przez Ronana i potrząsana przez niego na każdym kroku Sierotka odgadła chyba, że przegina, ponieważ wydała z siebie krótki trel, akompaniując sobie do taktu wierzgnięciami kopytek. Po sekundzie niewidoczny ptak odpowiedział innym

trelem rozbrzmiewającym przepięknie trzy tony powyżej jej dźwięku. Dziewczynka zaśpiewała następnie o ton wyżej niż poprzednio, zaś inny niewidoczny ptak znów powtórzył to samo, tylko trzy dźwięki wyżej. Trzeci trel, trzeci ptak. I tak dalej, tam i z powrotem, dopóki wszędzie wokół nastolatków nie rozbrzmiewała pieśń, synkopowana melodia złożona z dziecięcego głosu i ukrytych ptaków, które mogły naprawdę istnieć, a mogły nie.

Ronan zmierzył Sierotkę wzrokiem, lecz było oczywiste, co tak naprawdę oznaczał ten grymas. Owszem, otaczał ją ramionami, jednak w ten sposób ją chronił.

Adam dostrzegał, jak dobrze się znali. Dziewczynka nie była przypadkową istotą zabraną z niespokojnego snu. Mieli wykształcone, rodzinne zwyczaje. Wiedziała, jak nawigować po wodach wzburzonych nastrojów Lyncha, on zaś wydawał się wiedzieć, do jakiego stopnia gburowatości może się z nią posunąć. Przyjaźnili się, choć nawet wyśnieni przyjaciele Ronana nie byli łatwi we współżyciu.

Sierotka wciąż wydobywała z siebie swą część melodii i było oczywiste, że dziwaczna piosenka działała nie tylko na Ronana, ale też na Ganseya. Najwyraźniej usunął już z myśli kłótnię z samochodu. Uniósł ręce nad głowę i poruszał nimi do taktu niczym dyrygent, sięgając po opadające jesienne liście, gdy akurat szybowały blisko. Każdy martwy zwitek, który zdołał musnąć opuszkami, przemieniał się w płynącą w powietrzu złotą rybkę. Cableswater uważnie słuchało jego zamiarów i coraz więcej liści wirowało ku niemu, czekając na jego dotyk. Wkrótce otaczała ich już cała ławica rybek, które przemykały, pobłyskiwały i zmieniały kolory, gdy ich łuski odbijały światło.

– Z tobą to nic, tylko zawsze ryby – stwierdziła Blue, lecz śmiała się, gdy łaskotały ją w szyję i dłonie.

Gansey zerknął na nią i odwrócił wzrok, sięgając po kolejny liść, by wciągnąć go na służbę. Pomiedzy nimi połykiwała radość. Jakże czysto i nieskomplikowanie Blue i Gansey kochali magię tego miejsca.

Łatwo im było zachować taką pogodę ducha.

Cabeswater delikatnie sondowało myśli Adama, przywołując miłe wspomnienia z ostatniego roku. Cóż, *musiały* pochodzić tylko z poprzedniego roku, ponieważ nawet las miałby kłopoty z odnalezieniem czegoś miłego z czasów przed Ganseyem i Ronanem. Gdy Adam wciąż się opierał, przez jego umysł przemknęły obrazy jego samego postrzeganego przez innych. Powściągliwy uśmiech, zaskoczony śmiech, palce wyciągające się ku słońcu. Cabeswater nie do końca rozumiało ludzi, lecz się uczyło. Szczęście, nalegało. Szczęście.

Adam ustąpił. Gdy tak szli z Sierotką ciągnącą swą piosenkę i rybkami tańczącymi w powietrzu wokół nich, dorzucił coś od siebie.

Głośność powstałego huku zaskoczyła nawet jego, usłyszał go w jednym uchu i odczuł w obydwu stopach. Pozostali wzdrygnęli się, gdy kolejny basowy odgłos rozbrzmiał na początku kolejnego taktu melodii. Gdy rozległo się trzecie dudnienie, już wyraźnie akompaniowało muzyce. Każde z mijanych przez nich drzew wydawało z siebie przetworzony rumor, dopóki nie otaczał ich pulsujący elektroniczny rytm, wiecznie obecny w samochodzie lub słuchawkach Ronana.

– O Boże – westchnął Gansey, lecz zaraz się roześmiał. – Czy tutaj też musimy to znosić? *Ronanie!*

– To nie ja – odrzekł Ronan.

Spojrzał na Blue, która wzruszyła ramionami. Spotkał wzrok Adama. Gdy kącik ust Parrisha zadrżał lekko, twarz Ronana znieruchomiała na chwilę, po czym wykwitł na niej

swobodny uśmiech, który zwykle rezerwował dla wariactw Matthew. Adam poczuł zarówno zadowolenie, jak i nerwy. Szedł po krawędzi. Skłonienie Ronana Lyncha do uśmiechu wydawało się równie ryzykowne jak zawarcie układu z Cabeswater. Z takimi siłami nie należało igrać.

Sierotka nagle ucichła. Adam z początku pomyślał, że w jakiś sposób wyczuła jego nastrój, lecz nie: dotarli do różanej doliny.

Aurora Lynch mieszkała na polanie z trzech stron otoczonej różami bujnie rosnącymi na krzakach, pnączach i drzewach. Kwiaty pokrywały ziemię i spływały po czwartej ścianie – pionowej skale stanowiącej zakończenie górskiego zbocza. Powietrze przenikały promienie słońca, niczym światło widziane przez wodę, a płatki dryfowały, jakby pływały. Wszystko miało kolor poczerwieniałego rózu, miękkiej bieli albo jaskrawej żółci.

Całe Cabeswater było snem, lecz różana dolina stanowiła sen wewnątrz snu.

– Może dziewczynka zapewni Aurorze towarzystwo – stwierdził Gansey, obserwując, jak ostatnie z jego rybek wypływają z polany.

– Nie przypuszczam, by można było po prostu dać komuś dziecko i oczekiwać radosnej reakcji – zripostowała Blue. – To nie kot.

Gansey otworzył usta i Adam widział, że szykuje w nich odpowiedź zahaczającą o obraźliwą. Złapał wzrok Ganseya. Gansey zamknął usta. Chwila przeminęła.

Gansey miał jednak trochę słuszności. Aurora została stworzona, by kochać, i czyniła to w sposób pasujący do obiektu jej uczuć. Przytulała więc swego najmłodszego syna Matthew, pytała Ganseya o najslawniejszych ludzi w historii, przynosiła Blue dziwne kwiaty, które znalazła podczas spacerów,

i pozwalala Ronanowi pokazywać sobie, co wyśnił lub stworzył w minionym tygodniu. Adamowi zadawała za to pytania w stylu: „Skąd wiesz, że postrzegasz kolor żółty tak samo jak ja?”. A później słuchała uważnie, gdy wyjaśniał. Czasami próbował ją skłonić, by sama do czegoś doszła, ale nie zależało jej zbyt na samym procesie myślenia, raczej na wysłuchiowaniu tego, co myślą inni, gdy są szczęśliwi.

Wiedzieli już zatem, że pokocha Sierotkę. Zupełnie inną kwestią było to, czy słusznie jest dać Aurorze nowy obiekt miłości.

– Mamo, jesteś? – Ronan miał inny głos, gdy mówił do matki albo Matthew, brak w nim było wyreżyserowania.

Nie, brak w nim było zasłony.

Ten ton przypominał Adamowi o wcześniejszym nieosłoniętym uśmiechu. „Nie zabawiaj się – powiedział sobie. – To nie gra”.

Ale skoro był szczery, to chyba nie była gra. Adrenalina szeptała mu w sercu.

Pojawiła się Aurora Lynch.

Nie wyszła z części mieszkalnej ani ze ścieżki, którą dotarli. Zamiast tego wyłoniła się ze ściany róż opadających po skale. Było niemożliwością, aby kobieta przeszła przez kamień i kwiaty, ale i tak to uczyniła. Złote włosy zwisały kaskadą wokół jej głowy, pełne różanych pąków i przeplecione perłami. Przez krótką chwilę wydawała się jednocześnie różami i kobietą, a później stała się w pełni Aurorą. Cabelwater zachowywało się w odmienny sposób wobec Aurory Lynch niż reszty z nich. W końcu oni byli ludźmi, ona zaś istotą ze snu. Oni tu wypoczywali. Dla niej to było jej miejsce.

– Ronanie – rzekła ze szczerą radością, jak zawsze zresztą.
– Gdzie mój Matthew?

– Gra w lacrosse czy jakieś inne gówno – odparł Ronan. –
Coś, przy czym się mocno poci.

– A Declan? – spytała.

Chwila milczenia, zaledwie o jeden oddech zbyt długa.

– Pracuje – skłamał Ronan.

Wszyscy obecni spojrzeli na niego.

– No trudno. Zawsze był taki pilny – stwierdziła Aurora.
Pomachała Adamowi, Blue oraz Ganseyowi. Adam, Blue oraz
Gansey odmachali z powrotem. – Ganseyu, znalazłeś już tego
króla?

– Jeszcze nie – odparł Gansey.

– No trudno – powtórzyła Aurora. Przytuliła Ronana za
szyję, przyciskając błądy policzek do jego błądego policzka,
zupełnie jakby zamiast dziwnej małej dziewczynki trzymał torbę
z zakupami. – Co mi przyniosłeś tym razem?

Ronan bez ogródek postawił Sierotkę na ziemi. Skuliła się
przy jego nogach, cała okryta swetrem.

– Chcę iść! – zakwiliła lekko akcentowanym angielskim.

– A ja chcę znów czuć prawą rękę – warknął Ronan.

– *Amabo te*, Greywaren – rzekła.

„Proszę, Greywarenie”.

– Oj, wstań już.

Wziął ją za rękę i podniosła się wyprężona obok niego,
rozstawiwszy brązowe kopytka.

Aurora przyklękła, by spojrzeć Sierotce w oczy.

– Jakaś ty piękna!

Dziewczynka nie spoglądała na Aurorę. W ogóle się nie
poruszała.

– Oto śliczny kwiat koloru twoich oczu. Czy chciałabyś go
potrzymać?

Aurora podała jej na dłoni różę, która rzeczywiście miała

barwę oczu dziewczynki – przygaszony, burzowy odcień niebieskiego. Róże nie miały takich kolorów, przynajmniej do teraz.

Sierotka nawet nie obróciła głowy w kierunku kwiatu. Zamiast tego skupiała wzrok na jakimś punkcie tuż za głową Adama, a na jej twarzy widniała pustka lub znudzenie. Adam poczuł, że zaczyna rozumieć. W minie dziewczynki nie było śladu rozdrażnienia ani gniewu. Nie wpadała we wściekłość.

Adam był tam, kulił się przy szafkach kuchennych, spoglądał na lampę po drugiej stronie pomieszczenia, a ojciec pryskał mu śliną do ucha. Umiał rozpoznać taki strach.

Nie potrafił zmusić się, by na nią patrzeć.

Gdy Adam uniósł wzrok ku opustoszałym jesiennym gałęziom, Ronan i jego matka rozmawiali przyciszonymi głosami. Trudno było w to uwierzyć, ale Ganseyowi zabrzączał telefon. Wyciągnął go, by na niego spojrzeć. Cableswater napierało na Adama. Blue układała sobie wzdłuż ramienia różane płatki. Wielkie drzewa za polaną wciąż szeptały do nich po łacinie.

– Nie, mamó – oznajmił niecierpliwie Ronan. Ten nowy ton przykuł od razu uwagę wszystkich. – Nie stało się tak jak wcześniej. To był wypadek.

Aurora zrobiła łagodną, wyrozumiałą minę, co wyraźnie rozwścieczyło jej środkowego syna.

– Naprawdę – nalegał, choć nic nie powiedziała. – To był koszmar i pojawiło się w nim coś innego.

– W jaki sposób innego? – wtrąciła się Blue.

– Coś się tam spier... popsuło. Było tam coś czarnego, co wydawało się dziwne. – Ronan zmierzył drzewa wzrokiem, jakby mogły podsunąć mu odpowiednie słowa, po czym wreszcie uzupełnił: – Zbutwiałe.

Wszyscy odczuli to słowo. Blue i Gansey popatrzyli po sobie, jakby nagle wrócił wątek z poprzedniej rozmowy. Adam przypomniał sobie niespokojne obrazy, jakie Cableswater pokazywało mu, gdy pierwszy raz wszedł do lasu. Pogodna twarz Aurory spochmurniała.

– Myślę, że powinnam wam wszystkim coś pokazać – rzekła.

Ku sporej irytacji Ganseya telefon miał zasięg.

Zwykle coś w Cableswater zakłócało sygnał komórkowy, lecz dziś, gdy chłopak najpierw szedł w górę zbocza, a później schodził, aparat wibrował nadchodzącymi esemesami na temat ekskluzywnej zbiórki dobroczynnej w Aglionby.

Wiadomości od jego matki wyglądały jak rządowe dokumenty:

Dyrektor Child zgadza się, że harmonogram będzie napięty, ale na szczęście moja ekipa ma już odpowiednie doświadczenie, aby szybko wszystko zorganizować. Tak wspaniale będzie zrobić to z Tobą i ze szkołą.

Z kolei wiadomości od ojca były pogodne, jak od faceta do faceta:

Nie chodzi o pieniądze, a po prostu o imprezę. Nie nazywaj jej zbiórką charytatywną, tylko świetną zabawą.

Jego siostra Helen wtrąciła się z istotnymi szczegółami:

Powiedz mi tylko, do jakich publicznych sprośności na temat Twoich kolegów z klasy może dokopać się prasa, żebym już mogła zacząć naprawiać sytuację.

Gansey bez przerwy spodziewał się, że zaraz zniknie mu sygnał, lecz ten utrzymywał się silny. Dzięki temu chłopak jednocześnie odbierał esemesa o stanie miejsc hotelowych w Henriecie dla gości spoza miasta i obserwował magiczne drzewo, z którego sączył się jakiś czarny płyn wyglądający na toksyczny.

„Greywarenie – wyszeptał głos z odległych gałęzi. – Greywarenie”.

Płyn skraplał się na korze niczym pot, zbierając się w powolnych i lepkich kaskadach. Przyglądali się temu wszyscy

poza dziwną dziewczynką, która przycisnęła twarz do boku Ronana. Gansey nie obwiniał jej. Dość trudno było spoglądać bezpośrednio na drzewo. Nie zastanawiał się, jak niewiele rzeczy w naturze było czysto czarnych, dopóki nie ujrzał smolistej żywicy. Absolutny mrok bulgoczący na pniu wyglądał na trujący lub sztuczny.

Ganseyowi znów zabrzączał telefon.

– Gansey, stary, czy to chore drzewo nie przeszkadza ci w cyfrowych rozrywkach? – spytał Ronan.

Prawdę mówiąc, cyfrowe rozrywki przeszkadzały Ganseyowi w obserwacji chorego drzewa. Cableswater było dla niego schronieniem. Esemesy wydawały się nie na miejscu w obliczu ciemności sączącej się z pnia. Wyłączył telefon.

– Czy tylko jedno tak wygląda? – spytał.

– Natknęłam się na nie podczas spaceru – odparła Aurora.

Miała spokojną minę, lecz wciąż przejeżdżała dłonią po włosach.

– To krzywdzi drzewo – stwierdziła Blue, odchylając głowę, by przyjrzeć się więdnącemu listowiu.

Mroczna roślina stanowiła przeciwieństwo Cableswater. Im więcej czasu Gansey spędzał w magicznym lesie, tym bardziej się nim zachwycał. Im dłużej spoglądał na czarną żywicę, tym bardziej go niepokoiła.

– Czy coś robi? – spytał.

Aurora przechyliła głowę.

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem – odrzekł. – Nie wiem, co miałem na myśli. Czy to po prostu paskudna choroba, czy też coś magicznego?

Aurora wzruszyła ramionami. Rozwiązywanie problemów polegało w jej wykonaniu na odnalezieniu kogoś, kto rozwiąże

problem. Gdy Gansey zaczął okrążyć drzewo, starając się wyglądać na choć trochę użytecznego, ujrzał, że Adam klęczał przed kopytną dziewczynką. Wciąż patrzyła przez niego, gdy rozpinał swój tani zegarek. Postukał ją lekko w grzbiet dłoni, by zarejestrowała, że podawał jej czasomierz. Gansey spodziewał się, że go zignoruje albo odrzuci podarunek, zupełnie jak różę od Aurory, ale Sierotka przyjęła prezent bez wahania. Z ogromnym skupieniem zaczęła go nakręcać, zaś Adam klęczał jeszcze przed nią przez chwilę, marszcząc brwi.

Gansey dołączył do Ronana tuż przy drzewie. Z tak bliska mrok *brzęczał* brakiem dźwięku. Ronan powiedział do rośliny coś po łacinie. Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi.

– Wygląda na to, że nie posiada głosu – odezwała się Aurora. – Wydaje się to bardzo dziwne. Zauważyłam, że wciąż do niego wracam, choć nie mam ochoty.

– Kojarzy mi się z Noahem – stwierdziła Blue. – Butwieje.

Gdy Gansey usłyszał rozbrzmiewającą w jej głosie silną melancholię, poczuł, ile wspólnie tracili, utrzymując swój związek w sekrecie. Blue promieniowała energią psychiczną dla innych, lecz sama odzyskiwała ją dzięki dotykowi. Zawsze przytulała się do matki, trzymała Noaha za dłoń, brała Adama pod rękę lub kładła buty na nogach Ronana, gdy siedzieli na kanapie. Dotykała karku Ganseya w miejscu pomiędzy włosami a kołnierzykiem. Troska w jej głosie aż domagała się splecionych palców, obejmowanych ramion, przyciśniętych do siebie policzków.

Ponieważ jednak Gansey był zbyt tchórzliwy, by powiedzieć Adamowi, że się w niej zakochał, musiała trwać pozostawiona sama własnemu smutkowi.

Aurora wzięła Blue za rękę.

Zalał go wstyd równie czarny jak żywica chorego drzewa.

„Czy naprawdę w taki sposób chcesz spędzić resztę życia?”.

Uwagę Ganseya przykuł nagły ruch pomiędzy pniami.

– Och – stwierdziła Blue.

Trzy postacie. Znajome. Niemożliwe.

Trzy kobiety noszące twarze Blue – poniekąd. Nie tyle była to twarz Blue, ile raczej sposób, w jaki ktoś mógłby ją *zapamiętać*. Być może różnica nie wydawałaby się tak oczywista, gdyby sama Blue nie była tam obecna. Ona stanowiła rzeczywistość, tamte – sen.

Zbliżyły się również jak we śnie. Czy szły? Gansey nie pamiętał, choć to obserwował. Były coraz bliżej, to wszystko, co wiedział. Po bokach twarzy trzymały dłonie – czerwone.

– Ustąpcie drogi – oznajmiły wspólnie.

Ronan przemknął wzrokiem ku Ganseyowi.

– Ustąpcie drogi Królowi Kruków – odezwały się znów razem.

Sierotka zaczęła płakać.

– Czy Cabeswater próbuje nam coś powiedzieć? – spytał cicho Gansey.

Były bliżej. Rzucały czarne cienie, a paprocie na ich drodze umierały.

– To koszmar – rzekł Adam. Prawą dłonią trzymał się za nadgarstek lewej, kciukiem sprawdzając puls. – Mój. Nie zamierzałem o nich myśleć. Cabeswater, zabierz ich.

Cienie sięgały do czerni na drzewie, świadcząc o ich rodowodzie. Żywica zaczęła wypływać trochę szybciej, a gałąź powyżej nich zatrzeszczała.

– Ustąpcie drogi – mówiły.

– Zabierzcie je – zaskomlała Sierotka.

– Cabeswater, *dissolvere* – polecił Ronan.

Aurora przeszła przed niego, jakby chciała chronić syna. Nie było już w niej nic nieokreślonego.

Trzy kobiety znalazły się jeszcze bliżej, a Gansey znów nie dostrzegł, w jaki sposób tego dokonały. Wcześniej były daleko, teraz blisko. Wyczuwał zgniliznę. Nie słodką woń zbutwiałych roślin czy zepsutej żywności, lecz piżmowy, cielesny koszmar.

Blue odsunęła się od nich gwałtownie. Gansey pomyślał, że to ze strachu, lecz chciała jedynie do niego podbiec. Złapała go za rękę.

– Tak – powiedział Adam, od razu domyślając się, o co jej chodziło. – Ganseyu, *powiedz to*.

Powiedz to. Chcieli, aby kazał kobietom odejść. Aby *naprawdę* to powiedział. W kościanej jaskini Gansey rozkazał kościom, aby się przebudziły, i zrobiły to. Skorzystał z energii Blue oraz z własnej intencji, aby wypowiedzieć polecenie, które musiało zostać wysłuchane. Gansey nie rozumiał jednak, dlaczego to zadziałało, nie rozumiał, dlaczego to musiał być *on*, nie wiedział, w jaki sposób Adam, Ronan albo Blue opanowali swe magiczne zdolności, ponieważ on wyraźnie nie potrafił.

– Ustąpcie drogi Królowi Kruków – powtórzyły kobiety.

I nagle znalazły się przed Ganseyem. Trzy fałszywe Blue stały przed Blue i Ganseyem.

Ku osłupieniu chłopaka Blue wolną dłonią wyciągnęła nóż techniczny. Nie miał wątpliwości, że była gotowa go użyć, w końcu już raz cięła nim Adama. Wątpił jednak, czy na wiele by się to zdało wobec trzech koszmarów.

Gansey spojrzał w ich czarne oczy. Wlał w głos całą pewność siebie i powiedział:

– Cableswater, niech stanie się bezpiecznie.

Trzy kobiety rozlały się deszczem.

Krople spadły na ubranie Blue i na jego ręce, po czym

woda wsiąknęła w ziemię. Blue westchnęła cicho, lecz znacząco, i pozwoliła, by oklapły jej ramiona.

Słowa Ganseya znów zadziały, a on wciąż nie wiedział, dlaczego użył tej zdolności ani w jaki sposób tego dokonał. Glendower mocą swego głosu kontrolował pogodę i rozmawiał z ptakami. Chłopak trzymał się teorii, że gdy jego król zostanie już odnaleziony i przebudzony, wyjaśni Ganseyowi te wszystkie zawiłości.

– Przepraszam – odezwał się Adam. – To było głupie z mojej strony, nie zachowałem ostrożności. A to drzewo jest... Sądzę, że je wzmocniłem.

– Ja też mogłam je wzmocnić – przyznała Blue. Wpatrywała się w mokre ramiona Ganseya i miała tak zrozpaczoną minę, że chłopak zerknął na swój sweter, by upewnić się, że rozprysk nie wyżarł dziur w tkaninie. – Czy moglibyśmy... Możemy już stąd pójść?

– Uważam, że tak będzie rozsądnie – poradziła Aurora.

Nie wyglądała na szczególnie zatroskaną, jedynie na pragmatyczną, a Gansey pomyślał, że być może dla snu koszmar stanowił jedynie coś nieprzyjemnie znajomego, a nie niezwykłego.

– Powinnaś trzymać się z dala od tego – powiedział Ronan matce.

– Samo mnie znajduje – odparła.

– *Operae pretium est* – oznajmiła Sierotka.

– Nie wygłupiaj się – odezwał się do niej Ronan. – Nie jesteśmy już we śnie. Mów po angielsku.

Nie przetłumaczyła jednak, a Aurora wyciągnęła rękę, by poklepać ją po ukrytej pod czapką głowie.

– Będzie moją małą pomocnicą. Chodźcie, wyprowadzę was.

Wrócili na skraj lasu. Aurora przeszła z nimi aż do SUV-a. Stał poza granicą drzew, ale kobieta nie zasypiała od razu po opuszczeniu Caveswater. W przeciwieństwie do istot wyśnionych przez Kavinsky'ego, które zapadły w sen natychmiast po jego śmierci, żona Nialla Lyncha zawsze potrafiła samodzielnie podtrzymać przez jakiś czas swoje istnienie. Po jego zabójstwie zachowała przytomność przez trzy dni. Raz nie spała przez godzinę poza Caveswater. Ostatecznie jednak kończyło się tym, że sen potrzebował śniącego.

Zatem Aurora odprowadzała ich do samochodu, poza lasem wyglądając bardziej jak ze snu, niczym wizja, która zabłądziła w rzeczywistość, odziana w kwiaty i światło.

– Przekaż Matthew wyrazy mojej miłości – powiedziała, przytulając Ronana. – Tak miło było zobaczyć was znowu.

– Zostań z nią – polecił Ronan Sierotce, która zakłęła w jego stronę. – Uważaj na słowa przy mojej matce.

Dziewczynka powiedziała coś jeszcze, szybko i uroczo.

– Nie potrafię tego zrozumieć, gdy nie śpię – warknął. – Musisz używać angielskiego lub łaciny. Chciałaś wyjść, no to wyszłaś. Sytuacja uległa zmianie.

Jego ton zwrócił uwagę Aurory i Adama.

– Nie smuć się, Ronanie – rzekła kobieta.

Odwrócił wzrok od reszty, lecz po spiętych ramionach widać było, że był wściekły.

Zatoczyła krąg, trzymając wyciągnięte ręce.

– Będzie padać – oznajmiła, po czym opadła łagodnie na kolana.

Ronan, nieruchomy, pochmurny i zdecydowanie realny, zamknął oczy.

– Pomogę pani ją zanieść – zaoferował się Gansey.

Po powrocie z Cableswater Blue od razu wpadła w kolejne kłopoty.

Gdy chłopcy ją podwieźli, pobiegła do kuchni na Fox Way 300 i rozpoczęła jednostronne przesłuchanie Artemusa, który wciąż ukrywał się za zamkniętymi drzwiami spiżarni. Gdy nie odpowiadał na spokojnie zadawane pytania o mordercze kobiety z jej twarzami oraz o możliwą lokalizację Glendowera, Blue stawiała się coraz głośniejsza i dorzuciła walenie w drzwi. W jej sercu roiło się od wspomnień o popryskanych ramionach swetra Ganseya – właśnie taki nosił jego duch, gdy widziała go podczas czuwania w kościele – zaś jej głowa pełna była frustracji wywołanej tym, że Artemus wiedział znacznie więcej o tym wszystkim, niż mówił.

Gwenllian obserwowała ją z uciechą, siedząc na blacie kuchennym.

– Blue! – Skądś w domu dobiegł głos jej matki. – Bluuuuuuueeeee! Mogłabyś porozmawiać z nami przez chwilę?

Po słodczy w jej tonie Blue wiedziała, że wpadła w tarapaty. Zdjęła pięść z drzwi do spiżarni i zaczęła wchodzić po schodach. Głos Maury dobiegał z jedynej w domu wspólnej łazienki i gdy dziewczyna tam dotarła, natknęła się na matkę, Callę oraz Orłę siedzące w pełnej wannie, całkowicie ubrane i w pełni przemoczone. Jimi przycupnęła na zamkniętym sedesie z płonąca świeczką w dłoniach. Widać było, że wcześniej wszystkie musiały płakać.

– Co? – spytała ostro Blue.

Lekko bolało ją gardło, co oznaczało, że być może wrzeszczała nawet głośniejsze, niż przypuszczała.

Matka przyjrzała się jej bardziej władczo, niż wydawałoby

się to możliwe u osoby w jej sytuacji.

– Czy sądzisz, że podobałoby ci się, gdyby ktoś walił do drzwi twojej sypialni i kazał ci wyjść?

– Spizarnia *nie* jest sypialnią – odparła Blue. – To po pierwsze.

– Ostatnie dekady były dla niego stresujące – rzekła Maura.

– Ostatnich kilka *wieków* było stresujących dla Gwenllian, a jednak potrafi siedzieć na blacie w kuchni!

– Słonko, nie możesz porównywać zdolności radzenia sobie z problemami u poszczególnych osób – wtrąciła z sedesu Jimi.

Calla parsknęła.

– Czy to dlatego siedzicie wszystkie w wannie? – zapytała Blue.

– Nie bądź złośliwa – odparła Maura. – Próbowaliśmy skontaktować się z Persefoną. I zanim spytasz: nie, nie udało się. A skoro mówimy już o robieniu przez ciebie niemądrych rzeczy, to gdzie właściwie zniknęłaś? Zawieszenie w szkole to nie wakacje.

Blue zjeżyła się.

– Nie byłam na *wakacjach*! Ronan wyśnił swoje wewnętrzne dziecko, czy coś takiego, i musieliśmy zabrać je do jego matki. Na miejscu zobaczyliśmy trzy kobiety z gobelinu, o którym wam opowiadałam, oraz drzewo, z którym coś było mocno nie tak, i Gansey mógłby zginąć na moich oczach!

Kobiety spoglądały współczująco, co jeszcze bardziej rozsierdziło Blue.

– Chcę go ostrzec – powiedziała.

Zapadła cisza.

Postanowiła ją wypełnić. Dopóki te słowa nie opuściły jej ust, nie wiedziała, że zamierza je wypowiedzieć:

– Pamiętam, że mówiłyście wcześniej, że świadomość tego

tylko zniszczyłaby mu życie, a i tak by go nie uratowała. Rozumiem to. Tutaj jest jednak inaczej. Odnajdziemy Glendowera i poprosimy go, żeby uratował Ganseyowi życie. Do tego czasu Gansey musi więc pozostać żywy. To zaś oznacza, że musi przestać pakować się w niebezpieczeństwa!

Jej nikłe nadzieje nie zniosłyby w tym momencie więcej współczucia, lecz na szczęście to nie ono ją spotkało. Kobiety wymieniły spojrzenia, zastanawiając się. Trudno było stwierdzić, czy podejmowały decyzję, opierając się na zwykłych przesłankach, czy też parapsychicznych.

I nagle Maura wzruszyła ramionami.

– W porządku – stwierdziła.

– W porządku?

– Tak, w porządku. – Zerknęła na Callę, by potwierdzić.

Calla uniosła brwi. – Powiedz mi.

– Naprawdę?

Blue musiała spodziewać się, że nie pójdzie jej tak łatwo, ponieważ nagle poczuła się, jakby ktoś wyciągnął spod niej krzesło. Czymś innym było poinformować *je*, że zamierzała powiedzieć Ganseyowi, że czekała go śmierć, zupełnie innym zaś wyobrazić sobie, że mu to powie. Gdy to już się stanie, będzie nieodwracalne. Blue zacisnęła mocno oczy – „bądź rozsądna, zbierz się do kupy” – po czym otworzyła z powrotem.

Matka popatrzyła na córkę. Córka popatrzyła na matkę.

– Blue – odezwała się Maura.

Blue pozwoliła sobie zwiotczeć.

Jimi zdmuchnęła świeczkę i postawiła ją obok sedesu, po czym objęła Blue wokół bioder i wciągnęła ją sobie na kolana, tak jak wtedy, gdy dziewczyna była jeszcze mała. Cóż, Blue wciąż była mała. Gdy Blue była *młoda*. Sedes jęknął pod nimi.

– Toaleta się pod nami zawali – powiedziała Blue, ale

pozwoliła Jimi wciągnąć się na jej okazały biust.

Westchnęła drżąco, gdy kobieta masowała jej plecy i cmokała do siebie. Blue nie mogła zrozumieć, w jaki sposób taka dziecinna pociecha jednocześnie dawała jej ulgę i dusiła. Cieszyła się, a jednocześnie pragnęła znaleźć się w innym miejscu, w którym mniej nitek łączyłoby ją z każdym wyzwaniem i smutkiem.

– Wiesz, że to nie jest źle, że chcesz opuścić Henriettę, prawda? – spytała ją matka z wanny.

Pytanie tak dokładnie powtarzało myśli dziewczyny, że nie potrafiła stwierdzić, czy Maura je zadała, ponieważ była dobrą jasnowidzką, czy dlatego, że po prostu tak świetnie ją znała.

– Phi.

Blue wzruszyła ramionami wprasowanymi w Jimi.

– Odejście nie zawsze równa się ucieczce – odezwała się Jimi, a jej niski głos przetoczył się od jej piersi do ucha Blue.

– Nie pomyślimy, że nienawidzisz Fox Way – dodała Calla.

– Wcale nie nienawidzę Fox Way.

– Wiem – rzekła Maura, odtrącając dłoń Orli, która próbowała splatać jej wilgotne włosy w warkocz. – Bo jesteśmy świetne. Różnica pomiędzy miłym domem a miłym więzieniem jest jednak naprawdę niewielka. My wybrałyśmy Fox Way. Stworzyłyśmy ten dom wraz z Callą i Persefoną. To jednak twoje pochodzenie, nie twój cel.

Mądrość obecna w słowach Maury z jakiegoś powodu rozzłościła Blue.

– Powiedz coś – poprosiła Orla.

Blue nie do końca wiedziała, jak to wyrazić. Nie wiedziała nawet, co chce wysłować.

– Po prostu... Wydaje mi się, jakby to było na marne. Że pokochałam ich wszystkich. – I naprawdę chodziło jej

o wszystkich: dom na Fox Way 300, chłopców, Jessego Dittleya. Blue pomyślała, że jak na rozsądną osobę być może miała problem z miłością. – Nie mówcie, że „to dobre doświadczenie życiowe” – dodała groźnym głosem. – Nie.

– Sama kochałam mnóstwo ludzi – odezwała się Orła. – I mogłabym powiedzieć, że to dobre doświadczenie życiowe. Zresztą już dawno temu mówiłam ci, że ci goście cię zostawią.

– Orlo – warknęła Calla, ponieważ następny oddech Blue zabrzmiał nierówno. – Czasami wolę sobie nie wyobrażać, co musisz opowiadać swoim biednym klientom przez telefon.

– Średnio mnie obchodzi twoja opinia – rzekła Orła.

– *Ja* nie zamierzałam mówić o dobrym doświadczeniu życiowym – odezwała się Maura, mierząc Orłę przez ramię nieprzyjemnym spojrzeniem. – Chciałam powiedzieć, że czasami odejście pomaga. I pożegnania nie zawsze są ostateczne. Można odejść i wrócić.

Jimi zakołysała Blue. Wieko sedesu zatrzeszczało.

– Nie sądzę, bym mogła pójść do któregoś z college'ów, do których bym chciała – stwierdziła Blue. – Psycholog szkolna mi to odradza.

– A czego chcesz? – spytała Maura. – Nie od college'u. Od życia.

Blue najpierw przełknęła prawdę, ponieważ była gotowa przejść od kryzysu i płaczu do rozwiązań i stabilności. Po chwili wypowiedziała ją jednak powoli i starannie, aby łatwiej było sobie z nią poradzić.

– Tego, co zawsze. Zobaczyć świat. Uczynić go lepszym.

Maura również wydawała się ostrożnie dobrać słowa:

– I jesteś przekonana, że droga do tego prowadzi wyłącznie przez college?

Takie niemożliwe słowa wypowiedziałyby pedagog szkolna

Blue po przejrzeniu jej sytuacji finansowej oraz wyników nauczania. Owszem, była przekonana. Jak inaczej mogłaby zmieniać świat na lepsze, gdyby najpierw nie odkryła, w jaki sposób to robić? Jak mogłaby znaleźć pracę, dzięki której pojechałaby na Haiti, do Indii czy na Słowację, gdyby nie poszła do college'u?

I wtedy przypomniała sobie, że nie pyta jej pedagog, tylko jej jasnowidząca matka.

– A co mam zrobić? – spytała Blue ostrożnie. – Jak wy widzicie moją przyszłość?

– Podróże – odrzekła Maura. – Zmienianie świata.

– Drzewa w twoich oczach – dodała łagodniej niż zwykle Calla. – Gwiazdy w twoim sercu.

– Jak? – zapytała Blue.

Maura westchnęła.

– Gansey zaoferował ci pomoc, prawda?

Takie przypuszczenie nie wymagało zdolności jasnowidzących, a jedynie minimalnej znajomości osobowości Blue. Dziewczyna spróbowała gniewnie wstać, lecz Jimi nie pozwoliła jej.

– Nie zamierzam jechać na jałmużnie Ganseya.

– Nie bądź taka – powiedziała Calla.

– Jaka?

– Zgorzkniała. – Maura zastanowiła się, po czym dodała: – Chcę tylko, abyś postrzegąca swą przyszłość jako świat, w którym wszystko jest możliwe.

– W którym Gansey nie umrze przed kwietniem? – zripostowała dziewczyna. – W którym nie zabiję swej prawdziwej miłości pocałunkiem?

Jej matka milczała przez dłuższą chwilę, w trakcie której Blue uświadomiła sobie swe naiwne pragnienie, by Maura

powiedziała jej, że obie te przepowiednie mogą być błędne, że z Ganseyem wszystko będzie w porządku.

– Po jego śmierci nadal będzie się toczyć życie – odparła jednak w końcu jej matka. – Musisz myśleć o tym, co będziesz robić *później*.

Blue *myślała* o tym, co będzie robić później, właśnie dlatego miała kryzys.

– I tak nie zamierzam się z nim całować, a więc nie z tego powodu odejdzie.

– Nie wierzę w ideę prawdziwej miłości – stwierdziła Orla. – To sztuczny wytwór monogamicznego społeczeństwa.

Jesteśmy zwierzętami. Uprawiamy miłość w krzakach.

– Bardzo ci dziękujemy za wkład w dyskusję – rzekła Calla. – A teraz zadzwońmy do obiektu z przepowiedni Blue i poinformujmy go.

– Kochasz go? – spytała z zaciekawieniem Maura.

– Wolałabym nie – odparła Blue.

– Ma mnóstwo negatywnych cech, w których wyodrębnieniu mogę ci pomóc – zaproponowała jej matka.

– Jestem już ich świadoma. W pełni. Zresztą to i tak głupie. Prawdziwa miłość *jest* sztucznym wytworem. Czy Artemus był twoją prawdziwą miłością? Czy jest nią pan Szary? Czy z tego powodu ten drugi przestaje być prawdziwy? Czy mam tylko jedną szansę i potem już nic?

Ostatnie pytanie zostało zadane z największą nonszalancją, ale tylko dlatego, że było najbardziej bolesne. Skoro Blue nie była gotowa, by pogodzić się ze śmiercią Ganseya, *zdecydowanie* nie była też gotowa zaakceptować idei, że później mogłaby radośnie rzucić się w związek z kimś, kogo nawet jeszcze nie poznała. Chciała jedynie przyjaźnić się na zawsze z Ganseyem, a pewnego dnia być może i poznać go fizycznie.

Wydawało się to bardzo rozsądnym pragnieniem, a Blue, która przez całe życie starała się zachowywać rozsądnie, czuła się zdecydowanie nie w porządku z tym, że odmawiano jej tej jednej drobnostki.

– Kiepska ze mnie matka – powiedziała Maura. – Kiepska ze mnie jasnowidzka. Nie znam odpowiedzi na te pytania. Chciałabym je znać.

– Biedactwo – wymruczała Jimi Blue we włosy. – Mmm, tak się cieszę, że nie jesteś wyższa.

– Litości – rzekła Blue.

Calla uniosła się i złapała wieszak na ręczniki, by wstać. Woda zakotłowała się pod nią. Jasnowidzka zaklęła. Orla odsunęła głowę, gdy z bluzki Calli połała się woda.

– Dość już płaczu – stwierdziła Calla. – Chodźmy zrobić ciasto.

Osiemset kilometrów stamtąd Laumonier zapalał właśnie papierosa w głównym pomieszczeniu starego promu. Było pozbawione uroku i czysto użytkowe – brudne okna wprawione w goły metal, wszystko równie zimne jak czarna przystań i podobnie śmierdzące rybami. Z poprzedniej uroczystości pozostały dekoracje urodzinowe, lecz czas oraz słabe oświetlenie pozbawiły je barw i teraz sprawiały złowieszcze wrażenie, kołyszając się w przeciągu.

Wzrok Laumoniera spoczywał na odległych świątłach Bostonu, ale jego umysł znajdował się w Henriecie w stanie Wirginia.

– Pierwszy ruch? – spytał Laumonier.

– Nie wiem, czy to jest sprawny przedmiot – odparł Laumonier.

– Potrzebuję paru odpowiedzi – powiedział Laumonier.

Trojaczki Laumonier wydawali się niemal identyczni. Istniały pomiędzy nimi drobne różnice – na przykład jeden był nieznacznie niższy, drugi zaś miał wyraźnie szerszą żuchwę. Rozbieżności w wyglądzie niweczył jednak trwający przez całe ich życie zwyczaj korzystania wyłącznie z nazwiska. Ktoś z zewnątrz domyśliłby się, że rozmawiał z innym Laumonierem niż przy poprzedniej wizycie, lecz obydwaj bracia określiliby się tym samym nazwiskiem, trzeba by więc traktować ich jako tę samą osobę. Nie było tak naprawdę trojaczków Laumonier. Był tylko jeden Laumonier.

– Jak zamierzasz zdobyć te odpowiedzi? – powątpiewał Laumonier.

– Jeden z nas tam pojedzie – stwierdził Laumonier. – I go wypyta.

Tam oznaczało dom ich starego rywala Colina Greenmantle'a w dzielnicy Back Bay, zaś *wypytywanie* wiązało się z uczynieniem mu czegoś złego w zamian za pół dekady krzywd. Laumonier zajmował się handlem magicznymi artefaktami, odkąd przebywał w Bostonie, i nie miał zbyt dużej konkurencji, dopóki nie pojawił się ten wymuskany karierowicz Greenmantle. Sprzedawcy stali się chciwi. Artefakty zrobiły się kosztowne. Najemni mięśniacy okazali się koniecznością. Laumonier uważał, że Colin Greenmantle oraz jego żona Piper naoglądali się zbyt wielu filmów o mafii.

Teraz jednak Colin okazał słabość, wycofując się z utrzymywanego przez siebie od dawna terenu – Henrietty. Sam. Nie widać było ani śladu Piper.

Laumonier chciał wiedzieć, co to oznaczało.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzekł Laumonier, wydychając obłok papierosowego dymu.

Ponieważ nie zamierzał przestać palić, pozostali również nie mogli rzucić. Wszystkim z nich odpowiadała ta wymówka.

– Cóż, ja mam – odparł Laumonier. – Nie chcę narobić bałaganu. A ten jego najemnik jest przerażający.

Laumonier strącił popiół z papierosa i zerknął na wstążki, jakby zastanawiał się, czy ich nie podpalić.

– Krążą wieści, że Szary Mężczyzna już dla niego nie pracuje. Zaś my potrafimy zachowywać się dyskretnie.

Laumonier dzielił się nazwiskiem i motywacją, lecz nie metodologią. Jeden z nich skłaniał się ku ostrożności, drugi zaś ku ogniewi, wskutek czego trzeci działał jako rozjemca i adwokat diabła.

– Na pewno da się dowiedzieć w inny sposób o... – zaczął Laumonier.

– Nie wypowiadaj tego imienia! – przerwali mu

natychmiast pozostali dwaj.

Laumonier wydał wargi. Wywołało to całkiem dramatyczny efekt, ponieważ wszyscy bracia mieli wydatne usta. U jednego z nich wyglądało to poniekąd atrakcyjnie, u innego – obscenicznie.

– A więc pójdziemy tam, by porozmawiać... – zaczął znów Laumonier.

– Porozmawiać – parsknął Laumonier, bawiąc się zapalniczką.

– Przestańcie, proszę. Jesteś jak szkolny łobuz.

Ten Laumonier zachował dawny akcent, by używać go właśnie w takich sytuacjach. Wzmacniało to jego pogardę.

– Prawnik mówi, że nie powinienem popełniać kolejnego wykroczenia przez przynajmniej sześć miesięcy – oznajmił ze smutkiem Laumonier.

Zgasił papierosa.

Laumonier zabrzączał cicho.

Choć każde brząknięcie ze strony któregośkolwiek z braci wydawałoby się niepokojące, w tym dźwięku rozbrzmiewała dodatkowa nieprzyjemna nuta, która natychmiast zmroziła atmosferę.

Pozostali dwaj popatrzyli po sobie z podejrzliwością – nie wobec siebie, lecz wobec wszystkiego, co nie było nimi. Przyjrzeni się brzączącemu bratu w poszukiwaniu oznak medycznej niemocy, a następnie śladów działania starożytnego amuletu skradzionego z francuskiego grobowca, tajemniczej bransolety zdobytej w podejrzanych okolicznościach w Chile, złowieszczej klamry pasa świętej w Mongolii albo zagadkowej szarfy wykonanej z peruwiańskiego całunu grobowego. Czegokolwiek, co mogło mieć ponadnaturalne efekty uboczne.

Nic nie znaleźli, lecz brzęczenie nie ustawało, zaczęli więc metodycznie sprawdzać pomieszczenie. Przesuwali dłońmi pod krzesłami i wzdłuż ścian, od czasu do czasu zerkając na siebie, by upewnić się, że wciąż brzęczy tylko jeden Laumonier. Jeśli efekt miał niekorzystne działanie, najbardziej prawdopodobnym sprawcą był Greenmantle. Mieli oczywiście innych wrogów, lecz Greenmantle był im najbliższy. We wszystkich aspektach.

Laumonier nie znalazł niczego o ponadnaturalnym działaniu, jedynie pojemnik z wyschniętymi biedronkami.

– Hej. To ja.

Laumonier odwrócił się od brzęczącego brata. Ten przestał brzęczeć i upuścił papierosa, który jarzył się bezsilnie na podłodze z metalowych płyt. Laumonier wpatrzył się w przystań introspektywnym wzrokiem, trochę kłócącym się z jego typową naturą.

– To był on? – spytał Laumonier.

Laumonier zmarszczył brwi.

– To był jego głos, prawda?

– Słyszeć mnie? – spytał brzęczący wcześniej brat. –

Jestem w tym nowa.

Zdecydowanie nie był to jego głos. I zdecydowanie nie była to jego mina. Jego brwi poruszały się w sposób, do którego zawsze były oczywiście zdolne, lecz nigdy ich o to nie proszono. Z tego powodu wyglądał jednocześnie młodziej i poważniej.

Laumonier wspólnie poczuł przypływ możliwego zrozumienia.

– Kto to? – spytał ostro Laumonier.

– Piper.

Imię to wywierało natychmiastowy i emocjonalny wpływ na Laumoniera. Poczł wściekłość, zdradę, szok, a później z powrotem wściekłość i zdradę. Piper Greenmantle. Żona

Colina. Wcześniej to imię nie padło nawet raz w rozmowie, a teraz i tak się do niej wkradło.

– Piper! – odezwał się Laumonier. – Jak leci, Piper? Wyjdz z niego.

– Och, a więc to tak działa? – zapytała z ciekawością Piper.
– Czy to przerażające? Stał się jak opętany telefon?

– To *jesteś* ty – stwierdził Laumonier w zadumie.

– Cześć, tato – rzekła Piper.

Choć minęły lata, Laumonier wciąż świetnie znał nawyki swej córki.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Laumonier. – Czego chcesz? Jak się miewa twój gówniany mąż?

– Jest w Bostonie beze mnie – odparła Piper. – Zapewne.

– Spytałem tylko po to, by sprawdzić, co odpowiesz – odparł Laumonier. – Już to wiedziałem.

– Masz rację, myliłam się – przyznała Piper. – Nie chcę już się kłócić.

Laumonier, który wcześniej zgasił papierosa, teraz sentymentalnie potarł oko.

– Minęło dziesięć lat, a ty nagle nie chcesz już się kłócić? – warknął Laumonier, który nie przestał palić.

– Życie jest krótkie. Chciałabym zrobić z wami interes.

– Moment, bo nie wiem, czy wszystko dobrze rozumiem.

W zeszłym roku prawie posłałaś nas do więzienia. Twój mąż zabił dostawcę dla jakiegoś artefaktu, który nie istniał. Opętałaś nas. I teraz chcesz robić z nami interesy? To nie pasuje do pięknej żonki Colina Greenmantle'a.

– Pewnie, że nie. Właśnie dlatego dzwonię. Otwieram nowy rozdział.

– A które drzewo posłużyło do wydrukowania mieszczącej go książki? – spytał podejrzliwie Laumonier.

– Piękne i o ponadnaturalnych korzeniach – odrzekła Piper.
– Mam tu coś wspaniałego. Wielkiego. Nabytek życia. Stulecia.
Chcę, żebyście zrobili co tylko w waszej mocy i zebrali tu
wszystkich na licytację. Będzie się działo.

Laumonier wyglądał na pełnego nadziei.

– My...

– Po sierpniu? – przerwał jedyny Laumonier, który wciąż
czynnie palił. – Chyba nie spodziewasz się, że tak po prostu na
to pójdziemy. Nazwij mnie szaleńcem, kochanie, ale nie ufam ci.

– Musisz mi uwierzyć na słowo.

– To najmniej wartościowa rzecz, jaką możesz zaoferować
– odparł chłodno Laumonier. Przekazał papierosa innemu
z braci, by sięgnąć pod płaszcz i kołnierz swetra po różaniec. –
Zdewaluowało się trochę przez ostatnich dziesięć lat.

– Jesteś okropnym ojcem – rzuciła Piper.

– Tak szczerze, to jesteś okropną córką.

Przyłożył różaniec do brzęczącej wciąż głowy
poprzedniego brata. Ten natychmiast splunął krwią i upadł na
kolana. Na jego twarz wróciła wcześniejsza mina.

– Właśnie tego się spodziewałem – stwierdził Laumonier.

– Nie mogę uwierzyć, że rozłączyłeś się, zanim zdążyłem
się pożegnać – oznajmił z wyrzutem Laumonier.

– Wydaje mi się, że właśnie zostałem opętany – odezwał
się Laumonier. – Coś widzieliście?

W Henriecie zapadła noc.

Richard Gansey zasypiał. Gdy zamknął oczy: dłonie Blue, jego głos, drzewo krwawiące czernią. Zaczynało się, zaczynało. Nie. Kończyło się. Kończyło. Oto był krajobraz jego osobistej apokalipsy. To, co wcześniej wydawało się ekscytacją, przeszło w grozę, gdy stał się zmęczony.

Otworzył oczy.

Otworzył drzwi Ronana na tyle, by potwierdzić, że Lynch znajdował się w środku, spał z uchylonymi ustami i w dudniących słuchawkach, a Piła spoczywała bezwładnie w klatce. Gansey zostawił go i pojechał do szkoły.

Wykorzystał stary kod, by dostać się do halowej części kompleksu sportowego, po czym rozebrał się i pływał w ciemnym basenie w ciemnym pomieszczeniu, a wszystkie dźwięki wydawały się dziwne i puste. Pokonywał niezliczone długości basenu, jak wtedy, gdy dopiero pojawił się w szkole, gdy wciąż należał do drużyny wioślarskiej, gdy przychodził tu jeszcze przed ćwiczeniami wioślarskimi, by popływać. Niemal zapomniał, jak to jest znajdować się w wodzie. Zupełnie jakby ciało nie istniało, jakby był jedynie bezgranicznym umysłem. Odepchnął się od ledwo widocznej ściany i skierował w stronę jeszcze mniej widocznej przeciwległej, nie potrafiąc już myśleć o bieżących troskach: szkole, dyrektorze Childzie, nawet o Glendowerze. Liczyła się tylko obecna minuta. Dlaczego z tego zrezygnował? Nawet nie pamiętał.

Tu, teraz, w ciemnej wodzie, był tylko Ganseyem. Nigdy nie umarł i nie miał znowu umrzeć. Był tylko Ganseyem, tu i teraz.

Nie mógł go widzieć, lecz Noah stał na krawędzi basenu

i obserwował. On również był kiedyś pływakiem.

Adam Parrish pracował. Miał dziś nocną zmianę w magazynie, rozładowywał słoiki, tanią elektronikę oraz puzzle. Czasami gdy pracował tak późno, gdy był zmęczony, jego umysł wracał do życia w przyczepie. Nie czuł wówczas strachu ani nostalgii, jedynie zapomnienie. W jakiś sposób przestawał pamiętać, że życie uległo zmianie, i wzdychał, wyobrażając sobie jazdę powrotną do przyczepy po zakończeniu zmiany. Nagle czuł zaskoczenie, gdy świadomy umysł załączał rzeczywistość z jego własnego mieszkania nad plebanią kościoła Świętej Agnieszki.

Tej nocy znów przestał pamiętać własne życie i wzdrygnął się, przypominając, że poprawił jego warunki, zaś gdy ogarnęła go ulga, pomyślał o przerażonej twarzy Sierotki. Wszystko wskazywało na to, że sny Ronana często były przerażające, ona zaś, w przeciwieństwie do Ronana, nie mogła liczyć, że się obudzi. Kiedy Lynch sprowadził ją do rzeczywistego świata, musiała pomyśleć, że ona również stworzyła sobie nowe życie, jednak zamiast tego znalazła się jedynie w kolejnym koszmarze.

Powtarzał sobie, że nie była prawdziwa.

Dręczyło go jednak poczucie winy.

Pomyślał, że jeszcze tej nocy wróci do domu, który sam sobie stworzył. Sierotka pozostanie jednak uwięziona w krainie snów, wraz z jego starym zegarkiem i jego starym strachem.

Gdy podnosił spis towarów, dręczyły go myśli o Cableswater, przypominając mu, że wciąż musiał zastanowić się nad pochodzeniem tego czerniejącego drzewa. Gdy się wyrejestrowywał, napierało na niego Aglionby, przypominając mu, że wciąż miał do napisania pracę na trzy strony na temat

gospodarki w latach trzydziestych. Gdy wsiadał do samochodu, rozrusznik zaskowyczał, przypominając mu, że trzeba na niego zerknąć, zanim zupełnie odmówi posłuszeństwa.

Nie miał czasu, by zajmować się wyśnioną dziewczynką Ronana, dość miał własnych problemów.

Nie mógł jednak przestać o niej myśleć.

Skupił myśli, gdy jego palce przemknęły po kierownicy. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, o co właściwie chodziło, choć wszystko działo się przed jego oczyma. Jego dłoń pomknęła ku górnej części koła, wyczuwała krawędź, sprawdzała nacisk każdej poduszeczki na powierzchnię.

Adam rozkazał dłoni, by się nie poruszała.

Poleciał jej, by zwinęła się w pięść i odsunęła od kierownicy. Przytrzymał nadgarstek drugą dłonią.

„Cabeswater?”

Las nie wydawał się jednak bardziej obecny w jego wnętrzu niż zwykle, gdy starał się zwrócić jego uwagę. Adam przyglądał się dłoni w kiepskim świetle latarni, zaniepokojony widokiem palców podrygujących niczym nogi owada i niesłuchających poleceń umysłu. Teraz wydawała się zwyczajna, jej linie były ciemne od pyłu z kartonów i metalowych opiłków. Miał wrażenie, jakby to, co widział wcześniej, tylko mu się zdawało. Zupełnie jakby Cabeswater podsunęło mu ten obraz.

Z wahaniem przypomniał sobie słowa umowy, jaką zawarł z lasem: „Będę twoimi rękoma, będę twoimi oczyma”.

Położył dłoń z powrotem u dołu kierownicy. Spoczywała tam, wyglądając dziwnie z bladym paskiem skóry w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zegarek. Nie poruszała się.

„Cabeswater?”, pomyślał ponownie.

Śpiące liście rozwinęły mu się w myślach. Poczuł las nocą, zimny i spowolniony. Dłoń została tam, gdzie ją położył. Serce

wciąż w nim jednak pełzało, niczym obraz palców poruszających się z własnej woli.

Nie wiedział, czy to było rzeczywiste. „Rzeczywistość” z każdą chwilą stawała się zresztą coraz mniej użytecznym określeniem.

W Monmouth Manufacturing Ronan Lynch śnił.

Sen był wspomnieniem. Zielone letnie Stodółki, bujne, wilgotne i pełne owadów. Woda wzbijająca się ze zraszacza umieszczonego w trawie. Matthew przebiegający przez nią w kąpielówkach. Młody. Pulchny. Z lokami spłowiałymi od słońca. Śmiał się w zaraźliwy sposób. Sekundę później rzucił się za nim kolejny chłopiec, łapiąc go bez wahania. Obydwaj potoczyli się po trawie, oblepieni mokrymi źdźbłami.

Drugi chłopiec wstał. Był wyższy, wężowaty, opanowany. Miał ciemne, kręcone, długie włosy sięgające do podbródka.

Był to Ronan. Wcześniejszy.

Pojawił się też trzeci chłopiec, skaczący zwinnie przez zraszacz. „My jesteśmy krasnoludki, hopsa sa, hopsa sa”.

„Ha, myślałeś, że mi się nie uda!”, powiedział Gansey, opierając dłonie o gołe kolana.

„Gansey!”. To Aurora, śmiejąca się już, gdy wypowiadała jego imię. Równie dzikim śmiechem jak Matthew. Skierowała zraszacz prosto na niego, natychmiast mocząc go do suchej nitki.

Ronan wcześniejszy przyglądał się Ronanowi późniejszemu.

Wyczuł moment, w którym domyślił się, że śni – usłyszał elektroniczną muzykę dudniącą w uszach – i wiedział, że może się obudzić. Jednak to wspomnienie, to idealne wspomnienie... Stał się tym Ronanem wcześniejszym, albo też Ronan

wcześniejszy stał się Ronanem późniejszym.

Słońce stawało się coraz jaskrawsze. Jaskrawsze.

I jaskrawsze.

Było niczym rozgrzane do białości elektryczne oko. Świat podzielił się na światło i cień, nic pomiędzy. Gansey osłonił oczy. Ktoś wyłonił się z domu.

Declan. Trzymał coś w dłoni. Czarne w tak silnym blasku. Maskę.

Okrągłe oczy, szeroki uśmiech.

Ronan z maski pamiętał jedynie grozę. Było w niej coś straszliwego, ale w tym momencie nie pamiętał co. Każda myśl wypalała się w nim w tym atomowym odpadzie wspomnień.

Najstarszy z braci Lynch zbliżył się pewnym krokiem, skrzypiąc butami na mokrej trawie.

Sen zadrzał.

Declan zaczął biec prosto na Matthew.

– Sierotko! – krzyknął Ronan, podrywając się na nowo. – Cabeswater! *Tir e e 'lintes curralo!*

Sen znów zadrzał. Na wszystko nałożyła się ułuda lasu niczym pojedyncza klatka nasunięta na odtwarzany z rolki film.

Ronan pędził przez nienaturalnie białą trawę.

Declan pierwszy dotarł do Matthew. Najmłodszy z Lynchów obrócił ku niemu ufnie głowę i to był koszmar.

„Dorośnij, dupku”, powiedział Declan Ronanowi.

Nałożył Matthew maskę na twarz. To był koszmar.

Ronan porwał Matthew od Declana, sen kolejny raz się zakołysał. Trzymał w ramionach znajomą sylwetkę młodszego brata, lecz było za późno. Prymitywna maska zlała się w jedno z twarzą Matthew.

Kruk przeleciał nad nim i nagle się rozmył.

„Będzie dobrze – rzekł Ronan bratu. – Możesz tak żyć.

Możesz jej nigdy nie zdejmować”.

W oczach Matthew, widocznych w szerokich otworach, nie widniał strach. To był koszmar. To był koszmar. To był...

Declan zerwał maskę.

Drzewo za nim sączyło czerń.

Twarz Matthew składała się z linii i plam. Nie była zakrwawiona, nie była straszna, po prostu nie była twarzą, a zatem była straszna. Nie stanowił osoby, lecz jedynie narysowaną postać.

Piersią Ronana wstrząsały ciche spazmy. Nie płakał w ten sposób od tak dawna...

Sen zadrżał. Teraz już nie tylko Matthew się rozpadał, lecz i wszystko pozostałe. Dłonie Aurory mierzyły w siebie nawzajem, wszystkie palce celowały w jej pierś niedopracowanymi kreskami. Z tyłu Gansey klęczał na kolanach, z martwymi oczyma.

Ronan miał zdarte gardło. „Zrobię wszystko! Zrobię wszystko! Zrobię...”.

Wszystko, co Ronan kochał, rozpadało się.

„Proszę”.

Matthew Lynch obudził się w internacie Aglionby. Gdy się rozciągał, uderzył głową o ścianę, musiał podtoczyć się pod nią w nocy. Dopiero gdy jego współlokator Stephen Lee wydał z siebie odgłos pełen groteskowej frustracji, uświadomił sobie, co było przyczyną pobudki: dzwoniący telefon.

Przyłożył go do ucha.

– Taa?

Nie usłyszał odpowiedzi. Zerknął na ekran, by sprawdzić, kto dzwoni, po czym zbliżył aparat z powrotem do ucha.

- Ronan? – wyszeptał zaspanym głosem.
- Gdzie jesteś? W swoim pokoju?
- Może.
- Pytam poważnie.
- Może.
- Matthew.
- Tak, tak, jestem w swoim pokoju. SL cię nienawidzi. Jest druga czy coś. Czego chcesz?

Ronan nie odpowiedział od razu. Matthew nie widział go, lecz starszy z Lynchów kulił się na swoim łóżku w Monmouth z głową opartą na kolanach, jedną dłonią trzymając się za potylicę, a drugą przyciskając telefon do ucha.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.
 - W porządku.
 - To idź spać.
 - Ciągle śpię.
- Bracia rozłączyli się.

W pobliżu Henrietty, na linii mocy, coś mrocznego obserwowało to wszystko, co działo się w nocy w mieście.

- Nie śpię. Nie śpię. Nie śpię – powiedziało.

Następnego ranka było zbyt jasno i zbyt gorąco.

Gansey i Adam stali pod podwójnymi drzwiami Teatru im. Gladys Francine Mollin Wright, trzymając schludnie złożone ręce. Wylosowali pracę odźwiernych – właściwie tylko Adam, lecz Gansey zgłosił się na ochotnika zamiast Branda. Ronana nigdzie nie było widać. W Ganseyu bulgotała irytacja.

– Dzień Kruka – oznajmił dyrektor Child – to coś więcej niż tylko dzień szkoły. Bo czyż nie świętujemy dnia szkoły codziennie?

Stał na scenie. Wszyscy lekko się pocili, ale on nie. Był szczupłym, szorstkim kowbojem biorącym udział w spędzie zwierząt zwanym życiem. Twarz miał pobrużdżoną niczym zbocze kanionu. Gansey od dawna twierdził, że Child się tu marnował. Wciśnięcie tak twardego zawodnika w jasnoszary garnitur i krawat oznaczało utratę okazji, by zamiast tego wsadzić go na grzbiet bułanego konia i nakryć szerokim kapeluszem.

Adam popatrzył na Ganseya porozumiewawczo. Bezgłośnie wyszeptał „ihaaa”. Uśmiechnęli się i musieli odwrócić od siebie wzrok. Spojrzenie Ganseya spoczęło prosto na Henrym Chengu i ekipie z Vancouver siedzącej wspólnie z tyłu sali. Zupełnie jakby wyczuwając jego uwagę, Henry obejrzał się przez ramię. Uniósł brew. Ganseyowi nieprzyjemnie przypomniało się, że Henry widział Sierotkę w bagażniku SUV-a. W pewnym momencie będzie potrzebne wyjaśnienie, unik albo kłamstwo.

– ...w *tym* Dniu Kruka – nalegał Child.

Zazwyczaj Gansey był zauroczony Dniem Kruka. Zwykle działały się wtedy tylko te rzeczy, które lubił: uczniowie ustawiali się sprawnie w białych koszulkach i spodniach khaki niczym

statyści z filmu dokumentalnego o I wojnie światowej, drużyny ścierały się ze sobą przy akompaniamencie licznych wiwatów, pełno było pompy, ceremoniału i hermetycznych żartów, wszędzie malowano kruki. Bieżące stadko juniorów wcielało się w kruki przed całym gronem uczniowskim, by rozegrać na błoniach udawany konflikt, podczas gdy fotografowie uwieczniali roziskrzone twarze, by można je było w przyszłym roku umieścić w materiałach promocyjnych.

Teraz wszystko w Ganseyu domagało się wznowienia poszukiwań. Jego misja była niczym wilk i w tej chwili ów wilk głodował.

– Dziś przypada dziesiąta rocznica Dnia Kruka – oznajmił Child. – Przed dziesięciu laty uroczystości, którymi cieszymy się teraz, zostały zaproponowane przez ucznia uczęszczającego do Aglionby od lat. Niestety Noah Czerny nie może świętować dziś wraz z nami, ale mamy to szczęście, że jedna z jego młodszych siostr przyjechała specjalnie po to, aby opowiedzieć nam więcej o Noahu oraz pochodzeniu naszej ceremonii.

Gansey pomyślałby, że się przesłyszał, gdyby Adam nie spojrział na niego i nie wyszeptał bezgłośnie: „O Noahu?”.

Tak, o Noahu, ponieważ jego siostra wspinała się właśnie na scenę. Nawet gdyby Gansey nie pamiętał jej z pogrzebu, rozpoznałby elfią twarz Noaha, malutkie oczy i duże uszy ukryte pod jasnymi włosami. Dziwnie było widzieć rysy Czernego u młodej kobiety. Jeszcze dziwniej – widzieć je u kogoś żywego. Wydawała się zbyt stara na młodszą siostrę Noaha, lecz tylko dlatego, że Gansey zapomniał, jak długo Czerny istniał w zawieszeniu. Gdyby przeżył zamiast Ganseya, miałby teraz dwadzieścia cztery lata.

Jeden z pierwszoklasistów powiedział coś, czego Gansey nie dosłyszał, i za swe wysiłki został szybko wyprowadzony

z sali. Siostra Noaha nachyliła się do mikrofonu i również powiedziała coś zbyt cicho, by dało się zrozumieć, a później coś jeszcze, co utonęło w pisku, gdy akustyk próbował zwiększyć głośność. Po chwili wreszcie było ją słychać.

– Cześć, jestem Adele Czerny. Nie przygotowałam długiej przemowy. Wiecie, gdy byłam w waszym wieku, sama siedziałam podczas takich wystąpień i się nudziłam. Powiem po prostu parę rzeczy o Noahu i o Dniu Kruka. Czy ktoś z was go znał?

Gansey i Adam zaczęli jednocześnie unosić ręce i równie szybko je opuścili. Owszem, znali go. Nie, *nie znali* go. Żywy Noah przebywał tu przed nimi. Noah martwy był zjawiskiem, nie znajomym.

– Cóż, sporo straciliście – rzekła. – Nasza mama zawsze powtarza, że był jak dynamit, a więc ciągle dostawał mandaty za przekraczanie prędkości, wskakiwał na stoły podczas spotkań rodzinnych i tak dalej. Bez przerwy miał nowe pomysły. Był niezwykle aktywny.

Adam i Gansey popatrzyli po sobie. Zawsze mieli przeczucie, że Noah, z którym się stykali, nie był prawdziwym Noahem. Świadomość, jak wiele śmierć ujęła Czernemu, okazała się jednak niepokojąca. Nie mogli powstrzymać się przed zastanawianiem, co Noah robiłby ze sobą, gdyby przeżył.

– Jestem tu jednak dlatego, że to mnie jako pierwszej opowiedział o swoim pomysle na Dzień Kruka. Zawołał mnie pewnego wieczoru, miał wtedy pewnie czternaście lat, i mówił o swoim *śnie*, w którym kruki walczyły ze sobą. Podobno miały różne barwy, rozmiary i kształty, zaś on znajdował się pomiędzy nimi, a one jakby wirowały wokół niego. – Zatoczyła wokół siebie krąg rękoma. Miała dłonie i łokcie Noaha. – I powiedział mi: „Myślę, że to byłby fajny projekt artystyczny do szkoły”.

A ja odrzekłam: „Założę się, że gdyby wszyscy w szkole wzięli w tym udział, byłoby wystarczająco wiele kruków”.

Gansey poczuł, że włoski na rękach stają mu dęba.

– Wzlatują, nurkują, szybują i nie ma nic oprócz kruków, nic oprócz snów – mówiła Adele, a Gansey nie był pewien, czy rzeczywiście to powiedziała, czy źle ją dosłyszał, czy też może przypomniał sobie coś, o czym mówiła wcześniej. – Na pewno spodobałoby mu się, jak to wygląda dziś. A więc dziękuję wam, że wspominaliście jeden z jego szalonych snów.

Zaczęła schodzić ze sceny. Adam zasłaniał jedno z oczu dłonią. Słuchać było te posłuszne podwójne kłapnięcia, które uczniowie Aglionby mieli wykonywać zamiast nieporządnego aplauzu.

– Chodźcie, kruki – oznajmił Child.

Był to znak, żeby Adam i Gansey otworzyli drzwi.

Uczniowie wylali się na zewnątrz. Wilgotność i światło wlały się do środka. Dyrektor Child dołączył do nich w wejściu, ściskając dłoń najpierw Ganseyowi, później Adamowi.

– Dziękuję wam za pomoc, panowie. Panie Gansey, nie spodziewałem się, że pańska matka zdoła zorganizować zbiórkę dobroczynną i listę gości do tego weekendu, ale mamy już prawie wszystko dopięte. Może liczyć na mój głos, by kierować krajem.

Wraz z Ganseyem wymienili przyjacielskie uśmiechy, które pojawiają się, gdy podpisało się z kimś parę oficjalnych dokumentów. Chwila okazałaby się wspaniałą, gdyby w tym momencie uległa zakończeniu, lecz Child ociągał się, gawędząc uprzejmie z Ganseyem i Adamem – swym odpowiednio najlepszym i najinteligentniejszym uczniem. W trakcie siedmiu bolesnych minut omówili pogodę, plany na Święto Dziękczynienia oraz wspólne wrażenia z wizyty w skansenie

Colonial Williamsburg, po czym wreszcie rozeszli się wyczerpani, gdy pierwszoklasiści pojawili się ze swymi kruczymi wojownikami.

– Jezu. – Gansey dyszał lekko po podjętym wysiłku.

– Myślałem, że nigdy nie odejdzie – przyznał Adam. Dotknął krawędzi lewej powieki, domykając ją, po czym spojrzał za Ganseya. – Ja... Ach. Zaraz wrócę. Chyba coś wpadło mi do oka.

Zostawił Ganseya. Ten zaś postanowił dołączyć do świętujących. Zszedł do podnóża schodów, gdzie uczniowie trzymali kruki. Stado wykonano z papieru, folii aluminiowej, drewna, masy papierowej i mosiądzu. Niektóre z ptaków latały dzięki brzuchom z balonów helowych. Niektóre szybowały jak latawce. Jeszcze inne wznosiły się na podpórkach, a osobne pręty pozwalały trzepotać skrzydłami.

Noah tego dokonał. Noah to *wyśnił*.

– Trzymaj mojego ptaszka – powiedział pierwszoklasista, podając mu matowocznego kruka wykonanego z papieru gazetowego rozpiętego na drewnianej ramie.

Gansey zszedł w tłum. Tłum Noaha. W lepszym świecie to Noah wygłaszałyby przemowę na dziesiątą rocznicę ustanowienia święta.

Na poziomie wzroku widać było wyłącznie patyki, ręce, białe koszulki, linki i drążki. Gdyby jednak spojrzeć przez zmrużone oczy na zbyt jaskrawe niebo, patyki i uczniowie znikali, cały obszar wypełniał się zaś krukami. Wznosiły się, atakowały, nurkowały i skręcały, trzepotały i szybowały.

Było bardzo gorąco.

Gansey poczuł przesunięcie czasu. Bardzo nieznaczne. Po prostu ten widok był tak niezwykły, zupełnie jak coś z jego innego życia, prawdziwego życia. Te ptaki były kuzynami

wyśnionych istot Ronana. Wydawało się nieuczciwe, że Noah zmarł, a Gansey nie. Zanim Noah został zamordowany, żył. Gansey natomiast odliczał czas.

– Jakie właściwie są zasady tej bitwy? – spytał przez ramię.

– Na wojnie nie ma żadnych zasad, oprócz tego, by pozostać przy życiu.

Gansey obrócił się. Przy jego twarzy zatrzepotały skrzydła. Otaczały go ręce i plecy. Nie potrafił stwierdzić, kto mu odpowiedział, a skoro nie widział twarzy, nie był pewien, czy ktoś w ogóle się odezwał.

Czas szarpnął go za duszę.

Orkiestra Aglionby zaczęła grać. Pierwszych kilka taktów tworzyło harmonijny układ dźwięków, lecz nagle jeden z instrumentów dętych źle zagrał pierwszą nutę kolejnej frazy. W tym samym momencie obok twarzy Ganseya przeleciał owad, na tyle blisko, że go poczuł. Nagle wszystko przesunęło się w bok. Słońce płonęło bielą. Kruki trzepotały wokół Ganseya, gdy obracał się, szukając Adama, Childa czy czegokolwiek, co nie byłoby białą koszulką, dłonią, miotającym się ptakiem. Wzrok przemknął mu na zegarek. Pokazywał 6.21.

Gdy umarł, było gorąco.

Znajdował się w lesie złożonym z drewnianych patyków i ptaków. Instrumenty dęte pomrukiwały, flety piszczały. Skrzydełka brzęczały, szemrały i podrygiwały wokół niego. W uszach czuł szerszenie.

„Nie ma ich tam”.

Jednak ten wielki owad znów przemknął obok, krążył dookoła.

Minęły lata, odkąd Malory został zmuszony do przerwania wycieczki w połowie i czekał, podczas gdy Gansey padł na kolana, zasłonił dłońmi uszy, drżał, umierał.

Ciężko pracował, by się od tego oddalić.

„Nie ma ich tam. Jesteś na Dniu Kruka. Później będziesz jeść kanapki. Odpalisz camaro po kablu z czyjegoś samochodu. Pojedziesz na Fox Way 300. Opowiesz Blue o swoim dniu i...”.

Owady łaskotały go w nosie, poruszały delikatnie jego włosami, kotłowały się. Pot spływał mu po plecach. Muzyka szemrała. Uczniowie stali się zjawami ocierającymi się o niego. Kolana zaczęły mu się załamywać, pozwolił im.

Nie mógł przeżyć tu na nowo swojej śmierci. Nie teraz, nie gdy wszyscy pamiętaliby to na świeżo podczas zbiórki dobroczynnej – „Czy słyszeliście, że Gansey III miał jakiś atak podczas Dnia Kruka? Pani Gansey, czy moglibyśmy zamienić parę słów na temat pani syna?” – nie mógł pozwolić, by to on stał się głównym tematem.

Wymykał mu się jednak czas, on sam się wymykał. Przez serce płynęła mu czarna, czarna krew.

– Ganseystary.

Gansey nie potrafił skupić się na słowach. Stał przed nim Henry Cheng składający się wyłącznie z włosów i uśmiechu, który wpatrywał się w niego intensywnie. Wziął od Ganseya kruka, a zamiast tego wcisnął mu w dłoń coś zimnego. Zimnego i stającego się coraz zimniejszym.

– Kiedyś przyniosłeś mi kawę – oznajmił Henry. – Gdy traciłem zmysły. Uznajmy, że odwzajemniam przysługę.

Gansey trzymał plastikowy kubek wody z lodem. Nie powinien nic dać, ale jednak z jakiegoś powodu zadziałał. Może chodziło o drastyczną różnicę temperatur, zwykły dźwięk zderzających się ze sobą lodowych kostek albo kontakt wzrokowy. Dookoła wciąż kręcili się uczniowie, jednak znów byli tylko uczniami. Rozbrzmiewająca muzyka znów dochodziła wyłącznie od szkolnej orkiestry grającej nowy utwór

w niezwykle gorący dzień.

– O, wróciłeś – odezwał się Henry. – Richard, dziś wieczorem impreza w togach w Litchfield House. Przyrowadź swoich chłopców i dziecięcą narzeczoną.

I zniknął, a w miejscu, w którym stał, trzepotały kruki.

Adamowi wydawało się, że coś wpadło mu do oka. Zaczął to czuć, gdy stał w przegrzanym teatrze. Początkowo uznał to nie za podrażnienie, a za objaw zmęczenia, jakby zbyt długo wpatrywał się w ekran. Gdyby się nie nasiliło, wytrzymałby do końca pobytu w szkole, ale zaczął mu się lekko rozmywać obraz. Samo w sobie również by go to nie niepokoiło, ale skoro jednocześnie *czuł* oko, zdecydował, że powinien się temu przyjrzeć.

Zamiast udać się do któregoś z budynków lekcyjnych, podążył do bocznych drzwi teatru. Pod sceną znajdowała się łazienka i to właśnie do niej szedł, mijając wielonogie zwierzęta wykonane z poustawianych na sobie starych krzeseł, dziwne sylwetki leśnych dekoracji oraz niezmierzone oceany przykrywających wszystko czarnych zasłon. Korytarz był ciemny i wąski, koszmarne ściany pokrywała łuszcząca się zielona farba, zaś Adamowi, idącemu tamtędy z okiem zasłoniętym dłonią, wydawało się, że przejście ulega zniekształceniu. Znów przypomniawszy sobie obraz poruszającej się samodzielnie dłoni.

Uznał, że musi popracować z Cabeswater i ustalić, co dzieje się z tamtym drzewem.

Światło w łazience było wyłączone. Nie stanowiło to żadnej przeszkody, ponieważ włącznik znajdował się tuż za drzwiami, ale mimo to Adam nie chciał wkładać dłoni w czerń, by go namacać. Stał, czując, jak serce bije mu odrobinę za szybko, i obejrzał się za siebie.

Korytarz był wąski, ciemny i nieruchomy w nieprzyjemnym świetle jarzeniówek. Cieni nie dawało się odróżnić od zasłon. Wszystko pokrywały wielkie połacie czerni.

„Włącz światło”, pomyślał Adam.

Wolną dłonią, tą, którą nie zakrywał oka, sięgnął za drzwi łazienki.

Zrobił to szybko, palce przeszły przez chłód, przez mrok, dotknęły czegoś...

Nie, to tylko pnące Cableswater obecne wyłącznie w jego głowie. Odtrzącił je i włączył światło.

Łazienka była pusta.

Oczywiście, że była pusta. Oczywiście, że była pusta. Oczywiście, że była pusta.

Dwie stare kabiny z pomalowanej na zielono dykty, zdecydowanie niespełniające norm dostępności dla osób niepełnosprawnych, zdecydowanie niespełniające norm higienicznych. Pisuar. Umywalka z żółtym osadem wokół odpływu. Lustro.

Adam stanął przed zwierciadłem, wciąż zakrywając oko i spoglądając na swą wychudzoną twarz. Niemal bezbarwna brew marszczyła się w wyrazie zmartwienia. Opuścił dłoń i znów na siebie popatrzył. Wokół lewego oka nie zauważył podrażnienia. Nie łzawiło. Było...

Zmrużył oczy. Czy lekko zezował? Tak to się nazywało, gdy oczy nie kierowały się w tę samą stronę, prawda?

Zamrugął.

Nie, to tylko złudzenie wywołane tym zimnym zielonym światłem. Nachylił się bliżej, by sprawdzić, czy w kąciuku jest zaczerwienienie.

Jednak zezował.

Adam zamrugął. Nie zezował. Zamrugął. Zezował. Czuł się jak w jednym z tych złych snów, które nie były koszmarami, gdy na przykład próbuje się założyć skarpetki i stwierdza się, że nagle nie pasują na stopę.

Zobaczył to. Jego lewe oko powoli obróciło się w dół, by spoglądać na podłogę, straciło synchronizację z prawym.

Zamazął mu się wzrok, po czym znów skupił, gdy prawe oko przejęło kontrolę. Adam oddychał nierówno. Stracił już słuch w jednym uchu. Nie mógł do tego utracić wzroku w jednym oku. Czy to też sprawka ojca? Opóźniony efekt uderzenia w głowę?

Oko zakołysało się lekko, jak szklana kulka ślizgająca się w naczyniu z wodą. Żołądek mu się skręcił ze zgrozy.

Wydawało mu się, że w odbiciu w lustrze zmienił się cień jednej z kabin.

Obrócił się, by spojrzeć. Nic.

„Cabeswater, jesteś ze mną?”

Spojrzał z powrotem w zwierciadło. Teraz lewe oko przemieszczało się powoli dookoła, w prawo i w lewo, w górę i w dół.

Adam poczuł duszność w piersi.

Oko spojrzało na niego.

Adam odskoczył od lustra, zakrywając oko dłonią. Wpadł łopatką na przeciwną ścianę i stał tam, łapczywie chwytając powietrze, przerażony, przerażony, przerażony, ponieważ właściwie potrzebował pomocy. Kogo mógł o nią poprosić?

Cień nad kabiną *naprawdę* się zmieniał. Przechodził z kwadratowego w trójkątny, bo – o Boże – drzwi kabiny otwierały się.

Długi korytarz prowadzący na zewnątrz wydawał się niczym z horroru. Zza drzwi kabiny wylewała się czerń.

– Cabeswater, potrzebuję cię – powiedział Adam.

Mrok rozlewał się po podłodze.

Adam mógł myśleć tylko o tym, że nie może pozwolić się dotknąć. Wizja, że to coś zetknęłoby się z jego skórą, okazała się

gorsza niż perspektywa nieużytecznego oka.

– Cabeswater. Zapewnij mi bezpieczeństwo. *Cabeswater!*

Rozległ się dźwięk przypominający strzał – Adam odskoczył – gdy pękło lustro. Na jego przeciwną stronę skądś świeciło słońce. Liście przylegały do szkła, jakby było oknem. Las szeptał i syczał w głuchym uchu Adama, ponaglaając go, by pomógł mu odnaleźć korytarz.

Zalało go poczucie wdzięczności, równie trudne do zniesienia jak strach. Gdyby coś mu się teraz stało, przynajmniej nie byłby sam.

„Woda – nalegało Cabeswater. – Wodawodawoda”.

Adam rzucił się do umywalki i przekręcił kran. Poleciała woda pachnąca deszczem i kamieniami. Włożył rękę w strumień, by zamknąć odpływ. Atramentowa czerń sączyła się ku niemu, znalazła się już centymetry od jego butów.

„Nie pozwól się dotknąć...”.

Wspiął się na krawędź umywalki, akurat gdy czerń dotarła do ściany. Adam wiedział, że byłaby zdolna do wspinaczki, jednak woda wreszcie przelała się przez zatkaną umywalkę i popłynęła ku podłodze. Bezgłośna i bezbarwna, zalała mrok i pomknęła ku kratce odpływowej. Pozostawiła za sobą jedynie blady, zwykły beton.

Choć czerń już zniknęła, Adam pozwolił, by woda przelewała się jeszcze przez minutę i moczyła mu buty. Dopiero wtedy zsunął się z umywalki, zaczerpnął pachnącej ziemią wody w dłoń i chlupnął nią sobie na twarz, na lewe oko. I znów, i znów, i znów, i znów, dopóki oko nie wydawało się już zmęczone. Dopóki zupełnie przestał je *czuć*. Gdy spojrzął w lustro, znów było jego okiem. W jego twarzy. Nie pozostał ślad po innym słońcu albo zezującej tęczę. Krople ze strumieni Cabeswater przykleiły się Adamowi do rzęs. Las

pomrukiwał i jęczał, pnącza wiły się przez Adama, cętki światła połyskiwały mu za oczyma, kamienie napierały na wewnętrzne strony dłoni.

Cabeswater nie spieszyło się z przyjściem mu na pomoc. Za ledwie kilka tygodni temu spadła na niego sterta dachówek i wówczas las natychmiast pojawił się, by go ocalić. Gdyby tamto wydarzenie miało miejsce teraz, zginąłby.

Las szeptał do niego w swym języku, po równi składającym się z obrazów i słów, wyjaśniając mu, dlaczego działał tak wolno.

Coś atakowało ich oboje.

Jak wskazała już Maura, zawieszenie nie oznaczało wakacji, więc Blue jak zwykle poszła na popołudniową zmianę do „U Nina”. Choć na zewnątrz prażyło słońce, to w restauracji panował dziwny półmrok, efekt chmur burzowych zaciemniających zachodni horyzont. Pod stolikami o metalowych nogach zalegały szare, rozmyte cienie. Trudno było stwierdzić, czy jest wystarczająco ciemno, aby włączyć lampy, czy jeszcze nie. Decyzja mogła poczekać, nie było żadnych klientów.

Nie mając dla mózgu innych zajęć poza wymiataniem parmezanu z kątów sali, Blue pomyślała o Ganseyu zapraszającym ją na wieczorną imprezę w togach. Ku jej zaskoczeniu matka nalegała, by poszła. Blue odparła, że impreza w togach kłóci się ze wszystkimi jej zasadami. Matka stwierdziła na to: „Z chłopcami z prywatnej szkoły? Z wykorzystywaniem przypadkowych kawałków materiału jako stroju? Przecież to wszystko teraz twoja codzienność”.

Szu, szu. Blue zamiatała agresywnie. Czuła, że zmierza w kierunku samoświadomości, i nie była pewna, czy jej się to podoba.

W kuchni menadżer zmiany chichotał. Pozbawiona harmonii, licha muzyka zmagala się z elektryczną gitarą grającą nad głowami. Wraz z kucharzami oglądał teledyski na swoim telefonie. Rozbrzmiał głośny brzęk oznaczający otwarcie drzwi restauracji. Ku zaskoczeniu Blue do środka wszedł Adam, ostrożnie rozglądając się po pustych stolikach. Jego mundurek wydawał się dziwnie sponiewierany: spodnie pogniecione i zabłocone, białą koszula pobrużdżona i miejscami wilgotna.

– Nie miałam zadzwonić do ciebie później? – spytała Blue.

Przyjrzała się jego strojowi, który zazwyczaj był nieskazitelny. –
Dobrze się czujesz?

Adam usiadł i ostrożnie dotknął lewego oka.

– Przypomniałem sobie, że po szkole mam ciężary i odkrycia, a nie chciałem, żebyśmy się rozminęli. Uhm, dodatkowo zajęcia z nauk fizycznych i metodologii naukowej.

Blue zaprowadziła miotłę do jego stolika.

– Nie odpowiedziałeś, czy dobrze się czujesz.

Machnął z irytacją palcami w stronę jednej z mokrych plam na rękawie.

– Cabeswater. Coś się z nim dzieje. Sam nie wiem. Muszę z nim popracować. Chyba ktoś musi mnie przypilnować. Co robisz dziś wieczorem?

– Mama mówi, że idę na imprezę w togach. A ty?

– Nie wybieram się na imprezę u Henry’ego Chenga – odparł ociekającym pogardą głosem Adam.

Henry Cheng. Sytuacja zaczęła mieć odrobinę więcej sensu. W diagramie Venna, w którym jeden ze zbiorów oznaczony było słowami „impreza w togach”, zaś drugi „Henry Cheng”, Gansey mógł zostać ich częścią wspólną. Mieszane uczucia Blue powróciły z pełną siłą.

– O co właściwie chodzi między tobą a Chengiem? I czy chcesz pizzę? Ktoś złożył błędne zamówienie i mamy jedną na zbyciu.

– Widziałeś go. Nie mam na to czasu. I owszem, poproszę.

Przyniosła pizzę i możliwie uprzejmie siedziała naprzeciwko Adama, gdy ją pochłaniał. Prawdę mówiąc, dopóki nie przeszedł przez drzwi, nie pamiętała, że umówili się na rozmowę o Ganseyu i Glendowerze. Po łaźienkowych pogawędkach z rodziną już trochę brakowało jej pomysłów.

– Powinam ci powiedzieć, że tak naprawdę nie przychodzi

mi nic do głowy w związku z Ganseyem, nie licząc odnalezienia Glendowera – przyznała. – I nie mam pojęcia, jak się teraz do tego zabrać.

– Sam nie miałem dziś zbyt wiele czasu, by o tym pomyśleć, ponieważ... – Wskazał znów swój pognieciony mundurek, choć nie wiedziała, czy chodzi mu o Cableswater, czy o szkołę. – A zatem też nie mam pomysłów, za to mam pytanie. Czy sądzisz, że Gansey mógłby *rozkazać* Glendowerowi, aby się pojawił?

Było w tym pytaniu coś, co niemal wywróciło Blue żołądek do góry dnem. Owszem, zastanawiała się nad Ganseyową zdolnością kierowania ludźmi, tylko że jego niezwykle władczy głos był tak blisko powiązany z jego zwyczajnym apodyktycznym głosem, że czasami miała kłopoty z przekonaniem samej siebie, iż sobie tego nie wyobraża. Gdy zaś przyznała, że istotnie coś w tym było – na przykład, kiedy wyraźnie za sprawą magicznych umiejętności rozproszył fałszywe Blue podczas ich ostatniej wizyty w Cableswater – wciąż trudno jej było rozpatrywać to w aspekcie magii. Świadomość tego umykała na bok, udawała normalność. Gdy jednak teraz bardziej zastanowiła się nad tym zjawiskiem, starając się ogarnąć je jak najbardziej całościowo, uświadomiła sobie, że w sporej mierze przypominało pojawianie się i znikanie Noaha albo senną logikę Aurory wyłaniającej się ze skały. Jej umysł ze sporą radością pozwalał jej wierzyć, że nie było w tym nic magicznego. Pospiesznie przepisywał wrażenia, przekonując ją, że po prostu Gansey zachowywał się jak Gansey.

– Nie wiem – przyznała Blue. – Gdyby mógł, czy już by tego nie spróbował?

– Szczerze... – zaczął Adam, lecz przerwał. Jego twarz zmieniła wyraz. – Idziesz na wieczorną imprezę?

– Chyba tak. – Za późno zrozumiała, że pytanie oznaczało więcej niż tylko słowa, które usłyszała. – Jak już wspominałam, mama mówiła mi, żebym poszła, więc...

– Z Ganseyem.

– No chyba tak. I z Ronanem, jeśli idzie.

– Ronan nie pójdzie do Henry’ego.

– A więc raczej tak, z Ganseyem – rzekła ostrożnie Blue.

Adam zmarszczył brwi, wpatrując się w brzeg stolika. Zastanawiał się nad czymś, ważył słowa, sprawdzał je przed wypowiedzeniem.

– Wiesz, gdy poznałem Ganseya, nie potrafiłem określić, dlaczego przyjaźnił się z kimś takim jak Ronan. Gansey zawsze przychodził na lekcje, zawsze odrabiał prace domowe, zawsze uwielbiali go nauczyciele. Zaś Ronan był niczym niekończący się zawał serca. Wiedziałem, że nie mogłem narzekać, bo nie pojawiłem się pierwszy. Ronan był pierwszy. Pewnego dnia zrobił jednak coś głupiego. Nie pamiętam nawet, o co chodziło, ale po prostu nie mogłem tego *znieść*. I spytałem Ganseya, dlaczego się z nim przyjaźni, skoro cały czas jest takim dupkiem. Gansey odpowiedział mi wtedy, że Ronan zawsze mówił prawdę, a prawda jest najważniejsza.

Nietrudno było wyobrazić sobie Ganseya mówiącego coś takiego.

Adam podniósł głowę i przyszpilił Blue spojrzeniem. Na zewnątrz wiatr ciskał liśćmi w szyby.

– Właśnie dlatego chciałbym wiedzieć, dlaczego nie chcecie mi powiedzieć prawdy o sobie.

W tym momencie jej żołądek obrócił się w drugą stronę. O sobie. O Ganseyu i o niej. O niej i o Ganseyu. Blue dziesiątki razy wyobrażała sobie tę rozmowę. Nieskończone warianty tego, jak wywoływała temat, jak on reagował, jak to się kończyło.

Potrafiła to zrobić. Była gotowa.

Nie, nie była.

– O nas? – spytała.

Nieprzekonująco.

Jeśli to możliwe, jego twarz wyrażała jeszcze większą pogardę niż wobec Henry'ego Chenga.

– Czy wiesz, co jest najbardziej bolesne? To, co w związku z tym myślicie o mnie. Nie dajcie mi nawet szansy, abym to zaaprobował. Tacy byliście pewni, że zeżre mnie zazdrość. Właśnie tak mnie postrzegacie?

Mylił się. Gdy jednak podejmowali decyzję, by mu nie mówić, stanowił zdecydowanie bardziej kruchą wersję samego siebie. Wypowiedzenie tego na głos wydawało się jednak nie w porządku, spróbowała więc inaczej.

– Ty... *Sytuacja*... Było wtedy inaczej.

– „Wtedy”? Od jak dawna to trwa?

– „Trwa” to niezbyt ściśle określenie – rzekła Blue.

Związek wtłoczony w kradzione spojrzenia i sekretne rozmowy telefoniczne tak bardzo nie dorastał do tego, czego pragnęła, że nie chciała nawet uważać go za chodzenie ze sobą. – I to nie jest jak z rozpoczęciem nowej pracy. Data początkowa taka i taka! Nie potrafię ci powiedzieć, od jak dawna to trwa.

– Właśnie powiedziałaś, że „trwa”.

Umysłowy stan Blue wspiął się na szczyt fali oddzielającej empatię od frustracji.

– Nie łap mnie za słowa. Przepraszam. Nie miało nic z tego wyjść, a jednak wyszło, i wtedy nie wiedziałam już, jak ci powiedzieć. Nie chciałam ryzykować, że popsuję naszą przyjaźń.

– Zatem nawet jeśli mogłem podejść do tego ze zrozumieniem, jakaś część ciebie uznała, że wypadnę tak

gównianie w ciągłych porównaniach z Ganseyem, iż lepiej było po prostu skłamać?

– *Nie skłamałam.*

– Jasne, *Ronanie*. Kłamstwo przez zatajenie to wciąż kłamstwo – stwierdził Adam.

Uśmiechał się lekko, lecz w sposób świadczący raczej o rozdrażnieniu niż rozbawieniu.

Na zewnątrz jakaś para przystanęła przy drzwiach, by przeczytać zawieszony na nich menu. Blue i Adam czekali w pełnym zirytowania milczeniu, dopóki zakochani nie ruszyli dalej. Parrish otworzył dłonie, jakby spodziewał się, że Blue umieści w nich satysfakcjonujące wyjaśnienie.

Sprawiedliwa część Blue była w pełni świadoma, że się mylił i że to ona miała pełne prawo czuć się zraniona, jednak jej dumna część wciąż wołała wypominać, jak się zachowywał, gdy ona i Gansey pierwszy raz zdali sobie sprawę z uczuć, jakie względem siebie żywili. Z pewnym wysiłkiem zdecydowała się na rozwiązanie pośrednie.

– To nie było tak wyrachowane, jak próbujesz to przedstawić.

Adam je odrzucił.

– *Ale widziałem*, jak próbowaliście to ukrywać. To szaleństwo. W końcu cały czas tam byłem. Przebywałem z wami codziennie. Myśleliście, że nic nie widziałem. On jest moim najlepszym przyjacielem. Sądzisz, że go nie znam?

– A więc dlaczego nie toczysz tej rozmowy z nim? Przecież ma w tym tak równy udział jak ja.

Rozłożył ręce, jakby również był zaskoczony kierunkiem, w którym podążała rozmowa.

– Ponieważ przyszedłem tu, by zastanowić się z tobą, jak uratować go przed śmiercią. A później dowiedziałem się, że

idziecie razem na imprezę, i nie mogłem uwierzyć, jaka byłaś nieodpowiedzialna.

Teraz to Blue rozłożyła ręce. Zrobiła to zdecydowanie mniej eleganckim gestem niż wcześniej Adam, bardziej jakby odtworzyć proces zaciskania pięści w odwrotną stronę.

– *Nieodpowiedzialna?* Słucham?

– Czy on wie o twojej klątwie?

Poczuła, że rumienia się jej policzki.

– Nie.

– Nie uznałaś za istotne, że facet, który ma niedługo umrzeć, *chodzi z dziewczyną*, która podobno ma zabić pocałunkiem swą prawdziwą miłość?

Była zbyt rozzłoszczona, by zareagować inaczej niż tylko pokręceniem głową. W odpowiedzi uniósł jedynie brew, co zwiększyło temperaturę krwi Blue o kolejny stopień.

– Potrafię się kontrolować, miło, że pytasz – warknęła.

– W każdych okolicznościach? Upadniesz na niego, zostaniesz do tego skłoniona, coś się popsuje z magią w Cableswater... Możesz zagwarantować, że tak się nie stanie? Nie sądzę.

Teraz zdecydowanie przepłynęła na fali w kierunku kipiącej złości.

– Wiesz co? Żyję z tym cholerstwem znacznie dłużej niż ty i naprawdę nie uważam, że możesz tu przychodzić i mówić mi, co mam z tym robić...

– Mogę, jeśli chodzi o *mojego najlepszego przyjaciela*.

– *Mojego również!*

– Gdyby nim był, nie byłabyś tak cholernie samolubna.

– Gdyby był *twoim*, cieszyłbyś się, że kogoś ma.

– Jak mogłem się cieszyć, *skoro miałem o tym nie wiedzieć!?*

Blue wstała.

– To naprawdę niesłychane, że twoim zdaniem chodzi w tym wszystkim o ciebie, a nie o niego.

Adam również się podniósł.

– To zabawne, bo właśnie zamierzałem powiedzieć to samo.

Stali naprzeciwko siebie wściekli. Blue czuła, jak jadowite słowa kipią w mrocznym korytarzu niczym czarna żywica drzewa z Caveswater. Nie zamierzała ich wypowiadać. Zdecydowanie nie. Adam zacisnął mocno usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale ostatecznie zgarnął jedynie kluczyki ze stolika i wyszedł z restauracji.

Na zewnątrz zagrzmiał piorun. Nie widać było słońca, wiatr rozciągnął chmury po całym niebie. Zapowiadała się szalona noc.

Wiele lat przed tym popołudniem wieszczka powiedziała Maurze Sargent, że jest „łatwo ferującą wyroki, lecz uzdolnioną jasnowidzką z talentem do podejmowania złych decyzji”. Obie stały na poboczu drogi dojazdowej na autostradę międzystanową I-64, jakieś trzydzieści kilometrów od Charleston w Wirginii Zachodniej. Miały na grzbietach plecaki i trzymały wyciągnięte kciuki. Maura jechała autostopem z dalszego zachodu. Druga jasnowidzka z południa. Nie znały się. Jeszcze.

– Uznam to za komplement – odparła Maura.

– Szokujące – parsknęła druga, jednak w taki sposób, że zabrzmiało to jak kolejny komplement.

Była twardsza niż Maura, mniej wyrozumiała, z hartem ducha już we krwi. Maura od razu ją polubiła.

– Dokąd jedziesz? – spytała Maura.

Zbliżał się samochód i obie uniosły kciuki. Pojazd zniknął na międzystanowej. Opuściły kciuki. Nie zniechęciły się. W końcu było zielone, bujne lato, takie, kiedy wszystko wydaje się możliwe.

– Chyba na wschód. A ty?

– Tak samo. Nogi mnie tam prowadzą.

– Moim już nic się nie chce – stwierdziła druga wieszczka, krzywiąc się. – Jak daleko na wschód?

– Pewnie dowiem się, gdy już dotrę na miejsce – odparła w zadumie Maura. – Możemy podróżować razem.

Zorganizujemy się po przyjeździe.

Druga uniosła porozumiewawczo brew.

– Wymiana sztuczek? – zapytała.

– Kształcenie ustawiczne.

Roześmiały się i dzięki temu wiedziały, że się dogadają.

Nadjechał kolejny samochód. Wystawiły kciuki. Oddalił się.

Trwało popołudnie.

– Co to? – spytała druga.

Na końcu drogi dojazdowej pojawiła się uluda. Dopiero gdy przyjrzały się uważniej, stwierdziły, że to rzeczywista osoba zachowująca się jak nierzeczywista. Szła w ich stronę samym środkiem asfaltu, trzymając w dłoni wypchaną torbę w kształcie motyla. Miała na sobie wysokie, staromodne buty zasnurowane wyżej, niż kończyła się jej nietypowa suknia. Włosy wyglądały jak jasna spieniona chmura, a skóra była niczym kreda. Za wyjątkiem czarnych oczu wszystko w niej było równie blade, jak w przypadku jasnowidzki stojącej obok Maury – ciemne.

Maura oraz druga wieszczka wpatrywały się w trzecią osobę wspinającą się po drodze dojazdowej do autostrady i najwyraźniej nieprzejmującą się perspektywą nadjeżdżających pojazdów zmechanizowanych.

Gdy tylko blada młoda kobieta niemal do nich dotarła, stary cadillac wyjechał z za zakrętu na drogę dojazdową. Nowo przybyła miała mnóstwo czasu, by odskoczyć, nie zrobiła tego jednak. Zamiast tego przystanęła i pociągnęła za suwak motylej torby, w tym czasie hamulce cadillaca zaskrzypiały przeraźliwie. Samochód zatrzymał się ledwie centymetry od jej nóg.

Persefona spojrzała na Maurę i Callę.

– Myślę, że zaraz się przekonacie – powiedziała im – iż ta pani nas podwiezie.

Od spotkania w Wirginii Zachodniej minęło dwadzieścia lat, zaś Maura wciąż była łatwo ferującą wyroki, lecz uzdolnioną jasnowidzką z talentem do podejmowania złych decyzji.

W międzyczasie przyzwyczała się jednak do tego, że stanowiła

część niepodzielnej trójgłowej istoty wspólnie dokonującej ustaleń. Pozwoliły sobie sądzić, że nigdy się to nie zmieni.

Tym trudniej było widzieć wszystko wyraźnie bez Persefony.

– Coś wychwyciłaś? – spytał pan Szary.

– Przejeżdż jeszcze raz dookoła – odparła Maura.

Ruszyli z powrotem przez Henriettę, a światła sklepów migotały w rytmie niewidocznej linii mocy. Deszcz przestał padać, lecz nadszedł wieczór i pan Szary włączył światła, po czym na powrót splótł z nią palce. Służył za kierowcę, gdy Maura próbowała skonkretyzować coraz silniejsze przeczucie. Poczula je tego poranka po przebudzeniu, złowieszcze wrażenie jak po wyrwaniu się ze złego snu. Zamiast słabnąć, z biegiem dnia jedynie coraz bardziej się skupiało i koncentrowało na Blue, Fox Way oraz podkradającej się ciemności. Maura czuła się, jakby miała zemdleć.

Poza tym bolało ją oko.

Robiła to już od tak dawna, by wiedzieć, że nic się z nim nie dzieje. Działo się natomiast z okiem kogoś innego w jakimś punkcie czasu, a Maura po prostu była dostrojona do odpowiedniej stacji. Irytowało ją to, ale nie stanowiło sedna problemu, którym pozostawało przeczucie. Przy podążaniu za złymi przeczuciami najtrudniejsze było zawsze określenie, czy posuwamy się w kierunku kłopotów, by im zaradzić, czy też sami zamierzamy je stworzyć. Byłoby prościej, gdyby wciąż stanowiły trójkę. Zwykle Maura coś rozpoczynała, Calla to urzeczywistniała, zaś Persefona posyłała w eter. Gdy zostały dwie, nic nie działało już tak samo.

– I może jeszcze jedno kółko – powiedziała Maura panu Szaremu.

Wyczuwała jego myśli. Poezja, bohaterowie, romanse

i śmierć. Jakiś wiersz o feniksie. Był jej jak dotąd najgorszą decyzją, ale nie mogła zmusić się, by nie podejmować jej na nowo raz za razem.

– Nie masz nic przeciwko, żebym mówił? – spytał. – Czy to wszystko zepsuje?

– Nie mam szczęścia. Możesz mówić. O czym myślisz? O ptakach podnoszących się z popiołów?

Zerknął na nią i skinął z uznaniem głową, ona zaś uśmiechnęła się do niego chytrze. Była to zaledwie sztuczka z bawialni, najprostsze, co potrafiła – wyłowić prąd myślowy z niestrzeżonego i przychylnego umysłu – ale i tak miło było zostać docenioną.

– Sporo myślałem o Adamie Parrishu i jego wesołej kompanii – przyznał pan Szary. – Oraz o niebezpiecznym świecie, jaki przemierzają.

– Dość dziwnie to ujmujesz. Ja bym raczej mówiła o Richardzie Ganseyu i jego wesołej kompanii.

Pochylił głowę, jakby dostrzegał również jej punkt widzenia, nawet jeśli go nie podzielał.

– Zastanawiałem się właśnie, jak wielkie zagrożenie odziedziczyli. Opuszczenie Henrietty przez Colina Greenmantle'a wcale nie sprawiło, że zrobiło się w niej bezpieczniej, wręcz przeciwnie.

– Ponieważ odstraszał innych.

– Właśnie.

– I teraz sądzisz, że pojawią się tu ci inni, nawet jeśli nikt tu nic nie sprzedaje? Dlaczego wciąż mieliby być zainteresowani?

Przejeżdżali obok sądu i pan Szary wskazał bzyzącą latarnię. Przemknęły nad nią trzy cienie nierzucane przez nic, co Maura by dostrzegała.

– Henrietta jest jednym z tych miejsc, które wyglądają na

ponadnaturalne nawet z odległości. Wiecznie będą tu zaglądać ludzie z branży i węszyć w poszukiwaniu rzeczy, które mogą być tego przyczyną bądź skutkiem.

– Co stanowi niebezpieczeństwo dla wesołej kompanii, ponieważ naprawdę można tu coś znaleźć? Cabeswater?

Pan Szary znów skłonił głowę.

– Yhm. Oraz posiadłość Lynchów. Ja też nie zapomniałem o swoim udziale.

Podobnie jak Maura.

– Nie możesz tego cofnąć.

– Nie. Ale... – Pauza w tym punkcie rozmowy świadczyła, że Szaremu Mężczyźnie odrastało serce. Szkoda, że jego załazek musiał wyłonić się na tej samej spalonej ziemi, która je wcześniej zabiła. – Co dostrzegasz dla mnie? Zostanę tu? – Gdy nie odpowiadała, naciskał dalej: – Czy umrę?

Zdjęła dłoń z jego ręki.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– *Simle þreora sum þinga gehwylce, ær his tid aga, to tweon weorþeð; adl oþþe ylðo oþþe ecghete fægum fromweardum feorh oðþringeð*¹. – Westchnął, co więcej powiedziało Maurze o stanie jego umysłu niż nieprzetłumaczona staroangielska poezja. – Prościej było odróżnić bohatera od złooczyńcy, gdy stawkę stanowiły jedynie życie i śmierć. Wszystko, co pomiędzy, stanowi tylko niedogodność².

– Witaj w życiu codziennym drugiej połowy – rzekła. Czując nagłą czystość myśli, naszkicowała w powietrzu zakreślony symbol. – Jaka firma ma takie logo?

– Disney.

– Cha, cha.

– Trevon-Bass. To niedaleko stąd.

– Czy w pobliżu jest gospodarstwo mleczne?

– Owszem – odparł Szary Mężczyzna. – Jest.

Zawrócił w sposób bezpieczny, lecz niezgodny z prawem. Po kilku minutach minęli spłowiały betonowy monolit fabryki Trevon-Bass, skręcili w bok, a później na drogę z obu stron ograniczoną drewnianym ogrodzeniem. Maura poczuła, że zalewa ją poczucie słuszności, zupełnie jakby sięgnęła ku przyjemnemu wspomnieniu i odnalazła je w tym samym miejscu, w którym zostawiła.

– Skąd wiedziałeś, że tu jest? – spytała.

– Byłem tu już wcześniej – odrzekł nieznacznie złowieszczym tonem pan Szary.

– Mam nadzieję, że nie zabiłeś tu nikogo.

– Nie. Ale trzymałem tu komuś lufę przy głowie, nie kryjąc się. – Ledwo widoczny szyld gospodarstwa witał ich na posiadłości wakacyjnej. Droga kończyła się żwirowym podjazdem. Światła samochodu ukazały stodołę przerobioną najwyraźniej na stylowy dom mieszkalny. – To tutaj przebywali Greenmantle'owie podczas bytności w mieście. Mleczarnia leży tam.

Maura otwierała już drzwi auta.

– Sądzisz, że możemy wejść do środka?

– Ta, ale zalecałbym zwięzłość.

Boczne drzwi nie były zamknięte na klucz. Jasnowidzące zdolności Maury oraz jej serce wyczuwały, że pan Szary był spięty i czujny. W pobliżu jakieś krowy ryczały i stękały, po odgłosach wydawały się większe, niż zapewne w rzeczywistości były.

W środku wynajmowany dom okazał się bardzo ciemny, pełen cieni i pozbawiony narożników. Maura zamknęła oczy, pozwalając im dostosować się do idei zupełnej czerni. Nie bała się mroku ani przebywających w nim istot. Strach nie pasował

do jej zasad. W przeciwieństwie do prawości.

Chwyciła się jej teraz.

Otworzyła oczy i ominęła bryłę, która zapewne była sofą. Poczucie pewności zagrzmiało w niej silniej, gdy odnalazła schody i zaczęła po nich wchodzić. U góry trafiła do otwartej kuchni, słabo oświetlonej fioletowoszarym blaskiem dobiegającym przez wielkie nowe okna oraz zielononiebieskim od zegara na kuchence mikrofalowej.

Było nieprzyjemnie. Nie potrafiła stwierdzić, czy to wrażenie pochodziło z samego pomieszczenia, czy też ze wspomnień pana Szarego napierających na jej myśli. Ruszyła dalej.

Korytarz czarny jak atrament, bez okien, bez śladu światła. Coś więcej niż mrok.

Gdy weszła w niego ostrożnie, mrok przestał być mrokiem i zamiast tego stał się brakiem światła. Obydwa te stany odznaczają się sporym podobieństwem, które traci jednak znaczenie, gdy stoi się w jednym zamiast w drugim.

– Blue – wyszeptało coś Maurze do ucha.

Wszystkie jej zmysły były napięte do granic. Nie potrafiła stwierdzić, czy powinna iść dalej, czy też nie.

Pan Szary dotknął jej pleców.

Tyle że to nie był on. Musiała tylko nieznacznie obrócić głowę w prawo, by zdać sobie sprawę, że wciąż stał na skraju płynnej ciemności. Maura potrzebował chwili, by wyobrazić sobie wokół siebie ochronną skorupę. Teraz dostrzegła, że korytarz kończył się drzwiami. Choć po obu stronach znajdowały się również inne zamknięte drzwi, oczywistym źródłem były te na końcu.

Zerknęła na przełącznik światła obok pana Szarego. Pstryknął go.

Światła były niczym przegrane dyskusji, choć dysponuje się poprawną odpowiedzią. Powinny się włączyć. *Były* włączone. Gdy Maura spojrzała na żarówki, mogła stwierdzić obiektywnie, że działały.

Jednak korytarz wciąż nie został oświetlony.

Maura napotkała zmrużone oczy pana Szarego.

Bezszelestnie pokonali ostatnich kilka kroków, spychając przed siebie brak światła, po czym Maura uniosła dłoń nad klamkę. Wyglądała zwyczajnie, a więc tak, jak większość niebezpiecznych przedmiotów. Nie rzucała cienia na drzwi, ponieważ nie docierało do niej światło.

Maura sięgnęła po swą prawość i odnalazła grozę. Następnie sięgnęła poza nią i odnalazła odpowiedź.

Przekręciła klamkę i otworzyła drzwi.

Światła z korytarza przesączyły się mrocznie obok niej, ukazując dużą łazienkę. Obok wanny stała duża misa wróżebna. Trzy bezbarwne świece skapnęły aż za krawędź umywalki. „PIPER PIPER PIPER” napisano wspak na lustrze substancją wyglądającą zupełnie jak różowa szminka.

Na podłodze znajdowało się coś dużego, co poruszało się i drapało.

Maura kazała swojej dłoni odnaleźć włącznik światła. Dłoń wykonała polecenie.

Kształtem z podłogi było ciało. Nie, człowiek. Wił się jednak w sposób, do jakiego człowiek nie powinien być zdolny. Rozsunięte ramiona. Paznokcie drapiące kafelki. Nogi podrygujące, wierzgające. Z ust dobiegł nieludzki odgłos i wtedy Maura zrozumiała.

Ta osoba umierała.

Maura zaczęła, aż skończy, po czym odezwała się:

– Ty musisz być Noahem.

Calla również przez cały ten dzień miała uporczywe, nieprzyjemne przeczucie, jednak w przeciwieństwie do Maury tkwiła w biurze Akademii Aglionby, wykonując papierkową robotę i nie dysponując możliwością sprawdzenia, jakie jest źródło tych wrażeń. Wciąż jednak narastało, wypełniając jej umysł niczym czarny ból głowy, dopóki nie poddała się i spytała, czy może wyjść do domu godzinę wcześniej. Leżała twarzą do podłogi w pokoju na piętrze, który dzieliła z Jimi, gdy trzasnęły drzwi frontowe.

– Przeprowadziłam martwą istotę! – Z korytarza dobiegł wyraźnie głos Maury. – Anulujcie wszystkie spotkania! Odłóżcie telefony! Orlo, jeśli masz tu jakiegoś chłopaka, musi wyjść!

Calla wygrzebała się spod kołdry i podniosła pantofle, po czym zeszła po schodach. Dobroduszna choć wścibska Jimi dotkliwie uderzyła obfitym biodrem w stolik do szycia, spiesząc się, by sprawdzić, co się dzieje.

Obie zatrzymały się w połowie schodów.

Trzeba przyznać Calli, że pomyślała o upuszczeniu pantofli dopiero, gdy ujrzała Noaha Czernego stojącego obok Maury i pana Szarego.

„Noah Czerny” to bardzo ludzkie miano dla czegoś, co w oczach Calli nie wyglądało zbyt ludzko. Widziała już w życiu wielu żywych ludzi, a także sporo duchów, lecz czegoś takiego jeszcze nigdy. Tak rozłożona dusza nie powinna... Cóż, nie powinna w zasadzie już nic. Powinna stać się szczątkami zjawy zdolnej tylko do bezmyślnego nawiedzenia. Stuletnią wonią w korytarzu. Dreszczem wywoływanym wtedy, gdy ktoś stanie w konkretnym oknie.

Mimo to Calla miała teraz przed sobą pozostałości duszy, zaś w nich wciąż tkwił martwy dzieciak.

– Oj, kochanie – powiedziała pełna nagłego współczucia Jimi. – Biedactwo. Zaraz przyniosę ci trochę...

Zielarka Jimi zwykle potrafiła coś zaproponować na każdą chorobę, nawet śmiertelną.

– Trochę czego? – ponagliła ją Calla.

Jimi wydeła usta i zakołysała się lekko na piętach.

Wyraźnie była w kropce, lecz nie mogła stracić twarzy przed resztą. Poza tym posiadała upierdliwie dobre serce i stan Noaha niewątpliwie wzbudzał jej troskę.

– Mimozy – dokończyła triumfalnie, a Calla westchnęła z niechętną aprobatą. Jimi skinęła palcem na Noaha. – Kwiaty mimozy pomagają pojawiać się duchom, a ciebie wzmocnią!

Z dudnieniem ruszyła z powrotem na górę. Maura poprosiła pana Szarego, by zaprowadził Noaha do czytelnicy, po czym naradziła się wraz z Callą u podstawy schodów. Zamiast opowiedzieć jej, w jaki sposób Noah do nich dołączył, jedynie wyciągnęła rękę i pozwoliła drugiej wieszczce przyłożyć do niej dłoń. Zdolności psychometryczne Calli – wieszczenie poprzez dotyk – często dawały nieokreślone wyniki, jednak w tym przypadku zdarzenie miało miejsce niedawno i jego wspomnienie pozostawało na tyle świeże, że można je było z łatwością wychwycić, wraz z pocałunkiem, który Maura wymieniła wcześniej z panem Szarym.

– Pan Szary jest utalentowany – zauważyła Calla.

Maura spojrzała na nią miażdżąco.

– Oto, w czym szkopuł – rzekła. – Moim zdaniem lustro z imieniem Piper pokazano mi celowo, lecz nie sądzę, że to cel Noaha. Nie pamięta, skąd się tam wziął ani co tam robił.

– Czy może być omenem? – spytała cicho Calla.

Omeny – ponadnaturalne ostrzeżenia poprzedzające niekorzystne incydenty – nieszczęśliwie interesowały Callę, głównie dlatego, że zazwyczaj okazywały się urojone. Ludzie zwykli dostrzegać je tam, gdzie ich wcale nie było: czarne koty przynosiły pecha, kruk zwiastował smutek. Jednak prawdziwy omen – złowroga sugestia ze strony słabo rozumianej kosmicznej obecności – to coś, czego lepiej nie lekceważyć.

– Możliwe – odparła równie ściszym głosem Maura. – Cały dzień nie mogłam się pozbyć tego paskudnego uczucia. Nie sądziłam jednak, że świadoma istota może być omenem.

– Czy *on* jest świadomy?

– Na pewno jego część. Rozmawialiśmy w samochodzie. Nigdy nie widziałam nic podobnego. Uległ takiemu rozkładowi, że wygląda jak bezmyślny omen, ale jednocześnie wciąż tkwi w nim chłopiec. W końcu był z nami w *samochodzie*.

Obydwie kobiety zadumały się nad tym.

– Czy to on umarł na linii mocy? – zapytała Calla. – Może Cabeswater wzmocniło go wystarczająco, aby aż do teraz zachował świadomość, choć już dawno powinien był odejść. Jeśli jest zbyt tchórzliwy, aby przejść dalej, ten szalony las może mu dawać dość mocy, aby tu tkwił.

Maura znów spojrzała na Callę miażdżąco.

– To się nazywa *przerażenie*. Callo Lily Johnson, to tylko dzieciak. Poniekąd. Pamiętaj, że został zamordowany. Pamiętaj, że jest jednym z najlepszych przyjaciół Blue.

– A więc jaki mamy plan? Powinam wziąć go w obroty i wy badać sprawę? Czy może spróbujemy posłać go dalej?

– Ale pamiętaj o żabach – niespokojnie rzekła Maura.

Kilka lat wcześniej podczas załatwiania sprawunków dla sąsiadów Blue złapała dwie rzekotki drzewne. Triumfalnie założyła dla nich improwizowane terrarium w jednym

z największych dzbanków Jimi na herbatę. Gdy tylko poszła do szkoły, Maura natychmiast wywróżyła – zwyczajnymi, nie paranormalnymi metodami – że żaby czeka powolna śmierć, jeśli będzie się nimi zajmować mała Blue Sargent. Wypuściła je za domem, prowokując tym samym najzacieklejszą awanturę, jaką kiedykolwiek przeżyła z córką.

– Dobrze – syknęła Calla. – Nie uwolnimy żadnych duchów, gdy będzie na imprezie z togami.

– Ja nie chcę odchodzić.

Maura i Calla aż podskoczyły.

Noah stał oczywiście obok nich. Miał oklapnięte ramiona i uniesione brwi. Pod tym wszystkim znajdowały się pasma czerni, kurzu i nieobecności.

– Jeszcze nie – dodał miękko, niewyraźnym głosem.

– Nie zostało ci wiele czasu, chłopcze – powiedziała mu Calla.

– Jeszcze nie – powtórzył Noah. – Proszę.

– Nikt nie zamierza zmuszać cię do niczego, czego nie chcesz – odezwała się Maura.

Noah pokręcił głową ze smutkiem.

– Oni... już. Oni... znowu. Ale to... Chcę to zrobić dla *siebie*.

Wyciągnął do Calli otwartą dłoń, jakby błagał. Gest ten przypominał jej o innej martwej osobie z jej życia, która nawet po dwóch dekadach nakładała na nią brzemię smutku oraz winy. Gdy się nad tym zastanowiła, uznała wręcz, że gest był aż nazbyt ściśle wykonany, nadgarstek zbyt podobnie bezwładny, palce zbyt delikatnie i celowo rozłożone, echo wspomnień Calli...

– Jestem lustrem – rzekł ponuro Noah, odpowiadając na jej myśli. Spuścił wzrok. – Przepraszam.

Zaczął opuszczać dłoń, lecz Calla wreszcie zdobyła się na niepewne, choć szczere współczucie. Ujęła jego zimne palce.

Natychmiast została uderzona w twarz.

Powinna była się tego spodziewać, lecz ledwo miała czas się otrząsnąć przed następnym ciosem. Wyprysnął strach, później ból i wreszcie nastąpiło kolejne uderzenie – Calla zwinnie je zablokowała. Nie musiała przeżywać całego morderstwa Noaha.

Obeszła je i... nie znalazła nic. Zazwyczaj jej psychometryczne zdolności świetnie działały, jeśli chodziło o przeszłość. Przekopywały się przez wszystkie niedawne wydarzenia, by dotrzeć do wszelkich silnych z przeszłości. Noah był jednak w tak daleko posuniętym stanie rozkładu, że jego przeszłość w większości po prostu zniknęła. Pozostały jedynie pajęczyny reminiscencji. Ujrzała pocałunek – jak to się stało, że Calla musiała dziś widzieć tyle kobiet o nazwisku Sargent z językami wepchniętymi w usta? Ujrzała Ronana, znacznie miłszego we wspomnieniach Noaha. Ujrzała Ganseya, odważnego i pewnego – Noah wyraźnie mu tego zazdrościł. Wreszcie ujrzała Adama – Noah bał się jego albo o niego. Strach ten przeplatał się z obrazami Adama w coraz mroczniejszych splotach. Była też przyszłość, rozciągająca się coraz słabszymi obrazami, oraz...

Calla zdjęła dłoń z Noaha i spojrzała na niego. Choć raz nie miała nic mądrego do powiedzenia.

– No dobra, dzieciaku – uznała. – Witaj w domu. Możesz zostać, ile tylko zechcesz.

Choć Gansey lubił Henry'ego Chenga, zgoda, by pójść na jego imprezę, wydawała się dziwnym przesunięciem ośrodka władzy. Nie to, żeby czuł się w jakikolwiek sposób zagrożony przez Henry'ego – obydwaj byli królami na odrębnych terytoriach – lecz spotkanie z Henrym na jego własnym gruncie sprawiało wrażenie istotniejszego niż w neutralnej Akademii Aglionby. Czterech chłopaków z Vancouver mieszkało poza kampusem w Litchfield House i organizowano tam niebawem imprezy. Litchfield stanowił wyjątkowy klub, rządzony niepodzielnie przez Henry'ego. Jeśli dostąpiło się zaszczytu ucztowania w krainie czarów, pragnęło się pozostać tam na zawsze, a gdy się wyszło, usychało się z tęsknoty.

Gansey nie był pewien, czy powinien szukać nowych przyjaciół.

Litchfield House był starym wiktoriańskim domem na przeciwległym końcu centrum niż Monmouth. W wilgotnym chłodnym mroku wyrastał z kłębow mgły, pełen wieżyczek, gontów i ganków, z malutką elektryczną świeczką w każdym oknie. Na podjeździe zastawiały się nawzajem cztery luksusowe samochody, a srebrny fisker Henry'ego przycupnął niczym elegancki duch na krawężniku, tuż za starym sedanem wyraźnie mającym za sobą pracowite życie.

Blue miała paskudny nastrój. Wyraźnie coś się stało, gdy była w pracy, lecz podejmowane przez Ganseya próby wyciągnięcia z niej tego pozwoliły mu ustalić tylko, że nie chodzi ani o imprezę, ani o niego. Siedziała teraz za kierownicą Świni, co niosło za sobą potrójne korzyści. Po pierwsze, Gansey nie mógł sobie wyobrazić, że ktokolwiek nie poprawiłby sobie choć trochę humoru, mogąc prowadzić camaro. Po drugie, Blue

powtarzała, że nie miała kiedy ćwiczyć jazdy wspólnym samochodem z Fox Way 300. I po trzecie, najważniejsze, Gansey czuł się skandalicznie rozkojarzony, widząc ją za kierownicą swojego samochodu. Ronan i Adam nie towarzyszyli im, nikt nie mógł ich więc przyłapać na czymś, co wydawało się wyjątkowo nieprzyzwoite.

Musiał im powiedzieć.

Gansey nie był pewien, czy powinien się zakochiwać, ale i tak to zrobił. Nie do końca rozumiał, o co w tym chodziło. Rozumiał swą przyjaźń z Ronanem oraz Adamem – obydwaj reprezentowali sobą cechy, których mu brakowało i które podziwiał, oni zaś lubili tę wersję jego, którą on sam też lubił. To samo można było powiedzieć o jego przyjaźni z Blue, lecz w tym przypadku chodziło o coś więcej. Im lepiej ją poznawał, tym bardziej czuł się, jakby pływał. Rozbieżne wersje jego samego przestawały istnieć. Był tylko jeden Gansey, terazniejszy.

Blue zatrzymała Świnie przy milczącym znaku stopu naprzeciwko narożnika, na którym znajdował się Litchfield House, oceniając sytuację parkingową.

– Mruh – powiedziała niechętnie, przyglądając się drogim samochodom.

– Co?

– Zapomniałam, jak bardzo jest typowy dla Aglionby.

– Naprawdę nie musimy iść – oznajmił Gansey. – Owszem, powinienem zajrzeć i mu podziękować, ale to wystarczy.

Oboje zerknęli przez ulicę na dom. Gansey pomyślał, jakie to dziwne, że czuje się niezręcznie przed spotkaniem z ludźmi, których wszystkich najprawdopodobniej znał. Zamierzał właśnie wypowiedzieć to na głos, gdy otworzyły się drzwi frontowe. Pojawił się żółty prostokąt światła, niczym portal do innego

wymiaru, i Juliusz Cezar wystąpił na rozległy ganek. Pomachał dłonią w stronę camaro i krzyknął:

– Elo, elo, Dicku Ganseyu!

Ponieważ nie był to Juliusz Cezar, tylko Henry w todze.

Brwi Blue schowały się pod jej grzywką.

– Zamierzasz nosić coś takiego?

Zapowiadało się strasznie.

– Absolutnie nie – powiedział jej Gansey. Gdy przyjrzał się bliżej todze, wyglądała znacznie prawdziwiej, niż mu się to podobało. – Nie zostaniemy długo.

– Zaparkuj za rogiem i nie stuknij żadnego z samochodów!
– zawołał Henry.

Blue skręciła, z sukcesem objechała białego kota oraz wykonała powolny acz porządny manewr parkowania równoległego, mimo tego, że Gansey bacznie ją obserwował, a pasek klinowy jęczał w proteście.

Choć Henry musiał wiedzieć, że nie zajmie im to długo, wrócił do środka, by móc po wielkopańsku otworzyć drzwi, gdy zadzwonili. Następnie zamknął je za nimi, odcinając ich w trochę zbyt ciepłym bąblu powietrza pachnącego czosnkiem oraz różami. Gansey spodziewał się, że trafi na uczniów zwisających z żyrandoli i ślizgających się na alkoholu, i choć niekoniecznie tego *pragnął*, rozbieżność oczekiwań i rzeczywistości okazała się nieco odpychająca. Wnętrze było pretensjonalnie schludne. Ciemny korytarz obwieszony lustrami w rzeźbionych ramach oraz zagracony kruchymi antycznymi meblami rozciągał się półmrokiem ku wnętrzościom domu. Litchfield House zupełnie nie wyglądał na lokal, w którym można było urządzić imprezę. Raczej kojarzył się z miejscem, do którego udają się staruszki, aby umrzeć i dać się odnaleźć dopiero, gdy sąsiedzi poczują dziwny zapach. Zupełnie kłócił się

ze wszystkim, co Gansey wiedział o Henrym.

Poza tym było bardzo cicho.

Ganseyowi przyszła nagle do głowy straszliwa myśl, że być może impreza obejmować będzie jedynie Henry'ego oraz ich dwoje siedzących w togach w luksusowej bawialni.

– Witajcie, witajcie – oznajmił Henry, zupełnie jakby nie widział ich przed chwilą. – Zahaczyliście kota?

Bardzo zadbał o swój wygląd. Togę miał zawiązaną ze znacznie większą starannością niż Gansey kiedykolwiek jakkolwiek krawat, a Gansey zawiązał w życiu mnóstwo krawatów. Miał na ręku najbardziej chromowany zegarek, jaki Gansey widział, a Gansey widywał wiele chromowanych rzeczy. Jego czarne spiczaste włosy wznosiły się szaleńczo ku górze, a Gansey widywał wiele rzeczy wznoszących się szaleńczo ku górze.

– Ominęliśmy go – odrzekła zdawkowo Blue. – On nas ominął.

– Wendy przyszła! – zakrzyknął Henry, zupełnie jakby dopiero ją zauważył. – W razie czego googlowałem kobiety w togach. I dobra robota z kotem. Pani Woo otrułaby nas we śnie, gdybyśmy go rozjechali. Jak ty się właściwie nazywasz?

– Blue – odparł Gansey. – Blue Sargent. Blue, pamiętasz Henry'ego?

Przyjrzeni się sobie. W trakcie poprzedniego krótkiego spotkania Henry zdołał całkowicie obrazić Blue dzięki lekceważącej autoironii. Gansey w zasadzie rozumiał, że Henry w skandaliczny i obraźliwy sposób robił z siebie jaja, ponieważ alternatywą byłoby wpadnięcie do świątyni i przewrócenie stolików na siedzących za nimi lichwiarzy. Blue natomiast wyraźnie uważała, że był jedynie nieopierzonym książęciem z Aglionby. Zaś w jej aktualnym nastroju...

- Pamiętam – oznajmiła chłodno.
- To nie był mój najlepszy moment – poinformował Henry.
- Od tego czasu mój samochód i ja działamy już sprawniej.
- Jego elektryczny samochód – wtrącił subtelnie Gansey, w razie gdyby Blue nie dostrzegła wzmianki o wpływie na środowisko.

Blue zmierzyła Ganseya spojrzeniem.

- Mógłbyś jeździć stąd do Aglionby rowerem – wypomniała.

Henry pokiwał palcem.

- Prawda, prawda. Należy jednak uprawiać bezpieczną jazdę, a nikt nie wykonał jeszcze kasku, który zmieściłby moje włosy – oznajmił, po czym skierował się do Ganseya: – Widziałeś gdzieś tam Chenga Drugiego?

Gansey nie znał tak naprawdę Chenga II – w rzeczywistości Henry'ego Broadwaya, przezwanego w mylący sposób nie dlatego, że był drugim Chengiem w Aglionby, lecz drugim Henrym – nie licząc tego, co i tak wszyscy wiedzieli: był chodzącym na wysokich obrotach narwańcem, bez przerwy napędzającym kołozyny ciągłymi dostawami prądu z napojów energetycznych. – Nie, chyba że ostatnio kupił sobie camry.

Henry roześmiał się wesoło, zupełnie jakby Gansey nawiązał do jakiejś wcześniejszej rozmowy.

- To wózek pani Woo. Naszej małej władczyni. Gdzieś tu jest. Sprawdźcie kieszenie. Mogła tam wejść. Czasami wpada w szczeliny między belkami podłogi, w tych wielkich starych domach bywa groźnie. A gdzie Lynch i Parrish?

– Niestety obydwaj zajęci.

- To niesłychane. Wiem, że prezydent nie zawsze musi działać w zgodzie z Kongresem i Sądem Najwyższym, ale po prostu nigdy nie sądziłem, że dożyję takiego dnia.

– Kto jeszcze przychodzi? – zapytał Gansey.

– Tylko zwyczajowi podejrzani – odparł Henry. – Nikt nie chce widzieć dalekiego znajomego w prześcieradle.

– Mnie nie znasz – wypomniała Blue.

Nie dało się określić, co oznaczał wyraz jej twarzy, ale na pewno nic dobrego.

– Richard Gansey Trzeci za ciebie poręczył, więc to wystarczy.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i ze środka wypadła bardzo niska Azjatka w nieokreślonym wieku z naręczem złożonych prześcieradeł.

– Dobry wieczór, ciociu – powiedział słodko Henry. Zmierzyła go wzrokiem, pędem mijając kolejne drzwi. – Biedna pani Woo została wyrzucona z Korei za kiepski charakter. Posiada urok broni chemicznej.

Gansey mgliście domyślał się, że w Litchfield House musiał mieszkać ktoś ważniejszy, lecz nie poświęcał temu zbyt wiele uwagi. Zasady grzeczności sugerowały, że w przypadku wizyty powinien pojawić się z kwiatami lub czymś do jedzenia.

– Powiniennem był coś dla niej przynieść?

– Dla kogo?

– Twojej cioci.

– Nie, to ciocia Ryanga – odrzekł Henry. – Chodźcie, chodźcie dalej. Koh na górze kataloguje napoje. Nie musicie się upijać, ale ja zamierzam. Podobno nie bywam głośny, ale zdarza się, że wpadam w dobroczynny nastrój. Uczciwie ostrzegam.

Blue wyglądała już w pełni krytycznie, co stanowiło dwa kroki od jej zwyczajowej miny i jeden od Ronana. Gansey zaczynał podejrzewać, że tym dwóm światom nigdy nie uda się połączyć.

Rozbrzmiał potężny huk, gdy Cheng II i Logan Rutheford

pojawił się w kolejnych drzwiach, trzymając plastikowe torby. Rutherfordowi Bóg zesłał dość rozsądku, by trzymał gębę na kłódkę, ale Cheng II nigdy nie nauczył się tej umiejętności.

– O kurwa, mamy dziewczyny? – odezwał się.

Blue urosła czterokrotnie, a cały dźwięk został wyspany z pomieszczenia w oczekiwaniu na eksplozję.

Zapowiadało się strasznie.

Była 6.21.

Nie, była 8.31. Ronan źle odczytał zegar w samochodzie.

Niebo było czarne, drzewa były czarne, droga była czarna. Zaparkował przy krawężniku w pobliżu domu Adama. Parrish zajmował mieszkanie nad częścią biurową katolickiego kościoła Świętej Agnieszki i dzięki tak owocnemu połączeniu większość obiektów czci Ronana skupiała się w jednej okolicy. Lynch jak zwykle lekceważył swój telefon i kilka godzin wcześniej przegapił połączenie od Adama. Wiadomość na poczcie głosowej okazała się krótka: „Jeśli nie wybierasz się wieczorem do Chenga razem z Ganseyem, może pomożesz mi z Cableswater?”.

Ronan w żadnym wypadku nie wybierał się do Henry’ego Chenga. Wszystkie te uśmiechy i aktywizm wywoływały u niego wysypkę.

Ronan zdecydowanie wybierał się do Adama.

Wysiadł więc ze swojego bmw, trzymając Piłę tak, by nie próbowała wyciągnąć szwu z tapicerki fotela pasażera, i rozejrzał się po okolicy kościoła w poszukiwaniu trójkolorowej hondayoty. Zauważył ją z wciąż włączonymi reflektorami i zgaszonym silnikiem. Adam klęczał przed nią, bez zmrużenia oka wpatrując się w światła. Rozsunął palce rąk na asfalcie, zaś stopy ustawił niczym biegacz przygotowujący się do startu. Leżały przed nim trzy karty tarota. Wyciągnął z samochodu matę podłogową, aby nie pobrudzić sobie spodni od mundurku. Jeśli połączyć te dwie rzeczy – niezgłębiającą i praktyczną – wykonało się już większość pracy potrzebnej do zrozumienia Adama Parrisha.

– Parrish – odezwał się Ronan. Adam nie odpowiedział.

Jego źrenice były niczym kamery otworkowe prowadzące do innego świata. – *Parrish*.

Jedna z dłoni Adama uniosła się lekko. Jego palce wykonały nieznaczny ruch pozwalający przekazać: „nie przeszkadzaj mi”.

Ronan skrzyżował ręce i czekał, patrząc – na piękne kości policzkowe Adama, na zmarszczone jasne brwi, piękne dłonie, wszystko oblane jaskrawym światłem. Szczególnie uważnie zapamiętywał kształt jego dłoni: odgięty niewygodnie kciuk, wyraźne ścieżki żył, duże knykcie akcentujące długie palce. W swych snach Ronan wkładał je do ust.

Jego uczucia wobec Adama były niczym rozlana plama ropy – pozwolił jej się rozprzestrzenić i teraz na całym oceanie nie znalazłoby się ani jednego miejsca, które nie zapłonęłoby, gdyby upuścił zapałkę.

Piła przefrunęła do rozłożonych kart, rozchylając z ciekawością dziób, a gdy Ronan w milczeniu wskazał na nią palcem, umknęła pod samochód. Lynch obrócił głowę bokiem, by odczytać karty. Coś z płomieniami, coś z mieczem. Diabeł. To jedno słowo, *diabeł*, wyzwalalo tysiąc obrazów. Czerwona skóra, białe okulary przeciwsłoneczne, przerażone oczy jego brata Matthew w bagażniku samochodu. Połączone przerażenie i wstyd, na tyle silne, że wywołujące mdłości. Ronan niespokojnie przypominał sobie niedawne koszmary.

Adam napiął palce i usiadł. Zamrugał szybko raz i drugi, dotykając kącika oka samą opuszką palca serdecznego. Nie wystarczyło, ponieważ zaczął trzeć oczy dłońmi, dopóki nie poleciały łzy. Wreszcie zadarł głowę w stronę Ronana.

– Reflektory? Jedziesz ostro, Parrish.

Ronan wyciągnął dłoń, Adam ją chwycił. Ronan go podciągnął, w jego myślach istniała tylko skóra stykająca się ze

skórą, kciuk skrzyżowany z kciukiem, palce wciśnięte w nadgarstek – i nagle Adam stał przed nim i puszczał rękę.

Ocean płonął.

– Co, do cholery, dzieje się z twoimi oczyma? – spytał Lynch.

Adam wciąż miał maleńkie źrenice.

– Powrót zajmuje mi trochę czasu.

– Paskudny gnojek. O co chodzi z tym diabłem?

Adam spojrzał na ciemne witraże kościoła. Wciąż częściowo tkwił w królestwie światła.

– Nie potrafię zrozumieć, co mi mówi. Czuję, jakby trzymał mnie na długość ręki. Muszę znaleźć sposób, by wieszczyć głębiej, ale nie mogę, jeśli ktoś nie będzie mnie obserwować, żebym nie oddalił się za bardzo od siebie.

W tym przypadku tym kimś miał być Ronan.

– Co próbujesz znaleźć?

Adam opisał sytuację z okiem oraz dłonią takim samym tonem, jakim zwykle odpowiadał na pytania podczas lekcji. Pozwolił Ronanowi nachylić się, by porównał jego oczy – na tyle blisko, że Lynch poczuł jego oddech na policzku – oraz przyrzeć się wewnętrznej stronie dłoni. To ostatnie nie było niezbędne i obaj o tym wiedzieli, ale Adam obserwował bacznie Ronana, gdy ten lekko muskał widniejące tam linie.

Zupełnie jakby kroczył cienką granicą między śnieniem a jawą. Pomiedzy snem na tyle głębokim, by śnić, i świadomością na tyle silną, by pamiętać, czego się pragnie.

Wiedział, że Adam domyślał się jego uczuć. Nie wiedział jednak, czy może zejść z tej wąskiej jak ostrze brzytwy ścieżki, nie niszcząc tego, co miał.

Adam wytrzymał spojrzenie Ronana, gdy ten puścił jego dłoń.

– Próbuję znaleźć źródło tego, co atakuje Cableswater. Mogę tylko podejrzewać, że chodzi o to samo, co działa na czarne drzewo.

– Jest też w mojej głowie – przyznał Ronan.

Spędzony w Stodółkach dzień pełen był snów, z których budził się pospiesznie.

– Naprawdę? To dlatego tak paskudnie wyglądasz?

– Dzięki, Parrish. Ja też lubię twoją gębę. – Krótko opowiedział, że rozkład koszmarnego drzewa wydawał się identyczny z rozkładem obecnym w jego snach, nadmierną liczbą przekleństw przykrywając swój względny niepokój co do zawartości tych snów oraz fakt, że świadczyło to o większej tajemnicy. – A zatem po prostu nie zamierzam już nigdy zasnąć.

Zanim Adam zdążył na to odpowiedzieć, ich uwagę przykuł ruch w górze. Coś lekkiego i dziwnego zatrzepotało pomiędzy ciemnymi drzewami stojącymi przy sąsiedniej ulicy. Potwór.

Potwór Ronana.

Jego albinotyczny nocny koszmar rzadko opuszczał bezpieczne zacisze Stodółek, ale w takich przypadkach robił to tylko po to, by podążać za Ronanem. Nie w wierny, psi sposób, lecz raczej beztrosko, niczym kot. Teraz jednak leciał ulicą w ich kierunku, prosto i z poczuciem celu. W fioletowoczarnej przestrzeni był widoczny jak dym, ciągnął za swym ciałem poszarpane skrzydła i strzępy tkaniny. Największą uwagę zwracał odgłos jego skrzydeł: *łup, łup, łup*.

Gdy otworzył obydwie dzioby, wy dostał się z nich zaciekle wrzask niesłyszalny dla ludzkiego ucha.

Ronan i Adam zadarli głowy.

– Hej! – krzyknął Lynch. – Dokąd lecisz?

Koszmar przefrunął jednak nad nimi, nawet nie zwalniając. Sunął w kierunku gór. Paskudny skurwysyn pewnego dnia

zostanie zastrzelony przez jakiegoś przerażonego farmera.

Nie wiedział, dlaczego się tym przejmował. Może dlatego, że stwór uratował mu kiedyś życie.

– Paskudny gnojek – powtórzył Ronan.

Adam zmrużył oczy za oddalającym się koszmarem.

– Która godzina? – spytał.

– Szósta dwadzieścia jeden – odparł Lynch, a Parrish podniósł brwi. – Nie, jest ósma czterdzieści. Źle odczytałem zegarek.

– A więc wciąż mamy czas, jeśli nie jest daleko.

Adam zawsze miał na uwadze swoje zasoby: pieniądze, czas, sen. Ronan wiedział, że skoro następnego dnia czekały go lekcje, Parrish będzie oszczędzał wszystkie te trzy rzeczy, choćby w kark dyszały mu ponadnaturalne zagrożenia. Dzięki temu pozostał przy życiu.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem. Chcę spróbować dowiedzieć się, gdzie jest diabeł. Spróbuję określić, czy zdołam wieszczyć, gdy ty będziesz prowadził. Chciałbym móc sam kierować i wieszczyć jednocześnie, ale to niemożliwe. Chcę po prostu móc przemieszczać ciało w kierunku, który wskazuje mi umysł.

Nad ich głowami latarnia zabzyczała i zgasła. Nie padało od paru godzin, ale powietrze wciąż wydawało się naładowane jak przed burzą. Ronan zastanawiał się, dokąd kierował się jego koszmara.

– No dobra, magu – stwierdził. – Jeśli mam prowadzić, gdy ty odleczysz, skąd mam wiedzieć, dokąd jechać?

– No to chyba spróbuję zachować przytomność na tyle, by podawać ci wskazówki.

– To możliwe?

Adam wzruszył ramionami. Definicje terminów „możliwe”

i „niemożliwe” stały się ostatnimi czasy umowne. Pochylił się, by podać rękę Pile. Kruczycza wskoczyła na nią, trzepocząc skrzydłami, by utrzymać równowagę, gdy rękaw przesunął się pod jej ciężarem, po czym przekrzywiła głowę, gdy Parrish delikatnie pogładził drobne piórka przy dziobie.

– Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy – oznajmił. –
Piszesz się na to?

Ronan zabrzączał kluczykami. Czy kiedykolwiek nie bywał w nastroju do jazdy? Wskazał podbródkiem hondayotę.

– Nie zamierzasz zamknąć swojego pierdzidełka?

– Nie ma sensu – odparł Adam. – Włamywacze i tak sobie radzą.

Rzeczony włamywacz uśmiechnął się lekko.

Pojechali.

Adam obudził się gwałtownie na dźwięk zamykających się drzwi samochodu.

Znajdował się w swoim strasznym małym aucie – czy powinien w nim być?

Persefona usiadła na fotelu pasażera. Burza jej jasnych włosów spływała na deskę rozdzielczą. Skrzynkę z narzędziami, wcześniej stojącą na siedzeniu, postawiła sobie ostrożnie pod stopami.

Adam zmrużył oczy, widząc pozbawiony barw nowy świt – czy już powinien być dzień? Oczy wciąż szczypały go z wyczerpania. Czuł się, jakby minęło zaledwie kilka minut, odkąd wyszedł z nocnej zmiany w fabryce. Jazda do domu wydawała się zbyt poważnym przedsięwzięciem, by podejmować się jej bez choćby kilku minut snu. Niestety teraz wcale nie uważał tej jazdy za łatwiejszą.

Nie miał pojęcia, czy Persefona naprawdę tam była. Musiała – jej włosy łaskotały go w rękę.

– Wyciągnij karty – poleciła swym cichym głosem.

– Co?

– Pora na lekcję – oznajmiła łagodnie.

Zmęczony umysł wymykał się spod niego. Coś w tym wszystkim wydawało mu się nie do końca *prawdziwe*.

– Persefono... Ja... jestem zbyt zmęczony, by myśleć.

Słaby blask poranka oświetlił tajemniczy uśmiech kobiety.

– Właśnie na to liczę.

Sięgnął po karty do schowka na drzwiach, w którym je zwykle trzymał, i w tym momencie go to uderzyło.

– Nie żyjesz.

Skinęła potwierdzająco głową.

– To wspomnienie – rzekł.

Znów przytaknęła. Teraz to miało sens. Błąkał się w retrospekcji jednej z wczesnych lekcji z Persefoną. Ich sesje zawsze miały te same cele: uciec ze świadomego umysłu. Odkryć nieświadomość. Rozwinąć ją do nieświadomości zbiorowej. Szukać połączeń pomiędzy wszystkim. Spłukać i powtórzyć czynność. Na początku nie potrafił wyjść poza pierwsze dwa etapy. Przy każdej sesji męczył się, starając oczyścić się ze świadomych myśli.

Palce Adama zaskrobały o puste dno schowka na drzwiach. Prawda tego, gdzie karty znajdowały się we wspomnieniu, zderzała się z wiedzą, gdzie umieścił je w terażniejszości. Po śmierci Persefony to okno zaczęło przeciekać i postanowił chować karty do schowka na rękawiczki, by się nie zniszczyły.

– Dlaczego tu jesteś? Czy to sen? – spytał, po czym poprawił się: – Nie. Wieszcze. Szukam czegoś.

I nagle był już sam w samochodzie.

Nie tylko był sam, lecz siedział w fotelu pasażera, jak wcześniej ona, z pojedynczą kartą tarota w dłoni. Grafika była pobieżna i niestaranna, trochę kojarzyła się z gniazdem szerszeni. W sumie mogła to również być twarz. Nie miało to znaczenia. Czego szukał? Trudno było poruszać się w przestrzeni pomiędzy świadomością a nieświadomością. Jeśli zbyt mocno się skupi, wypadnie ze stanu medytacji. Jeśli zbyt mało, straci poczucie celu.

Pozwolił, by umysł zabrnął odrobinę bliżej terażniejszości.

Elektroniczna muzyka wlała mu się w jaźń, przypominając mu, że jego ciało tak naprawdę znajdowało się w samochodzie Ronana. W tym innym miejscu łatwo było stwierdzić, że muzyka stanowiła dźwięk duszy Lyncha. Pożądliva i modlitewna, szeptała o mrocznych zakątkach, starych

zakątkach, ogniu i seksie.

Adam był przyciśnięty przez pulsujący w tle rytm i wspomnienie bliskości Ronana. Diabeł. Nie, demon. Wiedzy nie było i nagle się pojawiła.

„Północ”, powiedział.

Wszystko otaczał pierścień jaskrawej bieli. Był tak jasny, że jeśli spoglądał na niego bezpośrednio, wypalał mu wzrok. Zamiast tego musiał skupiać spojrzenie przed sobą. Bardzo odległa jego część, ta, która pulsowała w elektronicznym rytmie, przypominała sobie nagle, że to blask ładowarki telefonu. Właśnie ta część jego mózgu pozostawała wystarczająco świadoma, by szeptać wskazówki Ronanowi.

„Skreć w prawo”.

Cabeswater mruczało mu do głuchego ucha. Szeptało o rozkładaniu na części, wyrzekaniu się, przemocy, nicości. Krok w tył świadczący o braku wiary w siebie. Kłamliwa obietnica, która musiała później zranić. Wiedza, że zostanie się zranionym i zapewne będzie się na to zasługiwać. Demon, demon, demon.

„Jedź jedź jedź”.

Gdzieś drogą pędził ciemny samochód. Dłoń ścisnęła kierownicę, skórzane paski owijały nadgarstek. Greywaren. Ronan. W tym sennym miejscu wszystkie czasy stanowiły jedność, Adam z nagłą klarownością przeżył więc na nowo chwilę, gdy Ronan podał mu dłoń, by pomóc mu podnieść się z asfaltu. Ekspłodowały pozbawione kontekstu wrażenia fizyczne: zaskakujące gorąco dotykających się dłoni, cichy szmer jego bransoletek o nadgarstek Adama, nagła świadomość możliwości...

Wszystko w jego umyśle było otoczone palącym białym światłem.

Im głębiej Adam zanurzał się w muzykę i mrok otulony bielą, tym bliżej docierał do jakiejś ukrytej prawdy o Ronanie. Chowala się w rzeczach, o których Adam już wiedział, na wpół dostrzegał za lasem swych myśli. Przez jedną nagłą chwilę Adamowi wydawało się, że niemal zrozumiał coś o Ronanie, o Cableswater – o Ronanie i Cableswater – lecz wymknęło mu się. Pomknął za tym, zagłębiając się w nieodgadnioną materię, z której składały się myśli Cableswater. Tutaj. Cableswater ciskało w niego obrazami: pnące duszące drzewo, rakowata narośl, pełzająca zgnilizna.

Adam nagle uświadomił sobie, że demon znajdował się *wewnątrz*.

Czuł, że go obserwował.

„Parrish”.

Został *zauważony*.

„*Parrish!*”.

Coś musnęło jego dłoń.

Zamrugął. Wszystko stało się tym rozpalonym kręgiem, a gdy mrugnął ponownie, skupiło się w jasną tęczę ładowarki telefonicznej podłączonej do gniazda zapalniczki.

Samochód nie poruszał się, choć musiał się dopiero co zatrzymać. W świetle reflektorów wciąż wirowały drobinki pyłu. Ronan był absolutnie cichy i nieruchomy. Jedna z jego dłoni spoczywała na dźwigni zmiany biegów, zaciśnięta w pięść. Muzyka została wyłączona.

Ronan wciąż spoglądał przez przednią szybę, zaciskając szczęki.

Pył opadł i Adam wreszcie dostrzegł, dokąd ich doprowadził.

Westchnął.

Westchnął, ponieważ bezwładna jazda przez chłód nocy

i podświadomość Adama zawiodła ich nie do jakiejś katastrofy w Cableswater, nie do niewłaściwie ułożonych kamieni na linii mocy, nie do nieznanego zagrożenia, które Adam widział w gorzejących reflektorach swojego samochodu. Zamiast tego Adam – uwolniony z okowów rozsądku i wyzwolony we własnym umyśle, nastawiony na odnalezienie demona – skierował ich prosto na parking z przyczepami, gdzie wciąż mieszkali jego rodzice.

Żaden z nich się nie odzywał. W przyczepie paliło się światło, ale w oknach nie widać było sylwetek. Ronan nie wyłączył reflektorów, więc świeciły bezpośrednio na mobilny dom.

– Dlaczego tu jesteśmy? – spytał.

– Niewłaściwy diabeł – odparł cicho Adam.

Od rozprawy sądowej przeciwko ojcu nie minęło wiele czasu. Wiedział, że Ronan słusznie wściekał się na wyrok: Robert Parrish, dla którego w oczach sądu był to pierwszy występki, wywinął się tylko grzywną i karą w zawieszeniu. Ronan nie zdawał sobie jednak sprawy, że zwycięstwo nie polegało na ukaraniu. Adam nie chciał, by ojciec poszedł do więzienia. Potrzebował jedynie tego, by ktoś z zewnątrz przyjrzał się sytuacji i stwierdził, że owszem, popełniono przestępstwo. Adam nie wymyślił sobie tego występkę i nie doprowadził do niego; nie zasługiwał na to. Tak widniało na dokumentach z sądu. Robert Parrish: winny. Adam Parrish: wolny.

No, prawie. Znów tu był i spoglądał na przyczepę, a puls dudnił mu w głębi żołądka.

– Dlaczego – powtórzył Ronan – tu jesteśmy?

Parrish pokręcił głową, wciąż wpatrując się w przyczepę. Ronan nie wyłączył jeszcze reflektorów i Adam był świadom, że

część Lyncha liczyła na to, iż ojciec podejdzie do drzwi, by sprawdzić, kto to. Część Adama również tego oczekiwała, ale w nieprzyjemny sposób, jak w poczekalni u dentysty, gdy czeka się, aż ząb wreszcie zostanie wyrwany i przestanie boleć.

Poczuł na sobie wzrok Ronana.

– Dlaczego – trzeci raz spytał Ronan – jesteśmy w tym pierdolonym miejscu?

Lecz Adam nie odpowiedział, ponieważ drzwi się otworzyły.

Robert Parrish stanął na schodkach, szczegóły jego twarzy rozmywały się w blasku reflektorów. Adam nie musiał jednak jej widzieć, ponieważ ciało ojca świetnie przekazywało znaczną część tego, co musiał czuć. Napięcie ramion, pochylenie karku, zgięcie rąk kończących się silnymi dłońmi. Wiedział więc, że ojciec rozpoznał samochód, wiedział też dobrze, co o tym sądzi. Adam poczuł zagadkowy dreszczyk strachu zupełnie odseparowany od świadomych myśli. Opuszki palców stępiały mu od przyływu adrenaliny, której produkcję umysł musiał nakazać organizmowi. Ciernie przebijały mu serce.

Ojciec jedynie stał i patrzył. Oni zaś siedzieli, odpowiadając spojrzeniami. Ronan był spięty i kipiał, trzymając dłoń na drzwiach.

– Nie – powiedział Adam.

Lecz Ronan tylko wcisnął przycisk otwierania szyby. Przyciemnione szkło zjechało z sykiem. Ronan wystawił łokieć na zewnątrz i dalej spoglądał. Adam wiedział, że Lynch był w pełni świadom, jak złowrogo potrafił wyglądać, i jego postawa nie łagodniała, gdy wpatrywał się ponad kępki ciemnej trawy w Roberta Parrisha. Wzrok Ronana był niczym wąż leżący na chodniku, którym chciało się przejść. Jak zapalka pozostawiona na poduszce, jak zaciśnięcie warg i posmakowanie

własnej krwi.

Adam również spoglądał na ojca, lecz beznamiętnie. Jednocześnie był tam, był w Cableswater i we wnętrzu przyczepy. Zauważył z lekką ciekawością, że nie przetwarzał poprawnie rzeczywistości, lecz nawet gdy już zdał sobie z tego sprawę, wciąż postrzegał ją jakby na podzielonym ekranie.

Robert Parrish nie poruszył się.

Ronan splunął na trawę leniwym, niegroźnym gestem, po czym odwrócił głowę, promieniując pogardą aż poza samochód, i w milczeniu zamknął z powrotem szybę.

We wnętrzu bmw panowała cisza. Gdy powiał wiatr, dało się słyszeć suche liście ocierające się o opony.

Adam dotknął miejsca na nadgarstku, w którym zwykle znajdował się jego zegarek.

– Chcę pojechać po Sierotkę – oznajmił.

Ronan wreszcie na niego spojrział. Adam spodziewał się ujrzeć w jego oczach benzynę oraz żwir, zauważył w nich jednak coś, czego chyba nigdy tam nie widział: pewną zadumę i kalkulację, bardziej rozważną i wyrafinowaną wersję Ronana. Dojrzałą. Adam poczuł... sam nie wiedział co. Nie miał dość informacji, by wiedzieć, co czuł.

Auto zawróciło, sypiąc piachem i groźbą.

– W porządku – odparł Ronan.

Impreza w togach nie była wcale okropna.

Okazała się wręcz wspaniała.

A było tak: Cała ta ekipa z Vancouver relaksowała się w salonie na meblach przykrytych prześcieradłami, sami również ubrani w prześcieradła, wszystko w czerni i bieli, czarne włosy, białe zęby, czarne cienie, biała skóra, czarna podłoga, biała bawełna. Pojawili się ludzie, których Gansey znał: Henry, Cheng, Ryang, Lee Do Kwadratu, Koh, Ruthford, Chory Steve. Tutaj okazali się jednak inni. W szkole byli skupionymi, cichymi, niewidocznymi, wzorowymi uczniami z gatunku „11% grona uczniowskiego Akademii Aglionby pochodzi z odmiennych kultur, kliknij link, by dowiedzieć się więcej o naszych programach wymiany zagranicznej”. Tutaj *garbili się*. W szkole by tego nie zrobili. Tutaj byli gniewni. W szkole nie mogliby sobie na to pozwolić. Tutaj byli głośni. W szkole nie zaufaliby sobie na tyle, aby podnieść głos.

A było tak: Henry oprowadzał Ganseya oraz Blue po Litchfield House, podczas gdy reszta chłopców podążała za nimi w togach. Jednym z najbardziej przemawiających do Ganseya aspektów Aglionby było poczucie jedności, ciągłości, tradycji, niezmienności. Czas tam nie istniał, a jeśli istniał, to nie miał znaczenia. Szkoła zawsze była zaludniona przez uczniów i zawsze miała być przez nich zaludniona. Stanowili część czegoś większego. W Litchfield House wyglądało to jednak odmiennie. Nie dawało się nie dostrzec, że każdy z tych chłopców pochodził z miejsca niebędącego Aglionby i czekało go życie niezwiązane z Aglionby. W domu pełno było książek i czasopism niepowiązanych ze szkołą, otwarte laptopy ukazywały gry oraz portale z wiadomościami. Garnitury wisiały

na framugach niczym ciała, używane tak często, że wymagały łatwego dostępu. Kaski motocyklowe leżały przy wykorzystanych kartach pokładowych i skrzynkach z pismami o rolnictwie. Mieszkańcy Litchfield House posiadali już własne życie. Mieli przeszłość i czekała ich przyszłość. Gansey czuł się dziwnie, zupełnie jakby spoglądał w krzywe zwierciadło. Szczegóły się różniły, barwy pozostawały takie same.

A było tak: Blue, balansując na granicy obrazy, oznajmiła: „Nie rozumiem, dlaczego wciąż powtarzasz takie okropne rzeczy o Koreańczykach. O sobie”. I Henry odpowiedział: „Mówię to, zanim ktoś inny zdąży zacząć. To jedyny sposób, by nie czuć wiecznie gniewu”. I nagle Blue zaprzyjaźniła się z chłopcami z Vancouver. Wydawało się niemożliwe, że tak po prostu ją zaakceptowali, że tak szybko zrzuciła kolce, ale stało się i Gansey dostrzegł ten moment. Teoretycznie nic ich nie łączyło. Praktycznie – wszystko. Ekipa z Vancouver nie przypominała reszty świata i tego właśnie chcieli. Głodne oczy, głodne uśmiechy, głodna przyszłość.

A było tak: Koh pokazał, w jaki sposób wykonać toę z prześcieradła, i wysłał Blue oraz Ganseya do zagraconej sypialni, by się przebrali. Gansey grzecznie odwrócił się, gdy się rozbierała, po czym Blue się odwróciła – być może. A później był bark Blue, jej obojczyk, jej nogi, jej gardło i *jej śmiech jej śmiech jej śmiech*. Nie mógł przestać na nią patrzeć i tutaj nie miało to znaczenia, ponieważ nikogo nie obchodziło, że byli razem. Tutaj mógł splatać z nią palce, gdy stali obok siebie, ona mogła oprzeć policzek na jego nagim ramieniu, on mógł dla zabawy skrzyżować z nią nogi, ona mogła stwierdzić, że jego ręka otacza ją w talii. Tutaj niezwykle pożądał tego śmiechu.

A było tak: Koreański pop, muzyka operowa, hip-hop i rockowe ballady z lat osiemdziesiątych dudniły z głośnika przy

komputerze Henry'ego. Cheng II nastukał się niemożebnie i opowiadał o swoim planie naprawy gospodarki w południowych stanach. Henry upił się, lecz nie na głośno, i pozwolił Ryangowi namówić się na grę w bilard na podłodze za pomocą kijków do lacrosse i piłek golfowych. Chory Steve wrzucał na projektor filmy z wyciszonym dźwiękiem, by improwizować do nich dialogi.

A było tak: Przyszłość zaczynała ciążyć w powietrzu, a Henry zaczynał cichą, pijacką rozmowę o tym, czy Blue zechciałaby udać się wraz z nim do Wenezueli. Blue odpowiadała cicho, że bardzo, bardzo by chciała, zaś Gansey słyszał w jej głosie tęsknotę, jakby właśnie zostawał unieważniony, jakby jego własne uczucia ulegały nieznośnemu odzwierciedleniu. „Nie mogę z wami lecieć?“, spytał Gansey. „Możesz dołączyć do nas w wypasionym samolocie“, odparł Henry. „Nie daj się oszukać jego starannej fryzurze – wtrącała Blue. – Gansey jechałby na rowerze“. I ciepło wypełniało pustą jaskinię Ganseyowego serca. Czuł się *poznany*.

A było tak: Gansey zaczynał schodzić do kuchni. Blue ruszała w górę. Spotkali się w połowie. Gansey odsunął się na bok, by dać jej przejść, lecz zmienił zdanie. Złapał jej rękę, a później resztę niej. Była ciepła, tętniła życiem pod cienką bawełną, on był ciepły, też tętnił życiem. Blue przesunęła dłonią po jego nagim barku, a później po piersi, jej dłoń spoczęła płasko na jego żebrach, jej palce wciskały się z ciekawością w jego skórę. „Myślałam, że będziesz włochaty“, wyszeptała. „Przykro mi, że cię rozczarowałem. Na nogach więcej się dzieje“. „Na moich też“.

A było tak: Niemądre śmiechy dyszane w skórę tego drugiego, zabawa, dopóki nagle nie przestawała nią być, a Gansey powstrzymywał się z ustami niebezpiecznie blisko jej,

zaś Blue powstrzymywała się z brzuchem mocno przyciśniętym do jego.

A było tak: Gansey mówił: „Lubię cię cholernie mocno, Blue Sargent”.

A było tak: Uśmiech Blue – łobuzerski, krzywy, komiczny, podenerwowany. Mnóstwo szczęścia czaiło się w rogu tego uśmiechu i choć jej twarz znajdowała się kilka centymetrów od Ganseya, część tego szczęścia mimo wszystko przelewała się na niego. Przykładała palec do jego policzka, w którym, jak wiedział, od jego uśmiechu pojawiał się dołeczek, po czym brali się za ręce i razem wspinali na górę.

A było tak: Ten moment i żaden inny. Po raz pierwszy, odkąd Gansey pamiętał, czuł, że jest obecny we własnym życiu.

Ronan od razu poczuł, że coś było nie tak.

Gdy weszli do Cableswater, Adam powiedział „Dzień” w tej samej chwili, co Ronan *Fiat lux*. Las okazywał się zwykle mocno dostrojony do życzeń swych ludzkich gości, zwłaszcza gdy byli nimi jego mag albo Greywaren. Teraz jednak mrok otaczający drzewa nie ustąpił.

– *Fiat lux*, powiedziałem – warknął Ronan, po czym dodał niechętnie: – *Amabo te*.

Ciemność zaczęła powoli się podnosić, niczym woda przesączająca się przez papier. Nie nastąpiło jednak pełne dzienne światło i to, co rozpościerało się przed nimi, po prostu... nie było prawidłowe. Stali wśród czarnych drzew obrosniętych matowoszarymi liszajami. Powietrze było ciężkie i zielone. Na gałęziach nie zostały liście, a niebo wisiało nisko niczym omszały strop. Drzewa wciąż nic nie mówiły. Czuli się jak podczas pochmurnej ciszy przed burzą.

– Oho – stwierdził głośno i z wyraźnym niepokojem Adam. Nie mylił się.

– Wciąż się na to piszesz? – spytał Ronan.

Wszystko przypominało mu o jego koszmarach. Cały wieczór: wyścig do przyczepy, upiór Roberta Parrisha, ten ohydny półmrok. W normalnych okolicznościach Piła poderwałaby się do lotu, by sprawdzić okolicę, teraz jednak przycupnęła na barku Ronana, wbijając się mocno szponami w jego kurtkę.

I podobnie jak w jednym ze snów Ronana, wiedział, co się stanie, zanim to nastąpiło.

Adam zawahał się. Następnie skinął głową.

W snach nigdy nie dawało się stwierdzić, czy Ronan

wiedział, co się stanie, zanim to nastąpiło, czy też wydarzenia miały miejsce tylko dlatego, że o nich pomyślał. Czy miało to znaczenie? Gdy przebywało się na jawie, owszem.

Przez chwilę trzymali się skraju lasu, by określić swe położenie. Dla Ronana oznaczało to po prostu poruszanie się na tyle, by drzewa zauważyły, iż znajduje się wśród nich. Lepiej, aby zrobiły, czego chciał, co oznaczało, że miały nie dopuścić, by zamordowało go coś ponadnaturalnego. W przypadku Adama chodziło o połączenie się z pulsującą poniżej lasu linią mocy, odsłonięciem się i wpuszczeniem w siebie większego wzorca. Gdy obserwować ten proces z zewnątrz, okazywał się jednocześnie dziwaczny i wspaniały. Najpierw Adam, później opróżniony Adam i wreszcie Adam, który był kimś więcej.

Ronan pomyślał o zezującym oku i niesfornej dłoni Adama. „Będę twoimi rękoma, będę twoimi oczyma”.

Wyrzucił tę myśl z głowy. Wspomnienie Adama przehandlowującego część siebie i tak już nazbyt często pojawiał się w jego koszmarach. Nie musiał przywoływać go znów celowo.

– Skończyłeś ze swoimi magowskimi sprawkami? – zapytał Ronan.

Adam skinął głową.

– Czas?

Lynch podał mu telefon, ciesząc się, że może się go pozbyć.

Adam przyjrzał się ekranowi.

– 6.21 – oznajmił, marszcząc brwi.

Ronan również się zadumał. Nie było to zagadkowe, ponieważ takie rzeczy tu się zdarzały. Czas na linii mocy zawsze stanowił niepewną kwestię, skakał w przód i wstecz, minuty trwały godzinami i odwrotnie. Zaskakujące było natomiast to, że

6.21 zdarzała się na tyle często poza linią mocy, by wzbudzić ich podejrzenia. Coś się działo, lecz nie wiedział, co takiego.

– Skończyłeś ze swoimi Greywarenowymi sprawkami? – zapytał Adam.

– Trwają – odparł Ronan. Złożył dłonie przy ustach i krzyknął w panującej ciszy: – Sierotko!

– Ha, ha, ha. – Daleko w nieruchomym zielonym powietrzu odkrakał im kruk.

Piła syknęła.

– Wystarczy mi – stwierdził Ronan i ruszył między zielone drzewa.

Nie podobał mu się półmrok, ale praca w koszmarach nie była dla niego pierwszozną. Najważniejsze to jak najszybciej poznać panujące w nich zasady i strachy. Przypominanie snowi, iż było się czymś obcym, to dobry sposób, by zostać wyrzuconym lub zniszczonym.

Ronanowi świetnie wychodziło wcielanie się w wyśnioną istotę, zwłaszcza w Cableswater.

Szli dalej. Przez cały czas otaczający ich las był *niewłaściwy*. Czuli się, jakby poruszali się po pochyłości, choć teren pod nimi wydawał się zupełnie równy.

– Powiedz mi jeszcze raz – poprosił ostrożnie Adam, doganiając Ronana – w jaki sposób w twoich snach coś było nie tak? Użyj mniej przekleństw, a więcej szczegółów.

– Nie zmieniając Cableswater wokół nas?

Choć las z opóźnieniem zareagował na ich prośbę o światło, nie oznaczało to, że równie wolno odpowie na wzmianki o koszmarach. Zwłaszcza że już wyglądał nieciekawie, jak szarozielony półświat czarnych pni.

– Oczywiście.

– Było w nich coś nie tak właśnie w taki sposób.

– Jaki?

– No taki – odrzekł Ronan. Nie dodał nic więcej, zamiast tego krzyknął: – Sierotko!

– Kra kra kra!

Tym razem zabrzmiało to bardziej jak dziewczynka, mniej jak ptak. Ronan przyspieszył trochę. Wspinali się teraz. Na prawo od nich naga skała opadała stromo i jedynie kilka małych drzew wyrastało ze szczelin. Ostrożnie wybierali drogę wzdłuż niebezpiecznej krawędzi. Gdyby źle stanęli, zjechałoby o wiele metrów i nie mieliby jak szybko wdrapać się z powrotem.

Zerknął za siebie, by upewnić się, czy Adam za nim idzie. Szedł, przyglądając się Ronanowi zmrużonymi oczyma.

– Czy uważasz, że z twoimi snami coś jest nie tak, bo i z Cableswater coś jest nie tak? – spytał Adam.

– Zapewne.

– A więc jeśli naprawimy Cableswater, naprawimy i twoje sny.

– Zapewne.

Adam wciąż to przetwarzał, myśląc tak mocno, że Ronanowi wydawało się, iż to czuł. Całkiem zresztą możliwe, że skoro znajdowali się w Cableswater, a Adam był tak blisko niego, rzeczywiście czuł.

– Potrafiłeś wyciągać istoty ze snów, zanim odnaleźliśmy Cableswater, prawda? Możesz to robić bez niego?

Ronan zatrzymał się i wpatrzył w półmrok. Jakieś piętnaście metrów niżej skalista skarpa, wzdłuż której szli, kończyła się sadzawką z idealnie czystą wodą. Miała zielonkawe zabarwienie, ponieważ powietrze było zielone, ponieważ wszystko było zielone, ale poza tym odznaczała się czystością. Ronan widział skaliste dno sadzawki. Wydawała się zdecydowanie głębsza niż szeroka, stanowiła rozpadlinę

wypełnioną wodą. Przykuła jego uwagę.

– A co?

– Gdybyś w jakiś sposób odciął się od Cableswater, dopóki bym go nie naprawił, czy twoje sny wróciłyby do normalności?

Stało się. Adam wreszcie zadawał poprawne pytanie, co oznaczało, że zapewne znał już odpowiedź. Im więcej czasu spędzali w Cableswater, im dłużej pracowali ze snami Ronana, tym bardziej koszmary Cableswater znajdowały odzwierciedlenie w Ronanie i odwrotnie. Zaś dowody piętrzyły się.

Teraz jednak, gdy już do tego doszło, Lynch nie był pewien, czy chce się znaleźć po drugiej stronie. Tyle dni spędzonych na kościelnej ławce z kostkami palców wciśniętymi w czoło i bezgłośnie pytania: „czym jestem czy jestem jedyny co to oznacza...”.

– Mogę to robić *lepiej* bez Cableswater. Również z Sierotką. Ale... – Przerwał. Spuścił wzrok ku ziemi. – Spytaj mnie. Zrób to. Zrób...

– O co mam cię spytać?

Ronan nie odpowiedział, jedynie wpatrywał się w ziemię. Zielone powietrze poruszało się wokół niego, zabarwiając jego bladą skórę. Otaczały go czarne drzewa, wszystko tu wyglądało jak w jego snach, a może wszystko w jego snach wyglądało jak tu.

Adam zacisnął wargi, po czym spytał:

– Czy wyśniłeś Cableswater?

Niebieskie oczy Ronana przemknęły ku Adamowi.

Była 6.21.

– Kiedy? – chciał wiedzieć Adam. – Kiedy dowiedziałeś się, że to ty wyśniłeś Cableswater? Od razu?

Stali naprzeciwko siebie na szczycie skalistej skarpy, pod którą daleko w dole leżała czysta sadzawka. Adamowi dudniło serce – albo z powodu adrenaliny, albo bliskości linii mocy.

– Zawsze – odparł Ronan.

Nie powinno to wpłynąć na sposób, w jaki postrzegał Ronana. Śnienie zawsze wydawało się imponujące, niezwykle, było niczym boska pomyłka, sztuczka linii mocy pozwalająca młodemu człowiekowi przekształcać myśli w namacalne przedmioty. Magia, ale rozsądna. Jednak to – nie tylko wyśnienie i urzeczywistnienie całego lasu, lecz również stworzenie przestrzeni snów poza własną głową. Adam właśnie sobie uświadomił, że znajdował się w snach Ronana.

– Prawie zawsze – poprawił się Lynch. – Po prostu... Gdy tu dotarliśmy, rozpoznałem je. Moje pismo na tamtym kamieniu. Pewnie wiedziałem od razu, tyle że potrzebowałem więcej czasu, by w to uwierzyć.

Wszystkie wspomnienia Adama z tych pierwszych wypraw do lasu powoli przesuwały się w jego umyśle. Elementy wskakiwały na swoje miejsca.

– To dlatego nazywa cię Greywarenem. To dlatego jesteś dla niego inny.

Ronan wzruszył ramionami, ponieważ niósł na nich zbyt wiele, a nie zbyt mało.

– To dlatego tak okropnie posługuje się łacińską gramatyką. To *twoja* gramatyka.

Ronan znów wzruszył ramionami. Adama zalały pytania

zbyt trudne, by zadać je na głos. Czy Ronan w ogóle był człowiekiem? Półśniącym, połową snu, stwórcą kruków, dziewczynek z kopytkami i całych krain. Nic dziwnego, że mundurek Aglionby go uwierał, nic dziwnego, że ojciec kazał mu zaprzysiąc tajemnicę, nic dziwnego, że nie potrafił skupić się na lekcjach. Adam już wcześniej był tego świadom, lecz teraz uzmysłowił to sobie na nowo, pełniej, szerzej. Ronan Lynch w klasie pełnej przyszłych polityków – ten pomysł zakrawał teraz o groteskę.

Adam poczuł lekką wesołość.

– To dlatego w ogóle mówi po łacinie, nie po portugalsku albo walijsku. O Boże. Czy ja?...

Zawarł pakt z tym lasem. Gdy zasnął i Cabeswater znalazło się w jego myślach, gdy wplątało się w jego sny, czy to *Ronan*...

– Nie – oznajmił szybko Ronan naturalnym głosem. – Nie, ja tego nie *wymyśliłem*. Gdy już wpadłem na to, w czym rzecz, spytałem drzewa, dlaczego, do cholery... Dlaczego to się stało. W jakiś sposób Cabeswater istniało przede mną. Ja je jedynie wyśniłem. W sensie, że to dzięki mnie tak wygląda. To ja wybrałem te drzewa, język i całą cholerną resztę, choć nieświadomie. Gdziekolwiek istniało wcześniej na linii mocy, zostało zniszczone, a później nie miało ciała, nie miało kształtu. Gdy je wyśniłem, nadałem mu z powrotem fizyczną formę, to wszystko. Jak to określić? *Objawiłem* je. Po prostu wziąłem je z jakiejś pieprzonej innej płaszczyzny egzystencji. Nie jest mną.

Adamowi wirowały myśli. Nie posuwał się naprzód.

– Cabeswater nie jest mną – powtórzył Ronan. – A ty wciąż jesteś sobą.

Inną rzeczą było to mówić, inną zaś widzieć Ronana Lyncha stojącego pośród drzew, które urzeczywistnił ze snu, wyglądającego tak samo jak one, ponieważ *był* taki sam jak one.

Był magiem – nic dziwnego, że Ronanowi nie przeszkadzała dziwność Adama. Nic dziwnego, że *chciał*, aby był dziwny.

– Nie wiem, kurwa, dlaczego ci to powiedziałem? – rzekł Ronan. – Mogłem skłamać.

– Daj mi się nad tym chwilę zastanowić, dobrze? – poprosił Adam.

– Jak sobie chcesz.

– Nie możesz się wkurzać dlatego, że chcę to przemyśleć.

– Powiedziałem, że jak sobie chcesz.

– Ile czasu potrzebowałeś, by w to uwierzyć? – chciał wiedzieć Adam.

– Wciąż próbuję – odparł Ronan.

– A więc nie możesz... – urwał Adam.

Nagle poczuł się, jakby został zrzucony z wysoka. Podobne uczucie, jak wtedy, gdy wiedział, że Ronan stara się wyśnić coś dużego. Miał zaledwie czas, by zastanowić się, czy to rzeczywiście linia mocy, czy też szok wywołany słowami Ronana, gdy znów się wydarzyło. Tym razem na chwilę przygasało otaczające ich światło.

Ronan spoważniał.

– Linia mocy... – zaczął Adam, lecz przerwał, nie wiedząc, jak dokończyć myśl. – Coś dzieje się z linią. Jest podobnie jak wtedy, gdy śniesz o czymś dużym.

Ronan rozłożył ręce, wyraźnie dając do zrozumienia: „to nie ja”.

– Co chcesz zrobić?

– Nie wiem, czy powinniśmy tu przebywać, gdy tak się dzieje – odparł Adam. – A już zdecydowanie nie sędzę, że powinniśmy próbować dotrzeć do różanej polany. Zawołajmy ją jeszcze parę razy.

Ronan przyjrzał się Adamowi, oceniając jego stan.

Słusznie zauważył, że Parrish wyglądał, jakby chciał przykucnąć w swoim mieszkaniu z głową w dłoniach i przemyśleć wszystko, czego się właśnie dowiedział.

– A może tylko raz? – zaproponował.

– *Sierotko!* – krzyknęli razem.

W ich wspólne zawołanie wkradła się stanowczość ostrzejsza niż panujący półmrok. Las posłuchał.

Pojawiła się Sierotka w czapce naciągniętej nisko na ogromne oczy i w swetrze jeszcze bardziej utyłanym niż wcześniej. Nie mogła nic poradzić na to, że wyglądała odpychająco w tym szaro-zielonym lesie, skoro przybyła w taki sposób, przemykając między drzewami. Wyglądała, jakby wyrwała się ze starych fotografii, które Adam widział w Stodółkach – zagubione dziecko imigrantów ze zniszczonego kraju.

– Tu jesteś, łobuzico – powiedział Ronan, a Piła pokrakiwała nerwowo. – Nareszcie.

Dziewczynka z wahaniem podała Adamowi jego zegarek. Odkąd ostatnio go widział, na pasku pojawiły się ślady zębów. Wskazywał 6.21. Był bardzo brudny.

– Możesz go zatrzymać – oznajmił Adam. – Na razie. – Tak naprawdę nie mógł jej oddać zegarka, lecz nie posiadała niczego, nawet imienia.

Zaczęła coś mówić w dziwnym, skomplikowanym języku, który Adam znał jako starą i pierwotną mowę tego, czym ten las był kiedyś, którą młody Ronan musiał w dawnych snach omyłkowo wziąć za łacinę, lecz przerwała.

– Uważajcie – rzekła zamiast tego.

– Na co? – spytał Ronan.

Sierotka wrzasnęła.

Światło przygasło.

Adam znów poczuł w piersi odpływ energii. Zupełnie jakby ktoś odciął arterie prowadzące do jego serca.

Drzewa zawyły, ziemia się zatrzęsa.

Adam osunął się do przykucu i przycisnął dłonie do ziemi, by odetchnąć, by poprosić o pomoc, by Cableswater oddało mu rytm serca.

Sierotka zniknęła.

Nie, nie zniknęła. Osuwała się po zboczu, próbując zaczepić się palcami, drapiąc niezgrabnie kopytkami, otoczona spadającymi kamyczkami. Nie wołała o pomoc, próbowała jedynie się uratować. Obserwowali, jak zjeżdża prosto do sadzawki z czystą wodą, tak przejrzystą, że widzieli, jak głęboko wpadła.

Ronan bez wahania skoczył za nią.

Była 6.21.

Ronan uderzył w wodę tak mocno, że poza polem widzenia ujrzał iskry. Sadržawka była ciepła niczym krew i w chwili, gdy o tym pomyślał, uzmysłowił sobie, że ją pamiętał. Śnił o niej wcześniej.

Znajdował się w niej kwas.

Czuł ciepło, ponieważ płyn go pożerał. Na końcu snu nie pozostawało z niego nic oprócz kości, czyste białe patyki w mundurku, jak Noah.

Ronan natychmiast rzucił wszystkie swoje intencje w kierunku Cabewater.

„Nie kwas – pomyślał. – Spraw, aby to nie był kwas”.

Wciąż czuł ciepło na skórze.

– Nie kwas – powiedział na głos do sadzawki, gdy szczypały go oczy. Płyn wlewał mu się do ust, wdzierał do nosa. Czuł, jak kipi pod paznokciami. Gdzieś pod nim znajdowała się Sierotka, przebywająca w dziwnym zbiorniku o kilka sekund dłużej niż on. Ile mu zostało? Nie potrafił wystarczająco dobrze przypomnieć sobie snu, by to wiedzieć. Wydyszał słowa bezpośrednio w kwas: – *Niech stanie się bezpiecznie.*

Cabewater zakółsało się wokół niego, zadrzało, wzruszyło, próbując spełnić jego prośbę. Widział teraz Sierotkę zapadającą się powoli tuż pod nim. Zasłaniała oczy i nie wiedziała, że rzucił się za nią. Zapewne nie spodziewała się pomocy. Sierotka dziewczynka, sierota chłopiec.

Ronan starał się ją dogonić. Był niezłym pływakiem, ale nie bez powietrza, nie w kwasie.

Płyn bulgotał mu na skórze.

Chwycił Sierotkę za sweter i w tym momencie otworzyła

zaskoczone, przerażone oczy. Jej usta uformowały słowo „Kerah?”, po czym złapała go za rękę. Przez chwilę oboje się zapadali, lecz nie była głupia, zaczęła więc machać wolną dłonią i odpychać się nogami od ścian.

Ronan miał wrażenie, jakby zanurzyli się całe kilometry pod powierzchnię.

– Cabeswater – powiedział, wypuszczając z ust wielkie bąble. Jego mózg przestawał sobie radzić z problemem. – Cabeswater, *powietrze*.

W normalnych okolicznościach Cabeswater zapewniłoby mu bezpieczeństwo. W normalnych okolicznościach Cabeswater wiedziałoby, jak delikatne jest jego ludzkie ciało. Teraz go jednak nie słuchało, a jeśli nawet słuchało, nie mogło nic poradzić.

Sadzawka kipiała wokół nich.

Umierał i potrafił myśleć o tym, że oznacza to również koniec życia dla Matthew.

Nagle coś uderzyło go w nogi. Naparło na dłonie. Zmiażdżyło pierś. Jego oddech... Zdążył tylko chwycić Sierotkę, zanim wszystko stało się czarne.

I nagle wyskoczył z wody pchnięty od spodu. Wymiotował na skalistym brzegu sadzawki. Sierotka wyturlała mu się z ramion. Oboje wykasływali płyn – różowawy od pęcherzy na języku. Do ramion Ronana, do ramion Sierotki kleiły się liście. Tak wiele liści.

Obejrzawszy się w otumanieniu przez ramię, Ronan zauważył, że cała sadzawka pełna była pnączy oraz krzewów. Gałęzie wciąż wyrastały powoli nad powierzchnię. Zanurzone części roślin pożerał już kwas.

A więc w ten sposób zostali uratowani przed utonięciem. Z głębin wyniosły ich gałęzie.

Adam kucał po drugiej stronie zbiornika. Opuścił głowę, jakby zamierzał rzucić się do biegu lub modlić, i przyciskał do skały dłonie o zbielejących kostkach. Przed sobą, w sposób, który musiał mieć sens tylko dla niego, ułożył kilka małych kamyków. Jedno z wciąż rosnących pnączy zaplątało się wokół jego kostek i nadgarstków.

Ronana uderzyła prawda: to nie rośliny uratowały im życie, tylko Adam.

– Parrish – rzekł Ronan.

Adam podniósł głowę. Miał puste spojrzenie. Drżał.

Sierotka pobiegła wokół sadzawki, trzymając się z dala od krawędzi, by znaleźć się u boku Adama. Kciukiem i palcem wskazującym szybko strąciła kamyki do zbiornika, a pnącza natychmiast przestały rosnąć. Adam usiadł, wciąż się trzęsąc, wciąż z pustym spojrzeniem, z twarzą niczym w chorobie. Prawa dłoń zadrżała mu w nieprzyjemny sposób. Sierotka chwyciła lewą i pocałowała – zareagował na to jedynie zamknięciem oczu – po czym skierowała nagłący wzrok na Ronana.

– Wyciągnąć! – powiedziała. – Musimy go wyciągnąć!

– Skąd? – spytał Ronan, przedostając się do nich wokół zbiornika.

Spojrzał na otaczające ich zbocza, próbując określić drogę wyjścia.

– Z Cableswater – wyjaśniła Sierotka. – Coś się dzieje. Ach!

Płyn widoczny między zanurzonymi, zniszczonymi liśćmi stawał się czarny. To był koszmar.

– Wstawaj, Parrish – polecił Ronan, chwytając Adama za ramię. – Idziemy stąd.

Adam otworzył oczy, jedna powieka mu opadała.

– Nie zapomnij, że ona idzie z nami – rzekł.

Była 6.21.

Od dawna nikt nie odbierał telefonu na Fox Way 300. Blue co czterdzieści pięć minut posłusznie korzystała z komórki Ganseya, by dzwonić do domu, jak poleciła jej matka, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Za pierwszym razem nie wydało jej się to niezwykle – jeśli na linii prowadzono dalekodystansowe porady parapsychiczne, rozmowy z zewnątrz były przełączane na pocztę głosową. Stało się jednak niezwykle, gdy sytuacja zaczęła się powtarzać. Blue spróbowała znów po czterdziestu pięciu minutach i potem po kolejnych.

– Musimy jechać – powiedziała do Ganseya.

Nie sprzeciwiał się. Henry Cheng również nie, co dobrze o nim świadczyło, choć upił się dobroczynnie i wolałby, żeby zostali. Wyglądało jednak na to, że natychmiast odgadł, iż to sprawa osobista i nie powinien przeszkadzać. Wziął od nich prześcieradła, życzył dobrej nocy i jeszcze raz błagał Blue, by poleciała z nim do Wenezueli.

W samochodzie uświadomili sobie, że zegarek Ganseya wciąż wskazywał 6.21.

Coś było nie tak.

Gdy dojechali na Fox Way 300, złapała za klamkę. Mimo późnej pory drzwi nie były zamknięte? Ale czy na pewno zrobiło się już późno? Była 6.20, teraz 6.21, zawsze 6.20, potem 6.21. Stojący obok niej Gansey wydawał się jednocześnie ostrożny i nakręcony.

Zamknęli za sobą drzwi.

Coś było nie tak.

W panującym w domu mroku Blue nie potrafiła od razu stwierdzić, co się nie zgadzało, poza tym, że coś na pewno.

Zmroziło ją to i nie mogła się ruszyć, dopóki nie ustalili, o co chodzi. „Właśnie tak, pomyślała, muszą czuć się jasnowidzowie”.

Drżały jej dłonie.

Co było nie tak? Mogło być ciemniej niż zazwyczaj, blask z kuchni nie przenikał nocy. Mogło być chłodniej niż zwykle, lecz takie wrażenie mógł w niej wywoływać niepokój. Było ciszej, nie słyszała szmeru telewizji ani brzęku kubków, choć mogło to być spowodowane późną godziną. Zamigotała żarówka... Nie, to tylko reflektory samochodu odbijające się od szklanych drzwiczek zegara na stoliku w korytarzu. Wskazywał 6.21.

Nie była w stanie się poruszyć.

Wydawało się niemożliwe, że więził ją strach i nic więcej, a jednak stała. Powtarzała sobie, że przepełznięła przez tajemniczą jaskinię, stała pod iskrami krzesanymi przez smoka z koszmaru i przebywała w obecności zdesperowanego człowieka z bronią, więc pobyt we własnym domu, w którym nic jej wyraźnie nie groziło, nie powinien jej paraliżować.

Nie mogła się jednak poruszyć, a Gansey też zachowywał bezruch. Jeden palec przyciskał machinalnie do lewego ucha. Jego oczy miały ten szklisty wyraz, który pamiętała z niedawnego ataku paniki w jaskini.

Pomyślała, że zostali jedynymi żywymi ludźmi na świecie. Gdy za chwilę wejdzie do salonu, nie znajdzie nic poza ciałami.

Zanim zdołała się powstrzymać, wydostało się z niej ciche jęknięcie.

„Bądź rozsądna!”.

Gansey odnalazł w mroku jej palce. Miał spoconą dłoń, ale nie było to istotne – ona również. Oboje czuli przerażenie.

Gdy się nad tym zastanowiła, w domu nie panowała jednak

cisza. Usłyszała jakieś trzaski i brzęczenia jakby z niesprawnego sprzętu elektrycznego.

Gansey spojrzał na nią. Ścisnęła mocno jego palce, czując wdzięczność. Niemal od razu puścili dłonie. Nie byli pewni, czy obie ręce nie będą im potrzebne do obrony.

„Rusz się, Blue”.

Zaczęli iść, powoli, z wahaniem, by deski podłogi nie zaczęły skrzypieć. Oboje obawiali się wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, dopóki nie upewnią się, co znajdują.

Tylko się obawiali.

U podstawy schodów położyła dłoń na masywnej gałce poręczy i nasłuchiwała. Wcześniejszy szum wydawał się teraz głośniejszy, bardziej dysharmonijny i żywy. Była to brzęcząca, pozbawiona słów piosenka, w dziwny sposób brzmiąca na jednej nucie, po czym przechodząca dalej na nieznaną skalę.

Huk, który dobiegł bezpośrednio z tyłu, wystraszył Ganseya. Blue ucieszyła się jednak z *tego* dźwięku, ponieważ go знаła. Wywoływał go stukot ogromnych chodaków jej kuzynki o nierówną podłogę. Odwróciła się z ulgą i ujrzała Orłę wyglądającą w uspokajający sposób znajomo i głupio w zwyczajnych dla siebie spodniach-dzwonach. Jej wzrok był utkwiony w jakiś punkt nad głową Blue.

– Orlo – powiedziała Blue, dopóki kuzynka nie spuściła oczu, by na nią spojrzeć.

Orla wrzasnęła.

Dłonie Blue zadziały niezależnie od jej umysłu, dziecinnym gestem zakrywając jej uszy. Za ich przykładem poszły stopy, wskutek czego wpadła na Ganseya. Orla położyła palce na sercu i znów wrzasnęła, tym razem bardziej chrapliwie i wyżej. Blue nigdy nie słyszała podobnego dźwięku wydobywającego się z kuzynki. Jakaś część Blue odseparowała

się od tego, udając, że to nie Orlo krzyczy, że to nie jej własne ciało obserwuje, że to sen, a nie rzeczywistość.

Orla ucichła.

Jej oczy wciąż jednak wpatrywały się w nicość za Blue. Na coś w niej samej. Jej barki garbiły się pod brzemieniem zgrozy.

A przez cały ten czas skądś w domu wciąż dobiegało brzęczenie.

– Orlo – wyszeptał Gansey. – Orlo, słyszysz mnie?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrywała się w świat, którego Blue nie mogła dojrzeć.

Blue nie chciała mówić prawdy, ale i tak to zrobiła:

– Myślę, że musimy znaleźć źródło dźwięku.

Gansey przytaknął ponuro. Pozostawiwszy wciąż łkającą i nieobecną Orłę, zakradli się w głąb domu. Na końcu korytarza widniało kuchenne światło, obiecujące bezpieczeństwo. Pomiędzy nimi a kuchnią leżała jednak czerń wejścia do czytelnicy. Choć serce Blue mówiło jej, że wewnątrz pomieszczenia jest zupełnie ciemne, oczy ukazywały jej trzy stojące na stole świece. Były zapalone. Nie miało to jednak znaczenia. Nie rozświetlały ciemności.

Dziwne wielogłowe brzęczenie wylewało się właśnie z czytelnicy.

Słyszeć było również tępe szuranie, jakby ktoś zamiatał podłogę miotłą.

Gansey z wahaniem otarł się dłonią o jej palce.

„Zrób krok”.

Zrobiła krok.

„Wejdz do środka”.

Weszli do środka.

Na podłodze czytelnicy wił się i szarpał Noah, wykonując niemożliwe dla żywego ciała ruchy. Umierał gdzieś. Wiecznie

umierał. Choć Blue widywała już, jak odtwarzał swą śmierć, nigdy nie przyzwyczała się do tego widoku. Kierował twarz ku sufitowi i otwierał usta w bezmyślnym bólu.

Słyszeć było, jak Gansey na chwilę zgubił oddech.

Ponad Noahem, przy dużym stole, siedziała Calla, nie skupiając na niczym wzroku. Jej dłonie spoczywały na rozrzuconych kartach tarota. Obok leżał telefon, najwyraźniej przeprowadzała odczyt na odległość.

Dysharmonijne brzęczenie było tu głośniejsze niż gdziekolwiek.

Dobiegało od Calli.

– Boicie się? – wyszeptał Noah.

Gansey i Blue zatrzymali się. Nie zdawali sobie sprawy, że Noah przestał się szarpać i teraz leżał na plecach z podciągniętymi kolanami, spoglądając na nich. Na jego twarzy pojawił się nagle lekki wyraz szyderstwa, trochę nie w jego stylu. Zęby czaszki uśmiechnęły się przez wąskie wargi.

Blue i Gansey popatrzyli po sobie.

Istota, która była Noahem, nagle podniosła wzrok, jakby słysząc kogoś nadchodzącego. Również zaczęła brzęczeć. Nie było to melodyjne.

Każda komórka ciała Blue krzyczała ostrzegawczo.

Nagle Noah podwoił się i znów spoił.

Blue nie wiedziała, jak inaczej to ująć. Był Noah, obok niego pojawił się drugi, odwrócony w przeciwną stronę, po czym znów został tylko jeden. Nie była pewna, czy błąd wystąpił w samym Noahu, czy też raczej w tym, jak ona go postrzegała.

– Wszyscy powinniśmy się bać – oznajmił Noah głosem ledwo słyszalnym przez brzęczenie. – Gdy zabawiasz się z czasem...

Nagle znalazł się przy nich, oko w oko, stał, a przynajmniej jego twarz była wysoko, po czym w mgnieniu oka znów dzieliło go od nich kilka kroków. Znów wciągnął na siebie odrobinę noahowości – chłopięcy wygląd. Trzymał dłonie na kolanach niczym biegacz i za każdym razem, gdy dyszał, niepewnie wydobywało się z niego brzęczenie.

Oddechy Blue i Ganseya wisiały w obłoku przed nimi, połyskując, jakby to *oni* byli martwi. Noah wyciągał z nich energię. Mnóstwo energii.

– Blue, odejdz – rzekł Noah. Mówił z wysiłkiem, lecz zdołał opanować ohydne brzęczenie. – Ganseyu... Odejdz. To nie będę ja!

Przemknął w prawo i wrócił, wbrew temu, jak powinna zachowywać się materia. Na jego ustach wykwitł krzywy uśmiezek zupełnie kłócaący się ze zmarszczonymi brwiami, po czym zniknął. Na twarzy widniał wyzywający wyraz, a następnie już go nie było.

– Nie odejdziemy – odparła Blue.

Zaczęła jednak otaczać się środkami ochronnymi. Nie potrafiła powstrzymać Noaha przed czerpaniem z Ganseya i Calli, ale potrafiła odciąć własną wydajną baterię.

– Proszę – zasyczał Noah. – Niweczyciel, niweczyciel.

– Noahu – powiedział Gansey. – Potrafisz z tym walczyć.

Twarz Noaha poczerniała. Przeszła od koloru kości do atramentu w jedno przeciwieństwo uderzenia serca. Tylko zęby jaśniały. Sapnął lub roześmiał się, trudno stwierdzić.

– *Wszyscy umrzecie!*

– Wyjdz z niego! – warknęła Blue.

Gansey wzdrygnął się mocno z zimna.

– Noahu, uda ci się.

Noah uniósł przed sobą dłonie, ustawiając palce

naprzeciwko siebie, jakby wykonywały szponiasty taniec. Były to dłonie Noaha, a następnie stały się niczym naszkicowane linie.

– Nic nie jest niemożliwe – oznajmił beznamiętnym i głębokim głosem Noah. Jego ręce znów zostały zastąpione pobieżnymi kreskami, wydawały się rozmazane i bezużyteczne. Blue widziała wewnątrz jego klatki piersiowej i nie widniało tam nic poza czernią. – Nic nie jest niemożliwe. Idę po niego. Idę po niego. Idę po niego.

Jedyną rzeczą, jaka utrzymywała Blue w miejscu, jedyną, która pozwalała jej pozostać tak blisko tej istoty, była wiedza, iż jest świadkiem zbrodni. Coś wdarło się w Noaha, przenikało go bez jego pozwolenia.

– Idę po niego – kontynuował brzęczący głos. – *Blue!* Idę po niego. *Proszę! Odejdźcie!* Idę po niego.

– Nie zostawię cię – oznajmiła Blue. – Nie boję się.

Noah wydał z siebie szaleńczy śmiech godny uradowanego goblina.

– Będiesz się bać! – zakrzyknął wysokim, jakby przesuniętym głosem.

I nagle skoczył na nią.

Gdy pazury Noaha wbijały się jej w twarz, Blue dostrzegła cień rzucającego się na niego Ganseya.

W czytelnicy zrobiło się równie jasno, jak wcześniej było ciemno. Ból, blask, zimno, gorąco...

Wyłupywał jej oko.

– *Noah!* – zaskamlała.

Wszystko stało się naszkicowanymi liniami.

Poderwała dłonie do twarzy, lecz nic się nie zmieniło. Czowała się nabita na pazury, jego szpony wbijały się w jej ciało. Lewe oko widziało jedynie biel, prawe – tylko czerń. Jej palce

wydawały się śliskie, na policzku czuła gorąco.

Światło promieniowało z Noaha niczym wybuch na słońcu.

Nagle dłonie chwyciły ją za barki, odsuwając ją od niego. Została otoczona ciepłem i miętą. Gansey trzymał ją tak mocno, że czuła jego drżenie. Wszędzie rozbrzmiewało brzęczenie. Czuła je w rozpalonej twarzy, gdy Gansey wciskał się pomiędzy nią a brzęczącą furię, jaką stał się Noah.

– O Jezu. Blue, potrzebuję twojej energii – powiedział jej prosto do ucha Gansey, a ona usłyszała, że jego słowa przenika strach. – Teraz.

Przy każdym uderzeniu serca czuła eksplozje bólu, lecz pozwoliła mu złapać się za śliskie palce.

Gansey chwycił jej dłoń. Zburzyła wszystkie mury odgradzające jej moc.

– *Bądź Noahem* – polecił istotcie wyraźnym, pewnym i donośnym głosem Gansey.

Zapanowała cisza.

Była 6.21.

Niecały tysiąc kilometrów dalej wzdłuż linii mocy milion maleńkich światełek migotał na ciemnych, zimnych falach rzeki Charles. Listopadowe powietrze wdzierało się przez drzwi balkonowe położonego w dzielnicy Back Bay domu Colina Greenmantle'a. Nie zostawił otwartych drzwi, ale mimo to były otwarte. Wystarczyła szczelina.

Weszły.

Sam Colin Greenmantle znajdował się na parterze, w złotobrazowym, pozbawionym okien pokoju, który przeznaczył na swoją kolekcję. Już same gablotki były przepiękne – wykonane ze szkła, żelaza, siatki i złota odpowiednio nieziemskie witryny do prezentowania odpowiednio nieziemskich obiektów. Podłogę wykonano z dębu odzyskanego ze starego gospodarstwa w Pensylwanii – Greenmantle'owie zawsze preferowali rzeczy, które niegdyś należały do kogoś innego. Nie dawało się określić rzeczywistej wielkości pomieszczenia, ponieważ oświetlały je jedynie reflektory punktowe skierowane na każdy niezwykły artefakt. Żarówki płonęły w ciemnościach we wszystkich kierunkach niczym okręty na nocnym morzu.

Greenmantle stał przed starym lustrem. Ramę wyrzeźbiono w liście akantu i łabędzie żerujące na innych łabędziach, zaś u szczytu wprawiono mosiężny zegar. Jego wskazówki pokazywały 6.21. Samo zwierciadło rzekomo roniło łzy na odbiciu obserwatora, jeśli w jego rodzinie wydarzyła się niedawno śmierć. Jego refleks był suchy, lecz i tak czuł, że wyglądał żałośnie. W jednej dłoni trzymał butelkę cabernet sauvignon, którego etykieta obiecywała nuty wiśni oraz grafitu.

W drugiej miał parę kolczyków, które zdobył dla swej żony Piper. Ubrał się w pięknie wykrojoną marynarkę i parę bokserek. Nie spodziewał się towarzystwa.

I tak się pojawiło, przechodząc po sztukaterii biblioteki na piętrze, pełzając po sobie nawzajem.

Greenmantle napił się prosto z butelki – gdy wybierał ją w kuchni, uznał, że będzie to wyglądało bardziej żałośnie i desperacko pod względem estetycznym, niż gdyby trzymał pojedynczy kieliszek. Żałował, że nie ma nikogo, kto mógłby ujrzeć, jak żałośnie i desperacko pod względem estetycznym wyglądał.

– Uwagi o czarnym prochu oraz porzuceniu – powiedział swemu odbiciu.

Wziął kolejny łyk i tym razem się zakrztusił. Trochę zbyt dużo czarnego prochu i porzucenia na raz.

Jego odbicie otworzyło szeroko oczy ze zdumienia. Z tyłu stała jego żona, zaciskając mu palce na gardle. Kilka blond kosmyków wymknęło się z nienagannej poza tym fryzury i reflektory punktowe podświetlały je z tyłu złotobiałą pozągą. Miała czarne oczy. Unosiła jedną brew, lecz poza tym wydawała się podchodzić zupełnie beznamiętnie do tego, że jej opuszki wciskały mu się w skórę. Zsiniła mu szyja.

Zamrugął.

Nie było jej.

Nigdy nie było. Porzuciła go. Cóż, tak po prawdzie to on porzucił ją, ale to ona zaczęła. To ona zdecydowała się wyzwolić sporą dozę niezręcznej i gwałtownej przemocy w wirginijskiej dziczy, akurat gdy on zdecydował, że chce spakować swoje zabawki i odejść.

– Jestem sam – rzekł Greenmantle do lustra.

Ale nie był. Przemknęły po schodach, rozświetliły górne

ramy obrazów i rykoszetem odbiły się do kuchni.

Colin odwrócił się od zwierciadła, by przyrzeć się swojej kolekcji. Zbroja o czterech ramionach, wypchany jednorożec rozmiarów karłowatej kozy, klinga, z której nieustannie na spód szklanej gabloty ściekała krew. Miał przed sobą najwspanialsze okazy z niemal dwóch dekad gromadzenia. Nie, tak naprawdę nie najwspanialsze, zadumał się Greenmantle, a jedynie obiekty, które najłatwiej mogły przykuć uwagę Piper.

Wydawało mu się, że usłyszał coś w korytarzu. Brzęczenie. Albo skrobanie. Nie, nie skrobanie – było za lekkie.

– Po licznych osobistych zdradach Colin Greenmantle przed ukończeniem czterdziestego roku życia przeszedł załamanie nerwowe – snuł opowieść, ignorując dźwięki – doprowadzając wielu do przekonania, iż czeka go zapomnienie.

Przyjrzał się trzymanym kolczykom. Już przed dwoma laty podjął kroki prowadzące do ich zdobycia, lecz jego dostawcy potrzebowali aż tyle czasu, by odciąć je z kobiecej głowy w Gambii. Krążyły pogłoski, że nosząca je osoba mogła widzieć przez ściany. Przynajmniej przez niektóre rodzaje ścian. Nie ceglane. Nie kamienne. Ale gipsowo-kartonowe już tak. Z gipsokartonem sobie radziły. Greenmantle nie miał przebitych uszu, nie wypróbował ich więc. Skoro zaś Piper wybrała drogę przestępczej kariery, mógł nigdy się nie dowiedzieć.

– Obserwatorzy nie docenili wszakże hartu ducha Colina – ciągnął. – Jego zdolności wylizywania się z emocjonalnych kontuzji.

Obrócił się do drzwi akurat, gdy wpadli przez nie goście.

Zamrugął.

Nie zniknęli.

Zamrugął znów i jeszcze raz, a jednak coś wciąż przechodziło przez drzwi, coś, co nie było ani wytworem jego

wyobraźni, ani przeklętym lustrzanym odbiciem. Jego umysł potrzebował chwili, by przetworzyć dźwięk i obraz oraz zdać sobie sprawę, że gość nie był samotny. Przyszło ich wielu. Wlewali się, tłoczyli i wciskali jeden przez drugiego.

Dopiero gdy jeden oderwał się wreszcie od hordy i pomknął ku niemu nierównym lotem, uświadomił sobie, że to insekty. Czarna osa wylądowała mu na nadgarstku, lecz nakazał sobie, by jej nie uderzyć. Użądliła go.

– Suka! – oznajmił i zamachnął się butelką.

Kolejna osa dołączyła do pierwszej. Greenmantle strząsnął ręką, zrzucając ją, lecz poleciała na niego trzecia. Czwarta, piąta, cały ich korytarz. Oblazły go całego. Miał na sobie piękną marynarkę, bokserki oraz osy.

Kolczyki upadły na ziemię, gdy się obrócił. W lustrze jego odbicie roniło łzy i nie widział tam os, lecz Piper, która otaczała go ramionami i uśmiechem.

– Przeszliśmy – powiedziały jej usta. Światła zgasły.

Była 6.22.

Różne rzeczy można było mówić o Piper Greenmantle, ale na pewno nie to, że okazywała się skłonna do rezygnacji, gdy sprawy biegły nie do końca po jej myśli. Chadzała na pilates na długo po tym, jak przestał jej sprawiać satysfakcję fizyczną, uczęszczała do klubu książkowego, choć odkryła, że czytała znacznie szybciej niż inne członkinie, i z uporem kazała sobie doklejać fałszywe rzęsy z sierści norek, nawet gdy salon kosmetyczny najbliżej niej został zamknięty z powodu naruszania przepisów higienicznych.

Gdy więc udała się na poszukiwania magicznej śpiącej istoty pogrzebanej rzekomo w pobliżu wynajmowanego przez nią domu, nie dawała za wygraną, dopóki jej nie odnalazła.

Niweczyciel.

Była to pierwsza rzecz, jaką wypowiedział śpiący, gdy na niego trafiła. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że odpowiadał na jej pytanie („Co to, u diabła?”).

Na korzyść Piper może świadczyć fakt, że śpiący okazał się niepokojący. Spodziewała się człowieka, a zamiast tego natknęła się na morderczo czarne sześcionogie stworzenie, które mogłaby nazwać szerszeniem, gdyby, po pierwsze, nie uważała szerszeni za odrażające, po drugie zaś, gdyby nie sądziła, że szerszenie nie powinny osiągać trzydziestu centymetrów długości.

– To demon – poinformowała Neeve, stanowiąca trzecią nogę ich niewygodnego trójnogu.

Była przysadzistą kobietą o łagodnym głosie, pięknych dłoniach i okropnych włosach. Piper wydawało się, że to telewizyjna jasnowidzka, ale nie pamiętała, skąd posiadała tę informację.

Neeve nie wydawała się cieszyć z faktu odnalezienia

demona, lecz Piper wówczas umierała i nie była wybredna w doborze znajomych. Pomięła wszelkie towarzyskie uprzejmości i odezwała się do demonia:

– Przebudziłam cię. Dostanę przysługę? Napraw moje ciało.

„Będę ci przychylny”.

I był. Powietrze w ciemnym grobowcu zgęstniało lekko i nagle Piper przestała wykrwawiać się na śmierć. Spodziewała się, że na tym się skończy. Okazało się jednak, że owszem, przysługa była jednorazowa, lecz przychylność miała trwać wiecznie.

A teraz spójrzcie tylko. Wyszli z jaskini, słońce poniekąd świeciło, a Piper właśnie zabiła swojego tchórzliwego, gównianego męża. Kotłowała się w niej magia i szczerze mówiąc, Piper czuła się całkiem zajebiście. Obok niej wodospad pędził w górę i w tył, woda rozbryzgiwała się w powietrze. Drzewo najbliżej niej zrzucało korę łuszczącymi się, wilgotnymi grudami.

– Dlaczego powietrze jest takie dziwne? – spytała Piper. – Zupełnie jakby mnie drapało. Cały czas będzie tak podrygiwać?

– Sądzę, że się uspokaja – odparła Neeve swym przygaszonym głosem. – Oddaliśmy się od chwili śmierci twojego męża. To wstrząsy wtórne. Las próbuje pozbyć się demonia, który wydaje się korzystać z tego samego źródła mocy, skupionego właśnie tutaj. Reaguje na to, że wykorzystuje się go do zabijania. Wyczuwam, że chodzi tu o akt twórczy, więc każdy podejmowany przez ciebie krok w przeciwnym kierunku będzie powodował takie duchowe wstrząsy.

– Wszyscy robimy rzeczy, których nie chcemy – rzekła Piper. – I nie zamierzamy zabijać mnóstwa ludzi. Chodziło tylko o udowodnienie mojemu ojcu, że naprawdę chcę się z nim

pogodzić.

„A czego teraz pragniesz?”, spytał demon.

Przylgnął do pomarszczonej kory starego drzewa, garbiąc grzbiet podobnie jak szerszenie, gdy jest im zimno, wilgotno lub wieje od wodospadu. Czułki poruszały się w jej stronę i stworzenie wciąż brzęczało w synchronizacji z rojem, który już nie istniał. Nad nimi słońce się zatrzęsło, zaś Piper pomyślała, że to wcale nie jest dzień. Kolejny kawałek kory zsunął się z drzewa.

– Jesteś szkodliwy dla środowiska?

Piper zawsze zważała na to, czy niszczy naturę. Dwie dekady segregowania śmieci wydawały się pozbawione sensu, jeśli zamierzała zniszczyć cały ekosystem.

„Jestem naturalnym produktem tego środowiska”.

Gałąź spadła na ziemię obok Piper. Miała poczerńnięte liście ociekające gęstym żółtym płynem. Powietrze wciąż podrygiwało.

– Piper. – Neeve delikatnie wzięła ją za rękę, wyglądając tak pogodnie, jak tylko mógł ktoś ubrany w podarte szmaty i stojący pod płynącym w przeciwną stronę wodospadem. – Wiem, że gdy wpadłaś do grobowca śpiącego, odpychając mnie z drogi i gwarantując sobie, że ty i tylko ty zasłużysz sobie na jego przysługę, miałaś nadzieję, iż wysiudasz mnie z interesu, a później czeka cię przyszłość, w której ty i tylko ty będziesz kontrolować własne decyzje i cieszyć się przychylnością demona, zaś wcześniej zapewne zostawisz mnie w jaskini, żebym w najlepszym wypadku błąkała się po niej, w najgorszym zaś umarła. Przyznaję, że wówczas bardzo się na ciebie gniewałam, zaś uczucia, jakie wobec ciebie żywiłam, nie były powodem do dumy. Teraz widzę, że tylko masz kłopoty z obdarzaniem innych zaufaniem i mnie nie znasz. Jeśli jednak

chcesz...

Piper przegapiła większość tej przemowy, dostrzegła bowiem kształtne paznokcie Neeve. Były godnymi podziwu, idealnymi małymi kawałkami keratyny. Paznokcie samej Piper znajdowały się w paskudnym stanie po tym, jak musiała wygrzebać się z zawałonej jaskini.

– ...istnieją lepsze sposoby na osiągnięcie twoich celów. Jest naprawdę istotne, abyś nauczyła się polegać na moim znacznym doświadczeniu w kwestii magii.

Piper skupiła uwagę.

– Dobrze. Lekko odpłynęłam, ale wiesz co? Pomiń wszystkie fragmenty o uczuciach.

– Nie sędzę, by rozsądnie było sprzymierzać się z demonem. Z natury są raczej negatywne niż pozytywne. Więcej zabierają, niż dają.

Piper obróciła się do demona. Trudno było stwierdzić, w jakim stopniu śledził, co się działo. Szerszenie nie posiadają powiek, więc być może spał.

– Jaka część tego lasu musi zginąć, żebym odzyskała swoje życie? – „Skoro już się przebudziłem, i tak wszystko zniweczę. W końcu”. – Skoro tak – odparła Piper z poczuciem ulgi wynikającej z tego, że ktoś podjął za nią złą decyzję – to umowa stoi. Możemy kuć żelazo, póki gorące. Hej... Dokąd się wybierasz? Nie chcesz stać się... – Piper nasłuchiwała, a demon nachylił się ku jej myślom – ...sławna?

Neeve zamrugnęła.

– Szanowana – skorygowała.

– Jak zwał, tak zwał – rzekła Piper. – Ale nie odchodź jeszcze. Wcześniej cię trochę wycyckałam, bo umierałam, i było to ciut niegrzeczne. Ciut ciut? Ale chcę to naprawić.

Neeve podchodziła do tego z mniejszym entuzjazmem, niż

Piper się spodziewała, ale przynajmniej nie próbowała znowu uciekać. To pozytyw. Piper nie chciała zostać sama z demonem. Nie dlatego, by się bała, ale po prostu obecność widowni ją wzmacniała. Zrobiła kiedyś w sieci quiz, który mówił, że była jakimś wyjątkowym rodzajem ekstrawertyka i zapewne zostanie taka do końca życia.

– To będzie dla nas nowy początek – zapewniła Piper drugą kobietę.

Demon nachylił głowę, znów kiwając czułkami. „Oczy szerszeni nie powinny być tak wielkie”, pomyślała Piper. Wyglądały jak wielkie czarno-brązowe okulary lustrzanki. Mrocznie przepływały w nich możliwości życia i śmierci.

„Co teraz?”.

– Pora znowu zadzwonić do tatusia – uznała Piper.

Nie była 6.21.

Za to albo była późna noc, albo wczesny poranek.

Gdy Adam i Ronan dojechali na oddział ratunkowy szpitala Mountain View, w poczekalni nie było nikogo oprócz Ganseya. Z głośników sączyła się muzyka, zaś jarzeniówki wydawały się bezduszne i niewinne. Miał zakrwawione bojówki i siedział na krześle z głową w ramionach. Albo spał, albo rozpaczał. Na ścianie naprzeciwko niego wisiał obraz przedstawiający Henriette i kapała z niego woda, ponieważ najwyraźniej w takim właśnie świecie teraz żyli. W innej sytuacji Adam mógłby próbować zrozumieć, co to oznaczało, lecz teraz przez jego umysł przelewały się już dane. Dłoń przestała mu dygotać po tym, jak Cableswater dało mu część swojej siły, lecz nie miał złudzeń, że niebezpieczeństwo się skończyło.

– Hej, władco górien – odezwał się Ronan do Ganseya. – Ryczysz? – Kopnął go w bok buta. – Zwieraczu, śpisz?

Gansej podniósł twarz z dłoni i spojrzał na chłopców. Na szczęce widać było małą smużkę krwi. Jego twarz miała czujny wyraz, a stała się jeszcze czujniejsza, gdy ujrzał brudne ubranie Ronana.

– Gdzie byliście? – spytał.

– W Cableswater – odparł Ronan.

– W Cables... Co *ona* tu robi? – Gansey dopiero teraz dostrzegł Sierotkę, balansującą niepewnie w drzwiach za Adamem. Trudno jej się stało w kaloszach, które Ronan wyciągnął z bagażnika bmw. Były dla niej zdecydowanie za duże, a już na pewno nie pasowały na kopytka, ale poniekąd dawały zamierzony efekt. – Jaki był sens, żebyśmy poświęcili całe popołudnie na zawieszenie jej tam, jeśli właśnie

przywieźliście ją z powrotem?

– Nie przesadzaj, człowieku – odparł Ronan, unosząc brew w stronę rozzłoszczonego Ganseya. – To tylko dwie godziny.

– Może dwie godziny nic nie znaczą dla ciebie, ale niektórzy z nas chadzają do szkoły i te dwie godziny to cały nasz wolny czas.

– Nie przesadzaj, tato.

– Wiesz co? – odezwał się Gansey, wstając. W jego głosie pojawiło się coś nieznanego, brzmiącego niczym naciągana cięciwa. – Jeśli jeszcze choć raz tak mnie nazwiesz...

– Co z Blue? – przerwał Adam.

Założył już, że żyła, inaczej Gansey nie byłby w stanie kłócić się z Ronanem. Założył również, że sytuacja wydawała się gorsza niż w rzeczywistości, inaczej Gansey od razu pospieszyłby z informacjami.

Gansey wciąż miał podenerwowaną minę.

– Zachowaj oko.

– *Zachowaj oko* – powtórzył Adam.

– Właśnie zakładają jej szwy.

– Szwy – powtórzył Ronan.

– Myśleliście, że panikuję bez powodu? – spytał Gansey. – Mówiłem wam: Noah został opętany.

Opętany, jak przez diabła. Opętany, jak dłoń Adama. Gdy Parrish rozmyślał o bulgoczącej czerni w Cableswater oraz gwałtownych efektach opętania Noaha, zaczynał domyślać się, do czego byłaby zdolna jego własna ręka, gdyby las nie potrafił go ochronić. Część niego chciała opowiedzieć o tym Ganseyowi, lecz inna część nigdy nie zapomniała bolesnego krzyku Ganseya, gdy Adam opisywał mu umowę zawartą z Cableswater. Nie sądził, by Gansey kiedykolwiek powiedział „A nie mówiłem”, ale zdecydowanie miałby do tego prawo, co było

nawet gorsze. Parrish zawsze stanowił najbardziej negatywny głos we własnej głowie.

Co niezwykle, Ronan i Gansey wciąż się kłócili. Adam obrócił się do nich akurat, gdy Ronan mówił:

– No przestań. Nie było szans, by mnie obeszło, że Henry Cheng zaprosił mnie na imprezę.

– Chodzi o to, że to *ja* cię zaprosiłem – odparł Gansey. – Henry’ego to nie obchodziło. Mnie owszem.

– Ojej – odrzekł Ronan, lecz w niemiły sposób.

– Ronanie – odezwał się Adam.

Gansey wskazał krwawe plamy na swoich spodniach.

– A wy zamiast tego pojechaliście do Cableswater.

Mogliście tam umrzeć, a ja nie miałbym pojęcia, gdzie jesteście, bo nie chciało wam się odebrać telefonu. Pamiętasz ten gobelin, o którym rozmawiałem z Malorym, gdy tu przyjechał? Ten z twarzą Blue? Och, oczywiście, że pamiętasz, Adamie, ponieważ to ty wygrzebałeś te koszarne Blue w Cableswater. Gdy skończyła się afera z Noahem, Blue właśnie tak wyglądała.

– Uniósł dłonie wnętrzami w ich stronę. – Ręce miała całe czerwone. Od własnej krwi. To *ty*, Ronanie, powiedziałeś mi wtedy kilka miesięcy temu, że coś się zaczyna. Teraz nie jest czas, by działać na własną rękę. Ktoś może zginąć. Koniec wygłupów. Nie ma już czasu na nic poza prawdą. Powinniśmy być w tym wszystkim razem, czymkolwiek jest *to*.

Nie można było się z tym spierać, wszystko niezaprzeczalnie było prawdą. Adam mógłby powiedzieć, że jeździł do Cableswater niezliczoną ilość razy, aby pracować na linii mocy, i sądził, że będzie jak zwykle, ale w pełni zdawał sobie sprawę, iż coś było nie tak z lasem, a i tak szedł dalej.

Sierotka potknęła się o wieszak przy drzwiach i odskoczyła od przewracającego się mebla.

– Przestań się wiercić – warknął Ronan. Wbrew intuicji utrata przez niego panowania nad sobą oznaczała koniec kłótni.
– I włóż ręce do kieszeni.

Odsyknęła do niego coś w języku, który nie był ani angielskim, ani łaciną. Tutaj, w zwykłej szpitalnej poczekalni, wyjątkowo rzucało się w oczy, iż została stworzona zgodnie z regułami jakiegoś innego świata. Ten staromodny sweter, te ogromne czarne oczy, te chude nogi z kopytkami ukrytymi w kaloszach. Nie dawało się uwierzyć, że Ronan wyciągnął ją ze snu, lecz nie dawało się również uwierzyć w inne niezemskie przejawy jego działalności. Wydawało się teraz oczywiste, że już od jakiegoś czasu podążali żwawo w kierunku świata, w którym obecność demonów była prawdopodobna.

Wszyscy podnieśli raptownie wzrok, gdy otworzyły się drzwi prowadzące w głąb szpitala. Blue i Maura weszły do poczekalni, a pielęgniarka zaczęła krzątać się za kontuarem. Uwaga wszystkich skierowała się natychmiast na dziewczynę.

Na prawej brwi miała dwa wyraźne szwy przytrzymujące oczyszczone krawędzie szarpanej rany, która ciągnęła się do policzka. Mniejsze zadrapania po obu jej stronach pokazywały, gdzie szpony wbiły się w skórę Blue. Prawe oko było tak mocno zmrużone, że niemal zamknięte, ale przynajmniej wciąż znajdowało się na miejscu. Adam widział, że ją bolało.

Wiedział, że przejmował się jej stanem, ponieważ na sam widok jej rany czuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku, sugestia przemocy drapała go niczym paznokcie sunące po tablicy. To sprawka *Noaha*. Adam zacisnął dłoń w pięść, przypominając sobie, jak to było, gdy działała poza jego kontrolą.

Gansey miał rację – każde z nich mogło dziś zginąć. Nadszedł czas, by przestać się wygłupiać.

Przez krótką dziwną chwilę żadne z nich się nie odzywało.

– Jezu, Boże – oznajmił wreszcie Ronan. – Sargent. Masz szwy na *tworzy*? Zaje. Biście. Przybij, dupku.

Z pewną ulgą Blue uniosła pięść i zrobiła z nim zółwika.

– Otarcie rogowki – wyjaśniła Maura. Jej pozbawiony wesołości, oficjalny ton bardziej zdradzał jej troskę niż ewentualny płacz. – Antybiotyk w kroplach. Powinno być w porządku.

Przyjrzała się Sierotce. Sierotka przyjrzała się jej. Podobnie jak w przypadku Ronana, jej czujne spojrzenie wyrażało coś pomiędzy nadąsaniem a agresją, lecz efekt okazywał się nieco dziwniejszy, gdy wychodził od maleńkiej dziewczynki w kaloszach. Maura wyglądała, jakby chciała o coś spytać, lecz odwróciła się jedynie do kontuaru, by zapłacić za wizytę.

– Posłuchajcie – odezwał się cicho Gansey. – Muszę wam coś powiedzieć. Być może to dziwna chwila, ale... Czekałem z tym na odpowiedni moment i nie mogę przestać myśleć o tym, że gdyby dzisiejsze wydarzenia potoczyły się gorzej, mógłbym go nigdy nie doczekać. Oto więc w czym rzecz: nie mogę was prosić o prawdomówność, jeśli nie mogliście jej oczekiwać po mnie samym.

Zbierał się w sobie. Adam dostrzegł, że jego wzrok padł na Blue. Być może oceniał, czy wiedziała, co chciał powiedzieć, albo też czy powinien mówić. Dotknął kciukiem dolnej wargi, przyłapał się na tym i opuścił dłoń.

– Blue i ja widujemy się ze sobą – rzekł. – Nie chcę ranić niczyich uczuć, ale również chcę dalej się z nią widywać. Nie mam ochoty już dłużej tego ukrywać. Dręczy mnie to, a w noce takie jak ta, gdy muszę tak stać i spoglądać na nią, gdy jest w takim stanie, i udawać, jakby... – Przerwał i zapanowała cisza tak intensywna, że nie wdzierał się w nią żaden inny dźwięk. Po chwili dokończył: – Nie mogę prosić was o coś, jeśli sam nie

byłem do tego zdolny. Przepraszam, że byłem hipokrytą.

Adam nigdy nie przypuszczał, że Gansey przyzna się do ich związku w tak dobitny sposób, i teraz, gdy jego wyznanie zawisło w powietrzu, okazało się wyjątkowo nieprzyjemne. Nie odczuwał żadnej radości, że Gansey wyglądał tak żałośnie, i nie odczuwał satysfakcji, iż Gansey oraz Blue w zasadzie proszę o pozwolenie, by mogli dalej ze sobą chodzić. Adam żałował, że nie powiedzieli mu prawdy od początku, wówczas nigdy by do tego nie doszło.

Ronan uniósł brew.

Blue zacisnęła dłonie w małe, ciasne pięści.

Gansey nie dodał nic więcej, czekał jedynie na osąd, szczególnie niepewnie spoglądając na Adama. Stanowił bardzo smutną wersję osoby, którą Parrish niegdyś poznał. Adam nie potrafił określić, czy Gansey stał się kimś innym, czy też wracał do tego, kim był dawno temu. Szukał w sobie czegoś, co według niego Gansey powinien jeszcze powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Przez cały ten czas pragnął od niego jedynie szacunku i teraz go otrzymał, nawet jeśli tak późno.

– Dziękuję – odezwał się Adam – że wreszcie nam powiedziałaś.

Miał na myśli „że mnie powiedziałaś”. Gansey wiedział to i niemal niedostrzegalnie skinął głową. Blue i Parrish popatrzyli po sobie. Ona przygryzła wargę, on uniósł ramię. Obojgu było przykro.

– Dobrze. Cieszę się, że mamy to za sobą – rzekł nonszalancko Gansey.

Dawno temu Adam uznałby tę odpowiedź za lekceważącą, niemal impertynencką. Teraz wiedział, że było wręcz przeciwnie. Gdy Gansey podlegał zbyt wielkiemu naciskowi w kwestiach poważnych i osobistych, chował się za pogodną

uprzejmością. Tak bardzo nie pasował do tej szpitalnej poczekalni, do tej obfitującej w wydarzenia nocy, że naprawdę dziwnie było na niego patrzeć, zwłaszcza zważywszy na zamęt wciąż malujący się na jego twarzy.

Blue chwyciła Ganseya za rękę.

Adam ucieszył się, że to zrobiła.

– Obłeśne – stwierdził Ronan, co było najbardziej szczeniacką reakcją z możliwych.

– Dziękuję za twoją opinię, Ronanie – odparł jednak Gansey, znów przywołując odpowiednią minę, Adam zaś zrozumiał, z jakim sprytem Ronan rozładował napięcie.

Wszyscy mogli na nowo odetchnąć.

Maura wróciła od kontuaru. Adam miał wrażenie, że celowo tam zamarudziła, zapewniając im przestrzeń.

– Chodźmy stąd – oznajmiła, wyciągając kluczyki do samochodu. – W szpitalach robię się nerwowa.

Adam nachylił się, by przybić z Ganseyem żółwika.

Koniec wygłupów. Był już czas tylko na prawdę.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Declanie Lynchu.

Choć trudno w to uwierzyć, nie urodził się paranoikiem.

I tak szczerze, czy była to paranoja, jeśli niekoniecznie pozostawało się w błędzie?

Ostrożność. Tak to się nazywało, gdy ktoś naprawdę chciał cię zabić. Nauczył się ostrożności, nie paranoi.

Urodził się ufny i podatny na wpływy, lecz nauczył się. Nauczył się podejrzliwości względem ludzi, którzy pytali, gdzie mieszkał. Nauczył się rozmawiać z ojcem wyłącznie przez komórki do jednorazowego użytku, kupowane na stacjach benzynowych. Nauczył się nie ufać nikomu, kto mówił, że to niehonorowe pragnąć mieszkania w historycznej kamienicy w przeżartym korupcją mieście, dużego apartamentu z tygrysią skórą na podłodze, barku pełnego przepięknie mrugających burbonów oraz niemieckiego samochodu, który więcej wiedział o świecie niż on. Nauczył się, że życie bywało niebezpieczne tylko wtedy, jeśli czasami mówiło się prawdę.

Najstarszy i najbardziej naturalny z synów Nialla Lyncha stał w swym mieszkaniu w Aleksandrii w stanie Wirginia i opierał się czołem o szybę, wpatrując się w cichą o poranku ulicę. Ruch w stronę stolicy dopiero zaczynał się budzić, a ta dzielnica jeszcze spała.

Trzymał telefon. Który dzwonił.

Był bardziej toporny niż aparat służbowy, z którego korzystał w ramach stażu u Marka Randalla, politycznego bywalca i zabójczego golfisty. Do działań związanych z ojcem celowo wybrał model o zdecydowanie innym kształcie. Nie chciał przypadkiem wyciągnąć z torby niewłaściwego. Nie

chciał w nocy wymacać przypadkiem tego drugiego na szafce nocnej i odezwać się swobodnie do nieodpowiedniej osoby. Nie chciał podać błędnej komórki Ashley, by ją przytrzymała. Gdy wykonywał zadania dla Nialla Lyncha, starał się, by wszystko przypominało mu o potrzebie zachowania paranoi – ostrożności.

Telefon nie odzywał się od tygodni. Wydawało mu się, że już się od niego uwolnił.

Aparat dzwonił.

Zastanawiał się długo, czy niebezpieczniej jest go odebrać, czy zignorować.

Przewartościował swoje nastawienie. Nie był już Declanem Lynchem, podlizującym się politycznym przydupasem. Był Declanem Lynchem, stanowczym synem Nialla Lyncha.

Aparat dzwonił.

Odebrał.

– Lynch.

– Uznaj to za rozmowę kurtuazyjną – powiedziała osoba po drugiej stronie.

W tle grała muzyka, jakiś zawodzący instrument smyczkowy.

Cienka, lepka wiązka nerwów napięła się w szyi Declana, po czym impuls spłynął nią w dół.

– Chyba nie spodziewa się pani, że uwierzę, iż to wszystko – powiedział.

– Zdecydowanie się tego nie spodziewam – odparła rozmówczyni.

Mówiła rozbawionym akcentem z wyższych sfer i zawsze towarzyszyła jej jakaś muzyka. Declan znał ją jedynie jako Seondeok. Nie kupowała wielu artefaktów, ale za każdym razem odbywało się to spokojnie. Układ był jasny: Declan prezentował magiczny obiekt, Seondeok składała ofertę, Declan przekazywał

jej przedmiot i rozstawali się do następnego razu. Declan w żadnym momencie nie czuł, że może zostać pod wpływem kaprysu wrzucony do bagażnika samochodu i będzie musiał słuchać odgłosów bicia ojca, albo też, że go skują i będzie zmuszony obserwować, jak na jego oczach rozwalają stodołę rodziców, bądź też, że stłuką go do nieprzytomności i zostawią na wpół martwego w jego pokoju w internacie Aglionby.

Declan doceniał takie drobnostki.

Nikommu z nich nie można jednak było ufać.

Ostrożność, nie paranoja.

– Sytuacja w Henriecie jest bardzo niestabilna – oznajmiła Seondeok. – Słyszałam, że to już nie jest teren Greenmantle’a.

Owszem, niestabilna. To dobre słowo. Dawno temu Niall Lynch sprzedawał swoje „artefakty” handlarzom z całego świata. W jakiś sposób uległo to ograniczeniu do Colina Greenmantle’a, Laumoniera i Seondeok. Declan uznał, że to dla bezpieczeństwa, ale być może zbyt wiele przypisywał ojcu. Być może po prostu zniechęcił do siebie wszystkich innych.

– Co jeszcze pani słyszała? – spytał Declan, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając.

– Miło słyszeć, że mi nie ufasz – odparła Seondeok. – Twój ojciec mówił za dużo.

– Nie podoba mi się ten ton – rzekł Declan.

Owszem, jego ojciec mówił za dużo, ocena należała jednak do Lynchów, a nie do jakiejś koreańskiej handlarki nielegalnymi magicznymi zabytkami.

Muzyka w tle załkała przepraszająco.

– Zgadza się, to było nieuprzejme z mojej strony. Krążą wieści, że ktoś może sprzedawać w Henriecie coś wyjątkowego – poinformowała Seondeok.

I znów impuls spłynął po szyi Declana.

– Nie ja.

– Tak też sądziłam. Jak już wspominałam, to rozmowa kurtuazyjna. Pomyślałam, że zechcesz wiedzieć, czy wilki zbierają ci się pod drzwiami.

– Ile wilków?

Muzyka zawahała się, po czym ruszyła od nowa.

– Mogą być nawet całe sfory.

Być może dowiedzieli się o Ronanie. Declan zacisnął palce na aparacie.

– Czy wie pani, o czym wyją, *seonsaengnim*?

– Mmm – odparła Seondeok. Był to sugestywny odgłos, przekazujący, że wiedziała, iż się jej podlizywał, a jednocześnie akceptowała to. – Sekret wciąż jest bardzo młody. Zadzwoiłam, pragnąc dać ci dość czasu na działanie.

– I jak według pani powinienem postąpić?

– To nie moim zadaniem jest ci to mówić. Nie jestem twoim rodzicem.

– Przecież wie pani, że nie mam rodziców.

Muzyka w słuchawce szeptała i wzdychała.

– Nie jestem twoim rodzicem – powtórzyła wreszcie kobieta.

Jestem tylko jednym z wilków. Nie zapominaj o tym.

Odepchnął się od okna.

– Przepraszam. Teraz to ja zachowałem się nieuprzejmie. Doceniam, że pani zatelefonowała.

Jego umysł przetwarzał już najgorsze scenariusze. Musiał wydostać Ronana oraz Matthew z Henrietty, tylko to się teraz liczyło.

– Brakuje mi znalezisk twojego ojca, były przepiękne.

Wydawał się człowiekiem pełnym niepokojów, ale według mnie miał cudowny umysł.

Wyobrażała sobie Nialla Lyncha przepatrującego schowki, kolekcje oraz piwnice, starannie dogładającego odnalezionych obiektów. Declan wyobrażał sobie coś bliższego prawdy: ojca śniącego w Stodólkach, w pokojach hotelowych, na kanapach czy na tylnym siedzeniu bmw, który należał teraz do Ronana.

– Tak – stwierdził Declan. – Według mnie również.

Sen: trochę. Śniadanie: pominięte. Szkoła: obecny.

Gansey nie potrafił stwierdzić, jak bliska musiałyby być perspektywa końca świata – jego świata – aby mógł usprawiedliwić opuszczenie lekcji koniecznością poszukiwania Glendowera, poszedł więc. Adam również poszedł, ponieważ nie porzuciłby myśli o Lidze Bluszczowej, nawet gdyby Godzilla wrzucała ich sobie do paszczy. Ku osłupieniu Ganseya Ronan również poszedł, niemal doprowadzając ich wszystkich do spóźnienia, gdy poszukiwał pełnego mundurku w chaosie swojego pokoju. Podejrzywał, że Ronan udawał się na zajęcia tylko po to, by zadośćuczynić za wieczorną kłótnię w szpitalu, ale nie obchodziło go to. Chciał tylko, żeby Ronan pojawił się w klasie.

Henry dopadł Ganseya w korytarzu Borden House, gdy ten wychodził z lekcji (francuskiego, który zastąpił zawieszoną chwilowo łacinę – Gansey wolał łacinę, ale we francuskim był całkiem niezły, zatem *n'y a pas de quoi fouetter un chat*³). Henry truchtał, dopóki nie zrównał z nim kroku.

– Hej, młody. Czy w twoim świecie utrzymuje się radość po wczorajszym wieczorze?

– Dwa stopnie poniżej radości. I świetnie bawiliśmy się wczoraj w Litchfield. To bardzo niegrzeczne z naszej strony, że musieliśmy uciekać.

– Po waszym wyjściu oglądaliśmy już tylko teledyski na telefonach. Nastrój siadł. Przytuliłem dzieci i czytałem im bajki, ale wciąż pytały o was.

Ganseya to rozbawiło.

– Mieliśmy przygody.

– Tak sądziłem. I tak też im powiedziałem.

– Stary przyjaciel źle się poczuł – ostrożnie dodał Gansey.
Nie było to kłamstwo, a jedynie niepełna prawda. Na skraju
prawdy.

Henry uniósł brew, by pokazać, że wyraźnie dostrzegął ów
skraj, ale nie naciskał.

– Teraz już z nim lepiej? – spytał.

Twarz Noaha stała się czarna jak atrament. Jego siostra
stała na scenie teatru. Kości żółciły się pod swetrem Aglionby.

– Zachowujemy optymizm – stwierdził Gansey.

Nie sądził, by w momencie wypowiedzenia tych słów w jego
pewnym głosie zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, ale Henry Cheng
natychmiast spojrzał na niego, znów podnosząc brew.

– Optymizm. Tak, jesteś bardzo optymistyczną osobą,
Ganseyu. Czy zechciałbyś zobaczyć coś ciekawego przed
lunchem?

Gansey zerknął na zegarek i uznał, że przynajmniej Adam
będzie go wkrótce szukał na stołówce.

Henry szybko zinterpretował jego spojrzenie.

– To tutaj – pospieszył z wyjaśnieniem. – W Borden. Jest
fajne. Pasuje do ciebie.

Gansey uznał to za wyraźny absurd. Nikt nie wiedział, co
do niego pasowało, nawet on sam. Nauczyciele oraz przyjaciele
rodziny zawsze zbierali artykuły i opowieści, które według nich
mogły zwrócić jego uwagę, które uważali za pasujące do niego.
W dobrej mierze odwoływali się zawsze do spraw kojarzących
się z nim w najbardziej oczywisty sposób: walijskich królów,
starych camaro albo innych młodych ludzi podróżujących po
świecie z dziwacznych powodów, których nikt inny nie
rozumiał. Nikt nie próbował się bardziej zagłębić w jego
zamiłowania, zresztą Gansey przypuszczał, że sam do tego nie
zachęcał. W minionych dniach przeżył wiele mroku, a wołał

kierować twarz ku słońcu. „Pasuje do ciebie”. Co do niego pasowało?

– Czy ten uśmiech oznacza zgodę? To chodź za mną – rzekł Henry. Natychmiast skręcił w lewo w wąskie drzwi oznaczone tabliczką „Tylko do użytku służbowego”. Borden House pierwotnie był domem, nie budynkiem akademickim, i przejście prowadziło na ciasną klatkę schodową. Drogę oświetlał im tylko samotny migoczący kinkiet, którego światło pochłaniała paskudnie przeładowana ozdobami tapeta. Ruszyli w dół po schodach. – To bardzo stary budynek, Dicku trzeci. Z tysiąc siedemset pięćdziesiątego pierwszego. Wyobraź sobie, ile widział. A może słyszał, skoro domy nie mają oczu.

– Ustawę o walucie – rzekł Gansey.

– Co?

– Została uchwalona w tysiąc siedemset pięćdziesiątym pierwszym – wytłumaczył Gansey. – Nie dopuszczała do emisji waluty w Nowej Anglii. I jeśli dobrze pamiętam, w tym samym roku Jerzy Trzeci został księciem Walii.

– Poza tym... – Henry sięgnął do przełącznika, który ledwo tylko rozświetlił niską piwnicę o klepiskowej podłodze, w której pod ścianami fundamentów stało jedynie kilka tekturowych pudeł – ...pierwszy mały teatr w Stanach Zjednoczonych.

Cheng musiał pochylić głowę, aby nie zawadzać włosami o odsłonięte belki stropowe. W powietrzu unosiła się skoncentrowana wersja zapachu przenikającego nadziemne poziomy Borden House, czyli pleśni i woni granatowych wykładzin, lecz z dodatkową wilgotną nutą charakterystyczną dla jaskiń i bardzo starych podpiwniczeń.

– Naprawdę? – spytał Gansey.

– Być może – odparł Henry. – Próbowałem znaleźć odpowiednie źródła, ale wiesz, jak to jest w sieci, stary. No

i jesteśmy.

Dotarli do przeciwległego rogu piwnicy i samotna żarówka, która znajdowała się u podstawy schodów, z trudem oświetlała to, na co Henry wskazywał. Gansey dopiero po chwili uświadomił sobie, czym był ciemniejszy prostokąt w i tak już ciemnej podłodze.

– To tunel? – zapytał.

– Nie.

– Kryjówka?

Gansey przykucnął. Na to wyglądało. Krawędzie otworu miały nie więcej niż metr i wytarły się przez stulecia. Gansey dotknął zagłębienia w jednej z nich. Kiedyś tu musiała być kłapa. W Anglii w czymś takim kryli się katolicycy duchowni. Tu musiały służyć niewolnikom. Albo może do chowania alkoholu podczas prohibicji?

– Coś w tym stylu. Interesujące, co?

– Mmm – uznał Gansey.

Znalezisko było historyczne. Może i do niego pasowało. Czuł lekkie rozczarowanie, co oznaczało, że liczył na coś więcej, choć nie wiedział, czym owo coś mogłoby być.

– Nie. To, co do ciebie pasuje, znajduje się w środku – wytłumaczył Henry. Ku zaskoczeniu Ganseya Cheng zsunął się do jamy i wylądował z głuchym łupnięciem. – Sam zobacz.

– Zakładam, że masz plan, jak się stamtąd później wydostać?

– Są uchwyty. – Gdy Gansey się nie ruszył, Henry dodał: – Poza tym to sprawdzian.

– Czego?

– Zasług. Nie. Ka... Nie. Istnieje określenie odwagi na „k”, ale nie mogę go sobie przypomnieć. Mój płat czołowy wciąż jest pijany po wczorajszym.

– Kuraż.

– Tak, tak, o to chodzi. To test kurażu. To pasuje do ciebie.

Po przyływie energii, jaki poczuł w sercu, Gansey wiedział, że Henry miał rację. Przypominało wrażenia, jakie miał podczas imprezy w togach. Poczucie, że ktoś go dobrze zna. Nie powierzchownie, lecz w głębszy i prawdziwszy sposób.

– Jaką otrzymam nagrodę, jeśli zaliczę?

– A jaka może być nagroda w sprawdzianie kurażu? Będzie nią pański honor, panie Gansey.

Znany po dwakroć. Po trzykroć.

Gansey nie był do końca pewien, jak reagować na to, iż został tak sprawnie przeanalizowany przez kogoś, kto w końcu był jedynie od niedawna znajomym.

Nie pozostało mu więc nic, jak tylko opuścić się do otworu.

W środku panował niemal zupełny mrok, a ściany wydawały się na niego napierać. Znajdował się na tyle blisko Henry'ego, by wyczuwać woń jego kosmetyków do włosów i słyszeć jego lekko przyspieszony oddech.

– Historia to skomplikowana suka – stwierdził Henry. – Masz klaustrofobię

– Nie, mam inne fobie. – Gdyby znajdowali się w Cableswater, las szybko rozpocząłby współpracę ze strachem Ganseya i wytworzył żądłące insekty. Gansey cieszył się, że poza Cableswater intencje nie posiadały takiej potęgi. Ta dziura w ziemi mogła pozostać po prostu dziurą w ziemi. W tym świecie musiał martwić się jedynie o tresowanie swego zewnątrz, nie wewnątrz. – Czy możesz sobie wyobrazić, że musiałbyś kryć się w czymś takim? Czy zaliczyłem sprawdzian?

Henry drapnął ścianę, czy coś ją przypominającego. Rozległ się martwy, syczący odgłos, gdy ziemia spadła na podłoże.

– Czy kiedykolwiek zostałeś porwany, Richardzie Ganseyu?

– Nie. Czy teraz jestem porwany?

– Nie. Mnie kiedyś porwano – oznajmił Henry tonem tak lekkim i zwyczajnym, że Gansey nie był pewien, czy sobie żartował. – Dla okupu. Moi rodzice przebywali w innym kraju, pojawiły się więc problemy z komunikacją. Wsadzili mnie do podobnej dziury. Może trochę mniejszej.

Nie żartował.

– Jezu – skomentował Gansey.

W ciemności nie widział dobrze Henry'ego, nie wiedział więc, jaki wyraz twarzy towarzyszył opowieści, Cheng zachował jednak pogodny głos.

– Jezusa niestety tam nie było – odrzekł Henry. – A może na szczęście. Dla mnie samego ledwo wystarczało miejsca.

Gansey słyszał, jak Henry pocierał o siebie palcami albo też zaciskał dłonie w pięści. W pełnej kurzu piwnicy każdy dźwięk ulegał wzmocnieniu. Poza tym czuł teraz ten specyficzny zapach, który towarzyszył strachowi: ciało wytwarzało substancje śmierdzące lękiem. Nie potrafił jednak stwierdzić, czy woń ta pochodziła od niego, czy od Chenga. Umysł Ganseya wiedział, że w tym otworze nie pojawi się nagle rój pszczół, by go zabić, jednak jego serce pamiętało, jak wisiał w jaskini w Caveswater i słyszał rojące się pod nim owady.

– To też do ciebie pasuje? – spytał Henry.

– Co?

– Sekrety.

– Poniekąd – przyznał Gansey, ponieważ potwierdzenie, że posiadał sekrety, nie było równoznaczne ze zdradzeniem ich. –

Co się stało?

– Co się stało, spytał. Moja matka wiedziała, że

natychmiastowe przekazanie okupu zachęciłoby tylko innych do porywania jej dzieci, targowała się więc z moimi porywaczami. Jak możesz sobie wyobrazić, nie podobało im się to i kazali mi powiedzieć jej przez telefon, co zamierzali robić ze mną każdego dnia, jeśli nie zapłaci.

– Kazali *tobie* jej powiedzieć?

– Tak, tak. Widzisz, to część procesu targowania się. Jeśli rodzic wie, że dziecko się boi, zapłaci szybciej i więcej, taka jest zasada.

– Nie miałem pojęcia.

– A kto ma? Teraz już ty. – Ściany wydawały się bliżej niż poprzednio. – Powiedziała – Henry kontynuował z lekkim śmiechem, *śmiechem* – „nie płacę za uszkodzone towary”. Oni zaś odparli, że tylko takowy dostanie, i tak dalej, i tak dalej. Moja matka potrafi się jednak świetnie targować. Po pięciu dniach zostałem więc jej zwrócony wraz ze wszystkimi palcami i nietkniętymi oczyma. Za dobrą cenę, jak stwierdzili. Byłem nieco zachrypnięty, ale to moja wina.

Gansey nie wiedział, co o tym myśleć. Dopuszczono go do sekretu, choć nie miał pojęcia dlaczego. Nie wiedział również, czego Henry od niego chciał. Przygotował się do wyzwolenia rozmaitych reakcji – sympatii, porady, troski, wsparcia, wzburzenia, smutku – nie był jednak pewien, jaka ich kombinacja jest oczekiwana. Znajdował się w obcej krainie i nie miał mapy.

– A teraz stoimy w podobnej dziurze i twój głos brzmi całkiem spokojnie – rzekł w końcu.

– Tak. W tym rzecz. Poświęciłem... Poświęciłem wiele lat, aby stać się do tego zdolnym – oznajmił Henry. Wziął krótki, płytki oddech, a Gansey czuł pewność, że jego twarz wyrażała coś zupełnie odmiennego niż pogodny wciąż głos. – By móc

stawiać czoła rzeczom, których się boję, zamiast się ukrywać.

– Ile lat wtedy miałeś?

– Dziesięć. – Sweter Henry’ego zaszeleścił. Gansey poczuł, że Cheng zmieniał pozycję. Jego głos wydawał się lekko odmienny. – A ile ty miałeś lat, Ganseyu, chłopcze, gdy użądliły cię te pszczoły?

Gansey znał odpowiedź, ale nie był pewien, czy to właśnie jej pragnął Henry. Wciąż nie wiedział, czemu ma służyć ta rozmowa.

– Również miałem dziesięć lat.

– I jak spędziłeś kolejne lata?

– Niektóre okazały się lepsze od innych – odrzekł Gansey po krótkim wahaniu. – Sam chyba widziałeś.

– Ufasz mi? – zapytał Henry.

Tu, w ciemności, podczas sprawdzianu kurażu, to pytanie niosło w sobie ogromny ciężar. Czy ufał? Gansey zawsze opierał swoje zachowanie na instynkcie. Jego podświadomość szybko zbierała wszystkie dane w obraz, który rozumiał, nie wiedząc, czemu go rozumiał. Dlaczego znajdował się w tym otworze? Znał już odpowiedź na to pytanie.

– Tak.

– Podaj mi dłoń – oznajmił Henry.

Swoją odnalazł w mroku palce Ganseya. Drugą zaś położył na nich owada.

Gansey nie oddychał.

Z początku nie przypuszczał, że to naprawdę owad. W mroku i w takiej bliskości wyobrażał to sobie. Poczuł jednak, jak przemieszcza mu się po palcach. Znajomy kształt. Cienkie nóżki podtrzymujące bardziej zwarte ciało.

– Richard, człowieku – powiedział Henry.

Gansey nie oddychał.

Nie mógł odsunąć dłoni. Brał już wcześniej udział w tej grze i przegrał. Nagle owad zabrzączał przerażająco, nie unosząc się. Był to hałas, który Gansey już dawno przestał uważać za dźwięk. To broń. Sytuacja, w której jako pierwszy umierał ten, kto pierwszy się wzdrygnął.

– Dick.

Gansey nie oddychał.

Prawdopodobieństwo użądlenia przez insekta było tak naprawdę zaskakująco niewielkie. „Proszę tylko pomyśleć – Gansey często mówił zatroskanym przyjaciołom rodziny, gdy rozmawiali na zewnątrz, a w świetle zmierzchu widać było latające owady – kiedy ostatni raz coś pana lub panią użądliło?”. Nie potrafił określić, dlaczego Henry to zrobił. Nie wiedział, co powinien myśleć. Czy miał przypomnieć sobie wszystko, co mu się stało? To dobre i to złe? Bo jeśli tak, to odtwarzacz się zaciął i odgrywał tylko tę chwilę.

– Ganseyu – odezwał się Henry. – *Oddychaj.*

Na skraju pola widzenia Ganseya zamigotały małe światełka. Oddychał, lecz niewystarczająco. Nie potrafił zaryzykować poruszenia się.

Henry dotknął grzbietu jego dłoni, po czym nakrył ją swoją. Owad został uwięziony w kuli z palców.

– Oto, czego się nauczyłem – rzekł Henry. – Jeśli nie potrafisz się nie bać...

Istniał punkt, w którym groza zatrzymywała się i stawała nicością. Jednak dziś, w tej dziurze, gdy miał na skórze insekta i czekała go rychła śmierć, nicość nie nadchodziła.

– ...bój się *oraz* bądź szczęśliwy – dokończył Cheng. – Pomyśl o swojej dziecięcej narzeczonej, Ganseyu, oraz o chwilach, jakie dzieliliśmy zeszłego wieczoru. Pomyśl o tym, czego się lękasz. Ten ciężar, który mówi ci, że to pszczoła? Czy to musi być coś, co cię zabije? Nie. To tylko małe stworzenie. Może być czymkolwiek. Może być czymś pięknym.

Gansey nie potrafił już dłużej wstrzymać oddechu, musiał wypuścić go i zaczerpnąć powietrza. Wyzwolił z siebie nierówny, bezużyteczny już strumień i wciągnął kolejny. Mrok znów stał się tylko mrokiem, tańczące światełka zniknęły. Serce wciąż robiło mu harmider w piersi, ale zwalniało.

– O, wróciłeś – stwierdził Henry tak samo jak w Dzień Kruka. – To straszna rzecz widzieć kogoś innego przerażonego, prawda?

– Co mam w dłoni?

– Tajemnicę. Zamierzam ci ją zawierzyć. – Cheng brzmiał teraz, jakby odczuwał lekką niepewność. – Ponieważ chcę, żebyś mi zaufał. Skoro jednak mamy być przyjaciółmi, musisz poznać prawdę.

Henry wziął głęboki oddech, po czym podniósł dłoń nad palców Ganseya, odsłaniając pszczołę pokaźnych rozmiarów.

Gansey nie zdążył nawet zareagować, gdy Henry znów dotknął jego palców.

– Spokojnie, panie Gansey. Popatrz ponownie.

Teraz, gdy Gansey już się uspokoił, widział, że nie była to wcale zwykła pszczoła, lecz piękny mechaniczny insekt. *Piękny*

to może nie najlepsze określenie, jednak nic innego nie przychodziło mu na szybko do głowy. Skrzydełka, czułki i nogi wyraźnie wykonano z metalu, owad miał również stawy i skrzydełka starannie uformowane z cienkiego drutu, lecz poza tym wydawał się równie delikatny i elegancko ubarwiony, jak kwiatowy płatek. Nie był żywy, lecz wyglądał na pełnego życia. Widać go było w ciemności, ponieważ maleńkie serce wydzielało bursztynowy blask.

Gansey wiedział, że rodzina Henry'ego zajmowała się produkcją mechanicznych pszczół, ale gdy się nad tym zastanawiał, nie spodziewał się czegoś *takiego*. Był przekonany, że widywał zdjęcia pszczół-robotów, i choć stanowiły imponujący przykład nanotechnologii, nie przypominały prawdziwych owadów, miały więcej wspólnego z maleńkimi śmigłowcami niż z żywymi insektami. Pszczoła Henry'ego została jednak zbudowana w sposób budzący przerażenie i zahaczający o niemożliwość. Tak bardzo przypominała mu wyśnzione obiekty Ronana, że gdy tylko o tym pomyślał, nie mógł się już pozbyć tej koncepcji.

Henry wyciągnął z kieszeni telefon. Zaczął szybko stukać w wyświetlacz, wywołując tęczo-łśniący ekran, na który z jakiegoś powodu dziwnie się patrzyło.

– Robopszczoła łączy się z chengofonem za pośrednictwem tej aplikacji. Rozpoznaje odciski palców, gdy więc przyłożę tu palec i powiem, co ma odszukać... Robopszczoło, znajdź wspaniałe włosy! Och, no i patrz, dokąd leci.

Gansey wzdrygnął się gwałtownie, gdy owad wzleciał z takim samym odgłosem co poprzednio, po czym spoczął na jego włosach. Jego ciężar wydawał się tam jeszcze gorszy niż wcześniej na dłoni.

– Czy mógłbyś to zdjąć? – spytał sztywno. – Czuję się

bardzo niekomfortowo.

Henry znów przycisnął palec do ekranu i pszczoła wzniosła się w powietrze, po czym z brzęczeniem przeleciała na jego ramię.

– Tym razem nic nie mówiłeś – zauważył Gansey.

– Nie musiałem. Odczytuje moje myśli przez odcisk palca – wyjaśnił Henry. Nie podniósł przy tym wzroku znad wyświetlacza, ale Gansey widział w świetle telefonu, że oceniał jego reakcję. – A zatem mówię jej po prostu, co ma zrobić i... *ziuuu!* Odlatuje. Dziękuję, dziękuję, mała pszczółko.

Henry wyciągnął dłoń i owad sfrunął na nią jak na ruchomy kwiat. Światelko zgasło. Cheng schował pszczołę do kieszeni. Oczywiście była niemożliwa i Henry czekał, aż Gansey to powie. Właśnie dlatego insekt stanowił tajemnicę: ponieważ nie mógł istnieć.

Sieć owinęła się wokół Ganseya, czuł ją.

– Twoi rodzice produkują mechaniczne pszczoły – zaczął ostrożnie.

– Mój ojciec. Firma mojego ojca.

Została tu nakreślona granica, choć Gansey nie wiedział, z jakiego powodu.

– I robią takie właśnie pszczoły.

Gansey nie starał się zabrzmieć, jakby w to wierzył.

– Gansey, chłopcze, chyba musimy zdecydować, czy sobie ufamy, czy też nie – rzekł Henry. – Nadszedł ten moment w naszej młodej przyjaźni.

Gansey zastanawiał się przez chwilę nad kolejnymi słowami.

– Jednak zaufanie komuś i zwierzanie się mu nie jest równoznaczne.

Henry roześmiał się z aprobatą.

– Nie jest. Jednak ja już ci zaufałem i zwierzyłem się. Zachowałem twoje tajemnice: to, co znajdowało się w bagażniku twojego SUV-a, oraz że Adam Parrish nie został zabity przez spadające dachówki. To właśnie zaufanie. I zwierzyłem ci się, pokazując robopszczołę.

Wszystko to było prawdą. Gansey znał jednak wystarczająco wiele osób z tajemnicami, aby nie dać się skłonić do łatwego wykorzystywania ich jako waluty. Poza tym tak wiele elementów składających się teraz na codzienność Ganseya narażało życie innych, nie tylko jego własne. Henry spodziewał się po nim sporego zaufania, zważywszy na to, że jak dotąd przeżyli razem jedną imprezę w togach oraz znaleźli się w dziurze w ziemi.

– Sprzedawcy samochodów wykorzystują pewną psychologiczną zasadę – powiedział. – Za własne pieniądze kupują ci colę z automatu, a później czujesz się zobowiązany, by kupić od nich auto.

– Czy chcesz powiedzieć, że twoje tajemnice tak się mają do moich, jak samochód do napoju gazowanego? – spytał z lekkim rozbawieniem Henry.

– Firma twojego ojca nie zbudowała tej pszczoły, prawda?
– odparł z równą wesołością Gansey.

– Nie.

W sumie mógł to już mieć za sobą.

– Czego po mnie oczekujesz? Że wypowiem słowo „magia”?

– Widywałeś już magię podobną do mojej robopszczoły – rzekł Henry. – To coś innego niż Parrish odbijający tonę dachówek. Gdzie się z nią zetknąłeś?

Gansey nie mógł odpowiedzieć.

– To nie moja tajemnica.

– Oszczędzę ci cierpienia – odparł Henry. – Wiem. Declan Lynch. Sprzedał mojej matce dwie takie.

Było to tak niespodziewane, że Gansey cieszył się, iż znajdowali się znów w całkowitej ciemności, miał bowiem pewność, że na jego twarzy pojawił się szok. Starał się poukładać sobie usłyszane informacje. Declan... A więc ta pszczoła to sprawka Nialla. Jeśli matka Henry'ego była klientką, czy to znaczyło, że Declan sprzedawał artefakty ludziom ze szkoły? Na pewno nie był aż tak głupi.

– Skąd twoja matka dowiedziała się, jak je kupić? Czy to ty jej powiedziałaś?

– Zrozumiałeś to na opak. Nie dowiedziała się, ponieważ tu jestem. Jestem tu, ponieważ ona się dowiedziała. Teraz widzisz? Stanowię dla niej wymówkę. Odwiedza mnie. Kupuje coś od Declana Lyncha. Wraca. Nikt niczego nie zauważa. Ach! Już od dwóch lat chciałem powiedzieć to na głos. Tajemnice potrafią aż rozsadzać.

– Twoja matka posłała cię do Aglionby, żeby mieć przykrywkę do robienia interesów z Declanem? – zapytał Gansey.

– Magiczne artefakty, bracie. Duży biznes. Przeróżający. Dobry sposób, by zarobić kulkę w kolano. Albo kopnąć w kalendarz jak Kavinsky.

Gansey sądził, że zaraz zakrztusi się tymi rewelacjami.

– Z nim też robiła interesy?

– Oj, nie. Handlował tylko prochami, ale mówiła, że też były magiczne. Zresztą weź przestań. Byłeś na imprezie czwartego lipca. Wyjaśnij smoki.

– Nie mogę – rzekł Gansey. – Obaj to wiemy.

– Owszem, wiemy – stwierdził z satysfakcją Henry. – Kiedyś niemal zabił Chenga Drugiego dla samej zabawy. Był

paskudny.

Gansej oparł się o pylistą ścianę.

– Słabo się czujesz? Wszystko w porządku? Wydawało mi się, że spokojnie gawędziliśmy.

Tak, gawędzili, tyle że zupełnie inaczej, niż Gansey się spodziewał. Podczas poszukiwań Glendowera toczył rozmowy z wieloma dziwnymi ludźmi. Jego podróże odbywały się w zasadzie nie pomiędzy miastami lub państwami, lecz osobami i zjawiskami. Różnica polegała na tym, że Gansey jeździł ich szukać. Oni nigdy nie szukali jego. I nigdy nie spotkał nikogo podobnego do siebie. Choć Henry’emu daleko było do bliźniaka Ganseya, kogoś bliższego jeszcze nie znalazł.

Dopóki się nad tym nie zastanowił, nie zdawał sobie sprawy, jaka samotność kryła się za tą świadomością.

– Czy w Aglionby są inne magiczne osoby, o których powinienem wiedzieć? – spytał.

– Nie licząc tych, którzy prowadzą się z tobą? O nikim nie wiem. Od roku próbowałem cię rozgryźć.

– Jestem niejadalny.

– Nie, głupku. Rozgryźć, kim jesteś. Sprawdzić, czy jesteś takim świrem jak K.

Gansej roześmiał się. Miał wrażenie, jakby przez ostatnie dni przeszedł przez wszystkie emocje znane ludzkości.

– Nie jestem świrem – odrzekł. – Tylko gościem szukającym króla. Mówiłeś, że twoja matka kupiła dwie takie rzeczy. Gdzie druga?

Henry wyciągnął insekta z powrotem z kieszeni. Jego bursztynowe serce znów lekko rozświetliło jamę.

– W laboratorium, rzecz jasna. Ojciec nieustannie próbuje ją skopiować za pomocą niemagicznych elementów. Matka poleciła mi zachować tę, aby przypominała mi, czym jestem.

– A czym?

Pszczola oświeślała siebie oraz Chenga: jej przejrzyste skrzydełka, jego zawadiacko przystrzyżone brwi.

– Czymś więcej.

Gansey popatrzył na niego czujnie. Gdzieś po drodze, podczas tych wszystkich poszukiwań Glendowera, przestał zauważać, ile magii znajdowało się na świecie. Magii, która nie została pogrzebana w grobowcu. Teraz ją czuł.

– Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć, zanim zostaniemy przyjaciółmi – odezwał się Henry. – Moja matka sprzedaje magię. Kazała mi cię obserwować, bym poznał twoje tajemnice. Nie zamierzam cię teraz wykorzystywać, ale właśnie to miałem robić. Nie rozpocząłem tej gry, szukając przyjaciela.

– Co mam teraz powiedzieć?

– Jeszcze nic – odparł Cheng. – Chcę, żebyś się nad tym zastanowił. I mam nadzieję, że później zdecydujesz się mi zaufać. Mam już po uszy tajemnic, a brakuje mi przyjaciół.

Trzymał pszczołę pomiędzy nimi, by Gansey spoglądał na niego przez jej delikatny blask. Oczy Chenga wydawały się pełne życia i dzikie.

Podrzucił owada w powietrze.

– Wynośmy się z tej dziury – oznajmił.

Świat nie dysponował słowami pozwalającymi mierzyć nienawiść. Były tony, metry, lata, wolty, węzły, waty. Ronan potrafił określić, jak szybko jechał jego samochód. Mógł opisać, jak ciepło jest w danym dniu. Mógł podać swoje ciśnienie tętnicze. Nie był jednak w stanie nikomu precyzyjnie podać, jak bardzo nienawidził Akademii Aglionby.

Jednostka musiałaby obejmować zarówno wielkość, jak i ciężar nienawiści. A także czynnik czasu. Dni spędzone w klasie, zmarnowane, bezużyteczne, poświęcone na naukę umiejętności potrzebnych w życiu, którego nie pragnął. Raczej nie istniało pojedyncze słowo pozwalające ogarnąć tę pogardę. Być może „pełna”. Czuł pełną nienawiść do Akademii Aglionby.

Złodziej? Aglionby było złodziejem. Życie Ronana stanowiło sen, który ktoś okradł.

Powtarzał sobie, że zdecyduje się na odejście. Miał to być prezent na osiemnaste urodziny od niego samego.

A jednak wciąż tu był.

Odejść. Po prostu odejść. Albo wierzył, że potrafił to zrobić, albo nie.

Słyszał w myślach głos Ganseya: „Wytrzymaj tylko do zakończenia, to już zaledwie kilka miesięcy. Na pewno zniesiesz jeszcze ten okres”.

Zatem próbował.

Dzień szkolny był niczym poduszka zarzucona na głowę. Sądził, że udusi się przed ostatnim dzwonkiem. Jedynym tlenem, jaki widział w zasięgu, wydawał się blady pasek skóry na nadgarstku Adama w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zegarek, a także krótkie chwile nieba widzianego pomiędzy lekcjami.

Jeszcze cztery godziny.

Declan nie przestawał wysyłać do niego wiadomości. „Gdy będziesz miał chwilę puść mi esa”. Ronan nie puszczał ludziom esów. „Hej wiem że jesteś w szkole ale może odezwij się”. To było kłamstwo, supermoc Declana. Założył, że Ronan nie znajdował się w szkole. „Hej jestem w mieście muszę z tobą pogadać”.

To zwróciło uwagę Ronana. Po ukończeniu szkoły Declan znajdował się już w odległości dwóch godzin, bezpiecznie umocowany w stolicy. Dystans ten, zdaniem Ronana, poprawił ich stosunki w każdy sposób, w jaki dało się je poprawić. Wracał tylko na niedzielną mszę, robiąc sobie ekstrawagancką pięciogodzinną wycieczką, którą Matthew przyjmował za pewnik, a Ronan tylko częściowo rozumiał. Declan na pewno miał lepsze rzeczy do roboty w Waszyngtonie niż spędzać pół dnia w mieście, którego nienawidził, z rodziną, której częścią nigdy nie chciał być.

Ronana to nie obchodziło. Czuł się, jakby zupełnie nic nie zyskał przez lato. Wrócił do Aglionby, śnił straszliwe rzeczy, starał się unikać Declana. Jeszcze trzy godziny.

– Lynch – powiedział Jiang, mijając go w stołówce. – Myślałem, że umarłeś.

Ronan zmierzył go chłodnym spojrzeniem. Nie chciał oglądać twarzy Jianga, chyba że za kierownicą samochodu.

Jeszcze dwie godziny.

Declan zadzwonił podczas wykładu gościnnego.

Wyciszony telefon brzęczał sam do siebie. Niebo na zewnątrz było błękitne i przetykane chmurami. Ronan chciał pod nim stać. Jego gatunek marniał w niewoli.

Jeszcze godzina.

– Wydawało mi się, że mam halucynacje – odezwał się

Adam przy szafkach, gdy z radiowęzła przynudzało jakieś ogłoszenie. – Ronan Lynch w korytarzach Aglionby.

Ronan zatrzasnął szafkę. Nic do niej nie włożył i nie miał powodu otwierać jej lub zamykać, ale podobał mu się satysfakcjonujący brzęk metalu rozchodzący się echem w korytarzu i zagłuszający ogłoszenia. Na wszelki wypadek powtórzył procedurę.

– Czy to ma być prawdziwa rozmowa, Parrish?

Adam nie trudził się odpowiedzią. Zamienił jedynie trzy podręczniki na sportową bluzę z kapturem.

Ronan szarpnięciem poluzował krawat.

– Pracujesz po szkole? – spytał

– Ze śniącym – odparł Adam.

Wytrzymał spojrzenie Ronana nad drzwiami szafki.

W szkole nagle zrobiło się lepiej.

Adam delikatnie zamknął szafkę.

– Kończę o wpół do piątej. Jeśli czujesz się na siłach, pomyślmy, jak naprawić twój wyśniony las. Chyba że masz pracę domową.

– Dupek – stwierdził Ronan.

Adam uśmiechnął się wesoło. Ronan były zdolny wszczynać wojny i palić miasta dla tego uśmiechu: prawdziwego, pogodnego i przyjaznego.

Dobry nastrój Ronana utrzymał się tylko do końca korytarza i kończących go schodów, ponieważ na zewnątrz przy krawężniku parkowało smukłe volvo Declana. Sam Declan stał obok niego, rozmawiając z Ganseyem, który miał kurz na łokciach mundurkowej koszuli. Ronan nie miał pojęcia, jak udało mu się tak pobrudzić podczas lekcji. Declan był

w garniturze, ale w jego przypadku nigdy nie wyglądało to na specjalną okazję. Nosił garnitury tak jak inni spodnie od piżamy.

Nie istniały słowa pozwalające zmierzyć nienawiść Ronana do jego starszego brata i odwrotnie. Nie było jednostki umożliwiającej określenie emocji, która składała się w równych częściach z nienawiści, poczucia zdrady, krytyki oraz przyzwyczajenia.

Ronan zacisnął dłonie w pięści.

Jedna z tylnych szyb zjechała, ukazując złote loki i patologicznie pogodny uśmiech Matthew. Machnął do Ronana.

Minęło już parę miesięcy, odkąd wszyscy trzej znaleźli się razem w miejscu innym niż kościół.

– Ronanie – odezwał się Declan. To jedno słowo brzmiało na pełne dodatkowego znaczenia: „Widzę, że dopiero co wyszedłeś ze szkoły, a twój mundurek już wygląda jak wyciągnięty psu z gardła. Nic tu mnie nie zaskakuje”. Wskazał gestem volvo. – Dołącz do mnie w moim biurze.

Ronan nie chciał dołączyć do niego w jego biurze. Chciał natomiast przestać się czuć, jakby napił się kwasu z akumulatora.

– Ronanie, czy brat czegoś od ciebie potrzebuje? – spytał Gansey.

Jego „Ronanie” również niosło w sobie dodatkowe znaczenie: „Czy się umówiliście? Powiedz mi, co się dzieje i czy mam interweniować?”.

– To tylko mała rodzinna pogawędka – poinformował Declan.

Ronan popatrzył błagalnie na Ganseya.

– Czy ta rodzinna pogawędka może odbyć się po drodze na Fox Way? – zapytał z absolutną grzecznością Gansey. – Ponieważ on i ja właśnie tam zmierzaliśmy.

Zwykle Declan odstąpiłby pod najmniejszym naciskiem ze strony Ganseya, tym razem jednak rzekł:

– Mogę go tam podrzucić, gdy skończymy. Potrzebuję tylko paru minut.

– Ronanie!

Matthew wyciągnął przez okno dłoń w kierunku średniego brata. Jego entuzjastyczny okrzyk stanowił inną wersję słowa „proszę”.

Znalazł się w pułapce.

– *Miseria fortes viros*, Ronanie – oznajmił Adam.

Gdy powiedział „Ronanie”, miał na myśli: *Ronanie*.

– Dupek – powtórzył Ronan, poczuł się jednak odrobinę lepiej.

Wsiadł do samochodu.

Gdy obydwaj znaleźli się w środku, Declan nie ujechał daleko, zaledwie na drugą stronę parkingu, poza zasięg wzroku z odjeżdżających aut i autobusów. Odchylił się w swym fotelu, spoglądając na Aglionby. Zupełnie nie przypominał matki, tylko trochę ojca. Pod oczyma miał wywołane zmęczeniem worki.

Matthew wrócił do gry na telefonie, a jego usta wykrzywiły się w nieuważnym uśmiechu.

– Musimy porozmawiać o twojej przyszłości – zaczął Declan.

– Nie – odparł Ronan. – Nie, nie, nie musimy.

Niemal wysiadł już z samochodu, liście chrzęściły mu pod butami.

– Ronanie, zaczekaj!

Ronan nie czekał.

– *Ronanie!* Zanim tata umarł, opowiedział mi coś o tobie.

To było paskudnie nieuczciwe.

To było paskudnie nieuczciwe, ponieważ nic innego nie powstrzymałoby Ronana przed odejściem.

To było paskudnie nieuczciwe, ponieważ Declan o tym wiedział. Wiedział również, że Ronan spróbuje odejść, i trzymał tę zagrywkę w gotowości, niczym wyszukaną potrawę z kurczącej się spiżarni.

Stopy Ronana wtapiały się w asfalt. Elektryczność obecna w atmosferze trzeszczała mu pod skórą. Nie wiedział, czy jest bardziej wściekły na brata za to, że wiedział, na jaką przynętę go złapać, czy też na siebie, że nie potrafił jej się oprzeć.

– O mnie – powtórzył wreszcie głosem tak pustym, jak tylko potrafił.

Brat nie odpowiedział. Czekał jedynie.

Ronan wszedł z powrotem do auta. Zatrzasnął drzwi. Otworzył je i trzasnął nimi znowu. Otworzył jeszcze raz i na powrót walnął, po czym gwałtownie oparł głowę o zagłówek i wpatrywał się przez przednią szybę w kotłujące się chmury.

– Skończyłeś? – spytał Declan.

Zerknął w tył na Matthew, lecz najmłodszy Lynch wciąż grał wesoło na telefonie.

– Skończyłem kilka miesięcy temu – odparł Ronan. – Jeśli to kłamstwo...

– Byłem zbyt wściekły, by powiedzieć ci wcześniej – rzekł Declan, po czym dodał zupełnie innym tonem: – Będziesz cicho?

To również było nieuczciwe zagranie, ponieważ tak mawiał ich ojciec, gdy chciał im coś opowiedzieć. Ronan i tak już zamierzał słuchać, a na te słowa oparł głowę o szybę i zamknął oczy.

Declan w wielu aspektach zupełnie różnił się od ojca, ale

podobnie jak Niall Lynch, potrafił opowiadać. W końcu opowieści mają sporo wspólnego z kłamstwami, zaś Declan był doskonałym kłamcą. Zaczął:

– Dawno temu, w czasach, gdy Irlandia nie składała się głównie z ludzi i miast, lecz z ziemi i magii, żył sobie stary irlandzki bohater. Miał on imię, lecz nie podam ci go aż do końca. Był niczym bóg, przerażający, mądry i porywczy. Posługiwał się włócznią, a opowieść dotyczy właśnie tej broni, która to łaknęła krwi i niczego więcej. Ktokolwiek dysponował tą włócznią, władał polem bitwy, nic nie mogło bowiem się oprzeć jej zabójczej magii. Jej żądza krwi tak była silna, że trzeba ją było zasłaniać, by zakryć jej oczy i powstrzymać zabijanie. Potrafiła spocząć jedynie wtedy, gdy pozostawała oślepiona.

Declan przerwał na chwilę, wzdychając, jakby fizycznie odczuwał ciężar opowieści i potrzebował chwili, by odzyskać siły. Z pewnością mocno działało na niego wspomnienie tego rytuału. Ronan nie mógł się uwolnić od na wpół uformowanych obrazów ojca siedzącego w nogach łóżka Matthew, braci stłoczonych w głowach i matki przycupniętej na tym sfatygowanym taborecie, na którym nikt inny nie chciał siadać. Ona również kochała te opowieści, zwłaszcza jeśli mówiły o niej.

Rozległ się dźwięk, jakby paznokcie stukały o dach samochodu, i po chwili po przedniej szybie rozsypały się zeschnięte liście. Przypomniały Ronanowi pazury nocnego koszmaru. Zastanawiał się, czy albinos wrócił już do Stodólek.

Declan podjął opowieść:

– Gdy tylko włócznia zostawała odsłonięta, nie było istotne, czy wraz z bohaterem przebywała jego prawdziwa miłość albo rodzina, włócznia i tak ich zabijała. Była w tym dobra, to więc

czyniła.

Na tylnym siedzeniu Matthew wciągnął z dramatyzmem powietrze, by rozluźnić nastrój. Podobnie jak Piła, nie mógł znieść widoku zaniepokojonego Ronana.

– Stanowiła świetną broń, ukształtowaną do walki i do niczego innego. Bohater, obrońca wyspy, starał się wykorzystywać ją, by czynić dobro. Rozrywała jednak wrogów i przyjaciół, złoczyńców i kochanków, zatem bohater zrozumiał, że włócznię, której zależało tylko na jednym, należało rozłożyć na części.

Ronan gniewnie skubał skórzane bransoletki. Opowieść przypominała mu wyraźnie sen, który miał zaledwie kilka dni wcześniej.

– Wydawało mi się, że to miało być o mnie.

– Włócznia, jak powiedział mi tata, była właśnie nim. – Declan spojrzał na Ronana. – Poleciał mi dopilnować, że to bohater będzie miał na imię Ronan, a nie kolejna włócznia.

Pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu.

Z zewnątrz trzech bracia Lynch wydawali się zaskakująco odmienni: Declan był gładkim politykiem, Ronan słoniem w składzie porcelany, a Matthew dzieckiem słońca.

W środku bracia Lynch okazywali się zaskakująco podobni: wszyscy kochali samochody, siebie oraz siebie nawzajem.

– Wiem, że jesteś śniącym jak on – odezwał się cicho Declan. – Wiem, że jesteś w tym dobry. Wiem, że nie ma sensu prosić cię, abyś z tym skończył. Tata nie chciał jednak, żebyś był samotny jak on. Sam siebie takim uczynił.

Ronan coraz mocniej zaciskał skórzane paski.

– Och, rozumiem – rzekł w końcu Matthew. Roześmiał się lekko z siebie. – Taa.

– Dlaczego mi to teraz mówisz? – spytał Ronan.

– Otrzymałem informację, że coś dużego kroi się tu w Henriecie – odparł Declan.

– Kto?

– Kto co?

– Kto ci to powiedział.

Declan zmierzył go ciężkim spojrzeniem.

– Skąd ten ktoś wiedział, by się do ciebie odezwać?

– Czy naprawdę sądziłeś, że tata sam zajmował się swoimi sprawami?

Ronan tak właśnie sądził, ale nic nie powiedział.

– Jak myślisz, dlaczego przeniosłem się do stolicy?

Ronan sądził, że dla polityki, jednak najwyraźniej nie była to poprawna odpowiedź, nie odzywał się więc.

– Matthew, włącz słuchawki – polecił Declan.

– Nie wziąłem ich.

– Udawaj, że je masz – rzekł Ronan.

Włączył radio, by coś zagłuszało ich w tle.

– Chcę, żebyś odpowiedział mi szczerze – odezwał się Declan. – Czy rozważasz w ogóle pójście do college’u?

– Nie.

Wypowiedzenie tego na głos okazało się jednocześnie satysfakcjonujące i straszliwe. Spust został naciśnięty, huk przebrzmiał, Ronan rozglądał się w poszukiwaniu ciała.

Declan zachwiał się. Wyglądało na to, że kula przynajmniej musnęła jakiś istotny organ. Z pewnym wysiłkiem zatamował krew tryskającą z tętnicy.

– Tak się domyślałem. A więc zdecydowałeś się z tego żyć, racja?

Szczerze mówiąc, nie tego Ronan pragnął. Choć chciał zyskać swobodę śnienia i mieszkania w Stodólkach, nie zamierzał śnić po to, aby móc mieszkać w Stodólkach. Chciał

zostać pozostawiony samemu sobie, aby móc naprawić wszystkie budynki, obudzić bydło ojca z ponadnaturalnego snu, zasiedlić pola nowymi zwierzętami, które można by zjeść i sprzedać, oraz przemienić najdalsze pole w wielką błotną kałużę, po której jeździłby samochodem w kółko. Stanowiło to dla niego romantyczny ideał, dla osiągnięcia którego byłby zdolny wiele uczynić. Nie był jednak pewien, jak przekazać to bratu w przekonujący, niekłopotliwy sposób, zrobił to więc nieprzyjaźnie:

– Tak naprawdę zastanawiałem się nad karierą farmera.

– Ronan, noż kurwa – odparł Declan. – Czy choć raz moglibyśmy porozmawiać poważnie?

Ronan szybkim wyćwiczonym ruchem pokazał mu środkowy palec.

– Jak sobie chcesz – uznał Declan. – Zatem Henrietta może teraz nie wyglądać na pole bitwy, ale to tylko dlatego, że zaharowuję się, aby nie dopuścić ich do miasta. Przez dłuższy czas obsługiwałem tacie sprzedaż i mówiłem wszystkim, że prowadzę ją ze stolicy.

– A co sprzedawałeś, jeśli tata nie snił dla ciebie nowych gratów?

– Widziałeś, jak jest w Stodólkach. To tylko kwestia wypuszczenia starych gratów na tyle powoli, aby sprawiać wrażenie, że zdobywam je z innych źródeł, a nie tylko chodzę do szopy. Właśnie dlatego tata tyle podróżował: podtrzymywał przekonanie, że rzeczy pochodziły z różnych miejsc.

– A *dłaczego* sprzedawałeś, jeśli tata nie snił dla ciebie nowych gratów?

Declan przejechał dłonią po kierownicy.

– Tata wykopał nam wszystkim grób. Obiecał ludziom rzeczy, których jeszcze nie wyśnił. Zawarł umowy z osobami,

które nie zawsze miały ochotę płacić i wiedziały, gdzie mieszkamy. Udawał, że odnalazł ten artefakt, Greywarena, pozwalający wyciągać rzeczy ze snów. Tak. Brzmi znajomo? Gdy przychodzili do niego, żeby go kupić, wciskał im coś innego. Greywaren obrósł legendą. Później musiał oczywiście rozgrywać ich przeciwko sobie, drażnił się z tym psychopata Greenmantle'em i skończył jako trup. A my zostaliśmy.

Jakiś czas wcześniej takie słowa wystarczyłyby do wywołania kłótni, ale teraz gorzki żal w głosie Declana przeważał nad gniewem Ronana. Średni Lynch mógł spokojnie rozważyć to, co usłyszał, i porównać ze wszystkim, co wiedział o ojcu. Oraz o Declanie.

Nie podobało mu się to wszystko. Wierzył w to, ale nie podobało mu się. O wiele prościej byłoby po prostu pokłócić się z Declanem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – spytał.

Declan zamknął oczy.

– Próbowałem.

– Taa, jasne.

– Próbowałem powiedzieć ci, że nie był tym, za kogo go uważałeś.

Rozmijał się z prawdą. Niall Lynch był w pełni tym, za kogo Ronan go uważał, lecz jednocześnie był tym, za kogo uważał go Declan. Obie wersje niekoniecznie musiały się nawzajem wykluczać.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że musisz stykać się z tymi ludźmi?

Declan otworzył oczy. Były jaskrawoniebieskie, jak u wszystkich braci Lynch.

– Starłem się ciebie chronić, ty mały srojdku.

– Cóż, byłoby kurewsko prościej, gdybym więcej wiedział

– warknął w odpowiedzi Ronan. – Zamiast tego ja i Adam musieliśmy sami wykurzyć Greenmantle’a, podczas gdy ty bawiłeś się w szpiega.

Brat przyjrzał mu się taksująco.

– To byliście wy? Jak... Och.

Ronan przez pełną minutę napawał się jego uznaniem.

– Parrish zawsze był dziwnym i sprytnym małym gnojkiem – zauważył Declan, wbrew sobie brzmiąc całkiem podobnie jak ich ojciec. – Posłuchaj, w czym rzecz. Jak już mówiłem, pewna osoba zadzwoniła do mnie rano i powiedziała, że ktoś oferuje tutaj do sprzedaży coś dużego. Ludzie zjadą się, by popatrzeć na to coś, cokolwiek to jest. Nie będą musieli się zbytnio starać, żeby znaleźć ciebie, Matthew, Stodółki oraz ten las.

– Czy ta osoba coś sprzedawała?

– Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Nie rozumiesz? Nawet gdy ten interes zostanie zrobiony, i tak będą przyjeżdżać, ponieważ Henrietta jest jak ogromna, ponadnaturalna latarnia morska. I ponieważ może wyjść na jaw cała masa nieposprzątanых jeszcze przeze mnie spraw taty. Zaś jeśli dowiedzą się, że potrafisz śnić... Niech Bóg ma cię w opiece, ponieważ to będzie koniec. Ja tylko... – Declan przerwał i zamknął oczy. Ronan ujrzał wówczas brata, z którym dorastał, w miejscu brata, od którego się oddalił. – Czuję się zmęczony, Ronanie.

W samochodzie zapadła cisza.

– Proszę... – odezwał się znów po chwili Declan. – Pojedź ze mną, dobrze? Możesz odejść z Aglionby, Matthew przeniesiemy do stolicy, zaś ja obleję benzyną wszystko, co tata zbudował, i po prostu pozostawimy Stodółki za sobą. Jedźmy.

Ronan zdecydowanie nie spodziewał się po nim takich słów i nie potrafił na nie odpowiedzieć. Odejść z Aglionby, porzucić

Henriette, odejść od Adama, porzucić Ganseya.

Kiedyś, gdy Ronan był młodszy, na tyle młody, że wciąż uczęszczał do szkoły niedzielnej, obudził się, trzymając płonący miecz. Jego piżama, zgodna z rygorystycznymi zasadami bezpieczeństwa, które do tamtej chwili wydawały się kwestią czysto akademicką, stopiła się i uratowała go, lecz koc i znaczna część zasłon zostały zupełnie zniszczone w niewielkiej pożodze. To Declan wyciągnął wówczas Ronana z jego pokoju i obudził rodziców. Nigdy o tym nie wspominał, a Ronan nigdy mu nie podziękował.

Zresztą tak naprawdę nie miał wyboru. Gdy Lynchowie musieli, zawsze ratowali sobie nawzajem życie.

– Zabierz Matthew – rzekł Ronan.

– Co?

– Zabierz Matthew do stolicy i pilnuj go.

– Tak? A co z tobą?

Popatrzyli po sobie niczym własne odbicia w krzywych zwierciadłach.

– To mój dom – oznajmił Ronan.

Burzowa pogoda idealnie odzwierciedlała stan duszy Blue Sargent. Pierwszy dzień w szkole po okresie zawieszenia wydawał się nie mieć końca. W drobnej części dlatego, że w tym czasie przeżyła wyjątkowe chwile będące zupełnym przeciwieństwem codzienności w liceum Mountain View. Znacznie większą część stanowił jednak najbardziej niemagiczny epizod zawieszenia: impreza w togach u Henry'ego Chenga. Urok tego wydarzenia jeszcze bardziej powiększało to, że nie było w nim śladu magii, zaś więź, jaką natychmiast nawiązała z uczniami, podkreślała jedynie, że nie udało jej się przeżyć zupełnie nic podobnego w latach spędzonych w Mountain View. Co sprawiło, że tak dobrze poczuła się wśród ekipy z Vancouver? I dlaczego owa nić porozumienia zawiązała się akurat z ludźmi należącymi do odmiennego świata? W zasadzie знаła odpowiedź na to pytanie. Chłopcy z Vancouver spoglądali w gwiazdy, nie mieli wzroku utkwionego w ziemię. Nie wiedzieli wszystkiego, ale chcieli wiedzieć. W innym świecie mogłaby przyjaźnić się z osobami takimi jak Henry przez cały nastoletni okres. W tej rzeczywistości przebywała jednak w Henriecie i obserwowała, jak tacy ludzie stamtąd odchodzą. Nie czekał ją wyjazd do Wenezueli.

Blue była pełna frustracji, że jej życie miało tak wyraźnie wytyczone granice.

Istniały rzeczy, które *nie wystarczały*, ale mogła je mieć.

I rzeczy, stanowiące *coś więcej*, których nie mogła mieć.

Stała więc jak złośliwa staruszka, zgarbiona w długiej, zmasakrowanej bluzie z kapturem, którą przerobiła na sukienkę. Czekala aż autobusy odjadą i uwolnią jej rower. Żalowała, że nie

miała telefonu ani Biblii, aby udawać superzajętą, podobnie jak garstka nieśmiałych nastolatków stojących przed nią w kolejce do autobusu. Czworo kolegów z klasy zatrzymało się niebezpiecznie blisko, dyskutując, czy scena napadu na bank w tym filmie, który wszyscy widzieli, była świetna, czy też nie, a Blue obawiała się, że spytają ją o opinię. Ogólnie rzecz biorąc, wiedziała, że w wybranym przez nich temacie nie było nic złego, zdawała sobie jednak również sprawę, że nie potrafiłaby rozmawiać o filmie, nie brzmiąc protekcjonalnie. Czuła się, jakby miała tysiąc lat. Uważała również, że być może zachowywała się protekcjonalnie. Chciała swego roweru. Chciała swoich przyjaciół, także protekcjonalnych tysiactłatków. Chciała żyć w świecie, w którym otaczaliby ją protekcjonalni tysiactłatkowie.

Chciała pojechać do Wenezueli.

– Hej, hej, księżniczko! Masz ochotę na przejażdżkę życia?

Blue nie od razu uświadomiła sobie, że te słowa zostały skierowane do niej. Prawda dotarła do niej dopiero, gdy wszystkie twarze obróciły się w jej kierunku. Okręciła się powoli i odkryła, że na drodze pożarowej zaparkował bardzo drogi i bardzo srebrny samochód.

Blue całymi miesiącami udawało się spotykać z uczniami Aglionby w taki sposób, by nie wyglądało, że się z nimi spotykała, teraz jednak obok niej znajdował się najbardziej kruczy chłopiec, jak to tylko było możliwe. Kierowca miał na ręku zegarek, który nawet Gansey uznałby za niegustowny. Kierowca miał włosy na tyle wysoko spiętrzone, że dotykały podsufitki samochodu. Kierowca miał wielkie okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach pomimo zachmurzenia. Kierowca nazywał się Henry Cheng.

– Łooooo – odezwał się Burton, jeden z chłopców od ataku

na bank, kołysząc się lekko. – Nie Jestem Twoją Suką ma chłopaka? To on cię tak sponiewierał?

Cody, drugi z rabusiów, podszedł do krawężnika, by przyjrzeć się fiskerowi.

– To ferrari? – spytał Henry’ego.

– Nie, to bugatti, człowieku – odparł przez otwarte okno pasażera Henry. – Cha, cha, jaja sobie robię, człowieku. To seryjnie ferrari. Sargent! Nie każ mi czekać!

Połowa kolejki do autobusu na nią patrzyła. Aż do tej chwili nigdy nie zebrała w jednym miejscu wszystkich swoich publicznych opinii na temat nadmiernej komercjalizacji, zaborczych chłopaków oraz uczniów Aglionby. Teraz jednak, gdy wszyscy spoglądali na Henry’ego i na nią, zerkała na powstały stos i stwierdzała, że był ogromny. Widziała również, jak obecni powoli przyklejają do tej sterty naklejki z napisem „BLUE SARGENT JEST HIPOKRYTKĄ”.

Nie miała jak w prosty sposób przekazać, że Henry nie był jej chłopakiem, a co więcej, wydawało się to bezcelowe w obliczu faktu, iż jej tajemniczy chłopak okazywał się tylko odrobinę mniej przytłaczającym przykładem ucznia Aglionby niż okaz znajdujący się tuż obok niej.

Blue przepełniała nieprzyjemna pewność, że musiała także sama doczepić naklejkę „BLUE SARGENT JEST HIPOKRYTKĄ”.

Gniewnym krokiem podeszła do okna pasażera.

– Nie obciążaj mu tak na widoku, Sargent! – krzyknął ktoś.
– Każ mu najpierw postawić sobie steka!

Henry uśmiechnął się promiennie.

– Ha! Tubylcy są niespokojni. Witajcie, ludzie! Nie lękajcie się, specjalnie dla was doprowadzę do podniesienia płacy minimalnej! – Spojrzał znów na Blue, a przynajmniej skierował

w jej stronę okulary przeciwsłoneczne, i oznajmił: – Cześć, cześć, Sargent.

– Co tu robisz?! – spytała ostro.

Czuła... W sumie sama nie wiedziała, co. Na pewno *dużo*.

– Przyjechałem, żeby porozmawiać o mężczyznach w twoim życiu. O mężczyznach w moim życiu. Podoba mi się ta sukienka, tak na marginesie. Bardzo boho, chic i w ogóle. Wracałem do domu i chciałem sprawdzić, czy bawiłaś się dobrze na imprezie w togach, oraz upewnić się, czy nasze plany co do Zimbabwe wciąż są aktualne. Widzę, że próbowałaś wydrapać sobie oko. To na czasie.

– Sądziłam... Chyba... Chodziło o Wenezuelę.

– No jasne, zajrzemy tam po drodze.

– Boże – stwierdziła.

Henry pochylił głowę w wyrazie pokory.

– Koniec szkoły dyszy w karki nam wszystkim, wiejska damo – oznajmił. – Nadszedł czas, by sprawdzić, czy trzymamy sznurki wszystkich balonów, które chcemy zachować, zanim odlecą.

Blue przyjrzała mu się ostrożnie. Łatwo byłoby odpowiedzieć, że sama nigdzie nie odlatywała, że ten balon powoli straci hel i opadnie na ziemię w tym samym miejscu, w którym się urodził, lecz pomyślała o przepowiedniach matki na jej temat i zmieniła zdanie. Zamiast tego przypomniało jej się, jak bardzo chciała udać się do Wenezueli, a Henry Cheng uczynił tak samo, i oznaczało to coś w tej minucie, nawet jeśli miało nic nie znaczyć w przyszłym tygodniu.

Przyszła jej do głowy myśl.

– Nie muszę ci chyba przypominać, że jestem z Ganseyem, prawda?

– Oczywiście, że nie. I tak jestem henryseksualny. Czy

mogę podwieźć cię do domu?

„Trzymaj się z dala od chłopców z Aglionby, ponieważ są draniami”.

– Nie mogę wsiąść do tego samochodu – rzekła Blue. – Czy widzisz, co się za mną dzieje? Nie chcę nawet spoglądać.

– A może pokażesz mi faka, wrzaskiesz na mnie i wycofasz się ze swoimi zasadami? – zaproponował.

Uśmiechnął się zwycięsko i podniósł trzy palce. Odliczył jeden.

– To absolutnie niekonieczne – powiedziała mu Blue, lecz nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Życie to przedstawienie – odparł.

Doliczył do jednego, zostawiając środkowy palec, po czym na jego twarzy rozlał się wyraz przesadnego szoku.

– Idź w cholerę, gnojku! – krzyknęła Blue.

– *W porządku!* – odwrzasnął Henry z histerią odrobinę większą, niż wymagała tego rola.

Próbował ruszyć z piskiem opon, zatrzymał się, by wyłączyć hamulec postojowy, po czym odjechał nieco spokojniej.

Nie zdążyła nawet się odwrócić, by ujrzeć reakcję na swą sztukę w trzech aktach, gdy usłyszała znajomy turkot. „O nie...”.

Jednak tak. Zanim zdążyła zapomnieć o poprzednim gościu, jaskrawopomarańczowe camaro podjechało obok niej do krawężnika. Silnik szarpał się lekko. Pojazd wyraźnie nie cieszył się tak bardzo ze swej egzystencji, jak fisker, lecz robił, co w jego mocy. A poza tym w równie oczywisty sposób mieścił w sobie ucznia Aglionby.

Wcześniej na Blue spoglądała połowa kolejki do autobusu. Teraz już cała.

Gansey wychylił się do okna pasażera. W przeciwieństwie

do Henry'ego przynajmniej zareagował na uwagę obecnych grymasem.

– Jane, bardzo przepraszam, ale to nie mogło czekać. Ronan właśnie do mnie dzwonił.

– On do ciebie *dzwonił*?

– Tak. Potrzebuje nas. Możesz jechać?

Napis „BLUE SARGENT JEST HIPOKRYTKĄ” już zdecydowanie został przyklejony jej ręką. Uznała, że musi się później zastanowić nad sobą.

Zapadła względna cisza.

Zastanawianie się nad sobą właśnie się odbywało.

– Głupi kruczy chłopcy – stwierdziła i wsiadła do samochodu.

Nikt nie mógł uwierzyć, że Ronan użył telefonu.

Ronan Lynch miał wiele nawyków, które irytowały jego znajomych i ukochanych – przeklinanie, picie, wyścigi uliczne – jednak do największego szału doprowadzała ich jego nieumiejętność odbierania rozmów telefonicznych albo wysyłania SMS-ów. Gdy Adam spotkał Ronana, uznał jego awersję do wymyślnych aparatów za tak pełną, że musiała się za tym kryć jakaś historia. Jakiś powód sprawiający, że nawet w obliczu kryzysowej sytuacji pierwszą reakcją Lyncha było podanie komórki komuś innemu. Teraz, gdy poznał go już lepiej, zdawał sobie sprawę, że telefon nie pozwalał na komunikację niewerbalną. Dziewięćdziesiąt procent swych uczuć Ronan przekazywał za pośrednictwem mowy ciała, a komórki to nie obchodziło.

A jednak użył jej. Czekając, aż Declan skończy z Ronanem, Adam pojechał do warsztatu Boyda, by wymienić olej w paru samochodach i mieć to z głowy. Przebywał tam już kilka godzin, gdy Lynch zadzwonił. Później wysłał SMS do Ganseya i zatelefonował na Fox Way. Wszystkim powiedział to samo: „Przyjedźcie do Stodólek. Musimy porozmawiać”.

Ponieważ zaś Ronan nigdy o nic ich nie poprosił przez telefon, rzucili wszystko i pojechali.

Gdy Adam dojechał do Stodólek, pozostali już byli na miejscu – a przynajmniej było tam camaro. Adam uznał, że Gansey przywiózł Blue, skoro ich tajemnica wyszła na jaw. Auto Ronana stało z przednimi kołami skreconymi w taki sposób, że musiał ślizgiem wjechać na zajmowane stanowisko. Ku swemu zdumieniu na parkingu ujrzał też volvo Declana ustawione już przodem do wyjazdu.

Adam wysiadł.

Stodółki wywierały na niego dziwny wpływ. Przy pierwszych kilku wizytach nie wiedział, co myśleć o tych uczuciach, ponieważ nie wierzył w dwie rzeczy, z których stworzono Stodółki: magię oraz miłość. Teraz, gdy choćby przelotnie zaznajomił się z jednym i z drugim, posiadłość działała na niego w inny sposób. Kiedyś rozważał, jaki by był, gdyby dorastał w takim miejscu. Obecnie zastanawiał się, że mógłby zamieszkać w takim miejscu, gdyby kiedyś zechciał. Nie do końca rozumiał, co się zmieniło.

W środku natknął się na resztę w różnych stadiach świętowania. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że przypadały właśnie urodziny Ronana. Z tyłu dymił grill, na stole kuchennym stały kupne babeczki, a w rogach pokoju leżało kilka nadmuchanych balonów. Blue siedziała na podłodze ze zmrużonym uszkodzonym okiem, przywiązując do nich sznurki, zaś Gansey i Declan stali przy blacie z opuszczonymi głowami, rozmawiając ściszymi, poważnymi głosami, z powodu których wydawali się starsi niż w rzeczywistości. Ronan i Matthew wpadli do kuchni z podwórka. Zachowywali się hałaśliwie i bratersko, wygłupiali się. Czy to właśnie tak było posiadać braci?

Ronan podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Adama.

– Zdejmij buty, zanim zaczniesz się tu kręcić, dupku.

Adam zatrzymał się i pochylił, żeby rozwiązać sznurówki.

– Nie ty. Chodziło mi o Matthew.

Ronan utrzymał jeszcze przez chwilę wzrok Adama, po czym spojrzał na Matthew rozwiązującego buty. Gdy następnie ruszył za młodszym bratem, wślizgującym się do jadalni w skarpetkach, Adama zrozumiał: uroczystość zorganizowano dla Matthew.

Blue podniosła się, by do niego podejść.

– Matthew zostanie z Declanem – wyjaśniła cicho. –

Przepisuje się z Aglionby.

Obrazek nabrał ostrości. Było to pożegnalne przyjęcie.

W ciągu kolejnej godziny poskładał sobie całą opowieść z fragmencików przekazywanych przez wszystkich pozostałych. Konkluzja wyglądała następująco: władza w Stodólkach przechodziła z rąk do rąk w drodze bezkrwawej rewolucji, korona została przekazana z ojca na środkowego syna, a najstarszy zrzekał się tronu. I jeśli można było wierzyć Declanowi, tuż za granicami czaiły się nieprzyjazne wojska.

Chodziło zatem zarówno o imprezę pożegnalną, jak i naradę wojenną.

Adam nie mógł w to wszystko uwierzyć. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział Ronana i Declana w jednym pomieszczeniu niekłójących się. Nie dawało się jednak ukryć, że nigdy nie oglądał braci w takim stanie. Declan pełen ulgi i zmęczony. Ronan skupiony i pełen poczucia celu oraz radości. Matthew niezmienny i tryskający energią niczym szczęśliwy sen, którym przecież był.

Było w tym wszystkim coś, co zbijało Adama z tropu. Nie do końca rozumiał. Przez otwarte okno kuchenne czuł powiew bukszpanu i myślał o wieszczeniu w samochodzie Ronana. Dostrzegął Sierotkę chowającą się razem z Piłą pod stołem w jadalni wraz z pudłem zabawek z drutu i znów przypominał sobie szok, jaki poczuł na wieść, iż to Ronan wyśnił Cableswater. Zawędrował do snu Ronana Lyncha, który wszystko w tej krainie przerobił na wzór własnej wyobraźni.

– Dlaczego nie ma jej *tutaj*? – dobiegł z kuchni zirytowany głos Ronana.

Matthew mruknął coś w odpowiedzi.

Chwilę później Ronan zawiesił się palcami o framugę prowadzącą do jadalni.

– Parrish, Parrish – odezwał się. – Mógłbyś sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś rolki cholernej folii aluminiowej? Może w pokoju Matthew?

Adam nie do końca pamiętał, gdzie znajdował się pokój Matthew, ale ucieszył się, dostając wymówkę, żeby się poszwendać. W kuchni dalej toczyły się rozmowy, on zaś przeszedł korytarzem i wdrapał po schodach do kolejnego korytarza oraz kolejnej klatki schodowej. Na dole Ronan coś powiedział, a Matthew wydał z siebie absolutnie piekielny rechot. Ku swemu zaskoczeniu Adam usłyszał również śmiech Ronana: szczery, niehamowany, uprzejmy.

Trafił do pomieszczenia, które musiało być sypialnią Nialla oraz Aurory. Wpadające przez okno światło padało na białą, miękką i lejącą się narzutę. „O, pójź tam, dziecię ludzi”⁴, głosił oprawiony cytat obok łóżka. Nad toaletką w ramce wisiało zdjęcie przedstawiające Aurorę z ustami otwartymi w szerokim, pełnym zaskoczenia, szczerym śmiechu, wyglądającą jak Matthew. Z tyłu tulił ją Niall, uśmiechnięty, elegancki i przystojny, z obciętymi do poziomu brody włosami zatkniętymi za uszy. Miał twarz Ronana.

Adam przez dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię, nie do końca pojmując, co go tak do niej przyciągnęło. Uznał, że mogło chodzić o zaskoczenie, ponieważ zakładał, że Aurora była niczym czysta tablica, łagodna i cicha, jak w Cableswater. Powinien był się domyślić, że okazywała się zdolna do szczęścia oraz energii, ponieważ Ronan tak długo wierzył, iż była rzeczywistą osobą, nie wytworem snu.

A co właściwie było rzeczywiste?

Możliwe jednak, że do zdjęcia przykuł go Niall Lynch, ta

starsza wersja Ronana. Podobieństwo nie było oczywiście idealne, ale wystarczało, by widzieć w nim nawyki Ronana. Ten dziki, gwałtowny ojciec, ta dzika, szczęśliwa matka. Gdzieś w głębi Adam poczuł ukłucie bólu.

Niczego nie rozumiał.

Odnalazł pokój Ronana. Domyślił się, że to jego, po bałaganie i fantazyjności. Wyglądał jak pogodniejszy kuzyn jego sypialni z Monmouth. Dziwne małe przedmioty zostały upchnięte we wszystkie kąty i pod łóżkiem: sny młodego Ronana, a może podarunki od ojca. Widział również zwykłe przedmioty: deskorolkę, sfatygowaną walizkę na kółkach, instrument o skomplikowanym wyglądzie, zapewne dudy, zakurzony w otwartym futerale. Adam podniósł z półki lśniący model samochodu, który zaczął grać dziwną, urokliwą melodię. Adam musiał usiąść.

Przycupnął na skraju puszystej białej narzuty, na jego kolanach rozlewał się prostokąt czystego białego światła. Czuł się jak pijany. Wszystko w tym domu wydawało się całkowicie pewne swej tożsamości, swego miejsca. Pewne, że było chciane. Wciąż trzymał na kolanach miniaturkę, która już ucichła. Nie było to żadne konkretne auto, a raczej wszystkie możliwe podrasowane samochody wyśnzione w formę, która nie odzwierciedlała żadnego istniejącego, lecz przypominała Adamowi pierwszą rzecz, jaką kiedykolwiek sobie kupił. Było to znieawidzone wspomnienie, czasami wkradające się na skraj jego świadomości, gdy zasypiał. Myśli podpływały do niego i cofały się gwałtownie jak oparzone. Nie pamiętał, ile miał wówczas lat. Babcia wysłała mu w kopercie pocztówkę wraz z dziesięcioma dolarami – w czasach, gdy wciąż do niego pisywała. Kupił sobie za te pieniądze mały samochodzik podobnej wielkości, pontiaca. Nie mógł sobie przypomnieć, do

którego poszedł sklepu, dlaczego wybrał ten model ani nawet, z jakiego powodu otrzymał pocztówkę. Pamiętał jedynie, że leżał na podłodze swego pokoju, jeżdżąc po dywanie, gdy usłyszał, jak ojciec mówi z innego pomieszczenia...

Myśli Adama podpłynęły w okolice tego wspomnienia i odsunęły się raptownie.

Dotknął jednak maski wyśnionego auta i mimo wszystko przypomniał sobie tamten moment. Oczekiwanie w strachu na powrót wspomnienia okazało się gorsze niż ono samo, ponieważ ciągnęłoby się, dopóki Adam by się opierał. Czasami lepiej było od razu się poddać.

„Żałuję chwili, w której go w ciebie wtrysnąłem”, oznajmił jego ojciec. Nie wykrzyczał tego. Nie był zły. Po prostu stwierdził fakt.

Adam pamiętał, gdy uświadomił sobie, że ojciec mówił o nim. Nie przypominał sobie dokładnie, co matka odpowiedziała, jedynie nastrój jej wypowiedzi – coś w stylu „Nie tak to sobie wyobrażałam” albo „Nie tego pragnęłam”. W jego pamięci trwale zapisał się tylko ten samochód i słowo „wtrysnąłem”.

Adam westchnął. To niezwykle, jak pewne wspomnienia nigdy nie blakną. Dawniej – może nawet jeszcze przed kilkoma miesiącami – przypominał je sobie raz za razem, odtwarzał je w głowie w posępnej, uporczywej pętli. Gdyby się poddał, nie wiedziałby, jak to powstrzymać. Teraz przynajmniej potrafił raz poczuć użądlenie, a później odsunąć je na jakiś inny dzień. Bardzo powoli, ale jednak wyprowadzał się z tej przyczepy.

Zaskrzypiała podłoga, kostki dłoni zapukały w otwarte drzwi. Adam podniósł wzrok i ujrzał stojącego w wejściu Nialla Lyncha. Nie, to był Ronan z jedną połową twarzy oświetloną, drugą pograżoną w cieniu. Wyglądał na silnego i spokojnego,

z kciukami zatkniętymi za kieszenie dżinsów, skórzanymi bransoletami na nadgarstkach i bosymi stopami.

Bez słowa przeszedł przez pokój i usiadł obok Adama na łóżku. Gdy wyciągnął dłoń, Adam położył na niej model.

– Ale starość – stwierdził Lynch.

Zakręcił przednią oponą i znów rozbrzmiała muzyka. Siedzieli przez kilka minut, Ronan oglądał samochodzik i kręcił kołami, odtwarzając różne melodie. Adam obserwował, jak bacznie Lynch badał połączenia elementów, analizując je zmrużonymi oczyma. Ronan odetchnął, odłożył autko na łóżko obok nich i pocałował Adama.

Kiedyś, gdy Adam wciąż mieszkał w przyczepie, pewnego dnia jechał kosiarką po trawie w zaniedbanym ogródku, gdy nagle uświadomił sobie, że kilometr dalej padało. Czuł ziemisty zapach gruntu, na który spadały krople, ale również elektryczny, niespokojny aromat ozonu. Poza tym widział mglistą ścianę wody zasłaniającą mu góry. Mógł śledzić linię deszczu przemieszczającego się w jego stronę po rozległym, suchym polu. Była ciężka i ciemna. Wiedział, że jeśli zostanie na zewnątrz, zmoknie do suchej nitki. Dostrzegł ulewę z wystarczającej odległości, by schować kosiarkę i wejść pod dach. Zamiast tego stał jednak i obserwował. Nawet w ostatniej minucie, gdy słyszał już krople przyciskające trawę do ziemi, jedynie stał. Zamknął oczy i pozwolił deszczowi się zmoczyć.

Tak samo było z tym pocałunkiem.

Pocałowali się znowu. Adam poczuł go nie tylko na wargach.

Ronan odsunął się, miał zamknięte oczy, przełykał ślinę. Adam obserwował, jak podnosi się i opada mu pierś, jak mrużą mu się brwi. Czuł się równie świetliście, sennie i nierealnie jak światło wpadające przez okno.

Niczego nie rozumiał.

Minęła długa chwila, zanim Ronan otworzył oczy, i na jego twarzy widniał wówczas nieodgadniony wyraz. Podniósł się. Wciąż spoglądał na Adama, a Adam odpowiadał wzrokiem, lecz żaden z nich nic nie mówił. Zapewne Ronan czegoś po nim oczekiwał, ale Adam nie wiedział, co powiedzieć. Był magiem, jak twierdziła Persefona, a jego magia polegała na tworzeniu połączeń pomiędzy rozbieżnymi rzeczami. Obecnie był jednak zbyt wypełniony białym, rozmytym światłem, by dokonywać jakichkolwiek logicznych powiązań. Wiedział, że ze wszystkiego, co możliwe na świecie, Ronan Lynch był najtrudniejszy. Wiedział, że nie można z nim było eksperymentować. Wiedział, że wciąż jeszcze czuł ciepło w ustach. Wiedział, że rozpoczął naukę w Aglionby z przekonaniem, że chciał jak najbardziej oddalić się od tego stanu i wszystkiego, co się w nim mieściło.

Czuł pewność, że był to pierwszy pocałunek Ronana.

– Pójdę na dół – rzekł Ronan.

Pewnego razu Niall opowiedział Ronanowi historię, którą ten nie do końca pamiętał, ale zawsze ją lubił. Chodziło w niej o chłopca – który wydawał się niezwykle podobny do Ronana, jak to często się zdarzało w opowieściach Nialla – oraz o mężczyznę – który wydawał się niezwykle podobny do Nialla, jak to często się zdarzało w opowieściach Nialla. Mężczyzna mógł być czarodziejem, zaś chłopiec mógł być jego uczniem, choć być może Ronan mylił to z filmem, jaki kiedyś widział. W baśni występował magiczny łośoś zapewniający szczęście osobie, która go zjadła. A może chodziło o mądrość, nie o szczęście. W każdym razie mężczyzna był zbyt leniwy lub zbyt zajęty, by próbować samemu złapać rybę, polecił więc chłopcu, by ten uczynił to dla niego. Gdy chłopiec pojmał łośosia, miał go ugotować i zanieść mężczyźnie. Chłopiec zrobił to, ponieważ był równie sprytny jak czarodziej, jednak przygotowując rybę, oparzył się. Zanim zdążył się zastanowić włożył oparzony palec do ust i w ten sposób magia ryby dostała się jemu.

Ronan czuł, że spłynęło na niego szczęście, choć wcale do tego nie dążył.

Mógł wszystko.

– Ronan, bracie, co ty tam robisz? – zawołał Declan. – Kolacja gotowa.

Ronan znajdował się na dachu jednej z małych szop z narzędziami, najwyższym miejscu, w którym mógł się szybko znaleźć, nie posiadając skrzydeł. Nie opuścił rąk. Świetliki, błyskotki i jego wyśniony kwiat jaśniały i wirowały wszędzie wokół niego, przemykały mu przed oczyma, gdy wpatrywał się w niebo poznaczone różowymi pasmami.

Po chwili dach stęknął, Declan stęknął i podciągnął się na górę obok Ronana. Stał i wpatrywał się nie w niebo, lecz we wszystko, co krążyło wokół jego brata. Westchnął.

– O tak, sporo tu zrobiłeś – oznajmił, po czym wyciągnął rękę, by schwycić jednego ze świetlików. – Jezus Maria, Ronanie, tu nawet nie ma żadnych robali.

Ronan opuścił ręce i spojrzał na złapane przez Declana światełko. Wzruszył ramionami.

Declan wypuścił je z powrotem w powietrze. Zawisło przed nim, rozświetlając ostre, typowe dla Lynchów rysy, zmarszczone ze zmartwienia brwi oraz zaciśnięte w wyrazie rozczarowania usta.

– Chce iść z tobą – powiedział Ronan.

– Nie mogę zabrać ze sobą świecącej kulki.

– Moment – odparł Ronan. – Zaczekaj.

Przesunął ciężar na drugą nogę, by wyciągnąć z kieszeni coś, co podał Declanowi na otwartej dłoni. Wyglądało jak nakrętka z niedokładnie obrobionego metalu i mierzyło około czterech centymetrów średnicy. Steampunkowy przycisk do papieru z dziwnej maszyny.

– Masz rację, to będzie się znacznie mniej rzucało w oczy – stwierdził Declan cierpko.

Ronan stuknął gwałtownie obiekt i z sykiem wyskoczył z niego mały obłok ognistych kulek.

– Jezus, Ronanie!

Declan odsunął raptownie głowę.

– Przestań. Myślałeś, że odstrzelę ci twarz?

Znów zademonstrował działanie: szybkie stuknięcie i strumień jaśniejących kul. Wsunął przedmiot Declanowi w dłoń i zanim ten zdążył coś powiedzieć, puknął go, by znów włączyć.

Kulki wyskoczyły w powietrze. Przez chwilę Ronan widział, że jego brat został przez nie pochwycony, obserwował, jak wirowały mu szaleńczo wokół twarzy, każda z nich stanowiła złote słoneczko płonące złotem i bielą, zaś gdy ujrzał na twarzy Declana silną tęsknotę, uświadomił sobie, ile starszy brat stracił, nie będąc ani śniącym, ani wyśnionym. Nigdy nie czuł się tu jak w domu. Lynchowie nigdy nie starali się, by tak się tu czuł.

– Declanie? – odezwał się Ronan.

Na twarz Declana wróciło opanowanie.

– To najbardziej użyteczna rzecz, jaką kiedykolwiek wyśniłeś. Powinieneś ją nazwać.

– Nazwałem. WŁADCA KULEK. Wielkimi literami.

– Technicznie rzecz biorąc, to ty jesteś władcą kulek. A to tylko kulki.

– Każdy, kto go trzyma, staje się WŁADCĄ KULEK. Teraz to ty jesteś WŁADCĄ KULEK. No, weź to i schowaj do kieszeni, stołeczny WŁADCO KULEK.

Declan wyciągnął dłoń i poczochnął Ronana po ogolonej głowie.

– Jesteś takim małym gnojkiem – rzekł.

Gdy ostatni raz stali wspólnie na tym dachu, oboje rodzice żyli, bydło na polach pasło się leniwie, a świat wydawał się mniejszy. Te czasy odeszły, lecz choć przez chwilę znów było jak powinno.

Bracia spojrzeli jeszcze raz na miejsce, które ich ukształtowało, po czym zeszli razem z dachu.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Neeve Mullen.

Neeve zrobiła karierę, którą chciałoby zrobić większość jasnowidzów. Po części dlatego, że wachlarz jej zdolności parapsychicznych łatwo podlegał monetyzacji: dobrze jej szło z konkretnymi liczbami, konkretnymi literami, wyciąganiem numerów telefonicznych z czyichś portfeli, dat urodzenia z głów, ścisłym określaniem chwili wystąpienia przyszłych wydarzeń. Po części zaś dlatego, że była konsekwentnie ambitna. Nic jej nigdy nie wystarczało. Jej kariera była niczym naczynie, które nigdy nie wydawało się pełne. Zaczęła od infolinii, później wydała parę książek i załatwiła sobie program telewizyjny nadawany bardzo wczesnym rankiem. Cieszyła się szacunkiem branżowej społeczności.

Ale.

Poza społecznością zawsze miała zostać już tylko jasnowidzką. W tych czasach, w tym wieku nawet najlepsze jasnowidzki były napiętnowane stygmatem wiedzy i nie cieszyły się podziwem.

Neeve potrafiła zajrzeć w przyszłość, przeszłość i inne światy, lecz *nikogo to nie obchodziło*. Rzucała więc zaklęcia, śniła sny i prosiła duchy opiekuńcze o wskazanie ścieżki: „Powiedzcie mi, jak zyskać potęgę w sposób, którego ludzie nie będą mogli ignorować”.

„Henrietta”, wyszeptał jeden z duchów. Ekran jej telewizora zatrzymał się na mapie pogodowej Wirginii. Śniła o linii mocy. Jej przyrodnia siostra zadzwoniła. „Przyjedź do Henrietty, żeby mi pomóc!”. Zwierciadła ukazywały jej przyszłość, w której wszystkie oczy były zwrócone na nią.

Wszechświat na nią wskazywał.

A jednak oto była w czarnym lesie wraz z Piper Greenmantle oraz demonem.

Neeve powinna była się domyślić, że jej obsesja na punkcie potęgi doprowadzi ją do możliwości targowania się z demonem, lecz nie domyśliła się. Bywała na bakier z etyką, lecz daleko jej było do idiotki. Wiedziała, że takie targi nigdy nie kończą się dobrze. A więc znalazła się w ślepych zaułku. I być może miała go nigdy nie opuścić.

Miała kiepskie morale.

Natomiast Piper zachowywała entuzjazm. Zamieniła podarte szmaty na idealną suknię o kolorze błękitnego nieba, z dopasowanymi do niej balerinkami. Stanowiła szokującą plamę koloru w coraz bardziej bezbarwnym krajobrazie.

– Nikt nie chciałby kupić luksusowego przedmiotu od bezdomnej – powiedziała.

– A co sprzedajesz? – spytała Neeve.

– Demona – odparła Piper.

Neeve nie była pewna, czy powodem był brak wyobraźni lub percepcji ponadnaturalnej z jej strony, ale *tego* również nie przewidziała. Odpowiedzi Piper towarzyszył przypływ złych przeczuć. Neeve spróbowała je wysłować:

– Wydaje mi się, że demon jest przyporządkowany do tych współrzędnych geograficznych i istnieje w konkretnym celu. W tym przypadku jest nim niweczenie wszystkich energetycznych artefaktów powiązanych z tym miejscem, uważam więc za nieprawdopodobne, że zdołasz przemieścić go bez znaczących szk...

– Czy czas biegnie tu dziwnie? – przerwała Piper. – Nie potrafię stwierdzić, czy przebywamy tu od paru minut, czy dłużej.

Neeve była w pełni przekonana, że dłużej, lecz las manipulował ich poczuciem czasu, aby grać z Piper na zwłokę. Nie chciała jednak wypowiadać tego na głos, obawiała się bowiem, że jej towarzyszka wykorzysta tę informację w jakiś przerażający sposób. Zastanawiała się, czy udałoby jej się zabić Piper... „Co?”. Nie, nie udałoby się. To demon, jak zawsze szepczący w jej myślach.

Zastanawiała się, co szeptał do Piper.

Neeve popatrzyła na demona. Odpowiedział spojrzeniem. Zaczynał coraz bardziej pasować do lasu, co stanowiło złą wiadomość dla drzew.

– Nie rozumiem, jak sprzedasz tego demona – rzekła cicho.
– To objaw arogancji. Nie zdołasz go kontrolować.

Ściszenie głosu było bezcelowe, ponieważ demon znajdował się tuż obok, lecz Neeve nie mogła się powstrzymać.

– Jest mi przychylny – odparła Piper. – Tak powiedział.

– Owszem, ale demon kieruje się przede wszystkim własnymi celami. Ty jesteś tylko narzędziem.

Myśli demona odezwały się szeptem wśród drzew i drzewa zadrżały. Ptak krzyknął, lecz był to odwrócony dźwięk. Kilka kroków od Neeve w ziemi wyrosły usta, które otwierały się i zamykały powoli, jakby były wygłodniałe i zapomniane. Wydawało się to niemożliwe, lecz demona nie obchodziło, co było *możliwe*. Las istniał obecnie zgodnie z zasadami koszmarów.

Piper wydawała się tym nie przejmować.

– Jesteś pesymistką – stwierdziła. – Demonie, zrób mi dom. Mieszkalną jaskinię. Cokolwiek, co zdołasz tu szybko zamajstrować. Jeśli tylko będę mogła wziąć kąpiel, nie zamierzam się z tego wypisywać. Niech się stanie, czy jak to się mówi.

Tak się stało, czy jak to się mówi, zgodnie ze słowami Piper.

Magia demona nie przypominała niczego, co Neeve wcześniej widziała. Działała jak w negatywie, stanowiła magiczną kartę debetową, ponadnaturalny dowód, że energii nie da się ani stworzyć, ani zniszczyć. Jeśli miał powstać budynek, demon musiał zniweczyć część lasu. Nie było łatwo obserwować ten proces. Gdyby chodziło o zwykłe usunięcie czegoś, Neeve nie miałaby z tym takich problemów, tu jednak chodziło o zbrukanie. Pnącza rosły, rosły i rosły, kwitnąc i rozgałęziając się bez końca, dopóki same się nie zaduszały i nie gniły. Z drzew o delikatnych cierniach wyrastały ostrza i szpikulce, które skręcały się, by wreszcie przeciąć gałąź, która je zrodziła. Ptaki zaczynały wymiotować własnymi wnętrznościami, które przemieniały się w węże. Te z kolei pożerały ptaki, a następnie pochłaniały siebie, wijąc się w agonii.

Najgorsze okazywały się wielkie drzewa. Były święte – Neeve to *wiedziała* – i opierały się zmianom dłużej niż pozostałe żywe istoty w lesie. Z początku sączyły czarną żywicę. Później powoli marszczyły im się liście. Gałęzie zapadały się na siebie. Kora łuszczyła się jak zniszczona skóra. Drzewa zaczynały jęczeć. Człowiek nie zdołałby wydobyć z siebie takiego odgłosu. Nie był to *głos*, a raczej tonalna wersja dźwięku wydawanego przez gałąź skrzypiącą na wicherze. Pieśń drzewa upadającego podczas burzy.

Stało to w sprzeczności ze wszystkimi zasadami Neeve.

Zmuszała się jednak, by obserwować. Uważała, że zawdzięcza to temu staremu, świętemu lasowi, i obserwowała jego śmierć. Zastanawiała się, czy została tu sprowadzona, by go ocalić.

Wszystko było koszmarem.

Nowy dom Piper wypełnił rozległą szczelinę w skale, zawieszony i zabezpieczony magicznymi metodami. Budowla stanowiła dziwne połączenie pragnień Piper oraz owadziej wrażliwości demona dążącego do stworzenia czegoś kojarzącego się z gniazdem os. W samym środku głównego pomieszczenia znajdowała się głęboka kąpielowa sadzawka w kształcie łyzy.

Jak w przypadku każdego dobrego kompromisu, obydwie strony były lekko rozczarowane, lecz nie komentowały tego. Piper pokazała przepięknie szyderczy uśmiech, lecz rzekła jedynie:

– Świetnie. Pora odezwać się do mojego ojca.

– Zamiast opętywać, możesz skomunikować się z ojcem poprzez wieszczenie w sadzawce – zaproponowała szybko Neeve.

Nie wspomniała natomiast, że według niej wieszczenie zużyłoby znacznie mniej energii niż opętanie. Może nie ocaliłoby drzewa, ale pozwoliło mu trwać odrobinę dłużej.

Demon obrócił czułki w stronę Neeve. Wiedział, co robiła. Sekundę później Piper podniosła szacująco wzrok, demon wyraźnie przemawiał bezpośrednio w jej głowie. Neeve czekała na ripostę, lecz Piper jedynie okrążała w zadumie krawędź sadzawki.

– W zasadzie skłoni się do większej miłości, jeśli zobaczy moją twarz – stwierdziła. – Demonie, połącz mnie za pomocą tego czegoś z ojcem. Niech się stanie, czy jak to się mówi.

Tak się stało, czy jak to się mówi.

Laumonier znajdował się w publicznej męskiej toalecie. Stał przed lustrem oraz przed drzwiami do toalety, aby mieć pewność, że nikt nie wejdzie.

Piper zmrużyła oczy, wpatrując się w powierzchnię.

– Jesteś w Legalnych Owocach Morza? Nie mogę w to

uwierzyć. Wszystkiego nienawidzę.

– Tak, mieliśmy ochotę na ostrygi – odrzekł Laumonier, jego głos dobiegł z demona zamiast z sadzawki. Mrużył oczy, starając się dostrzec, gdzie przebywała jego córka. – Jesteś w gnieździe os?

– To kaplica – rzekła Piper.

– Czyja?

– Moja. Och, cieszę się, że spytałeś w ten sposób.

Doskonale wpasowałeś się w moją puentę. Posłuchaj, muszę się pospieszyć, bo nie mogę się doczekać kąpeli. Co udało ci się zrobić?

– Zorganizowaliśmy pokaz twojego przedmiotu – powiedział Laumonier, wychodząc z jednej z kabin. – Ustawiliśmy go tak, żeby wypadł dzień po zbiórce dobroczynnej w tamtejszej szkole, wtedy goście spoza miasta będą mogli się łatwiej wtopić. Co sprzedajemy?

Piper opisała demona. Demon wzleciał i okrążył sadzawkę. Po minie Laumoniera Neeve mogła stwierdzić, że sam *również* mu siebie opisał. Poruszenie w ich myślach świadczyło, że byli pod sporym wrażeniem.

– Dobre znalezisko – stwierdził Laumonier. – Będziemy w kontakcie.

Zniknęli z sadzawki.

– Czas na kąpiel – oznajmiła triumfalnie Piper.

Nie powiedziała Neeve, by ją zostawiła, lecz jasnowidzka i tak to uczyniła. Musiała wyjść. Musiała znaleźć się sama. Musiała odnaleźć spokój, by ujrzeć wszystko w prawdziwym świetle.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła odnaleźć spokój.

Na zewnątrz, na szczycie owadzich schodów, Neeve złapała

się za włosy. Z perspektywy czasu wiedziała, że wykorzystywała potęgę wszechświata wyłącznie dla osobistej korzyści. W taki sposób się tutaj dostała. Nie mogła złościć się na tę nauczkę. Zamierzała spróbować cokolwiek ocalić. Do tego doszło. Inaczej nie mogłaby dłużej żyć sama ze sobą, wiedząc, że stała z boku, gdy święte miejsce ulegało zniszczeniu.

Zaczęła biec.

Neeve zwykle nie biegała, lecz gdy zaczęła, nie mogła uwierzyć, że nie zrobiła tego od razu. Powinna była ruszyć biegiem w momencie, w którym ujrzała demona, i nie zatrzymywać się, dopóki nie znajdzie się wystarczająco daleko, by nie słyszeć go już w głowie. Nagle poczuła strach i odrazę. Parła z mozołem przez las, czując, jak wymyka jej się łkanie. „Demon, demon, demon”. Tak bardzo się bała. Suche liście pod stopami przemieniały się w karty tarota z jej podobizną. Ślizgała się na nich, lecz gdy wyskakiwały jej spod butów, stawały się na powrót kartami.

„Woda – pomyślała do lasu. – Jeśli mam ci pomóc, potrzebuję lustra”.

Liście poruszyły się apatycznie ponad nią. Kropla deszczu spadła jej na policzek, mieszając się z jej łzami.

„Nie deszcz. Woda jako lustro”, pomyślała Neeve. Biegając, obejrzała się przez ramię. Potknęła się. Czuła się obserwowana, ale oczywiście powinna tak się czuć. Całe to miejsce ją obserwowało. Zjechała po zboczu, chwytając dłońmi jedynie zeschnięte liście, które zsuwały ją tylko dalej, i nagle zauważyła, że przed nią znajduje się wydrążony pień.

„Woda, woda”. Na jej oczach płyn wezbrał, wypełniając otwór. Neeve włożyła do środka dłoń i pomodliła się do kilku wybranych bogiń, po czym ustawiła ręce nad powierzchnią, aby wieszyczyć. Jej umysł wypełnił się obrazami Fox Way. Strych, na

którym mieszkała, rytuały, które tam odprawiała. Lustra ustawione w taki sposób, by popychały ją ku możliwościom, dzięki którym ostatecznie znalazła się w tym miejscu.

Bardzo chciała obejrzeć się przez ramię.

Nie mogła stracić koncentracji.

Neeve wyczuła chwilę, w której nawiązała kontakt. Nie rozpoznała twarzy, lecz nie miało to znaczenia. Jeśli należała do kobiety z Fox Way 300, informacja i tak miała dotrzeć do osób, które zechcą coś z nią zrobić.

– Słyszysz mnie? To demon. Niweczy las i wszystko, co z nim powiązane. Zamierzam spróbować...

– Wiesz co? – odezwała się Piper. – Jeśli masz ze mną jakiś problem, wołałabym, abys najpierw zakomunikowała go mnie.

Neeve straciła połączenie. Płyn w pniu zafalował, na powrót stając się tylko wodą, i nagle spod jej powierzchni wyłoniła się czarna skorupa demona. Poruszył lekko czułkami i wdrapał się na jej rękę. Ciężki. Wrogi. Szeptał straszliwe możliwości o coraz straszliwszym prawdopodobieństwie. Piper pojawiła się po drugiej stronie pnia, idąc ku nim po liściach. Wciąż miała mokre włosy po kąpieli.

Neeve nawet nie zwracała sobie głowy błaganiem.

– Dobrze, Neeve. Wy, miłośniczki new age, jesteście najgorsze. – Piper machnęła dłonią w stronę demona. – Zniwecz ją.

Ten wieczór miał w sobie coś *żywego*.

Declan i Matthew odjechali. Gansey, Blue, Ronan i Adam pozostali w Stodółkach, siedzieli w kręgu w pokoju pachnącym orzesznikiem. Jedynymi światłami były te wyśnione przez Ronana. Unosiły się nad nimi i tańczyły w kominku. Czuło się, jakby pomiędzy nimi wisiała magia, nawet w miejscach, do których nie sięgały światelka. Gansey był świadom, że wszyscy dawno nie byli tacy szczęśliwi, co wydawało się dziwne w obliczu przerażających wydarzeń zeszłej nocy i złowieszczych wieści, jakie przekazał im Declan.

– Oto wieczór prawdy – powiedział Gansey. Być może innym razem roześmieliby się z niego. Jednak nie tego wieczora. Wszyscy czuli, że stanowią elementy powolnie toczącej się maszyny, i jej wielkość ich oszałamiała. – Złożmy wszystko razem.

Stopniowo opisywali, co działo się z nimi poprzedniej nocy, przerywając co chwila, by Gansey mógł to zapisać w swym dzienniku. Notując fakty – przejęcie linii mocy o 6.21, atak Noaha, drzewo sączące czernią, oko Adama poruszające się z własnej woli – zaczął wyczuwać kształt ról, jakie odgrywali. Jeśli skupiał się wystarczająco mocno, niemal widział, jak to się zakończy.

Zastanawiali się, czy czują obowiązek ochrony Cableswater oraz linii mocy – wszyscy się zgodzili. Czy sądzili, że Artemus wiedział więcej, niż mówił – wszyscy się zgodzili. Czy uważali, że powie coś z własnej woli – wszyscy byli nieprzekonani.

W połowie dyskusji Ronan podniósł się, by przejść się wokół pokoju. Adam poszedł do kuchni i wrócił z kawą dla siebie. Blue zrobiła sobie obok Ganseya gniazdko z poduszek

z kanapy i położyła mu głowę na kolanach.

To nie było dozwolone.

Ale działo się. Prawda wślizgiwała się w krąg światła.

Rozmawiali również o miasteczku. O tym, czy rozsądniej było ukrywać się przed obcymi przybywającymi do Henrietty w poszukiwaniu ponadnaturalnych reliktyw, czy też z nimi walczyć. Gdy przerzucali się pomysłami na wysnzione środki obronne i niebezpiecznych sojuszników, potwory przemienione w broń i kwasowe fosy, Gansey delikatnie dotknął włosów za uchem Blue, uważając, by nie musnąć zranionej skóry koło brwi – z powodu rany, i uważając, by nie napotkać wzroku Ronana lub Adama – z powodu poczucia zażenowania.

Było dozwolone. Dozwolono mu, by tego pragnął.

Rozmawiali o Henrym. Gansey pamiętał, że zdradzał pilnie strzeżone tajemnice Chenga, lecz pod koniec zajęć w szkole zdecydował, że powiedzenie czegoś jemu oznaczało również powiedzenie tego Adamowi, Ronanowi oraz Blue. Stanowili pakiet i Henry nie mógł oczekiwać, że zaskarbi sobie względy Ganseya, nie zaskarbiając sobie również pozostałych. Adam i Ronan rzucali szczeniackie dowcipy na temat Henry'ego („Jest w połowie Chińczykiem”. „W której połowie?”) i podśmiewywali się snobistycznie. Blue wypominała im to („Tacy jesteście zazdrośni?”). Gansey mówił im, aby odłożyli na bok uprzedzenia i pomyśleli o nim.

Nikt nie wypowiedział jeszcze słowa „demon”.

Wisiało w powietrzu, niewysłowione, zdefiniowane kształtem otaczającej je rozmowy. Istota, za którą Adam i Ronan jeździli w nocy. Istota, która opętała Noaha. Istota, która być może atakowała Cableswater. Całkiem prawdopodobne, że roztrząsaliby to cały wieczór, gdyby Maura nie zadzwoniła z Fox Way 300. Podobno Gwenllian zobaczyła coś w lustrach na

strychu. Sporo zajęło określenie, co tak naprawdę widziała, lecz wyglądało na to, że była to Neeve z ostrzeżeniem.

Demon.

Niweczyciel.

Niweczy las i wszystko, co z nim powiązane.

Na tę wieść Ronan przestał krążyć po pokoju, a Adam zamilknął. Blue i Gansey nie przerywali tej zagadkowej ciszy, lecz w końcu odezwał się Adam:

– Ronanie, wydaje mi się, że *im* też musisz powiedzieć.

Jeśli twarz Ronana cokolwiek wyrażała, to najbardziej poczucie zdrady. Wszystko to było męczące. Gansey wyraźnie dostrzegał kłótnię, ku której zmierzali. Najpierw Adam wystrzeliwał z burty coś spokojnego i prawdziwego. Ronan oddawał kulą z armaty wulgarności. Adam wylewał na drogę pocisku benzynę i później wszystko płonęło godzinami.

Nie tym razem.

– To niczego nie zmieni, Ronanie – rzekł poważnym tonem Adam. – Siedzimy tu otoczeni wyśnionymi światłami i widzę wyśnioną przez ciebie dziewczynkę z kopytkami, zjadającą w korytarzu styropian. Jeździmy samochodem, który wyciągnąłeś ze snów. Owszem, to jest zaskakujące, ale nie zmieni tego, jak oni cię postrzegają.

– *Ty* niezbyt dobrze to przyjąłeś – zripostował Ronan.

Po obecnym w jego głosie poczuciu krzywdy Gansey uznał, że nagle zrozumiał coś na temat Ronana.

– Działy się inne rzeczy – rzekł Adam. – Trochę trudno mi było to przyswoić.

Gansey *zdecydowanie* poczuł, że zrozumiał coś na temat Ronana.

Blue i Gansey wymienili spojrzenia. Blue uniosła brew tak, że schowała jej się między kosmykami włosów, drugie oko

wciąż było przymknięte. Dzięki temu wyglądała na bardziej zaciekawioną niż w normalnych okolicznościach.

Ronan szarpnął za rzemienne bransoletki.

– Jak sobie chcecie – stwierdził. – To ja wyśniłem Cableswater.

Pokój znów pogrążył się w absolutnej ciszy.

Na pewnym poziomie Gansey zdawał sobie sprawę, dlaczego Ronan wahał się im o tym powiedzieć – zdolność wyciągnięcia z głowy magicznego lasu rzucała na ciebie wprost nieziemski cień. Na każdym innym poziomie czuł jednak lekkie dezorientowanie. Miał wrażenie, jakby ktoś przekazał mu tajemnicę, którą już kiedyś poznał. Nie potrafił stwierdzić, czy to dlatego, że samo Cableswater być może wyszeptało im prawdę podczas którejś z wypraw, czy dlatego, że zgromadzone dowody okazywały się już tak jednoznaczne, iż jego podświadomość zaakceptowała wyjaśnienie zagadki, zanim zostało ono wypowiedziane.

– Pomyśleć tylko, że mógłbyś wyśnić lekarstwo na raka – odezwała się Blue.

– Posłuchaj, Sargent – odparował Ronan. – Zeszłej nocy zamierzałem wyśnić ci krem na oko, jako że nowoczesna medycyna najwyraźniej głównie ci daje, ale morderczy wąż z czwartego kręgu sennego piekła prawie urwał mi dupę, więc nie ma za co.

Blue wyglądała na odpowiednio wzruszoną.

– Och, dzięki, stary.

– Nie ma problemu, bracie.

Gansey stuknął piórem w dziennik.

– Skoro już jesteśmy tacy bezpośredni, to powiedz, czy wyśniłeś może jakieś inne miejsca, o których powinieneś nam powiedzieć? Góry? Akweny?

– Nie – odparł Ronan. – Ale wyśniłem Matthew.

– Na litość boską! – stwierdził Gansey. Żył w ciągłym stanie niemożliwości, czasami wznosząc się na wyższy poziom jeszcze większej niemożliwości. We wszystko to trudno było uwierzyć, ale już od wielu miesięcy miał kłopoty z uwierzeniem w wiele zjawisk. Doszedł już do wniosku, że Ronan nie przypominał nikogo innego, zaś to stanowiło jedynie kolejny dowód na poparcie tej tezy. – Czy to oznacza, że wiesz, co znaczą wizje w tamtym drzewie?

Miał na myśli wydrążone drzewo zsyłające złudy na każdego, kto w nim stał. Odkryli je, gdy za pierwszym razem badali Cableswater. Gansey miał w nim dwa objawienia: w pierwszym był bardzo bliski pocałowania Blue Sargent, w drugim zaś – bardzo bliski odnalezienia Owena Glendowera. Żywo interesowały go obie te rzeczy. I obie wydawały się bardzo rzeczywiste.

– Koszmary – odpowiedział lekceważąco Ronan.

Blue i Adam zamrugali.

– Koszmary? – powtórzyła Blue. – To wszystko? Nie wizje przyszłości?

– Gdy wyśniłem to drzewo, właśnie tak działało – oznajmił Ronan. – Pokazywało najgorsze scenariusze. Rozpieprzało umysł w sposób, który z największym prawdopodobieństwem mógł ci popsuć kolejny dzień.

Gansey nie był pewien, czy którąś ze swoich złud zaklasyfikowałby jako „najgorszy scenariusz”, ale przyznawał, że w grę wchodziło pewne rozpieprzenie umysłu.

Skonsternowana mina Blue sugerowała, że się zgadzała. Adam odetchnął jednak tak potężnie, że wydawało się, jakby wstrzymywał oddech całymi miesiącami. Nic w tym zaskakującego. Jego życie już stanowiło koszmar w chwili, gdy

wszedł w drzewo. Rozpieprzenie umysłu wykraczające poza rzeczywistość musiało okazać się naprawdę straszliwe.

– Czy to możliwe... – zaczął Gansey, po czym przerwał, zastanawiając się. – Czy to możliwe, żebyś wyśnił jakąś ochronę dla Cableswater?

Ronan wzruszył ramionami.

– To czarne coś w Cableswater oznacza czarne coś w moich snach. Mówiłem wam, że zeszłej nocy nie udało mi się wyciągnąć nawet maści dla Sargent, a to przecież pikuś. Dziecku by się udało. A ja gówno zdziałałem.

– Mogę spróbować ci pomóc – zaproponował Adam. – Mógłbym wieszczyć, gdy ty byś śnił. Jest szansa, że oczyściłbym energię na tyle, żebyś zdobył coś użytecznego.

– To wydaje się takie nierzeczywiste – odezwał się Gansey.

Tak naprawdę chciał powiedzieć: „Ten potwór wydaje się taki ogromny”.

Blue usiadła prosto i jęknęła, trzymając się za oko.

– Nie przeszkadzają mi rzeczy *rzeczywiste*. I sądzę, że nie powinniśmy robić nic *rzeczywistego*, dopóki nie porozmawiamy z moją mamą. Chcę usłyszeć więcej o tym, co widziała Gwenllian. Uch. Ganseyu, chyba musisz zawieźć mnie do domu. Oko doprowadza mnie do szału i z jego powodu czuję się bardziej zmęczona, niż powinnam. Przepraszam, chłopaki.

Bez dodatkowych informacji nie mieli już jednak więcej pomysłów, reszta skorzystała więc z wymówki, by podnieść się i przeciągnąć. Blue skierowała się do kuchni, a Ronan skoczył przed nią, celowo trącając ją biodrem.

– Ty *dupku* – powiedział, śmiejąc się wesoło.

Gansey poczuł się głęboko poruszony brzmieniem tego śmiechu, który rozległ się tutaj, właśnie w Stodółkach, zaledwie kilkanaście metrów od miejsca, w którym Ronan znalazł

martwego ojca i w którym jego życie rozpadło się na kawałki. Teraz wydawał się śmiać zupełnie od niechcenia. Zupełnie jakby chciał dać do zrozumienia, że mógł się tak swobodnie śmiać, ponieważ drzemało w nim więcej radości. Rana goiła się mimo wszelkich przeciwności. Ofiara mimo wszystko miała przeżyć.

Został wraz z Adamem w salonie. Stali i rozmyślali. Okno wychodziło na ciemny parking, na którym stały bmw, gównowóz Adama i wspaniałe camaro. W świetle padającym z werandy Świnia wyglądała jak okręt kosmiczny. W sercu Ganseya wciąż było pełno obietnic i magii, zarówno mrocznych, jak i świetlistych.

– Wiesz o klątwie Blue, prawda? – spytał cicho Adam.

„Jeśli pocałujesz mężczyznę, którego naprawdę kochasz, on umrze”.

Owszem, wiedział. Wiedział również, dlaczego Adam pytał. Miał ochotę wywinąć się żartem, ponieważ czuł dziwne zażenowanie, rozmawiając o sobie i Blue. O Blue i o sobie. Przemienił się na powrót w gimnazjalistę. Był to jednak wieczór prawdy, a Adam mówił poważnym głosem.

– Wiem – przyznał.

– Czy uważasz, że to dotyczy właśnie ciebie?

– Tak mi się wydaje – odparł ostrożnie Gansey.

Adam zerknął w stronę kuchni, by sprawdzić, czy Ronan i Blue wciąż tam są.

– A co z tobą? – zapytał.

– Ze mną?

– Klątwa mówi, że jesteś *jej* prawdziwą miłością. A co z tobą? Czy *ty* kochasz *ją*? – Adam wymówił „kochasz” bardzo ostrożnie, jakby była to nazwa nieznanego pierwiastka z układu okresowego. Gansey był gotowy uchylić się od odpowiedzi, ale zerknięcie na przyjaciela pokazało mu, że był nią bardzo

zainteresowany i że pytanie dotyczyło tak naprawdę czegoś zupełnie innego.

– Tak – odrzekł więc szczerze Gansey.

Adam spojrzał na niego czujnie.

– Co to *oznacza*? Skąd wiesz, że to coś innego niż tylko przyjaźń?

Teraz było już *naprawdę* oczywiste, że Adam miał na myśli coś zupełnie innego, Gansey nie miał zatem pewności, co odpowiedzieć. Nagle przez umysł przemknęło mu wspomnienie pobytu z Henrym w dziurze parę godzin wcześniej, gdy Cheng tak naprawdę oczekiwał po nim wyłącznie wysłuchania. Tu było inaczej. Adam czegoś potrzebował, Gansey starał się więc znaleźć sposób, by to wysłować.

– Myślę, że... Ona daje mi spokój. Jak Henrietta.

Opowiadał już kiedyś Adamowi o chwili, gdy odnalazł miasteczko i coś w jego wnętrzu wówczas uspokoiło się. Coś, z czego niespokojnych ruchów nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Adam nie rozumiał wtedy, ale Henrietta zawsze oznaczała dla niego coś odmiennego.

– I to wszystko? To takie proste?

– Nie wiem, Adamie! Prosisz mnie o zdefiniowanie abstrakcyjnej koncepcji, której nikt jeszcze nie zdołał wyjaśnić od zarania dziejów. Wzięłeś mnie tym trochę z zaskoczenia – rzekł Gansey. – Dlaczego wdychamy powietrze? Ponieważ nie chcemy się udusić. Dlaczego jemy? Ponieważ nie chcemy umrzeć z głodu. Skąd wiem, że ją kocham? Ponieważ po rozmowie z nią mogę zasnąć. A co?

– A nic – odparł Adam.

Było to tak wyraźne kłamstwo, że obydwaj wyjrzeni w milczeniu na zewnątrz.

Gansey postukał palcami o grzbiet drugiej dłoni.

W normalnych okolicznościach zapewniłby mu przestrzeń. Próby zmuszania Adama albo Ronana do rozmowy, zanim sami byli na nią gotowi, zawsze okazywały się mieć wątpliwą skuteczność, teraz jednak zrobiło się późno, a Gansey nie mógł czekać miesiącami, aż Parrish przetrawi omawiany temat.

– Wydawało mi się, że to wieczór prawdy – stwierdził.

– Ronan mnie pocałował – odparł natychmiast Adam.

Wyraźnie miał przygotowane te słowa. Wpatrywał się uważnie w podjazd. Gdy Gansey nie odezwał się od razu, dodał: – A ja pocałowałem jego.

– Jezu – rzekł Gansey. – Chryste.

– Jesteś zaskoczony?

Przede wszystkim był zaskoczony, że Adam mu o tym *powiedział*. Sam potrzebował kilku miesięcy umawiania się z Blue w sekrecie, zanim zdołał zmusić się do zdradzenia tego pozostałym, a i to dopiero w wyjątkowych okolicznościach.

– Nie. Tak. Nie wiem. Dziś spotkało mnie około tysiąca zaskoczeń i już nie wiem, jak na nie reagować. A ty byłeś zaskoczony?

– Nie. Tak. Nie wiem.

Teraz, gdy Gansey mógł się już nad tym chwilę zastanowić, rozważał wszystkie kierunki, w jakich mogło się to potoczyć. Wyobraził sobie Adama wiecznego intelektualistę, Adama żarliwego, lojalnego oraz kruchego.

– Nie złam go, Adamie.

Adam spoglądał dalej przez okno. Jedynie splatane przez niego powoli palce wskazywały, na jakich obrotach pracuje mu umysł.

– Nie jestem idiotą, Ganseyu.

– Mówię poważnie. – Wyobraźnia Ganseya wybiegła teraz w przód i wyobraził sobie przyszłość, w której Ronan zostałby

zmuszony do istnienia bez niego, bez Declana, bez Matthew i ze świeżo złamanym sercem. – Nie jest tak twardy, jakim się wydaje.

– *Nie jestem idiotą*, Ganseyu.

Gansey nie uważał Adama za idiotę. Parrish wielokrotnie zranił jednak jego uczucia, nawet jeśli nie zamierzał go skrzywdzić. Niektóre z najgorszych pęknięć pojawiły się *dlatego*, że Adam nie zdawał sobie sprawy, że je powoduje.

– Myślę, że jesteś przeciwieństwem idioty – rzekł Gansey.

– Nie zamierzam sugerować nic innego. Chodziło mi tylko o to...

Wszystko, co Ronan mówił kiedykolwiek o Adamie, przebudowywało się Ganseyowi w głowie. Cóż za dziwną konstelację wszyscy stanowili.

– Nie chcę mu mieszać w głowie. A jak sądzisz, dlaczego rozmawiam z tobą? Nie wiem nawet, co sam... – urwał Adam.

Był to wieczór prawdy, lecz im obu skończyły się rzeczy, których byli pewni.

Znów wyjrzeli przez okno. Gansey wyciągnął z kieszeni listek mięty i wsunął go do ust. Poczucie magii, które miał od początku wieczoru, stało się jeszcze silniejsze. Wszystko było możliwe, zarówno dobre, jak i złe.

– Myślę – powiedział powoli Gansey – że chodzi tu o szczerłość względem samego siebie. To w tym momencie najważniejsze.

Adam rozłączył dłonie.

– Sądzę, że właśnie to chciałem usłyszeć.

– Staralem się.

– Wiem.

Zamilkli i usłyszeli Blue oraz Ronana rozmawiających w kuchni z Sierotką. Czuły i znajomy szmer ich głosów sprawiał, że ogarniał ich pewien spokój, a Gansey znów poczuł

to dziwne szarpnięcie czasu. Wydawało mu się, jakby przeżył już kiedyś tę chwilę albo miał ją przeżyć w przyszłości. Czuł, że jednocześnie pragnął i posiadał. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że chciał skończyć poszukiwania Glendowera. Chciał odzyskać resztę swojego życia. Aż do tego wieczoru nigdy tak naprawdę nie sądził, że w życiu może czekać go coś więcej.

– Chyba nadszedł czas, by odnaleźć Glendowera – powiedział.

– Chyba masz rację – odparł Adam.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Henrym Chengu.

Henry'emu nigdy nie szło dobrze ze słowami. Oto trafny przykład: w pierwszym miesiącu swego pobytu w Aglionby próbował wytłumaczyć to Jonahowi Milo, nauczycielowi angielskiego, i usłyszał, że jest dla siebie zbyt surowy. „Masz świetne słownictwo”, oznajmił Milo. Henry był świadom, że miał świetne słownictwo, tyle że nie było to równoznaczne z posiadaniem słów potrzebnych do wyrażenia siebie. „Jesteś bardzo elokwentny jak na osobę w twoim wieku”, dodał nauczyciel. „Kurczę, nawet jak na kogoś w moim wieku”. Jednak brzmieć, jakby mówiło się to, co się czuło, nie było tym samym, co mówienie naprawdę w taki sposób. „Wiele osób, dla których angielski nie jest językiem ojczystym, tak uważa”, skonkludował Milo. „Moja mama mówi, że nigdy nie czuła się sobą po angielsku”.

Nie chodziło jednak o to, że Henry czuł się mniej sobą po angielsku. Czuł się mniej sobą *na głos*. Jego głównym językiem była *myśl*.

Nie potrafił więc wyjaśnić, co czuł w kwestii prób zaprzyjaźnienia się z Richardem Ganseyem oraz jego dworzanami. Nie dysponował słowami, które wyjaśniałyby powody, jakimi kierował się, zdradzając mu swą najpilniej strzeżoną tajemnicę w piwnicy Borden House. Nie umiał opisać, jak trudno mu było czekać, czy oferowana przez niego gałązka oliwna zostanie przyjęta.

Co oznaczało, że musiał po prostu zabijać czas.

Znajdował sobie zajęcia.

Na historii zachwyił Mursa szczegółową analizą

rozprzestrzenienia się osobistych urzędzeń elektronicznych w pierwszym świecie. Na administracji zirytował Adlera szczegółową analizą rozbieżności pomiędzy budżetem Aglionby na reklamę a tym na stypendia naukowe. Wydzierał się do zdarcia gardła przy linii bocznej podczas meczu futbolowego (przeegrali). Obok lodziarni napisał na śmietniku sprayem słowa „POKÓJ, SUKI”.

Zostało mu tyle dnia. Czy spodziewał się, że Gansey zatelefonuje? Nie potrafił określić słowami, czego oczekiwał. Zjawiska pogodowego. Nie. Zmiany klimatycznej. Stałej odmiany w sposobie uprawy zboża na północnym zachodzie USA.

Słońce zaszło. Ekipa z Vancouver wróciła do Litchfield, aby przysiąc na grzędzie i odebrać od Henry'ego rozkazy bojowe. Odczuwał w dwudziestu procentach winę za to, że pragnął zaprzyjaźnić się z Ganseyem, Sargent, Lynchem i Parrishem. Ludzie z Vancouver byli świetni, tyle że nie wystarczali mu i brakowało mu słów, by powiedzieć dlaczego. Bo zawsze czekali na jego zdanie? Bo nie znali jego tajemnic? Bo nie chciał już popleczników, a przyjaciół? Nie. Chodziło o coś więcej.

– Wynieś śmieci – powiedziała mu pani Woo.

– Jestem bardzo zajęty – odparł Henry, choć oglądał filmiki z przechodzenia gier, siedząc w samej bieliźnie.

– Zajmij się wyniesieniem tego – oznajmiła, stawiając obok niego dwie torby.

Wyszedł zatem przez tylne drzwi Litchfield House na żwirowy parking, mając na sobie tylko koszulkę z Madonną i ulubione czarne tenisówki. Niebo było fioletowo-szare. Gdzieś niedaleko gruchał sennie gołąb karoliński. Kotłujące się w Henrym uczucia, których nie potrafił określić słowami, i tak

pragnęły się z niego wydostać.

Jego matka jako jedyna wiedziała, co miał na myśli Henry, mówiąc, że nie idzie mu dobrze ze słowami. Zawsze próbowała wyjaśniać różne rzeczy jego ojcu, zwłaszcza gdy postanowiła zostać Seondeok zamiast jego żoną. „To oznacza coś takiego – mawiała zawsze – ale również coś więcej”. Sformułowanie to zagnieździło się Henry’emu w głowie. „Coś więcej” doskonale tłumaczyło, dlaczego nigdy nie potrafił powiedzieć, o co mu chodziło – z definicji „coś więcej” zawsze różniło się od tego, czym już się dysponowało.

Wypuścił z siebie uczucia przez zęby wraz z oddechem, po czym podreptał przez żwir do pojemników na śmieci.

Gdy się obrócił, w drzwiach, przez które niedawno wyszedł, stał mężczyzna.

Henry zatrzymał się. Nie znał nazwiska mężczyzny – białego, żyłastego, opanowanego – lecz wydawało mu się, że wiedział, kim może być. Wcześniej opowiedział Richardowi Ganseyowi o pracy matki, teraz zaś, kilka godzin później, stał przed kimś, kto niewątpliwie pojawił się tu właśnie w związku z ową pracą.

– Czy sądzisz, że moglibyśmy pogawędzić? – spytał mężczyzna.

– Nie – odparł Henry. – Raczej nie moglibyśmy.

Sięgnął do tylnej kieszeni po telefon, lecz w połowie gestu przypomniał sobie, że nie miał na sobie spodni. Zerknął na okna domu. Nie szukał pomocy, ponieważ nikt w środku nie wiedział wystarczająco wiele o jego matce, by w ogóle podejrzewać, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie. Wypatrywał natomiast pękniętych szyb, przez które mogłaby do niego przylecieć robopszczoła.

Mężczyzna w przesadny sposób rozłożył dłonie, by

pokazać, że nie miał broni. Zupełnie jakby robiło to różnicę.

– Zapewniam cię, że mamy te same cele.

– Moim celem jest skończyć oglądanie filmu z przechodzenia *Strażnika Końca II*. Nie mogę uwierzyć, że wreszcie odnalazłem kogoś, kto podziela moje zamiłowania.

Mężczyzna przyjrzał mu się. Wydawał się zastanawiać nad możliwościami.

– Dotarły do mnie wieści, że coś dzieje się tu, w Henriecie. Nie lubię, gdy coś dzieje się w Henriecie. Założyłem, że ty również wolałbyś, aby nikt nie mieszał ci się w życie.

– A jednak – stwierdził lekko Henry – oto jesteśmy.

– Załatwimy to w prosty sposób? Oszczędzisz mi kłopotu.

Henry pokręcił głową.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Zanim Henry zdążył zareagować, przybysz pokonał dzielącą ich odległość, objął Henry'ego w sposób daleki od przyjaznego i jakby od niechcenia wykonał manewr, po którym Henry pisnął cicho i zatoczył się do tyłu, trzymając za bark. Inni mogliby wrzasnąć, lecz Henry'emu równie jak mężczyźnie zależało na dotrzymany tajemnic.

– Nie marnuj mojego czasu – oznajmił przybysz – skoro zacząłem w bardzo uprzejmy sposób.

„Robopszczoło – pomyślał Henry – odz szukaj mnie”.

Gdzieś w domu musiało być pęknięte okno. Pani Woo zawsze za bardzo rozkręcała ogrzewanie.

– Jeśli próbuje pan wyciągnąć ode mnie tajemnicę – odparł Henry, dotykając ostrożnie barku – traci pan tylko czas.

– Na litość boską – rzekł mężczyzna. Pochylił się, by wyciągnąć pistolet z kabury na kostce. – W innej sytuacji uznałbym to za oznakę prawdziwego honoru. Teraz jednak ładuj się do mojego samochodu, zanim cię zastrzelę.

Broń zwyciężyła, jak zazwyczaj zresztą. Henry rzucił ostatnie spojrzenie na dom, po czym ruszył w stronę auta zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Rozpoznał biały pojazd, choć nie rozumiał, co to oznaczało. Zaczął pakować się na tył.

– Siadaj w fotelu pasażera – oznajmił mężczyzna. – Mówiłem już, że chodzi o pogawędkę.

Henry wykonał polecenie, po raz trzeci zerkając na dom, podczas gdy mężczyzna siadał za kierownicą i odjeżdżał od krawężnika.

– Chcę tylko wiedzieć, kogo się spodziewać i czy będą kłopoty – powiedział mężczyzna, włączając radio (leciało *Yes, I'm a lover not a fighter* The Kinks). – Nie mam żadnego interesu w tym, by kiedykolwiek jeszcze się z tobą spotykać.

Henry wyjrzał przez okno, po czym zapiął pas. Podciągnął kolana i otulił gołe nogi rękoma. Zaczął lekko dygotać. Mężczyzna podkręcił ogrzewanie.

– Dokąd mnie pan zabiera? – spytał Henry.

– Zrobimy kółko po okolicznych ulicach, jak to w zwyczaju rozsądnych ludzi próbujących prowadzić rozmowę.

Henry pomyślał o dziurze w ziemi.

– Nigdy nie odbyłem rozsądnej rozmowy z kimś, kto miał pistolet.

Wyjrzał znów na zewnątrz, wykrzywiając głowę, by sprawdzić, co działo się z tyłu. Nie licząc latarni ulicznych, było zupełnie ciemno. Wkrótce miał zanadto oddalić się od robopszczoły, aby się z nią porozumiewać, lecz wysłał ostatni błagalny komunikat: „Powiedz komuś, kto może to powstrzymać”.

Prośba ta nie miała sensu pod względem słów, ale miała go w myślach Henry'ego, to zaś posiadało wystarczające znaczenie dla pszczoły.

– Słuchaj – odezwał się mężczyzna. – Żałuję tego, co zrobiłem z twoim ramieniem. To z przyzwyczajenia.

W górnej części przedniej szyby rozległ się metaliczny brzęk. Gdy nieznajomy zadarł głowę, by sprawdzić, co uderzyło w samochód, Henry wyprostował się czujnie. Wychylił się i na skraju szyby ujrzał trzy cienkie czarne linie.

Zadzwoił telefon.

Mężczyzna prychnął i wyciągnął aparat ze schowka w środkowej konsoli. Ktokolwiek telefonował, zwrócił jego uwagę, ponieważ mężczyzna odebrał rozmowę i przytrzymał komórkę głową o bark, by wciąż móc zmieniać biegi.

– To bardzo dziwne pytanie – odezwał się do telefonu.

Henry wykorzystał okazję, by odsunąć szybę na dwa centymetry. Robopszczoła natychmiast poderwała się z przedniej szyby i przedostała przez szczelinę.

– Hej... – powiedział mężczyzna.

Pszczczoła wylądowała Henry'emu na dłoni. Przycisnął ją chętnie do piersi. Jej ciężar niósł ze sobą bezpieczeństwo.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Od lat nikogo nie porwałem – rzucił do telefonu – ale mam teraz w samochodzie ucznia. – Chwila milczenia. – Obydwa te stwierdzenia są prawdziwe. Próbowałem uzyskać wyjaśnienia na temat pewnych pogłosek. Czy chciałbyś z nim porozmawiać?

Henry podniósł w zdumieniu brwi.

Mężczyzna podał mu aparat.

– Halo? – rzekł Henry.

– Jak rozumiem – odezwał się po drugiej stronie Gansey – poznałeś już pana Szarego.

Henry miał już na sobie spodnie, gdy Blue i Gansey spotkali się z nim oraz Szarym Mężczyzną w Świeżym Orle. W sklepie spożywczym było niemal pusto i czuć było tę połyskującą beczasowość, jakiej takie miejsca nabierały po minięciu pewnej godziny. Nad ich głowami piosenka opowiadała o wyjściu z czyichś snów i wejściu do samochodu. Pracowała tylko jedna kasjerka, która nie podniosła wzroku, gdy przeszli przez automatyczne drzwi. Zauważyli Henry'ego stojącego w alejce z płatkami zbożowymi i spoglądającego na swój telefon, podczas gdy pan Szary znajdował się na końcu tejże alejki i w przekonujący sposób czytał napisy z tyłu puszek z grysikiem owsianym. Żaden z nich nie przyciągał uwagi. Pan Szary wtapiał się w tło, ponieważ tak nauczyła go jego profesja. Henry *nie* wtapiał się w tło – aż cuchnęło pieniędzmi od jego odjazdowej kurtki, koszulki z Madonną oraz czarnych tenisówek – a mimo to nie wyróżniał się w jakiś szczególny sposób. Tacy jak on młodzi bogacze z Aglionby nie byli w Henriecie niczym szczególnym.

Henry trzymał pudełko płatków, które nie były zdrowe, ale na pewno tuczące, lecz odłożył je na półkę, gdy ich zauważył. Wydawał się znacznie bardziej roztrzęsiony niż na imprezie w togach. Być może, dumiała Blue, był to efekt uboczny znalezienia się wcześniej na celowniku.

– Zadaję sobie pytanie – oznajmił Gansey – co właściwie robię w Świeżym Orle o jedenastej wieczorem.

– Ja natomiast zadaję sobie pytanie – odparł Henry – dlaczego znalazłem się w samochodzie jakiegoś zbira o nie mam pojęcia której wieczorem. Sargent, powiedz mi, że nie należysz do tego plugawego złodziejskiego gangu.

Blue, trzymająca dłonie w kieszeniach bluzy z kapturem, uśmiechnęła się przepaszająco i wskazała podbródkiem Szarego Mężczyznę.

– On jakby chodzi z moją mamą.

– Jakąż pleciemy gęstą pajęczynę – zadeklamował Gansey w pełen napięcia sposób. Wciąż był nakręcony po wieczorze w Stodółkach, a obecność Henry’ego tylko to potęgowała. – Nie tak wyobrażałem sobie jednak kolejny etap naszej przyjaźni.

Panie Szary?

Musiał powtórzyć nazwisko, ponieważ okazało się, że Szary Mężczyzna nie udawał, iż spogląda na puszkę z grysikiem, lecz naprawdę czytał umieszczone na niej napisy.

Były płatny zabójca dołączył do nich. Objął Blue z boku, po czym obrócił ją do siebie, by przyjrzeć się szwom nad brwią.

– Dobra robota.

– Naprawdę?

– Pewnie nie będziesz miała blizny.

– Cholera – skomentowała Blue.

– Świeży Orzeł to pomysł pana czy Henry’ego? – spytał go Gansey.

– Uznałem, że będzie tu wygodnie – odparł pan Szary. – Jest jasno i działają kamery, ale nie nagrywa się dźwięk.

Bezpiecznie i zacisznie.

Blue nigdy wcześniej nie myślała o Świeżym Orle w taki sposób.

– Przepraszam, że cię wystraszyłem – dodał serdecznie pan Szary.

Henry przyglądał się uważnie całej wymianie słów.

– Wykonywał pan swoją pracę. A ja wykonywałem swoją.

Ileż było w tym prawdy. Gdy Blue dorastała, poznawała zasady energii wewnętrznej oraz słuchała bajek opowiadanych

przed snem. Henry Cheng w dzieciństwie zastanawiał się, do czego posunie się w sytuacji kryzysowej, by ochronić tajemnice swej matki. Pomysł, że wspólnie brali w tym udział, wzbudzał w niej ogromny dyskomfort.

– Przestańmy teraz wykonywać pracę, a zacznijmy pracować nad rozwiązaniami – rzekła. – Czy moglibyśmy porozmawiać o tym, kto tu przyjeżdża i dlaczego? Czy nie na tym polega cały sens tej wymiany? Ktoś jedzie dokądś, by coś zdobyć, i wszyscy świrują?

– Jesteś kobietą akcji – stwierdził Henry. – Rozumiem już, dlaczego R. Gansey zaprosił cię do swego gabinetu. Proszę za mną, panie prezydencie.

Poszli za nim. Minęli alejkę z płatkami, artykułami do pieczenia i produktami w puszkach. W międzyczasie Henry z całym entuzjazmem wzorowego ucznia wygłaszającego referat na temat katastrofy naturalnej opowiadał, co słyszał o zbliżającej się sprzedaży. Spotkanie handlarzy artefaktów miało odbyć się dzień po zbiórce dobroczynnej w Aglionby, aby zamaskować pojawienie się w Henriecie dziwnych samochodów i ludzi. Nieznana liczba klientów miała przybyć na prezentację sprzedawanego obiektu – magicznej istoty – aby potencjalni kupcy mogli sami potwierdzić nieziemskość oferowanego towaru. Następnie miała nastąpić licytacja. Zapłata oraz przekazanie przedmiotu jak zawsze odbyłoby się gdzieś indziej, z dala od wścibskich oczu, nikt bowiem nie chciał, aby inny chętny świsnął mu z kieszeni przysłowiowy portfel. Do sprzedaży mogły zostać wystawione również inne obiekty, należało dopytywać się na miejscu.

– Magiczna istota? – powtórzyli Blue i Gansey w tej samej chwili, w której Szary Mężczyzna spytał: – Inne obiekty?

– Magiczna istota. To wszystko, co głosił opis. Ma to być

wielka tajemnica. Warta wyprawy! Tak mówią. – Henry narysował uśmiechniętą buźkę na pudełku z makaronem z serem do mikrofali. Logo przedstawiało małego misia wyposażonego w mnóstwo zębów. Trudno było stwierdzić, czy uśmiechał się, czy też krzywił. – Powiedziano mi, żebym znalazł sobie jakieś zajęcie i nie przyjmował cukierków od dziwnych ludzi.

– Magiczna istota. Może chodzić o Ronana? – spytał z niepokojem Gansey.

– Dopiero co widzieliśmy się z Ronanem. Nie próbowaliby go sprzedać, nie mając go w ręku, prawda? Czy może chodzić o demona? – podsunęła Blue.

– Nie sądzę, żeby ktoś próbował sprzedać demona – uznał Gansey, marszcząc brwi.

– Laumonier mógłby – rzekł z lekkim niesmakiem pan Szary. – Nie podoba mi się brzmienie fragmentu o „innych obiektach”. Nie, jeśli w grę chodzi Laumonier.

– A na co to brzmi? – zapytał Gansey.

– Na rabunek – wtrącił się Henry. – O co wam chodziło, gdy mówiliście, że Ronan jest istotą magiczną? Jest demonem? Bo jeśli tak, to wszystko nabiera sensu.

Blue i Gansey nie spieszyli z odpowiedzią. Prawda o Ronanie stanowiła tak wielką i niebezpieczną tajemnicę, że żadne z nich nie zamierzało z nią igrać, nawet z kimś, kogo oboje lubili tak jak Henry’ego.

– Nie do końca – rzekł w końcu Gansey. – Panie Szary, co sądzi pan o perspektywie zjazdu tych wszystkich ludzi? Declan wyglądał na zatroskanego.

– Ci ludzie nie należą do niewiniątek – wyjaśnił Szary Mężczyzna. – Pochodzą z rozmaitych środowisk i jedynymi ich wspólnymi cechami są swoisty oportunizm oraz elastyczne zasady moralne. W pojedynkę są już wystarczająco

nieprzewidywalni, ale gdy zebrać ich w jednym miejscu z czymś, czego pragną, nie da się stwierdzić, co się wydarzy. Nie bez powodu zalecono im, aby nie brali ze sobą pieniędzy. A jeśli Greenmantle znów wystawi łeb, żeby kłócić się z Laumonierem? Pomiędzy nimi a Lynchami jest sporo animozji.

– Colin Greenmantle nie żyje – oznajmił Henry bardzo konkretnie. – Zbyt szybko nie wystawi łba, a jeśli tak, to będziemy musieli zastanowić się nad poważniejszymi problemami.

– Nie żyje? – spytał ostro Szary Mężczyzna. – Kto powie... Moment.

Podniósł gwałtownie wzrok. Blue dopiero po chwili uświadomiła sobie, że spoglądał w wypukłe lustro mające zapobiegać kradzieżom. Cokolwiek w nim ujrzał, natychmiast przekształciło go w gwałtowną i potężną istotę.

– Blue – odezwał się cicho. – Masz swój nóż?

Powoli przyspieszał jej puls, czuła to w szwach na twarzy.

– Tak.

– Przejdź wraz z chłopcami do następnej alejki. Nie tędy. Od drugiej strony. Nie pamiętam, czy na tamtej ścianie jest przejście na zaplecze, lecz jeśli tak, wyjdźcie tamtędy. Nie ruszajcie żadnych drzwi, które mogą wywołać alarm.

To coś, co dostrzegł w lustrze, już zniknęło, lecz nie ociągali się. Blue poprowadziła ich szybko do końca alejki z produktami w puszkach, rozejrzała się na boki i przeszła do kolejnej. Detergenty do prania. Rzędy pudełek w agresywnych kolorach. Dalej znajdowała się duża szafa chłodnicza z masłem i jajkami. Nie było przejścia do magazynu. Przednia część sklepu wydawała się bardzo odległa.

Od drugiej strony alejki usłyszeli niski, opanowany

i niebezpieczny głos Szarego Mężczyzny. Miał chłodniejszą barwę niż jeszcze przed chwilą w rozmowie z nimi.

Odpowiedział mu inny głos i stojący obok Henry zupełnie znieruchomiał. Dotknął palcami krawędzi jednej z półek – „obniżka do \$3,99!” – i obrócił głowę, nasłuchując.

– To... – wyszeptał. – Laumonier.

„Laumonier”. To nazwisko niosło w sobie więcej emocji niż faktów. Blue słyszała je wyszeptywane w rozmowach o Greenmantle’u. „Laumonier”. Niebezpieczeństwo.

– To zaskakujące widzieć cię w Henriecie – usłyszeli Laumoniera mówiącego mocno akcentowanym głosem. – Gdzie twój pan, psie?

– Myślę, że obaj znamy odpowiedź na to pytanie – odparł pan Szary głosem tak opanowanym, że nie dało się stwierdzić, iż sam dopiero co dowiedział się o śmierci Colina Greenmantle’a.

– Zresztą przez całe lato pracowałem samodzielnie. Sądziłem, że to żadna tajemnica. Bardziej interesujące jest to, że *ty* pojawiaasz się w Henriecie.

– Cóż, miasto nie należy obecnie do nikogo – stwierdził Laumonier – a zatem stanowi, jak to się mówi, ziemię niczyją.

– Nie taką niczyją – odrzekł Szary Mężczyzna. – Rozumiem, że masz tu coś na sprzedaż. Chciałbym, abyś później zniknął. Henrietta stanowi mój nowy dom, a nie przepadam za gośćmi.

Laumonier poweselał.

– Czy to chwila, w której powinienem spytać: „Bo inaczej”? Takie mam wrażenie.

Ich głosy przyciszyły się na chwilę – wyglądało na to, że rozmowa stawała się nieprzyjemna – i Gansey zaczął zaciekle pisać na telefonie. Obrócił ekran do Blue i Henry’ego.

„Przeciąga sprawę żebyśmy się wydostali. Henry czy

robopszczoła znajdzie drzwi?”.

Henry wziął od Ganseya komórkę i dopisał:

„Ale muszę trzymać ją poza zasięgiem wzroku zawsze ją chcieli dlatego mnie porwali”.

Blue wyszarpnęła mu aparat i również zaczęła pisać, wolniej, ponieważ miała znacznie mniejszą praktykę niż oni:

„Kogo pan Szary próbuje przed nimi ukryć? Wszystkich nas czy tylko Henrego”

Henry dotknął lekko swej piersi.

Blue dodała:

„Wyjdźcie gdy zdołacie. Dogonię was”

Oddała Ganseypowi telefon, szybko ściągnęła z półek kilka cenówek i przeszła do szczytu alejki, by zajrzeć do następnej. Z zaskoczeniem zauważyła, że z panem Szarym rozmawia nie jeden człowiek, a dwóch. Zbyt dużo czasu potrzebowała, by uświadomić sobie, dlaczego ich widok wywoływał w niej tak nieprzyjemne uczucie: wydawali się dziwnie podobni do siebie. Bracia. Może nawet bliźniacy. Obydwaj mieli wygląd ludzi, których znieubiła podczas pracy „U Nina”. To klienci, którzy nie uznają odmowy, z którymi nie da się łatwo negocjować, którzy zawsze doprowadzają do odjęcia części posiłku od rachunku. Poza tym było w nich coś powolnego i zastraszającego, co w jakiś sposób kojarzyło się z całym życiem wypełnionym urazami tępymi.

Byli dość przerażający.

Pan Szary zamrugął niewyraźnie na widok Blue. Po jego twarzy nie dawało się stwierdzić, by ją rozpoznawał.

Pozostali dwaj najpierw spojrzeli na jej bluzę z kapturem – niezbyt profesjonalną – a następnie na dłoń pełną cenówek. Znużonym, niedbałym gestem przejechała palcem po ich krawędziach.

– Proszę panów? – odezwała się. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszą panowie przestawić swoje pojazdy.

– Słucham? Dlaczego? – spytał pierwszy.

Teraz, gdy słyszała go lepiej, akcent wydawał się wyraźniejszy. Francuski? Być może.

– Robimy zakupy – powiedział z lekkim rozbawieniem drugi.

Blue wzmocniła swój akcent z Henrietty. Już dawno nauczyła się, że dzięki niemu staje się nieszkodliwa i niewidoczna dla osób z zewnątrz.

– Wiem. Przykro mi. Za chwilę pojawi się uliczna zamiatarka, by posprzątać parking, i kierowca chce od razu załatwić całość. Będzie wkurzony, jeśli przyjedzie i wciąż będą samochody.

Pan Szary zaczął bardzo pokazowo szukać kluczyków i w trakcie tego podciągnął nogawkę spodni, ukazując broń. Laumonier stęknął i wymienił ze sobą spojrzenia.

– Jeszcze raz przepraszam – rzekła Blue. – Jeśli panowie tu nie skończyli, podjedźcie pod pralnię samoobsługową.

– Uliczna zamiatarka – oznajmił Laumonier, jakby dopiero co usłyszał to określenie.

– Firma każe nam to robić, żebyśmy mogli korzystać z nazwy sieci – odparła Blue. – To nie ja ustalam zasady.

– Zachowajmy się uprzejmie – powiedział pan Szary, uśmiechając się lekko do pozostałych dwóch. Nie spoglądał na Blue. Wciąż wyglądała na znudzoną i umęczoną. Przejeżdżała kciukami po grzbietach cenówek za każdym razem, gdy słyszała, jak dudni jej serce. – Dogonię was za chwilę.

We trzech skierowali się w stronę wejścia niczym niespokojna, oddalająca się formacja odpychających się magnesów. Gdy zniknęli, Blue skoczyła szybko alejką i przez

drzwi na zaplecze, minęła niechlujne łazienki, wpadła do magazynu pełnego pudeł oraz pojemników i wybiegła na zewnątrz, gdzie Gansey i Henry docierali właśnie do ustawionych za sklepem śmietników pełnych kartonów.

Najpierw dosięgnął ich jej cień, rzucany przez lampy zainstalowane z tyłu supermarketu. Obydwaj zdążyli się wzdrygnąć, zanim uświadomili sobie, kto idzie.

– Jesteś magiczna – rzekł Gansey, tuląc jej głowę i uwalniając przy tym większość jej włosów ze spinek.

Oboje drżeli na zimnie. Pod czarnym niebem, gdy wciąż miała w pamięci dwie twarze Laumoniera, wszystko wydawało się fałszywe i odsłonięte. Usłyszała odgłos zamykających się drzwiczek samochodu, być może dobiegający z parkingu na froncie. Nocą każdy dźwięk wydawał się jednocześnie odległy i bliski.

– To było genialne.

Henry uniósł dłoń nad głowę, kierując ją wnętrzem ku niebu. Wzniósł się z niej owad, podświetlony na chwilę przez latarnie, po czym zniknął w mroku. Cheng obserwował przez chwilę jego lot, po czym wyłowił telefon.

– O co im chodziło? – chciała wiedzieć Blue. – Dlaczego pan Szary sądził, że mogą interesować się tobą?

Henry obserwował strumień tekstu przesuwający się po ekranie komórki.

– Robopszczoła... Czy Gansey opowiedział ci, czym jest? Dobrze... Robopszczoła to jedna z pierwszych rzeczy, o które kłócili się Laumonier i Greenmantle. Lynch mówił, że sprzeda ją jednemu z nich, lecz ostatecznie przehandlował ją mojej matce, ponieważ chciała jej dla mnie. Nigdy o tym nie zapomniała. To dlatego jej nienawidzą, a ona nienawidzi ich.

– Ale Laumonier nie przyjechał tu po ciebie, prawda? –

zapytał Gansey.

On również czytał tekst na ekranie aparatu. Wyglądało na to, że wyświetlał koordynaty Laumoniera.

– Nie, nie – odparł Henry. – Mogę się założyć, że rozpoznali auto tego waszego Szarego z dawnych czasów i przyszli tu, by sprawdzić, czy przy okazji zdołają zdobyć coś od Kavinsky’ego. Nie będę udawał, że znam sposób myślenia Francuzów. Nie wiem, czy wciąż by mnie rozpoznali po tym, jak kiedyś trzymali mnie w dziurze w ziemi. Jestem teraz starszy. Mimo to wasz zabójca chyba sądzi, że mogliby mnie zidentyfikować. Wyświadczył mi przysługę. Nigdy tego nie zapomnę.

Obrócił telefon, by Blue również mogła obserwować przekaz na żywo z działań Laumoniera. Tekst docierał fragmentami i dziwnie przypominał rozmowę. Opisywał powolne ruchy Laumoniera na parkingu w podobny sposób, w jaki Henry wcześniej mówił o zbliżającej się sprzedaży artefaktu. Myśli Chenga na ekranie. Była to dziwaczna i specyficzna magia.

Obserwowali wspólnie. Gansey rozchylił płaszcz i wciągnął Blue do środka. To również była dziwaczna i specyficzna magia, jej ciepło obok niego, jego serce dudniące w jej plecy. Przysłonił dłonią jej zranione oko, jakby chciał ją przed czymś ochronić, lecz była to jedynie wymówka, by jej dotknąć.

Henry wydawał się nic sobie nie robić z tego publicznego okazywania bliskości. Nacisnął palcami ekran, który zamrugał kilkakrotnie i wyświetlił coś w alfabecie koreańskim.

– Czy chcesz... – zaczęła Blue, lecz zawahała się. – Czy zostaniesz dziś z jednym z nas?

Uśmiech Henry’ego rozświetlił się zaskoczeniem, lecz chłopak pokręcił głową.

– Nie, nie mogę. Muszę wrócić do Litchfield, kapitan musi znaleźć się na swoim okręcie. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby poszli tam mnie szukać i zamiast tego trafili na Chenga Drugiego oraz pozostałych. Ustawię robopszczołę, by obserwowała, dopóki będziemy mogli...

Zatoczył palcem krąg w geście, który sugerował coś na kształt spotkania.

– Może jutro? – spytał Gansey. – Mam spotkać się z siostrą na obiedzie. Proszę, przyjdźcie oboje.

Henry i Blue nie musieli nic wypowiadać na głos. Gansey z pewnością wiedział, że prośbą zagwarantował sobie ich obecność.

– Przyjmuję, że jesteśmy przyjaciółmi – rzekł Henry.

– Musimy nimi być – odparł Gansey. – Jane mówi, że tak być powinno.

– Tak być powinno – zgodziła się Blue.

Tym razem coś innego rozświetliło uśmiech Henry'ego. Wydawał się szczery i pełen zadowolenia, lecz było w nim również *coś więcej* i nie dawało się tego ściśle określić słowami. Cheng schował telefon.

– Dobrze. Teren czysty, zostawiam was. Do jutra.

Tej nocy Ronan nie śnił.

Gdy Gansey i Blue odjechali ze Stodólek, oparł się o filar podtrzymujący daszek frontowego ganku i spoglądał na świetliki migoczące w chłodnym mroku. Był tak żywiołowy i podekscytowany, że trudno mu było uwierzyć, iż nie spał. Zwykle potrzebował snu, by wyzwolić z siebie tak czystą energię. To nie był jednak sen. To było jego życie, jego dom, jego noc.

Po kilku chwilach usłyszał za plecami otwierające się drzwi i dołączył do niego Adam. W milczeniu spoglądali na światełka tańczące nad polami. Nie było trudno zauważyć, że Adam myślał nad czymś intensywnie. Słowa nabrzmiwały w Ronanie i pękały, zanim zdążyły się uwolnić. Czuł, jakby już zadał pytanie. Nie mógł jednocześnie dać odpowiedzi. Na linii drzew, tuż za granicą światła padającego z werandy, pojawiły się trzy jelenie. Jednym z nich był piękny błądy cielak o rogach niczym gałęzie lub korzenie. Obserwował ich, oni patrzyli na niego i nagle Ronan nie mógł już wytrzymać.

– Adamie?

Gdy Adam go pocałował, Ronan poczuł każdy kilometr na godzinę, jakim kiedykolwiek przekroczył dopuszczalną prędkość. Każdą nocną jazdę z odsuniętą szybą, ciarkami na skórze i zębami szczękającymi z zimna. Żebra Adama znalazły się pod dłońmi Ronana, usta Adama na jego ustach, i znowu, znowu, znowu. Ronan poczuł zarost pod wargami i musiał przerwać, by odzyskać oddech, by na nowo skłonić serce do działania. Obydwaj byli niczym wygłodniałe zwierzęta, lecz Adam czuł głód od dłuższego czasu.

We wnętrzu udawali, że śnią, lecz nie śnili. Ułożyli się na

kanapie w salonie i Adam przyglądał się tatuażowi
pokrywającemu plecy Ronana, wszystkim ostrym krawędziom,
które wspaniale zakleszczały się ze sobą i z lękiem wpływały
w siebie.

– *Unguibus et rostro* – powiedział Adam.
Ronan wsunął palce Adama do swych ust.
Już nigdy nie miał spać.

Tej nocy demon nie spał.

Podczas gdy Piper Greenmantle spała niespokojnie, śniąc o zbliżającej się licytacji oraz wzroście swojego znaczenia w społeczności magicznych artefaktów, demon niweczył.

Niweczył fizyczne przejawy Cableswater – drzewa, istoty, paprocie, strumyki, głązy – lecz również senne koncepcje lasu. Wspomnienia pochwycone w zagajnikach, pieśni komponowane jedynie nocą, pełzającą euforię, która wiła się i płynęła wokół jednego z wodospadów. Niweczył wszystko, co kiedykolwiek zostało wzniesione w to miejsce.

Śniącego zamierzał zniweczyć na końcu.

Będzie walczył.

Zawsze walczyli.

Gdy demon rozplątywał i rozmontowywał, wciąż spotykał pasma własnej opowieści kłębiące się wśród poszycia. Historię jego początków. To żyzne miejsce, pełne energii płynącej z linii mocy, nie nadawało się wyłącznie do tego, by wyrastały z niego drzewa i królowie. Jeśli rozlano na nie wystarczającą ilość krwi, mogły rodzić się z niego demony.

W tym lesie rozlano aż nadto krwi, by stworzyć demona.

Niewiele mogło powstrzymać jego pracę. Stanowił naturalnego wroga lasu i nikomu nie przyszła jeszcze do głowy jedyna rzecz, która mogła zatrzymać demona. Wyłącznie najstarsze z drzew próbowały walczyć, ponieważ tylko one pamiętały, jak to robić. Powoli i metodycznie demon rozsypywał je od środka. Czerń skraplała się na ich gnijących konarach i przewracały się, gdy korzenie obracały się w nicość.

Jedno z drzew opierało się dłużej niż inne. Było najstarsze i widziało już kiedyś demona. Miało świadomość, że czasami

nie chodziło o ocalenie siebie, lecz o utrzymanie się
wystarczająco długo, by ktoś mógł ocalić ciebie.
Przeciwstawiało się zatem i rosło ku gwiazdom, nawet gdy
wykopywano spod niego korzenie. Broniło się i śpiewało do
innych drzew, gdy butwiał mu pień. Dawało odpór i śniło
o niebie, nawet gdy zostawało niweczone.

Pozostałe drzewa skowyczały. Jeśli zostanie zniweczone,
kto stawia czoła demonowi?

Demon nie spał.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Gwenllian.

Obudziła się o świcie z wrzaskiem.

– Wstawaj! – zawyła do samej siebie, wyskakując z łóżka.

Najpierw włosami, a później czaszką uderzyła w pochyły strop strychu. Przycisnęła dłoń do głowy. Na zewnątrz wciąż panowała spłowiała szarość, naciskała jednak przełączniki, przekręcała gałki i ciągnęła za sznurki, dopóki nie zapaliła każdego światła. Cienie umykały we wszystkie strony.

– Wstawaj! – powtórzyła. – Matko, matko!

Wciąż kleiły się do niej sny, w których drzewa rozpływały się w czerń, a demony posykiwały, niweczając. Machała wokół siebie rękoma, by strącić pajęczyny z włosów i uszu. Naciągnęła przez głowę sukienkę, później włożyła dodatkową spódnicę, buty i sweter – potrzebowała zbroi. Następnie przestąpiła karty, które zostawiła rozłożone na podłodze, oraz rośliny, które spaliła, by pomogły jej w medytacji, i podeszła do dwóch zwierciadeł, które zostały po jej poprzedniczce. Neeve, Neeve, cudna Neeve. Gwenllian znałaby jej imię, nawet gdyby pozostałe jasnowidzki jej go nie podały, ponieważ lustra nieustannie wyszeptywały je, wyśpiewywały i wysykiwały. Jakże ją kochały i jak jej nienawidziły. Osądzały ją i podziwiała. Wznosiły ją i ściągały w dół. Neeve, Neeve, nienawistna Neeve, pragnęła szacunku całego świata i robiła, co w jej mocy, by go zdobyć. Jednak ostatecznie Neeve, Neeve, cudna Neeve nie szanowała samej siebie.

Pełnowymiarowe zwierciadła stały naprzeciwko siebie, odbijając się w nieskończoność. Neeve przeprowadziła jakiś skomplikowany rytuał, by upewnić się, że wypełniły się

wszelkimi możliwościami, jakie mogła wyobrazić sobie dla samej siebie, lecz w ostatecznym rozrachunku jedno z nich ją pożarło. Prawdziwe czary, jak powiedziałyby kobiety z Sycharth. Wszystkie zostałyby wywiezione do lasu.

Gwenllian stała pomiędzy lustrami. Ich magia szarpała nią i wyła. Szkło nie miało pokazywać tylu czasów na raz, a większość osób nie została skonstruowana, by przetwarzać tyle możliwości jednocześnie. Gwenllian stanowiła jednak po prostu kolejne zwierciadło, zatem gdy przyłożyła dłonie do obu powierzchni, magia odbiła się od niej nieszkodliwie. Sięgnęła w głąb wszystkich możliwości i rozejrzała się, przemykając od jednej fałszywej prawdy ku kolejnej.

– Matko, matko – powiedziała na głos Gwenllian.

Jej nieuporządkowane myśli przeobrażały się, gdy ich nie wypowiadała.

I nagle była matka, jej prawdziwa obecność, w tej terażniejszej możliwości, w tej rzeczywistości, w której sama Neeve nie żyła. Las był niweczony, a matka Gwenllian była niweczona wraz z nim.

Niweczona

Niweczona

Ni

Gwenllian z wrzaskiem przewróciła lustro na podłogę. Z dołu dobiegł krzyk, dom się budził. Znów wrzasnąwszy, zaczęła miotać się po strychu w poszukiwaniu narzędzia, broni. Nie widziała jednak przedmiotów, które mogłyby dokonać odpowiedniej szkody. Chwyciła lampę, wyrwała jej kabel z gniazdka i popędziła w dół schodów. Łup, łup, łup, łup, każda stopa na stopniu, biegiem.

– Artemussssssss! – zagrzmiała, w połowie krzyku jej głos zmienił tonację. Wpadła do kuchni oświetlonej jedynie przez

małą żarówkę nad piekarnikiem oraz rozproszoną szarość wpadającą przez okno nad zlewem. Widać było wyłącznie mgłę, bez słońca. – Artemusssss!

Nie spał, zapewne miał ten sam sen co ona. W końcu w ich żyłach płynęła identyczna gwiazdna materia.

– Odejdź – przez drzwi dobiegł jego głos.

– Otwórz drzwi, Artemussssie! – poleciała Gwenllian.

Nie mogła złapać tchu. Trzęsła się. Las zniweczony, jej matka zniweczona. Ten tchórzliwy mag ukrywał się w spiżarni i wszyscy mogli zginąć przez jego beczynność. Spróbowała otworzyć drzwi, lecz zabezpieczył je czymś od środka.

– Nie dzisiaj! – rzekł Artemus. – Dziękuję bardzo! Zbyt wiele wydarzeń w tej dekadzie. Może później! Nie mogę poradzić sobie z szokiem! Dziękuję za poświęcony czas.

Bywał doradcą *królów*.

Gwenllian roztrzaskała lampę na drzwiach. Żarówka rozbiła się ze srebrzystym odgłosem, a końcówka lampy rozszczerzyła cienką laminatową płytę.

– Mały królik siedzi w dziurze, siedzi w dziurze, siedzi w dziurze – zaśpiewała. – Mały lisek siedzi w dziurze, siedzi w dziurze, siedzi w dziurze. Mały piesek siedzi w dziurze, siedzi w dziurze, siedzi w dziurze! Wyjdź, mały króliku, mam do ciebie pytania. Na temat *demonów*.

– Dostosowuję się powoli! – zakwilił Artemus. – Nie potrafię adaptować się tak szybko!

– Jeśli ktoś nas okrada, niech wróci po godzinach pracy! – dobiegł z góry głos Calli.

– Czy wiesz, co stało się z moją matką, zbutwiały konarze? – Gwenllian wyrwała lampę ze szczeliny, by móc znów nią uderzyć o drzwi. Otwór powiększył się. – Opowiem ci, co widziałam w zwierciadle moich zwierciadeł!

– Odejdź, Gwenllian – poprosił Artemus. – Nie mogę nic zrobić dla żadnej z was. Zostaw mnie!

– Powiesz mi, gdzie jest mój ojciec, krzaczku! Do jakiej dziury go wrzuciłeś?

Zgrzyt.

Drzwi pękły na dwoje. Artemus cofnął się w mrok. Tkwił między plastikowymi pojemnikami, płóciennymi torbami na zakupy i workami z mąką. Osłaniał swą pociągłą twarz przed nią i lampą.

– Gwenllian! – odezwała się Blue. – *Co* ty robisz? Drzwi kosztują *pieniądze*.

Oto była mała córeczka Artemusa – w żadnym razie na nią nie zasługiwał – która przybyła mu na pomoc. Chwyciła Gwenllian za rękę, by powstrzymać ją przed rozbiciem tchórzowi czaszki za pomocą lampy.

– Nie chcesz mu zadać zagadki, niebieska lilio? – wrzasnęła Gwenllian. – Nie tylko ja pragnę odpowiedzi. Czy słyszałeś krzyk mojej matki, Artemussssie?

– Gwenllian, daj spokój – powiedziała Blue. – Jest wcześnie, jeszcze śpimy. A przynajmniej *spałyśmy*.

Gwenllian upuściła lampę, oswobodziła rękę, po czym złapała Artemusa za dłoń oraz włosy. Wyciągnęła go ze spiżarni, skamlącego jak pies.

– *Mamo!* – krzyknęła Blue, zakrywając dłonią oko.

Artemus leżał między nimi i spoglądał na kobiety.

– Powiedz mi, Artemusie, jak silny jest ten demon – syknęła Gwenllian. – Powiedz mi, po kogo przyjdzie teraz. Powiedz mi, gdzie jest mój ojciec. Powiedz mi, powiedz.

Nagle zerwał się na nogi. Zaczął uciekać, zaś Gwenllian zamachnęła się na niego, poślizgnęła i przejechała po podłodze na kawałkach rozbitej żarówki. Upadła mocno na biodro, lecz

próbowała się podnieść. Zanim odzyskała równowagę, był już przy suwanych drzwiach na tylne podwórko, zaś gdy sama wypadła do zamglonego ogródka, wdrapał się już na pierwszą gałąź buku.

– Nie przyjmie cię, ty tchórze! – zagrzmiała Gwenllian, choć obawiała się, że tak właśnie się stanie. Rzuciła się za nim i również zaczęła wspinać. Nieobce jej były drzewa oraz ich gałęzie, poza tym była od niego szybsza. – Ty intrygancie – syknęła. – Ty śniący, ty...

Zaczepiła sukienką o konar, dając ściganemu chwilę wytchnienia. Artemus podniósł ręce, znalazł konar i wdrapał się wyżej. Gdy wróciła do wspinaczki, liście szemrały nagłaco, a mniejsze gałązki pękały.

– Pomocy – rzekł, tylko że w inny sposób.

Wypowiedział *Auxiril*. Rozbrzmiewające słowo wydawało się mieścić w sobie pośpiech, przerażenie, desperację i brak nadziei.

– Moja matka – mówiła Gwenllian. Z myśli ku słowom bez chwili przerwy. – Moja matka, moja matka, moja matka.

Martwe liście zadygotały ponad nimi, spadając na oboje. Gwenllian skoczyła w jego stronę.

– *Auxiril!* – błagał znów.

– To cię nie uratuje!

– *Auxiril* – wyszeptał i złapał się drzewa.

Pozostałe liście spadały lawiną. Konary pękały. Ziemia wysklepiała się, gdy korzenie podnosiły się gwałtownie. Gwenllian sięgnęła w poszukiwaniu uchwytu, złapała, straciła oparcie. Gałąź pod nią zadygotała i odchyliła się na gwałtownym wietrze. Gleba szeptała wokół wyłaniających się korzeni – znajdowali się zbyt daleko od trupich dróg, by tego dokonać, ale Artemus i tak zamierzał to zrobić, typowe, typowe, typowe –

i nagle Gwenllian spadła, gdy konar pod nią się poruszył.

Spadła ciężko na bark, wypuszczając gwałtownie całe powietrze z płuc. Gdy podniosła wzrok, ujrzała, że patrzą na nią Blue oraz jej martwy przyjaciel. Reszta stała w drzwiach do domu, ale Gwenllian była zbyt oszołomiona upadkiem, aby ich rozpoznawać.

– Co to?! – zawołała Blue. – Co się stało? Czy on jest?...

– W drzewie? – dokończył Noah.

– Moja matka była w drzewie i teraz nie żyje – warknęła Gwenllian. – Twój ojciec jest w drzewie i jest tchórzem. Masz pecha. Zabiję cię, gdy tylko wyjdiesz, ty zatruty konarze!

Zostało to skierowane do drzewa. Wiedziała, że Artemus ją słyszał. Jego dusza skuliła się we wnętrzu drzewa. Cholerne drzewo-światło, cholerny mag. Gwenllian czuła wściekłość, wiedząc, że mógł ukrywać się tam tak długo, jak tylko będzie żył buk. Nie istniał żaden powód, by demon zainteresował się drzewem rosnącym tak daleko od Caveswater, więc nawet gdy wszyscy pozostali już umrą, on będzie mógł wyjść bez szwanku.

Och, cóż za *furia*.

Blue z delikatnie rozchylonymi ustami popatrzyła na buk.

– On... jest w *środku*?

– Oczywiście – odparła Gwenllian. Podniosła się z ziemi i ujęła rąbki spódnicy w dłonie, by znów się o nie nie potknąć. – Oto kim jest! To twoja krew. Czy nie czułaś w żyłach korzeni? *Przekleństwo!* Przekleństwo.

Wpadła z powrotem do wnętrza domu, przepychając się obok Maury i Calli.

– Gwenllian, *co* się dzieje? – spytała Maura.

Gwenllian przystanęła w korytarzu.

– Nadchodzi demon! Wszyscy umrą. Oprócz jej bezużytecznego ojca. On będzie żył wiecznie.

W sobotę Adam obudził się w zupełnej ciszy. Zapomniał już, jak to jest. Mgła przesuwiała się lekko za oknami pokoju Declana, nie dopuszczając do głosu ptaków. Dom znajdował się zbyt daleko od drogi, by docierały odgłosy samochodów. Z tyłu nie słychać było stukotów z kościelnej kancelarii, nikt nie wyprowadzał psa po chodniku, dzieci nie wrzeszczały na szkolny autobus. Istniała jedynie cisza tak głęboka, że wydawało się, jakby napierała na uszy.

Nagle w jego wnętrzu Cableswater zaczerpnęło tchu. Usiadł. Jeśli las wrócił, oznaczało to, że wcześniej go nie było.

„Jesteś tam?”

Poczuł własne myśli, więcej własnych myśli i wreszcie, cichutkie, ledwo wyczuwalne Cableswater. Coś było nie w porządku.

Adam czekał jednak jeszcze chwilę po tym, gdy odsunął już kołdrę i wstał. Oto był, budził się w domu Lynchów, miał na sobie wczorajsze ubranie wciąż pachnące dymem z grilla, przespał o kilka godzin poranne zajęcia z podnoszenia ciężarów. Jego usta wciąż pamiętały Ronana Lyncha.

Co on wyrabiał? Z Ronanem nie można było pogrywać. Nie sądził, by z nim pogrywał.

„Zamierzasz opuścić ten stan”, powiedział sobie.

Od dłuższego czasu nie czuł jednak ognia parzącego w podeszwie. Nie istniała już dorozumiana druga połowa tego stwierdzenia: „I nigdy nie zamierzasz wracać”.

Zszedł na parter, po drodze zaglądając do każdego pokoju, lecz wyglądało na to, że był sam. Przez krótką, dziwaczną chwilę wyobrażał sobie, że śnił, że kroczył przez ten opuszczony dom we śnie. Nagle zaburczało mu w brzuchu i wtedy trafił do

kuchni. Zjadł bez niczego dwie pozostałe od wczoraj bułki od burgerów, ponieważ nie mógł znaleźć masła, po czym wypił resztę mleka bezpośrednio z kartonu. Pożyczył sobie z wieszaka kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

Pola pokrywały mgła i rosa. Jesienne liście kleiły mu się do butów, gdy szedł ścieżką prowadzącą przez pastwiska. Nasłuchiwał odgłosów aktywności w mijanych szopach, lecz panująca cisza w zasadzie mu odpowiadała. Ta cisza, ta absolutna cisza, nic poza niskim szarym niebem oraz myślami Adama.

Wciąż tak bardzo w tym tkwił.

Bezgłos został zakłócony, gdy podbiegło do niego jakieś stworzenie. Brykało tak szybko i dziwnie na kopytach, że dopiero gdy wsunęło dłoń w jego palce, uświadomił sobie, że to Sierotka. Trzymała poczerniały od wilgoci patyk, a gdy na nią spojrział, zauważył, że do zębów kleiły jej się kawałki kory.

– Na pewno powinnaś to jeść? – spytał ją. – Gdzie Ronan?

Przytuliła z uczuciem policzek do grzbietu jego dłoni.

– *Savende e'lintes i firen...*

– Angielski albo łacina – poleciał.

– Tędy!

Zamiast jednak poprowadzić go w jakimś konkretnym kierunku, puściła jego dłoń i biegała wokół niego, machając rękoma niczym ptak. Szedł, ona wciąż go okrążała, zaś lecący ponad nimi ptak zwolnił lot. Piła dostrzegła ruch Sierotki. Zakrakała, zawróciła i poleciała z powrotem ku wyżej położonym polom. Właśnie tam Adam znalazł Ronana, czarną smugę na bladym od mgły polu. Obserwował coś innego, lecz Piła go ostrzegła, obrócił się więc z dłońmi w kieszeniach ciemnej kurtki i spoglądał na zbliżającego się Adama.

– Parrish – rzekł Ronan. Przyjrzał się Adamowi.

Najwyraźniej nie brał nic za pewnik.

– Lynch – odparł Adam.

Sierotka wkłusowała między nich i dźgnęła Ronana końcem patyka.

– Ty mały wyrzygu – powiedział jej Ronan.

– Czy ona powinna to jeść?

– Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, czy ma jakieś organy wewnętrzne.

Adam roześmiał się z nedorzeczności tego wszystkiego.

– A ty jadłeś? – spytał Ronan.

– Nie licząc patyków? Tak. I przegapiłem podnoszenie ciężarów.

– Jezu łkający! Chcesz ponosić bele siana? Dzięki temu wyrosną ci włosy na kłacie. Hej. Spróbuj dźgnąć mnie jeszcze raz... – To ostatnie było do Sierotki.

Szli, szurając butami po trawie. Adam zamknął oczy i odchylił głowę. W takim stanie niemal mógł wieszczyć. Cisza oraz zimny wiatr na gardle zabierały go dokądś indziej, zaś wilgoć na palcach stóp w przemokniętych butach oraz woń zwierząt trzymały go tutaj. Wewnątrz i na zewnątrz. Nie potrafił stwierdzić, czy bardziej pozwalał sobie czuć to miejsce, czy Ronana. Nie był zresztą pewien, czy istniała różnica.

Gdy otworzył oczy, zauważył, że Ronan na niego patrzył – w taki sam sposób jak od miesiący. Adam odpowiedział spojrzeniem – takim samym jak od miesiący.

– Muszę śnić – rzekł Ronan.

Adam chwycił Sierotkę za rękę.

– *Musimy* śnić – sprostował.

W odległości dwudziestu pięciu minut stamtąd Gansey był w pełni rozbudzony i znajdował się w tarapatach.

Nie wiedział jeszcze, z jakiego powodu się w nich znalazł, lecz znając rodzinę Ganseyów, mógł się nigdy nie dowiedzieć. Czuł to jednak równie mocno, jak ciężar wiszącej nad nim sieci splecionej przez opowieść o Glendowerze. Wszyscy Ganseyowie byli niczym wysokiej jakości ekstrakt waniliowy. Używało się go z umiarem, rzadko samodzielnie, i zwykle dawał się rozpoznać wyłącznie z perspektywy czasu. Przy odrobinie praktyki można było nauczyć się identyfikować jego smak, ale po co? „W tej bułeczce czuć trochę złości, nie sądzisz? Och, tak, wydaje mi się, że lekka nuta...”.

Helen była wkurzona na Ganseya. Tak wyglądał tego efekt.

Rodzina zgromadziła się w budynku szkolnym, jednej z inwestycyjnych nieruchomości Ganseyów. Była to przyjemnie podniszczona stara kamienna budowla położona na pokrytych bujną roślinnością i odludnych wzgórzach pomiędzy Waszyngtonem a Henriettą, gdzie zarabiała na swoje utrzymanie wynajmowana na krótkie okresy. Reszta rodziny spędziła tam noc. Próbowali przekonać Ganseya, by uczynił to samo, i być może spełniłby tę prośbę, gdyby nie Ronan i gdyby nie Henry. Być może to dlatego Helen się na niego irytowała.

W każdym razie na pewno wynagrodził im to, przywożąc ze sobą interesujących znajomych do zabawy. Ganseyowie kochali olśniewać innych. Obecność gości oznaczała okazję do wykazania się wyrafinowanymi umiejętnościami kucharskimi.

Mimo to znajdował się w tarapatach. Nie u rodziców, którzy byli zachwyceni jego widokiem – „Ale się opaliłeś, Dick” – a jeszcze bardziej uradowani, jak można było się spodziewać,

widokiem Henry'ego oraz Blue. Henry z miejsca zaliczył swoisty sprawdzian na odpowiedniego znajomego, z którym Adam i Ronan zawsze wydawali się mieć problemy, zaś Blue... Cóż, cokolwiek kryło się w bystro zaciekawionej minie Blue, która przyciągnęła do niej młodego Ganseya, najwyraźniej zauroczyło również i starszych. Siekając bakłazany, natychmiast zaczęli wypytywać, czym zajmuje się jej rodzina.

Blue opisała przeciętny dzień na Fox Way 300 z raczej mniejszym zdziwieniem i oszołomieniem niż jeszcze niedawno w samochodzie, gdy opowiadała Ganseyowi o niezbyt typowym doświadczeniu, jakim było zniknięcie jej ojca w drzewie. Wymieniła paranormalną infolinię, oczyszczanie domów z duchowych pozostałości, kręgi medytacyjne oraz rozkładanie kart. Jej zdawkowe opisy jedynie bardziej zachwyciły rodziców Ganseya – gdyby przesadziła, odniosłaby odwrotny rezultat. Ona jednak tylko mówiła im, jak było, o nic ich nie prosiła i niezwykle im się to podobało.

W obecności Blue Gansey był boleśnie świadom tego, jak wszyscy musieli wyglądać w jej oczach: stary mercedes na podjeździe, obrębione spodnie, gładka skóra, proste zęby, okulary Burberry, apaszki Hermesa. Jej oczyma postrzegał nawet budynek. Dawniej nie pomyślałby, że wyglądał, jakby włożono w niego dużo pieniędzy – przy oszczędnym wystroju uznałby go wręcz za surowy. Teraz jednak, po tym, jak spędził z Blue trochę czasu, widział, iż to *właśnie* dzięki tej prostocie budynek wyglądał bogato. Ganseyowie nie musieli trzymać w domu wielu rzeczy, ponieważ każdy przedmiot, który posiadali, idealnie służył swemu celowi. Próżno tam było szukać taniego regału na książki wykorzystywanego również jako miejsce na dodatkowe talerze. Nie znalazłoby się biurka, na którym leżałyby nie tylko dokumenty, ale i przyrządy do szycia

oraz zabawki. W szafkach nie upchnięto garnków i patelni, a szczotki klozetowe nie tkwiły w tanich plastikowych pojemnikach. Zamiast tego w sypiącym się dawnym budynku szkolnym wszystko było estetyczne. Takie coś można było osiągnąć dzięki pieniądзом. To one wkładały szczotki do miedzianych pojemników, dodatkowe talerze za szklane drzwiczki, zabawki do rzeźbionych drewnianych skrzyń, a rondle na żelazne stojaki.

Lekko mu to doskwierało.

Gansey starał się złowić spojrzenia Blue i Henry'ego, by sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku, ale problem z subtelnym zachowaniem w pomieszczeniu pełnym Ganseyów polegał na tym, że dla nich wszystkich subtelność stanowiła coś codziennego. Nie miał jak dyskretnie spytać, czy potrzebna im pomoc, ponieważ wszelkie komunikaty zostałyby przechwycone. Swobodne rozmowy trwały więc aż do chwili, gdy gotowy obiad można było przenieść na ganek z tyłu. Henry i Blue zostali posadzeni zbyt daleko od niego, by mógł skierować w ich stronę zrzuty z pomocą humanitarną.

Helen postarała się, by usiąść obok niego. Wyczuwał całe wiadra wanilii.

– Dyrektor Child powiedział, że trochę spóźniłeś się z aplikacjami do college'u – oznajmił pan Gansey, wychylając się, by nałożyć komosę ryżową na talerze.

Gansey zajął się wyciąganiem meszki ze szklanki z mrożoną herbatą.

Pani Gansey w geście solidarności machnęła dłonią na niewidzialnego owada.

– Wydaje się, że powinno być zbyt zimno na insekty. Zapewne gdzieś w pobliżu jest zbiornik ze stojącą wodą.

Gansey starannie otarł martwą meszkę o krawędź stołu.

– Ostatnio wciąż mam kontakty z Dromandem – rzekł pan Gansey. – Ciągłe pociąga za sznurki na wydziale historii na Harvardzie, jeśli wciąż o tym myślisz.

– Jezu, nie – skomentowała pani Gansey. – Musi być Yale.

– Co, jak Ehrlich? – Pan Gansey roześmiał się lekko z jakiegoś prywatnego dowcipu. – Niech to będzie nauką dla nas *wszystkich*.

– Ehrlich to wyjątek potwierdzający regułę – odparła pani Gansey.

Stuknęli się szklankami w tajemniczym toaście.

– Gdzie już złożyłeś? – spytała Helen.

W jej głosie zabrzmiała groźba. Niesłyszalna dla nieGanseyów, ale wystarczająca, by ich ojciec zmrużył brwi.

Gansey zamrugął.

– Jeszcze nigdzie.

– Nie pamiętam, kiedy przychodzi pora na takie rzeczy – powiedziała pani Gansey. – Chyba wkrótce, prawda?

– Straciłem poczucie czasu.

Była to najprostsza możliwa wersja stwierdzenia „Teoretycznie umrę, zanim będzie to miało znaczenie, wykorzystywałem więc wieczory w innych celach”.

– Czytałem artykuł na temat przerw w nauce przed pójściem na studia – oznajmił Henry. Uśmiechnął się do swego talerza, gdy pani Gansey stawiała go przed nim, zaś w owym uśmiechu pojawiła się sugestia, iż biegle posługiwał się językiem subtelności. – Podobno to dobre dla takich jak my.

– A kim są tacy jak my? – zapytała matka Ganseya w sposób dający do zrozumienia, iż podobała jej się koncepcja, że mają ze sobą coś wspólnego.

– No wie pani, nadmiernie wykształceni młodzi ludzie, którzy doprowadzają się do załamania nerwowego

w szlachetnym pościgu za doskonałością – wyjaśnił Henry.

Rodzice Ganseya roześmieli się. Blue uszczypnęła serwetkę. Gansey został uratowany. Blue pozostawiono samą sobie.

Pan Gansey dostrzegł to jednak i przechwycił piłeczkę, zanim dotknęła ziemi.

– Blue, chciałbym przeczytać coś twojego autorstwa na temat dorastania w domu pełnym jasnowidzek. Mogłabyś zająć się tym naukowo albo napisać wspomnienia. W każdym razie byłoby to po prostu fascynujące. Konstruujesz bardzo dobitne zdania, nawet gdy mówisz.

– Och, tak, również to zauważyłam. Charakterystyczna intonacja z Henrietty – powiedziała ciepło pani Gansey.

Byli świetnymi graczami zespołowymi. Dobry manewr, punkt dla Ganseyów, zwycięstwo dla Drużyny Dobrego Samopoczucia.

– Prawie zapomniałam o bruschettach, zaraz się spalą. Dick, mógłbyś mi pomóc je przynieść?

Drużyna Dobrego Samopoczucia natychmiast się rozpadła. Gansey za chwilę miał się dowiedzieć, dlaczego znalazł się w tarapatach.

– Jasne – odparł. – Coś komuś przynieść ze środka?

– Właściwie to mógłbyś przynieść mi mój rozkład, poproszę – rzekła matka. – Muszę zadzwonić do Martiny i upewnić się, czy będzie tam wystarczająco długo.

Rodzeństwo Ganseyów weszło do środka. Helen najpierw wyciągnęła grzanki z piekarnika, po czym obróciła się do niego.

– Czy pamiętasz, jak prosiłam: „Powiedz mi, jakie brudy mogę znaleźć na temat twoich koleśków, żebym mogła się tym zająć, zanim mama tam przyjedzie”? – spytała ostro.

– Przypuszczam, że to pytanie retoryczne – odparł Gansey.

Dekorował bruschetty.

- Nie przekazałeś mi żadnych informacji na ten temat.
- Wysłałem ci wycinki na temat dowcipów z okazji

Tygodnia Tureckiego.

- I zapomniałeś wspomnieć, że *przekupiłeś dyrektora*. Gansey przestał ozdabiać grzanki.

– Naprawdę to zrobiłeś – oznajmiła Helen, czytając w nim jak w otwartej książce. Rodzeństwo Ganseyów nadawało na tej samej częstotliwości. – Dla którego z nich to było? Pewnie tego z przyczepy.

– Nie bądź obraźliwa – odparł szybko Gansey. – Kto ci powiedział?

– Papiery mi powiedziały. No wiesz, nie skończyłeś jeszcze osiemnastu lat. Jak w ogóle zdołałeś przekonać Brulia, żeby napisał ci ten dokument? Wydawało mi się, że jest prawnikiem taty.

– To nie ma nic wspólnego z tatą. Nie wydałem jego pieniędzy.

– Masz siedemnaście lat. Jakimi innymi pieniędzmi dysponujesz?

Gansey spojrzał na nią.

– A więc zakładam, że przeczytałaś tylko pierwszą stronę dokumentu.

– Więcej nie mogłam otworzyć na telefonie – rzekła Helen.

– A w czym rzecz? Co znajduje się na drugiej stronie? *Jezu Chryste*. Oddałeś Childowi ten swój magazyn, zgadza się?

Brzmiało to tak klarownie, gdy ujęła to w taki sposób. Zapewne takie było. Jeden dyplom ukończenia Aglionby w zamian za Monmouth Manufacturing.

„Zapewne i tak cię nie będzie, żebyś mógł za nim tęsknić”, powiedział sobie.

– Przede wszystkim, to co on właściwie zrobił, żeby zasłużyć sobie na coś takiego? – chciała wiedzieć Helen. – Sypiasz z nim?

– Ponieważ przyjaźń nie jest wystarczająco wiele warta? – odparł głosem chłodnym od oburzenia.

– Dick, widzę, że robisz, co możesz, by pozostać na moralnych wyżynach, ale uwierz mi, kiepsko ci idzie. Etyczna drabina nie wystarczy, by się tam znaleźć, potrzebujesz krzesła poparcia, by postawić na nim drabinę. Czy rozumiesz, w jak niesłychanie złym świetle znajdzie się mama, jeśli twoja głupota kiedykolwiek zostanie ujawniona?

– To nie mama to zrobiła, tylko ja.

Helen przekrzywiła głowę. Zwykle nie zauważała dzielącej ich różnicy wieku, jednak w tym momencie to ona wyraźnie była wyrafinowaną dorosłą, on zaś... tym, kim był.

– Czy wydaje ci się, że prasę to obejdzie? Masz siedemnaście lat. To nasz prawnik, na litość boską. Przykład korupcji w rodzinie i tak dalej, i tak dalej. Nie mogę uwierzyć, że przynajmniej nie zaczekałeś z tym, aż będzie po wyborach.

Gansey nie wiedział jednak, ile zostało mu czasu. Nie wiedział, czy dożyje do wyborów. Na tę myśl natychmiast ścisnęło go w piersi i ledwo był w stanie zaczerpnąć tchu, odepchnął więc ją od siebie najszybciej, jak mógł.

– Nie pomyślałem o konsekwencjach – stwierdził. – Dla kampanii.

– Najwyraźniej! Nawet nie wiem, co sobie myślałeś. Przez całą drogę tutaj próbowałam to sobie poukładać i po prostu nie potrafiłam.

Gansey turlał kawałek pomidora po desce do krojenia. Serce wciąż mu trzepotało.

– Nie chciałem, by wszystko zmarnował dlatego, że zmarł

mu ojciec – powiedział znacznie cichszym głosem. – Obecnie nie zamierza kończyć szkoły, ale gdy już uzna, że jednak warto, powinien mieć możliwość.

Helen nic nie odrzekła, lecz wiedział, że siostra mu się przygląda i znów stara się go przeniknąć. Turlał wciąż tym kawałkiem pomidora, rozmyślając, że tak naprawdę nie miał nawet pewności, czy Ronan w ogóle potrzebował dyplomu, i że żałował pójścia na układ z Childem, choć gdyby tego nie zrobił, nie potrafiłby spokojnie spać. Pomylił się w wielu kwestiach, a teraz, gdy czas uciekał, było już za późno, aby je naprawić. Utrzymanie tej tajemnicy wiązało się z samotnością i poczuciem winy.

Ku jego zaskoczeniu Helen go przytuliła.

– Braciszku – wyszeptała – co się z tobą dzieje?

Ganseyowie nie mieli zwyczaju się przytulać, Helen zwykle nie zaryzykowałaby pogniecenia bluzki, jej cienkie złote bransoletki wbijały mu się w ręce i połączenie tych wszystkich rzeczy z jakiegoś powodu sprawiło, że Gansey znalazł się niebezpiecznie bliski łez.

– A co, jeśli go nie odnajdę? – spytał. – Glendowera.

Helen odetchnęła i puściła go.

– Ty i ten król. Kiedy to się skończy?

– Gdy go odnajdę.

– A co później? Gdy *już* go odnajdziesz?

– Ta sprawa zostanie zakończona.

Nie była to dobra odpowiedź i nie spodobała się Helen, lecz siostra jedynie zmrużyła oczy. Wygładziła parę zmarszczek na bluzce.

– Przykro mi, że zniszczyłem mamie kampanię.

– Nie zniszczyłeś. Po prostu będę musiała, sama nie wiem, znaleźć jakieś haki na Childa, żeby pozostał posłuszny. – Helen

nie wyglądała na szczególnie niezadowoloną z czekającego ją zadania. Lubiła organizować fakty. – Jezu. I pomyśleć, że sądziłam, że będę miała do czynienia z pijaństwem oraz posiadaniem marihuany. A tak w ogóle, to kim jest ta dziewczyna? Całowałeś się z nią?

– Nie – zgodnie z prawdą odparł Gansey.

– Powinieneś – stwierdziła.

– Podoba ci się?

– Jest dziwna. Ty jesteś dziwny.

Rodzeństwo Ganseyów uśmiechnęło się do siebie.

– Bierzmy te bruschetty – stwierdziła Helen. – Żeby udało nam się przeżyć ten weekend.

To była pomyłka.

Adam stwierdził to w chwili, w której wpadł w ciemną paszczę misy wróżebnej, ale nie mógł zostawić Ronana samego we śnie.

Jego fizyczne ciało siedziało ze skrzyżowanymi nogami w Stodółkach, a ceramiczna psia miska służyła mu za misę wróżebną. Ronan śnił zwinięty na kanapie. Sierotka siedziała obok Adama, spoglądając wraz z nim w misę.

To było rzeczywiste.

Ale co innego również było rzeczywiste: symfonia choroby, którą grało Cableswater. Wokół niego las wymiotował czernią. Drzewa rozpływały się w nią, lecz był to pływ na odwrót, w górę: długie strumienie śluzu sączyły się ku niebu. Powietrze drżało i przemieszczało się gwałtownie. Umysł Adama nie rozumiał, w jaki sposób przetwarzać to, co widział. Był to koszmar sączącego czernią drzewa, które widzieli wcześniej, tylko że rozprzestrzenił się na cały las wraz z wiszącym nad nim niebem. Gdyby nie pozostało już nic z prawdziwego Cableswater, być może wszystko byłoby mniej przerażające – łatwiej byłoby uznać to za koszmar – jednak wciąż dostrzegał znany sobie las, który próbował przetrwać.

„Cableswater?”

Brak odpowiedzi.

Nie wiedział, co się z nim stanie, jeśli Cableswater umrze.

– Ronanie! – krzyknął Adam. – Jesteś tu?

Być może Ronan tylko spał, a nie śnił. Być może śnił gdzieś indziej. Być może przybył tu przed Adamem i został już zabity we śnie.

– *Ronanie!*

– Kerah – jęknęła Sierotka.

Gdy jednak rozejrzał się za nią, nigdzie nie było jej widać. Czy wieszczyła wraz z nim w misie i weszła za nim? Czy Ronan mógł wyśnić kolejną Sierotkę w innym śnie? Adam znał odpowiedź na to pytanie: tak. Był świadkiem, jak wyśniony Ronan umierał przed prawdziwym. W tym lesie mogły istnieć niezliczone Sierotki. *Niech to diabli!* Nie wiedział nawet, jak ją zawołać.

– Sierotko! – spróbował.

Gdy tylko zaczął wołać, od razu tego pożałował. W tym miejscu wszystko stawało się tym, czym je nazwano. Zresztą i tak nie doczekał się odpowiedzi.

Zaczął iść przez las. Uważał, żeby wciąż trzymać się swego ciała, które pozostało w Stodólkach. Dłoni spoczywających na chłodnej wróżebnej misie. Bioder opierających się o drewnianą podłogę. Zapachu kominka za plecami. „Pamiętaj, gdzie jesteś, Adamie”.

Nie chciał znów wołać Ronana. Nie chciał, by ten koszmar stworzył jego kopię. Wszystko, co widział, wyglądało straszliwie. Wąż rozpadał się za życia. Jeleń w zwolnionym tempie szarpał kopytem ziemię, a pnącza przebijały się przez jego wciąż żywe ciało. Istota, która nie była Adamem, ale w jakiś sposób miała takie samo ubranie. Prawdziwy Adam uchylił się, lecz dziwny chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Zamiast tego powoli pożerał własne dłonie.

Adam wzdrygnął się.

– *Cabeswater*, gdzie on jest?

Załamał mu się głos, a Cabeswater zafalowało, próbując zadowolić swego maga. Przed nim pojawił się kamień. A raczej zawsze tam był, jak to w snach, podobnie jak przebiegało objawianie się lub znikanie Noaha. Adam widział już wcześniej

ten głaz, jego prążkowana powierzchnia pokryta była fioletowo-czarnymi liniami pisma Ronana.

Adam przeszedł obok. Coś z tyłu wrzasnęło.

Oto był Ronan. Wreszcie. Wreszcie.

Okrażał coś w wypalonej trawie między zniszczonymi drzewami. Gdy Adam podszedł bliżej, ujrzał, że to zwłoki. Trudno było stwierdzić, jak wcześniej wyglądały. Wydawały się mieć skórę białą jak kreda, lecz ciało pocięto głębokimi szramami, których krawędzie podwijały się różowo. Płatanina wnętrzości wylewała się spod tłustej szarej fałdy i owijała szpony zakończone czerwienią. W niektórych miejscach wyrastały grzyby i było w nich coś zdecydowanie niewłaściwego, trudno się na nie nawet patrzyło.

– Nie – odezwał się Ronan. – O nie. Ty gnoju.

– Co to jest? – spytał Adam.

Dłoń Ronana zawisała nad dwoma rozchylonymi, umieszczonymi obok siebie dziobami, pokrytymi czernią i czymś fioletowo-czerwonym, nad czym Adam nie chciał się zbytnio zastanawiać.

– Mój nocny koszmar. Boże. Cholera.

– Dlaczego jest tutaj?

– Nie wiem. Przejmuje się tym, czym ja się przejmuję – odparł Ronan. Spojrzał na Adama. – To koszmarny sen czy rzeczywistość?

Adam wytrzymał jego wzrok. Oto, gdzie byli teraz: w miejscu, w którym koszmary stawały się rzeczywiste. Gdy stali razem w Cabeswater, nie istniała różnica pomiędzy snami a rzeczywistością.

– Co powoduje to wszystko? – zapytał Ronan. – Nie słyszę drzew. Nic do mnie nie mówi.

Adam wciąż wytrzymywał jego spojrzenie. Nie chciał

wypowiadać na głos słowa „demon”

– Mam ochotę się obudzić – stwierdził Ronan. – Możemy? Nie chcę zabierać nic z tego. I nie potrafię utrzymać myśli... Nie mogę...

– Tak – przerwał mu Adam. On również nie mógł. – Musimy porozmawiać z resztą. Chodźmy...

– Kerah!

Cienki okrzyk Sierotki natychmiast zwrócił uwagę Ronana, który obrócił głowę, by poszukać jej wzrokiem wśród ciemnych gałęzi i sadzawek.

– Zostaw ją – rzekł Adam. – Jest z nami w prawdziwym życiu.

Ronan wahał się jednak.

– Kerah! – zawyła znowu i tym razem Adam usłyszał w jej głosie ból. Brzmiała krucho, dziecięco i żałośnie. Wszystko w jego wnętrzu zostało zaprogramowane, by odpowiedzieć na to wołanie. – Kerah, *succuro!*

Nie dawało się stwierdzić, czy krzyczała Sierotka, którą zostawili w Stodólkach, czy jej kopia, czy też potworny diabelski ptak o jej głosie. Ronana to nie obchodziło. I tak pobiegł. Adam popędził za nim. Wszystko, co mijał, okazywało się ohydne: zagajnik wierzb zapadniętych w sobie, ptak śpiewający odwrócony trel, rój czarnych insektów pełzających po resztkach martwego królika.

Głos nie należał do potwornego diabelskiego ptaka. Wydawała go Sierotka lub coś wyglądającego zupełnie jak ona. Klęczała na spłachetku wyschniętej trawy. Wcześniej nie płakała, lecz na widok Ronana zalała się łzami. Gdy sięgnął do niej, nie mogąc oddychać, wyciągnęła ku niemu błagalnie rękę. Adam nie sądził, by stanowiła kopię: nosiła jego zegarek ze śladami zębów na pasku, zresztą tak słabe Cabeswater nie

zdołałoby wytworzyć tak niezbrukanej wersji.

– *Succuro, succuro* – łkała.

„Pomocy, pomocy”. Wyciągane do Ronana ręce były aż po łokcie pochłapane krwią.

Ronan padł na kolana i otoczył ją ramionami. Adam z jakiegoś powodu poczuł ból, widząc, jak Lynch tuli swą dziwną wyśnioną istotę i jak ona chowa głowę w jego barku. Stał z nią w ramionach, trzymając ją mocno.

– Nie, dobrze się spisałeś, wszystko będzie w porządku, budzimy się – mówiła.

Nagle Adam zobaczył. Wcześniej niż Ronan, ten bowiem nie spojrzał jeszcze, co znajdowało się za Sierotką. *Nie, nie*. Sierotka nie zatrzymała się tutaj, ponieważ nie mogła już dalej biec. Uklękała tam, bo nie zdołała dalej zaciągnąć ciała. Zresztą *ciało* było raczej łagodnym określeniem. Długie kosmyki włosów kleiły się do największych kawałków, a całość rozwlekła się niczym łańcuch lepkich pereł. To dlatego ręce Sierotki pokryły się krwią: podczas skazanej na niepowodzenie próby ratunku.

– Ronanie – ostrzegł Adam, gdy wzbierało w nim przerażenie.

Ronan obrócił się, słysząc brzmienie jego głosu.

Nastąpiła krótka chwila, gdy spoglądał wyłącznie na Adama, i Adam pragnął utrzymać jego wzrok na wieki. „Obudź się”, pomyślał, choć wiedział, że Ronan tego nie robi.

Ronan opuścił wzrok.

– Mamo?

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Szarym Mężczyźnie.

Szary Mężczyzna lubił królów.

Lubił oficjalnych królów, którzy posiadali tytuł, koronę i tak dalej, lecz również nieoficjalnych, którzy władali, rządili i zarządzali, choć nie pochodzili ze szlacheckiego rodu ani nie mieli właściwego tronu. Lubił królów żyjących w przeszłości i tych w przyszłości. Królów, którzy stawiali się legendami dopiero po śmierci, tych, którzy zostawali nimi za życia, a także tych, których otaczała legenda, choć wcale nie żyli. Jego ulubieńcami byli królowie wykorzystujący swą władzę w pościgu za nauką i pokojem, nie zaś za statusem i mieniem, stosujący przemoc tylko w celu stworzenia kraju, który nie musiał żyć w przemocy. Uosobieniem tego wszystkiego okazywał się Alfred, król najbardziej uwielbiany przez Szarego Mężczyznę, który podbił zwaśnione królestwo anglosaskiej Anglii i ustanowił zjednoczone państwo. Jakże Szary Mężczyzna podziwiał tego człowieka, choć sam siebie uważał za płatnego mordercę, nie za króla.

Wydawało się dość dziwne, że nie pamiętał, kiedy podjął decyzję o rozpoczęciu takiej drogi życia.

Pamiętał uczelniany epizod swego życia, gdy był historykiem w Bostonie: wykłady, prace zaliczeniowe, imprezy, archiwa. Królowie i wojownicy, honor i głów szczyzna. Pamiętał oczywiście Greenmantle'ów. Trudno mu było jednak poskładać wszystko inne. Nie potrafił odróżnić, co stanowiło prawdziwe wspomnienia, a co jedynie sny i marzenia. W tamtym czasie jeden szary dzień przeciągał się w następny i wydawało się prawdopodobne, iż stracił całe tygodnie, miesiące lub lata w tym

mglistym rozkojarzeniu. W pewnym momencie ktoś wydyszał słowo „najemnik” i w pewnym momencie dawny akademik porzucił swą tożsamość, by stać się Szarym Mężczyzną.

– Co spodziewamy się tu znaleźć? – spytała go teraz Maura.

Siedzieli w samochodzie i jechali w kierunku Singer’s Falls. Obecność jedynie dwóch części Laumoniera w sklepie dręczyła Szarego Mężczyznę, odkąd się z nim rozstał, i większość nocy spędził na starannych poszukiwaniach trzeciego, najmniej przyjemnego z braci. Teraz, choć stracili z oczu jego wynajęty samochód, sunęli dalej ku Stodółkom.

– *Mamy nadzieję* nic nie znaleźć – odrzekł Szary Mężczyzna. – Spodziewamy się jednak znaleźć Laumoniera myszującego w szafkach Nialla Lyncha.

Tej części Szarego Mężczyzny, która niegdyś była płatnym mordercą, nie podobało się, że Maura jechała wraz z nim, lecz ta jego część, która była w niej bardzo zakochana, czuła głęboką satysfakcję.

– Wciąż żadnej odpowiedzi od Ronana – powiedziała Maura, zerkając na telefon Szarego Mężczyzny.

Rankiem Blue powiedziała im, że Ronan Lynch i Adam Parrish pracowali razem w Stodółkach.

– Być może nie chce odebrać połączenia ode mnie – zasugerował Szary Mężczyzna.

A być może nie żył. Zapędzony w kozi róg Laumonier potrafił sprawiać znaczne trudności.

– Być może – powtórzyła Maura, marszcząc brwi.

Stodółki wyglądały równie idyllicznie jak zawsze, a na żwirowym podjeździe stały tylko dwa samochody: bmw Lyncha i trójkolorowy gruchot Parrisha. Nie było śladu po wynajętym aucie Laumoniera, ale nie wykluczało to możliwości, że

zaparkował gdzieś w pobliżu, by resztę drogi pokonać piechotą.

– Nie mów mi, żebym została w samochodzie – rzekła Maura.

– Nawet by mi się to nie śniło – odparł, otwierając powoli drzwiczki, by nie uderzyć nimi w śliwę, na której wciąż wisiały ledwo ukryte owoce. – Zaparkowany samochód to niebezpieczne miejsce.

Wyciągnął broń, a Maura schowała jego komórkę do swej tylnej kieszeni. Podeszli do przednich drzwi – otwarte. Nie potrzebowali wiele czasu, by odkryć Adama i Ronana w salonie.

Nie byli martwi.

Aczkolwiek nie byli też w pełni żywi. Ronan Lynch leżał na spłowiałej skórzanej kanapie i nie reagował, zaś Adam Parrish opierał się o kominek. Mała dziewczynka siedziała wyprostowana przed psią miską i nie mrugała. Miała kopytka. Nikt z tej trójki nie odpowiadał na głos Maury.

Szary Mężczyzna poczuł niezwykłe wzruszenie, widząc ich w takim stanie, co wydawało się dość dziwne, zważywszy na to, że to on zabił Ronanowi ojca. Jednak *właśnie* dlatego, że zabił Ronanowi ojca, w zakątkach jego serca wyło poczucie odpowiedzialności i winy. Sam teraz sobą rządził, zaś gdy był jeszcze narzędziem w ręku kogoś innego, pozbawił Ronana oraz Stodółki ich obrońcy.

– To magia czy trucizna? – spytał Szary Mężczyzna Maurę.
– Laumonier kocha trucizny.

Maura pochyliła się nad wróżebną misą, lecz zaraz się od niej gwałtownie odsunęła.

– Myślę, że to magia. Tyle że nie jestem zbyt dobra w tym rodzaju magii, w którym oni się babrzą.

– Powinniśmy nimi potrząsnąć? – spytał.

– Adamie, Adamie, wróć. – Dotknęła jego twarzy. – Nie

chcę budzić Ronana, bo być może trzyma duszę Adama blisko siebie. Chyba... Wejdę tam i wyciągnę Adama. Trzymaj mnie za rękę. Nie pozwól mi wejść na dłużej niż, sama nie wiem, dziewięćdziesiąt sekund.

– Czy to niebezpieczne?

– W taki sposób zginęła Persefona. Ciało nie może żyć, jeśli dusza znajdzie się zbyt daleko. Nie zamierzam się szwendać. Jeśli nie będzie go w pobliżu, wrócę.

Szary Mężczyzna ufał Maurze, że zna swoje ograniczenia, i zakładał, że ona ufała jemu. Położył pistolet na podłodze obok stopy – poza zasięgiem dziewczynki, jeśli istotnie nią była – i chwycił Maurę za rękę.

Nachyliła się nad wróżebną misą i gdy jej oczy stały się puste, zaczął odliczać:

– Jeden, dwa, trzy...

Adam złapał gwałtownie powietrze i zadygotał. Zamachnął się jedną ręką, szukając uchwytu, którego tam nie było, drapał paznokciami gips. Z wyraźnym wysiłkiem skupił spojrzenie na Szarym Mężczyźnie.

– Obudź go – powiedział niewyraźnym głosem. – Nie pozwól mu tam zostać samemu! – Dziewczynka z kopytkami zerwała się ze swego miejsca bez śladu ospałości. (Być może, pomyślał poniewczasie Szary Mężczyzna, wcale nie wieszczęła, lecz zachowywała zupełny bezruch jedynie dla kamuflażu, gdy Maura i on weszli do domu, co było dość upiornym, lecz całkowicie prawdopodobnym wytłumaczeniem). Zarzuciła rękę na leżącego Ronana i zaczęła nim potrząsać, przykładając mu dłonie do policzków, bębniła w jego pierś, przez cały czas mówiąc coś w języku, który brzmiał jak łacina, ale nią nie był.

Nagle stało się coś dziwnego. W zasadzie Szary Mężczyzna wiedział, co się działo, ale zupełnie inną kwestią było widzieć to

na własne oczy.

Ronan Lynch przyniósł coś ze snu.

W tym przypadku była to krew.

W jednej chwili spał, w następnej był już rozbudzony, a jego dłonie pokrywała krew. Mózg Szarego Mężczyzny przemieścił się niespokojnie między tymi chwilami. Sądził, że zgrabnie usunął najtrudniejszy obraz, ten pośrodku.

Adam podniósł się niepewnie na nogi.

– Sprowadź z powrotem Maurę! Nie masz pojęcia...

Tak, dziewięćdziesiąt sekund już minęło. Szary Mężczyzna pociągnął Maurę za rękę, by odsunąć ją od misy wróżebnej, a ponieważ nie zagłębiła się daleko, wróciła do niego od razu.

– O nie – rzekła. – To okropne. Takie okropne. Ten demon... O nie.

Spojrzała na Ronana na kanapie. Nie poruszył się nawet o milimetr, choć brwi nad zamkniętymi oczyma nabrały głębszego wyrazu. Na jego zewnętrznej powłoce nie było wiele krwi w porównaniu z tym, ile ludzie zazwyczaj nosili w środku, ale mimo to jego widok kojarzył się ze śmiercią. Chodziło o połączenie krwi, błota, kawałków kości oraz wnętrzości, które przykleiły mu się do wewnętrznych stron dłoni.

– *Kurwa* – powiedział stanowczo Adam.

Zaczął się trząść, choć jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Czy Ronan jest ranny? – spytała Maura.

– Jeśli coś stamtąd przynosi, to zaraz po powrocie się nie rusza – wyjaśnił Adam. – Dajcie mu chwilę. *Kurwa!* Jego matka nie żyje.

– Uwaga! – krzyknęła dziewczynka.

I tylko to uratowało Szarego Mężczyznę przed śmiercią, gdy Laumonier wyłonił się zza rogu z pistoletem.

Laumonier nie wahał się nawet sekundy, gdy zobaczył

Szarego Mężczyznę. Ujrzyć go w takim kontekście oznaczało zastrzelić go.

Huk strzału nie zmieścił się w pokoju.

Dziewczynka wydała z siebie wrzask niemający nic wspólnego z odgłosami możliwymi dla zwykłych ludzkich dziewczynek oraz wszystko wspólne z dźwiękami wydawanymi przez kruki.

Szary Mężczyzna rzucił się natychmiast na podłogę, przewracając ze sobą Maurę. W tej sekundzie, którą spędził na wytartych deskach, stwierdził, że stoi przed wyborem.

Mógł spróbować rozbroić tę część Laumoniera, zabezpieczyć teren i przypomnieć mu, że Greenmantle nie żyje. Laumonier nie powinien mieć powodu do jakiegokolwiek waśni z Szarym Mężczyzną. Nie było to tak niemożliwe, jak brzmiało – Szary Mężczyzna również miał pod ręką broń, zaś Adam Parrish już okazał się niezwykle opanowany oraz pomysłowy. Takie negocjacje umieściłyby oczywiście Stodółki w obszarze zainteresowania Laumoniera, a gdy tylko Laumonier dostrzegłby dziewczynkę z kopytkami, owo zainteresowanie nigdy by nie wygasło. Ta część świata – a wraz z nią Fox Way 300, Maura i Blue – już na zawsze byłaby narażona na niebezpieczeństwo, chyba że uciekliby, jak Declan i Matthew Lynchowie. Gdyby wybrał tę drogę, musiałby zachować nieustanną czujność, aby chronić ich przed zainteresowanymi stronami. Musiałby wiecznie znajdować się w defensywie.

Mógł też zastrzelić Laumoniera.

Stanowiłoby to akt wypowiedzenia wojny. Pozostałe dwie części Laumoniera nie pozwoliłyby, aby uszło to płazem. Być może jednak ta wynaturzona branża potrzebowała wojny. Już zanim sam do niej trafił, cofnęła się do niebezpiecznej anarchii zaułków, piwnic, porwań oraz płatnych morderców, ostatnio zaś

stała się jeszcze bardziej niezdyscyplinowana. Być może potrzebowała, aby ktoś narzucił z góry jakieś zasady, aby postawił tych nieporządných królów do pionu. Nie mogło to jednak przebiec łatwo, musiało zająć lata i w żadnej wersji wydarzeń Szary Mężczyzna nie mógł pozostać z Maurą oraz jej rodziną. Musiał przenieść niebezpieczeństwo dokądś indziej i znów zagłębić się w ten świat.

Tak bardzo pragnął zostać w tym miejscu, w którym zaczął rezygnować z przemocy. W miejscu, w którym znów nauczył się odczuwać. W miejscu, które pokochał.

Minęła jedynie sekunda.

Maura westchnęła.

Szary Mężczyzna zastrzelił Laumoniera.

Był królem.

Blue wcale nie było trudno uwierzyć, że demon zabił matkę Ronana oraz zabijał Cableswater. Gdy wrócili z obiadu w budynku szkolnym po otrzymaniu dziesiątek telefonów z komórki Ronana oraz z Fox Way 300, wydawało się, jakby zbliżał się koniec świata. Zbiorowiska chmur kłębiły się nad miastem i w domu, gdzie Szary Mężczyzna pakował nieliczne rzeczy, które tam zostawił.

– Zabijcie demona – powiedział im. – A ja zrobię, co w mojej mocy, by poradzić sobie z resztą. Może pewnego dnia wrócę?

Maura przyłożyła mu jedynie dłoń do policzka.

Pocałował ją, przytulił Blue i zniknął.

Co dziwne, Jimi i Orla również zniknęły. Jak stwierdziła Maura, nie zasługiwały na to, by znaleźć się na linii ognia, pojechały więc do starych znajomych w Wirginii Zachodniej, by przeczekać tam, dopóki nie okaże się, co stanie się z Henriettą oraz jej jasnowidzami.

Wszystkie umówione spotkania zostały odwołane, nie było więc klientów, zaś infolinię ustawiono tak, by przekierowywała każdego dzwoniącego na automatyczną sekretarkę.

Pozostały tylko Maura, Calla oraz Gwenllian.

Wydawało się, jakby zbliżał się koniec wszechrzeczy.

– Gdzie Ronan? – spytała Blue Adama.

Adam wyprowadził Blue i Ganseya na mroźny dzień, idąc ostrożnie, by nie niepokoić Piły, która przysiadła mu na barku ze zwieszoną głową. Samochód Ronana stał przy krawężniku kilka domów dalej.

Ronan siedział bez ruchu za kierownicą bmw z oczyma utkwionymi w jakimś punkcie na drodze. W fotelu pasażera

podrygiwało jakieś złudzenie optyczne... Nie, to nie było złudzenie. Siedział tam Noah, ledwo obecny, również nieruchomy. Już się garbił, lecz gdy zauważył szwy Blue, skulił się jeszcze bardziej.

Blue i Gansey podeszli od strony kierowcy i czekali. Ronan nie opuścił szyby ani nie spojrzął w ich stronę, więc Gansey złapał za klamkę, stwierdził, że drzwi nie są zablokowane, i otworzył je.

– Ronanie – rzekł tak łagodnie, że Blue niemal się popłakała.

Ronan nie obrócił głowy. Jego stopy spoczywały na pedałach, a dłonie w dolnej części kierownicy. Twarz miał całkiem opanowaną.

Jakże smutnie było myśleć, że został tu jako ostatni z Lynchów.

Adam zadrżał gwałtownie. Blue otoczyła go ramieniem. Strasznie było myśleć, że gdy Gansey i ona jedli obiad, Ronan oraz Adam szli razem przez piekło. Dzielni magowie Ganseya, obydwaj pokonani przez koszmar.

Adam znów zadygotał.

– Ronanie – powtórzył Gansey.

– Czekam, aż mi powiesz, co mam zrobić, Ganseyu – odparł bardzo cichym głosem Ronan. – Powiedz mi, dokąd mam się udać.

– Nie możemy tego cofnąć – powiedział Gansey. – Ja nie mogę tego cofnąć.

Nie wywołało to nawet najmniejszej zmiany w twarzy Ronana. Okropnie było widzieć go bez ognia ani kwasu w oczach.

– Wejź do środka – poprosiła Blue.

Ronan nie zareagował na to.

– Wiem, że ja też nie mogę tego cofnąć – rzekł. – Nie jestem głupi. Chcę go *zabić*.

Obok nich stęknął samochód, omijając szerokim łukiem ich trójkę stojącą przy otwartych drzwiczkach Ronana. Okolica wydawała się bliska i czujna, obserwowała. W samochodzie Noah wychylił się w ich stronę, by nawiązać z nimi kontakt wzrokowy. Twarz miał pełną żalości. Dotknął swej brwi w miejscu, w którym Blue została podrapana.

„To nie twoja wina – pomyślała do niego Blue. – Nie gniewam się na ciebie. Przestań się przede mną ukrywać”.

– Nie dam mu dopaść Matthew – oznajmił Ronan. Wciągnął powietrze przez usta i wypuścił je nosem. Powoli i celowo. Wszystko było powolne i celowe, zniwelowane do stanu subtelnej kontroli. – Czuję go we śnie. Czuję, czego chciał. Niweczy wszystko, co wyśniłem. Nie zamierzam do tego dopuścić. Nie zamierzam stracić nikogo więcej. Wiesz, jak go *zabić*.

– Nie wiem, jak odnaleźć Glendowera – powiedział Gansey.

– Wiesz, Ganseyu – odparł Ronan, po raz pierwszy niepewnym głosem. – Wiem, że wiesz. A gdy będziesz już gotowy, by go dopaść, ja będę siedział właśnie tutaj, czekając, aż powiesz mi, dokąd mam się udać.

„Och, Ronanie”.

Ronan wciąż wpatrywał się w drogę przed nimi. Łza spłynęła mu po nosie i zatrzymała na podbródku, lecz nawet nie mrugnął. Gdy Gansey nie odpowiedział, Ronan, nie patrząc, sięgnął machinalnym gestem do uchwytu i wyszarpnął drzwi z jego dłoni, po czym zamknął z cichym stuknięciem. Blue dotąd nie podejrzewała, że potrafił je tak cicho zatrząskiwac.

Stali przy samochodzie przyjaciela, nic nie mówiąc ani się

nie poruszając. Wiatr przesuwał zeschnięte liście po asfalcie w kierunku, w jakim zwrócony był wzrok Ronana. Gdzieś tam znajdował się potwór pożerający jego serce. Blue nie mogła myśleć zbyt mocno o drzewach atakowanych w Cableswater, inaczej stawała się za bardzo niespokojna, by w ogóle ustać.

– Czy na tylnym siedzeniu leży to językowe pudełko łamigłówek? Będzie mi potrzebne. Zamierzam porozmawiać z Artemusem.

– Czy on nie siedzi w drzewie? – spytał Adam.

– Tak – odparła Blue. – Ale już od jakiegoś czasu rozmawiam z drzewami.

Zaledwie kilka minut później przechodziła między wynurzonymi korzeniami buku, by dotrzeć do jego pnia. Gansey i Adam przyszli wraz z nią, lecz otrzymali ściśle polecenie, aby pozostać na ganku przy drzwiach i nie zbliżać się. W rozmowie mieli uczestniczyć ona, jej ojciec oraz jej drzewo.

Oby.

Nie potrafiła zliczyć, ile razy siadała pod tym bukiem. Podczas gdy inni mieli ulubiony sweter, ulubioną piosenkę, ulubiony fotel albo ulubioną potrawę, Blue zawsze miała buk za domem. Nie chodziło oczywiście tylko o to drzewo – kochała wszystkie – jednak właśnie to stanowiło stały element całego jej życia. Znała zagłębienia w korze, wiedziała, o ile rósł co roku, rozpoznawała nawet szczególny zapach jego liści, gdy zaczynały pączkować wiosną. Drzewo było jej równie bliskie, jak pozostali mieszkańcy Fox Way 300.

Teraz siedziała po turecku między jego uniesionymi korzeniami, trzymając na łydkach pudełko łamigłówek i opierając o nie notatnik. Wzruszona ziemia stykała się z jej

udami chłodną wilgocią. Gdyby podeszła do sprawy *naprawdę* praktycznie, zapewne przyniosłaby ze sobą coś, na czym można usiąść.

A może lepiej było czuć tę samą glebę, którą czuł buk.

– Artemusie – odezwała się. – Słyszysz mnie? To Blue.

Twoja córka. – Gdy tylko to wypowiedziała, zastanowiła się, czy nie popełnia błędu. Może lepiej było nie przypominać mu o tym.

– Córka Maury – poprawiła się. – Z góry przepraszam za wymowę, ale trudno kupić podręczniki do tego języka.

Pomysł wykorzystania pudełka Ronana przyszedł jej do głowy, gdy wcześniej tego dnia rozmawiała z Henrym.

Wyjaśniał jej, że pszczoła tłumaczyła jego myśli czyściej, niż mogły to uczynić słowa, i że w zasadzie wyrażała go bardziej niż cokolwiek, co wychodziło z jego ust. Dzięki temu zaczęła się zastanawiać nad tym, że drzewa w Cableswater zawsze miały trudności w porozumieniu z ludźmi, najpierw po łacinie, później po angielsku, i że posiadały inny język, którym najwyraźniej posługiwały się między sobą – wyśnioną mowę umieszczoną w tłumaczącej skrzynce Ronana. Wydawało się, że Artemus nie potrafił się wyrazić. Być może to mogło pomóc. W najgorszym razie Blue sprawi wrażenie, jakby się starała.

Teraz obracała koło, aby pojęcia, które pragnęła przekazać, przełożyć na język snu, i zapisywała pojawiające się słowa.

Odczytała na głos powstałe zdania, powoli i niepewnie.

Pamiętała o obecności Adama i Ganseya, lecz uspokajała ją ona, nie zniechęcała. Odprawiała już przy nich rytuały wyglądające głupiej. Wypowiedziane zdania brzmiały trochę jak łacina.

W myślach Blue oznaczały:

„Mama zawsze mi mówiła, że interesowałeś się światem, naturą oraz tym, jak ludzie z nimi współdziałają, podobnie jak ja. Pomyślałam, że może moglibyśmy o tym porozmawiać

w twoim języku”.

Chciała od razu spytać o demona, ale widziała już, jak kiepsko to wyszło w przypadku Gwenllian. Czekala więc po prostu. Tylne podwórko było takie same jak wcześniej. Kleiły jej się palce. Nie miała pewności, czego się spodziewała.

Powoli przekręcała pokrętła pudełka, by przetłumaczyć kolejne zdanie z angielskiego. Dotknęła gładkiej, przypominającej skórę kory buku i spytała głośno:

– Proszę, czy mógłbyś chociaż potwierdzić, że słuchasz?

Nie doczekała się niczego więcej niż szmeru pozostałych suchych liści.

Gdy Blue była znacznie młodsza, spędzała całe godziny na rozbudowanych wersjach rytuałów, które podpatrywała u swej rodziny. Przeczytała niezliczone książki na temat tarota, oglądała w sieci filmy o wróżeniu z ręki, przyglądała się herbacianym fusom, w środku nocy przeprowadzała w łazience seanse spirytystyczne. Podczas gdy jej kuzynki bez wysiłku rozmawiały ze zmarłymi, a jej matka przewidywała przyszłość, Blue walczyła o choćby cień czegoś ponadnaturalnego. Godzinami wyteżala słuch, by wychwycić głos z zaświatów. Próbowala odgadnąć, którą kartę tarota zamierzała odwrócić. Czekala, by coś martwego dotknęło jej dłoni.

Teraz czuła się identycznie.

Jedyna różnica polegała na tym, że tę procedurę Blue rozpoczęła z lekko optymistycznym nastawieniem. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz oszukiwała sama siebie, że ma jakiegokolwiek powiązania z zaświatami. Nie podchodziła do sprawy z goryczą, ponieważ nie sądziła, by tutaj zaświaty wchodziły w grę.

– Kocham to drzewo – powiedziała wreszcie Blue po angielsku. – Nie masz do niego żadnych praw. Jeśli ktokolwiek

miałby w nim mieszkać, powinnam to być *ja*. Kocham je znacznie dłużej, niż ty je znasz.

Westchnęła i wstała, otrzepując wilgotną ziemię z nóg. Spojrzała ponuro na Ganseya i Adama.

– Zaczekaj.

Blue zamarła. Chłopcy bacznie wpatrywali się w coś za nią.

– Powtórz to, co właśnie mówiłaś – od strony drzewa dobiegły słowa Artemusa.

Nie brzmiały jak głos boga, lecz raczej jakby ktoś odzywał się zza pnia.

– Co? – spytała Blue.

– Powtórz to, co właśnie mówiłaś.

– Że kocham to drzewo?

Artemus wyszedł z buku. Zrobił to tak samo jak Aurora, gdy wyłoniła się ze skały w Cableswater. Najpierw było drzewo, później mężczyzna i drzewo i wreszcie sam mężczyzna.

Wyciągnął ręce po pudełko łamigłówek, a ona podała mu je.

Usiadł na ziemi z przedmiotem na kolanach, owinał wokół niego swe długie kończyny, obracał powoli pokręta i spoglądał na każdą ze stron. Obserwując jego pociągłą twarz, zmęczone usta i zgarbione ramiona, Blue zdumiewała się, w jak odmienny sposób Artemus i Gwenllian okazywali swój wiek. Sześćset lat zamknięcia sprawiło, że Gwenllian stała się młoda i zła.

Artemus wyglądał na pokonanego. Blue zastanawiała się, czy to wynik wszystkich sześciuset lat, czy tylko ostatnich siedemnastu.

– Wyglądasz na zmęczonego – rzekła po prostu.

Podniósł na nią wzrok. Małe oczy tkwiły w pociągłej twarzy otoczone głębokimi zmarszczkami.

– Jestem zmęczony.

Blue usiadła naprzeciwko niego. Nie odzywała się, gdy

dalej testował skrzynkę. Dziwnie było dostrzegać pochodzenie jej dłoni w jego dłoniach, choć miał dłuższe i bardziej sękaty palce.

– Jestem jednym z *tir e e'lintes* – powiedział w końcu. – To mój język.

Obrócił pokręta od strony z nieznanym językiem, by ułożyć słowo *tir e e'lintes*. Na angielskim boku ukazało się tłumaczenie, które jej pokazał.

– Drzewa-światła – przeczytała. – Bo umiecie chować się w drzewach?

– Są naszymi...

Zawahał się. Po chwili znów przestawił wskaźniki i pokazał jej przekład: skóra-dom.

– Mieszkacie w drzewach?

– W drzewach? Z drzewami. – Zastanowił się. – Byłem drzewem, gdy Maura i dwie inne kobiety wyciągnęły mnie przed laty.

– Nie rozumiem – uprzejmie odparła Blue. Czuła się niezręcznie nie z powodu prawdy o nim. Czuła się niezręcznie, ponieważ prawda o nim sugerowała prawdę o niej. – Byłeś drzewem czy byłeś w drzewie?

Popatrzył na nią przepełniony żalem, zmęczony, dziwny, po czym otworzył przed nią dłoń. Palcami drugiej prześledził linie.

– Przypominają mi o moich korzeniach. – Wziął jej dłoń i przyłożył ją wewnętrzną stroną do kory buku. Jego długie, sękaty palce zupełnie przykryły jej. – Moje korzenie są także twoimi. Czy tęsknisz za swoim domem?

Zamknęła oczy. Miała pod skórą znajomą chłodną korę i znów odczuwała otuchę płynącą z przebywania pod gałęziami buku, nad jego korzeniami, przy jego pniu.

– Kochasz to drzewo – rzekł Artemus. – Już mi to mówiłaś.

Otworzyła oczy. Przytaknęła.

– Czasami my, *tir e e'lintes*, nosimy to – ciągnął, puszczając jej dłoń, by móc wskazać na siebie. – A czasami to.

Dotknął znów drzewa.

– Też bym chciała – przyznała Blue, po czym przerwała. I tak nie musiała kończyć zdania.

Skinął raz głową.

– Posłuchaj, jak to się zaczęło.

Przytoczył opowieść podobnie, jak rośnie drzewo, zaczynając od nasionka. Następnie wkopał cienkie korzenie wspierające pień rosnący ku górze:

– Gdy Walia była młoda – opowiadał – rosły w niej drzewa. Nie jest już cała nimi pokryta, a przynajmniej nie była, gdy ją opuściłem. Z początku wydawało się to w porządku. Istniało więcej drzew niż *tir e e'lintes*. Niektóre z drzew nie mogły mieścić w sobie *tir e e'lintes*. Znasz je, nawet najgłupszy ludzie znają takie drzewa. To... – Rozejrzył się. Odnalazł wzrokiem cherlawe, szybko rosnące robinie akacjowe po drugiej stronie płotu oraz dekoracyjną śliwę w ogródku sąsiadów. – Nie mają własnej duszy i nie potrafią przyjąć w siebie niczyjej innej.

Blue przejechała palcami po odsłoniętym korzeniu koło swojej nogi. Tak, wiedziała o tym.

Artemus rozpostarł więcej korzeni dla swej historii:

– W Walii było wystarczająco wiele drzew, które mogły nas pomieścić. Jednak z biegiem lat Walia zmieniła się z krainy lasów w ziemię ognisk, pługów, łodzi i domów. Stała się miejscem dla wszystkich rzeczy, które mogły powstać z drzew, ale które wszakże już nie żyły.

Korzenie wkopały się, zabrał się zatem za pień:

– *Amae vias* przestawały działać. *Tir e e'lintes* mogą istnieć tylko w drzewach położonych w ich pobliżu, lecz my również

żywimy *amae vias*. Jesteśmy *oce iteres*. Niczym niebo i woda.
Lustra.

Pomimo ciepła Blue otuliła się rękoma. Czuła chłód podobny jak w obecności Noaha.

Artemus popatrzył tęsknie na buk, a może coś za nim, coś starszego.

– *Las tir e e'lintes* to coś wspaniałego, lustra obrócone w lustra obrócone w lustra, pod nami kłębią się *amae vias*, pomiędzy nami tkwią sny.

– A jeśli jest sam? – spytała Blue. – Jaki jest *tir e e'lintes*, jeśli jest sam?

Popatrzył ponuro na swoje ręce.

– Zmęczony. – Popatrzył na jej dłonie. – Inny.

– A demon? – zapytała.

Zbyt szybko chciała przeskoczyć dalej. Pokręcił głową.

– Owain był niepodobny do zwykłych ludzi – rzekł. – Potrafił rozmawiać z ptakami. Potrafił rozmawiać z nami. Chciał, by jego kraj był dzikim, magicznym miejscem, pełnym snów i pieśni, przecinanym przez potężne *amae vias*. Walczyliśmy więc dla niego. Straciliśmy wszystko. On stracił wszystko.

– Zginęła cała jego rodzina – wtrąciła Blue. – Tak słyszałam.

Artemus skinął głową.

– Niebezpiecznie jest przelewać krew na *ama via*. Nawet odrobina może zrodzić mroczne istoty.

Blue otworzyła szerzej oczy.

– Demon – stwierdziła.

Jego brwi uniosły się jeszcze bardziej w kierunku smutnego krańca rzeczy. Portret twarzy można by zatytułować „Zmartwienie”.

– Walia została zniweczona. My zostaliśmy zniweczeni. *Tir e e'lintes*, którzy przetrwali, mieli ukrywać Owaina Glyndra, zanim będzie mógł powstać na nowo. Mieliśmy go schować na jakiś czas. Spowolnić go, jak my powolniliśmy w drzewach. Po wyczynach demona na walijskich *amae vias* nie pozostało jednak wystarczająco wiele miejsc mocy. Uciekliśmy więc tutaj i tu zmarliśmy. Podróż była trudna.

– Jak spotkałeś moją matkę?

– Przyszła na ścieżkę duchów, pragnąc porozumieć się z drzewami, i tak też zrobiła.

Blue zaczęła coś mówić, przerwała i znów zaczęła:

– Czy jestem człowiekiem?

– Maura jest człowiekiem.

Nie dodał: „i ja również”. Nie był czarodziejem, człowiekiem potrafiącym wchodzić w drzewa. Był czymś innym.

– Powiedz mi – wyszeptał Artemus. – Gdy śnisz, czy śnisz o gwiazdach?

Było to dla niej zbyt wiele: demon, żaloba Ronana, informacje o drzewach. Ku swemu zaskoczeniu poczuła, jak w oku wzbiera jej łza i spływa, a tuż za nią czaiła się następna.

Artemus obserwował kropelkę upadającą z jej podbródka.

– Wszyscy *tir e e'lintes* są pełni potencjału, wiecznie w ruchu, wiecznie niespokojni, wiecznie szukają możliwości, by sięgnąć gdzieś indziej, znaleźć się gdzieś indziej, być czymś innym – powiedział. – To drzewo, tamto drzewo, ten las, tamten las. Jednak ponad wszystko kochamy gwiazdy. – Podniósł wzrok, jakby mógł je dostrzec za dnia. – Gdybyśmy tylko mogli do nich dosięgnąć, być może moglibyśmy stać się nimi. Każda z nich mogłaby być naszą skórą-domem.

Blue westchnęła.

Artemus znów spojrzął na swe dłonie, wydawały się wpędzać go w niepokój.

– Ta forma nie jest dla nas najprostsza. Tęsknię... Chcę po prostu wrócić do lasu na ścieżce duchów. Jednak demon go niweczy.

– Jak możemy się go pozbyć?

– Ktoś musi dobrowolnie umrzeć na trupiej drodze – odrzekł z wielkim wahaniem Artemus.

Ciemność tak gwałtownie ogarnęła myśli Blue, że wyciągnęła rękę, by oprzeć się o drzewo. Ujrzała w myślach ducha Ganseya kroczącego linią mocy. Uświadomiła sobie nagle, że Adam i Gansey znajdowali się w zasięgu słuchu. Zupełnie zapomniała, że ktoś tu jest oprócz niej i Artemusa.

– Czy istnieje inny sposób? – spytała.

– Dobrowolna śmierć płaci za niedobrowolną śmierć – oznajmił jeszcze ciszej Artemus. – Tak już jest.

Nastąpiła cisza, która trwała, dopóki Gansey nie odezwał się od strony domu:

– A gdyby obudzić Glendowera i wykorzystać przysługę od niego?

Artemus nie odpowiedział jednak. Przegapiła chwilę jego odejścia. Znalazł się w drzewie, a pudełko stało krzywo na gałęziach. Blue pozostała ta straszliwa prawda i nic więcej, nawet cień bohaterstwa.

– Wróć, proszę! – zawołała.

Nad głową słyszała jednak tylko szelest liści.

– Cóż – rzekł Adam głosem równie zmęczonym jak Artemus. – To tyle.

Zapadła noc. Przynajmniej to pozostawało niezmiennie.

Adam otworzył drzwi od strony kierowcy w bmw, Ronan nie poruszył się ani trochę, odkąd widzieli go ostatnio. Wciąż spoglądał na ulicę, trzymał nogi na pedałach, a dłonie na kierownicy. Gotów do drogi. Czekał na Ganseya. Nie był pogrążony w nieszczęściu, lecz znajdował się w bezpieczniejszym, pustszym miejscu poza nim.

– Nie możesz tu spać – powiedział mu Adam.

– Nie mogę – zgodził się Ronan.

Adam stał na ciemnej ulicy, drżąc z zimna, przestępując z nogi na nogę i szukając jakiegokolwiek powodu, dla którego Ronan mógłby się poruszyć. Było późno. Przed godziną Adam dzwonił do Boyda, by powiedzieć mu, że nie zajmie się chevroletem chevelle z dziurą w tłumiku, choć wcześniej obiecywał, że to zrobi. Nawet gdyby zdołał powstrzymać się od snu – niemal zawsze mu się to udawało – nie potrafiłby pracować w garażu, wiedząc, że Cabeswater jest atakowane, Laumonier spiskował, a Ronan znajdował się w żałobie.

– Zamierzasz przynajmniej wejść do środka i coś zjeść?

– Nie – odparł Ronan.

Był niemożliwy i okropny.

Adam trzasnął drzwiami i trzy razy uderzył lekko pięścią w dach. Następnie przeszedł na drugą stronę samochodu, otworzył drzwi, upewnił się, że nie ma tam Noaha, i wsiadł.

Na oczach Ronana zaczął gmerać przy przyciskach sterowania fotelem, aż znalazł ten, który opuszczał go do końca, a następnie sięgnął po marynarkę mundurkową Lyncha, podobnie jak Sierotka zwiniętą w kłębek między innymi rzeczami na tylnym siedzeniu. Dziewczynka pociągnęła nosem

i pchnęła marynarkę w jego stronę. Wcisnął ją sobie pod głowę w charakterze poduszki i zarzucił rękaw na oczy, by osłonić się przed światłem latarni.

– Obudź mnie, jeśli będziesz musiał – oznajmił, po czym zamknął oczy.

We wnętrzu domu przy Fox Way 300 Blue obserwowała, jak Gansey daje się przekonać, by zostać tam, zamiast wracać na noc do Monmouth Manufacturing. Choć nie brakowało teraz pustych łóżek, wybrał kanapę i przyjął wyłącznie kapę oraz poduszkę w jasnoróżowej poszewce. Nie zamknął jeszcze oczu, gdy szła na górę i szykowała się do snu we własnym pokoju. Wydawało jej się, jakby w domu było zbyt cicho po odejściu części mieszkanek, na zewnątrz zaś zbyt głośno, skoro wszystko wydawało się groźne.

Nie spała. Rozmyślała o ojcu stojącym się jednością z drzewem, o Ganseyu siedzącym w camaro z pochyloną głową oraz o szepczącym głosie mrocznego śpiącego, którego spotkała w jaskini. Wyglądało na to, że wszystko się rozpadało.

„Śpij”, mówiła sobie.

Gansey leżał kilka metrów poniżej niej. Nie powinno to mieć znaczenia – i nie miało. Nie mogła jednak przestać myśleć o jego bliskości, o tym, jak niemożliwe to było. O obietnicy jego śmierci.

Śniła. Było ciemno. Jej oczy nie przyzwyczyły się do mroku, lecz jej serce – owszem. Brakowało jakiegokolwiek światła. Było tak zupełnie ciemno, że oczy traciły znaczenie. Gdy się nad tym zastanowiła, przestała mieć pewność, czy posiadała w ogóle oczy. To dziwny pomysł. A co miała?

Chłodna wilgoć u jej stóp. Nie. Jej korzenie. Napierające na

nią z góry gwiazdy, tak bliskie, że z pewnością by ich dosięgła, gdyby tylko urosła parę centymetrów. Ciepła, pełna życia skóra-kora.

Taki był kształt jej duszy. Tego jej brakowało. Tak czuła się w ludzkiej skórze, tak drzewo czuło się w ludzkim ciele. Cóż za powolna, rozciągnięta radość.

„Jane?”

Był tam Gansey. Musiał przebywać w tym miejscu przez cały czas, ponieważ gdy o tym pomyślała, nie mogła przestać go wyczuwać. Była czymś więcej, a on wciąż był człowiekiem. Królem wykradniętym i wtłoczonym w to drzewo przez *tir e e'lint*, którą była Blue. Znajdowała się wszędzie wokół niego. Euforia wypływająca z wcześniejszego odkrycia nakładała się powoli na jego radość. Wciąż żył, miała go przy sobie, znajdowała się tak blisko niego, jak tylko mogła.

„Gdzie jesteśmy?”

„Jesteśmy drzewem. Ja jestem drzewem. Ty... Cha, cha, nie mogę tego powiedzieć. To byłoby niegrzecznie”.

„Śmiejesz się?”

„Tak, bo jestem szczęśliwa”.

Jej radość jednak powoli gasła, gdy czuła przy sobie jego szybki puls. Bał się.

„Czego się boisz?”

„Nie chcę umierać”.

Wydawało się to prawdą, lecz trudno było szybko składać myśli. To drzewo okazało się równie źle dopasowane do jej zasadniczej blueowości jak jej ludzkie ciało. Pozostała w połowie jednym, w połowie drugim.

„Możesz sprawdzić, czy Ronan wysiadł z samochodu?”

„Mogę spróbować. Tak naprawdę nie mam oczu”.

Sięgnęła wszystkimi dostępnymi jej zmysłami. Okazały się

znacznie lepsze niż jej ludzkie, lecz były zainteresowane zupełnie innymi rzeczami. Szczególnie trudno było skupić się na sprawach ludzi otaczających podstawę pnia. Do tej pory nie potrafiła odpowiednio docenić, ile wysiłku potrzebowały drzewa, aby zaspokajać swoje potrzeby.

„Nie wiem”. Ścisnęła go mocno, kochała i trzymała.
„Moglibyśmy po prostu tu zostać”.

„Kocham cię, Blue, ale wiem, co muszę zrobić. Nie chcę tego, jednak wiem, że muszę”.

Wszystkie odgłosy i zapachy Fox Way wzmagaly się po zmroku, gdy ludzcy mieszkańcy domu cichli. Wszystkie wonne herbaty, świece i przyprawy stawały się dobitniejsze, każda z nich wyrażała siebie oddzielnie, podczas gdy za dnia mieszały się w coś, co Gansey wcześniej rozpoznawał po prostu jako „aromat Fox Way”. Teraz ta woń uderzyła go jako coś jednocześnie potężnego i przytulnego, tajemniczego i znajomego. Dom był magicznym miejscem, podobnie jak Cableswater, lecz tutaj trzeba było pilniej słuchać. Gansey leżał na kanapie przykryty kapą, z oczyma zamkniętymi w ciemności, i nasłuchiwał szmeru powietrza lub oddechu w jakimś szybie wentylacyjnym, skrzywienia liści lub paznokci o okno, stukotu pękającego drewna lub kroków w innym pomieszczeniu.

Otworzył oczy i był tam Noah.

Noah bez odrobiny światła dziennego, które przysłaniałoby to, czym się stał. Znajdował się bardzo blisko, bo zapomniał, że żywi nie potrafili skupiać się na rzeczach bliższych niż kilka centymetrów. Wydawał się wyjątkowo stary, bo teraz wymagał ogromnych ilości energii, aby pozostać widzialnym. Bardzo się bał, a ponieważ Gansey również się bał, ich myśli splątały się.

Gansey odkopnął kapę. Zawiązał sznurówki i włożył kurtkę. Po cichu, uważając, by stąpać lekko po starej podłodze, wyszedł za Noahem z salonu. Nie zapalił światła, ponieważ jego umysł wciąż był połączony z Noahem i korzystał z oczu martwego chłopca, których nie obchodziło już, czy było ciemno, czy też jasno. Noah nie zabrał go na zewnątrz, jak Gansey się spodziewał, lecz wprowadził po schodach na piętro. Pomyślał, że został zabrany na zwyczajową nawiedzeniową rundkę Noaha po domu, a przez chwilę również, że idą do Blue. Martwy

chłopiec minął jednak jej drzwi i stanął u podstawy schodów prowadzących na strych.

Poddasze było specyficznym miejscem. Najpierw zajmowała je Neeve, później Gwenllian, dwie osoby trudne w odmienny sposób. Nie uważał żadnej z nich za możliwą drogę naprzód, lecz Noah go tam zaprowadził, więc Gansey wahał się z dłonią na klamce. Nie chciał pukać, bo obudziłby resztę domu.

Noah pchnął drzwi.

Uchyliły się lekko – nie zostały zablokowane od środka – i Noah zaczął wdrapywać się po schodach. Z góry dobiegało słabe światło, któremu towarzyszył przenikliwy chłód o zapachu dębu. Wydawało się, jakby na górze zostawiono otwarte okno.

Gansey wszedł za Noahem.

Okno *było* otwarte.

Gwenllian przemieniła pokój w wiedźmowy bałagan, pełen wszelkich możliwych dziwnych rzeczy poza nią samą. Jej łóżko było puste. Chłodne nocne powietrze wpadało przez okrągły świetlik.

Zanim Gansey znalazł się na samej górze, Noah zniknął.

– Witaj, mały królu – odezwała się Gwenllian.

Siedziała daleko wysunięta na jednej ze stromych, niedopasowanych do siebie połaci dachu, opierając buty o gonty. W słabym nocnym świetle i migoczących poblaskach z latarni poniżej jej sylwetka wydawała się ciemna i dziwna. Mimo to miała w sobie coś szlachetnego, podkreślonego śmiało i arogancko zadartą brodą. Poklepała dach obok siebie.

– To bezpieczne?

Przekrzywiła głowę.

– W ten sposób masz umrzeć?

Dołączył do niej, starannie stawiając nogi na pyłe i szczątkach roślinnych rozsypujących mu się pod butami, po

czym usiadł koło niej. Z tej wysokości widział drzewa i jeszcze więcej drzew. Dęby, na poziomie gruntu wydające się jedynie podobnymi do siebie pniami, tutaj okazywały się skomplikowanymi światami wznoszących się konarów, jeszcze bardziej złożonymi dzięki cieniom rzucanym przez padający z dołu pomarańczowy blask.

– Haj ho haj ho – zaśpiewała niskim, pogardliwym głosem Gwenllian. – Przychodzisz do *mnie* po mądrość?

Gansey pokręcił głową.

– Po odwagę.

Oszacowała go wzrokiem.

– Próbowalaś powstrzymać wojnę swego ojca – powiedział Gansey. – To dlatego pchnęłaś nożem jego poetę przy wieczerzy. Musiałaś czuć niemal pewność, że nie skończy się to dla ciebie dobrze. Jak to zrobiłaś?

Jej akt odwagi miał miejsce setki lat wcześniej. Glendower już od wieków nie walczył na walijskiej ziemi, zaś człowiek, którego Gwenllian próbowała zabić, nie żył od pokoleń. Starła się uratować rodzinę, która przestała istnieć. Straciła wszystko i teraz siedziała na dachu Fox Way 300 w zupełnie innym świecie.

– Jeszcze się nie nauczyłaś? Król swoimi działaniami napędza do działania innych. Nic nie przychodzi z niczego, które nie przychodzi z niczego. *Coś* daje jednak *coś*. – Zaczęła kreślić długimi palcami w powietrzu, lecz Gansey nie sądził, by rysowała cokolwiek przeznaczonego dla oczu innych niż jej własne. – Nazywam się Gwenllian Glen Dŵr i jestem córką króla oraz córką drzewa-światła. Zrobiłam *coś*, by inni zrobili *coś*. To królewskie zachowanie.

– Ale jak? – spytał Gansey? – Jak ci się to udało?

Udała, że dźga go między żebra. Następnie, gdy spojrział na

nią ponuro, roześmiała się dziko.

– Przestałam pytać *jak* – odezwała się wreszcie po pełnej minucie radości. – Po prostu to zrobiłam. Głowa jest zbyt mądra. Serce jest całe w ogniu.

Nie powiedziała nic więcej, a on już o nic nie pytał. Siedzieli obok siebie na dachu, ona tańczyła palcami w powietrzu, on zaś obserwował, jak światła Henrietty podrygiwały w tym samym rytmie ukrytej i kipiącej linii mocy.

– Czy mogę podać ci rękę? – zapytał w końcu.

Przestała ruszać palcami i spojrzała na niego chytrze, wytrzymując jego wzrok przez dłuższą chwilę, jakby rzucała mu wyzwanie, żeby odwrócił wzrok lub zmienił zdanie. Nie zrobił tego.

Gwenllian nachyliła się bliżej, pachnąc goździkowymi papierosami i kawą, po czym ku jego wielkiemu zaskoczeniu pocałowała go w policzek.

– Z Bogiem, królu – rzekła i wzięła jego rękę.

Ostatecznie chodziło o prostą, drobną rzecz. Wcześniej widywał jej przebłyski, czuł absolutną pewność. Prawda wyglądała jednak tak, że wciąż się od niej oddalał. Znacznie bardziej przerażająco było wyobrazić sobie, w jakim stopniu tak naprawdę kontrolował przebieg swojego życia. Łatwiej było wierzyć, iż był dzielnym stateczkiem ciskanym przez los po falach niż kapitanem samego siebie.

Teraz zamierzał sam sterować, a jeśli w pobliżu brzegu natknie się na skały, niech i tak będzie.

– Powiedz mi, gdzie jest Owen Glendower – powiedział w mrok. Wyraźnym i pewnym głosem, z tą samą mocą, z jaką rozkazywał Noahowi albo szkieletom w jaskini. – Pokaż mi, gdzie jest król kruków.

Noc zaczęła zawodzić.

Dźwięk dobiegał zewsząd – dziki krzyk. Pierwotny wrzask. Zew bojowy.

Stawał się coraz głośniejszy i Gansey zerwał się na nogi, na wpół zakrywając dłońmi uszy. Gwenllian wołała coś w zachwycie i zapale, lecz odgłosy tłumiły jej słowa. Zagłuszały również szelest pozostałych na dębach liści, szmer butów Ganseya ślizgających się po dachu, gdy przesuwał się ostrożnie w stronę krawędzi, by zobaczyć, o co chodziło. Zdusiły też światła i ulica pogrążyła się w czerni. Wrzask przytłoczył wszystko, zaś gdy ucichł, a światła wróciły, na środku ulicy stała ospała bestia o białych rogach i kopytach rozstawionych szeroko na asfalcie.

Gdzieś tam znajdował się zwyczajny świat pełen sygnalizatorów na skrzyżowaniach, supermarketów, jarzeniówek na stacjach benzynowych i błękitnych wykładzin w podmiejskich domach. Jednak tu i teraz była tylko chwila przed wrzaskiem oraz chwila po nim.

Gansejowi brzęczało w uszach.

Stworzenie uniosło głowę, by spojrzeć na niego błyszczącymi oczyma. Było to zwierzę, którego nazwę wszyscy znali, dopóki go nie ujrzeli, a wtedy owa nazwa umykała i pozostawiała jedynie wrażenie, że się je widziało. Starsze niż cokolwiek, cudniejsze niż cokolwiek, straszliwsze niż cokolwiek.

Coś zwycięskiego i przerażonego śpiewało Ganseyowi w piersi. Miał zupełnie takie samo uczucie jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrział Cabeswater. Uświadomił sobie, że widział już kiedyś coś podobnego do tej istoty: stado białych zwierząt,

które przebiegły przez magiczny las. Gdy jednak spoglądał na to stworzenie, zdał sobie sprawę, że były to jego kopie, jego potomkowie, jego wyśnione wspomnienia.

Istota zastrzygła uchem i pomknęła w mrok nocy.

– I co, nie zamierzasz za nim podążyć? – spytała Gwenllian Ganseya.

Tak.

Wskazała gałęzie dębu, a on się nie spierał. Podszedł szybko do miejsca, w którym wielki konar wisiał nad dachem, i wdrapał się na niego, odnajdując uchwyty na pionowych odnogach. Ześlizgiwał się z gałęzi na gałąź, po czym zeskoczył ostatnie dwa metry z okładem, od pięt aż po zęby czując wstrząs lądowania.

Bestia zniknęła.

Gansey nie miał nawet czasu, by zarejestrować rozczarowanie, ponieważ pojawiły się ptaki.

Były wszędzie. Powietrze migotało i błyszczało od piór oraz puchu. Ptaki skręcały, szybowały i nurkowały po sąsiedniej ulicy, a światła latarni odbijały się od skrzydeł, dziobów i szponów. Większość stanowiły kruki, ale zdarzały się też inne: małe sikory, opływowe gołębie karolińskie, zwarte sójki. Mniejsze ptaki wydawały się jednak bardziej chaotyczne niż kruki, zupełnie jakby zostały pochwycone przez ducha nocy, nie rozumiejąc celu. Niektóre z nich wydawały z siebie ciche skrzeki lub okrzyki, ale większość odgłosów dobiegała od *skrzydeł*. Brzęczenie i świst szaleńczego lotu.

Gansey przeszedł przed dom i zbite stado natychmiast pomknęło ku niebu. Wirowało wokół niego, ocierając się skrzydłami, muskając piórami jego policzki. Nie widział nic poza ptakami wszelkiego kształtu i barwy. Jego serce było niczym skrzydlata istota. Nie mógł złapać tchu.

Tak bardzo się lękał.

„Jeśli nie potrafisz się nie bać – powiedział Henry – bój się oraz bądź szczęśliwy”.

Stado odfrunęło od niego. Chciało, by za nim podążał, i to *już*. Wirowało wysoką kolumną nad camaro.

„Ustąpcie drogi! – krzyczały ptaki. – Ustąpcie drogi Królowi Kruków!”. Były tak głośne, że w domach zaczynały się zapalać światła.

Gansey wszedł do samochodu i przekręcił kluczyk. „Odpal, Świnio, odpal”. Silnik ożył z pomrukiem. Gansey czuł wszystko naraz: upojenie, przerażenie, poczucie przewyciężenia i zaspokojenia.

Z piskiem opon ruszył w pościg za swoim królem.

Akumulator Ronana działał w trybie awaryjnym. Lynch jechał na tempomacie. Był wodą skroploną na przedniej szybie. Najmniejszy wstrząs wystarczyłby, żeby spłynął w dół.

Ponieważ starał się zachowywać delikatną równowagę pomiędzy jawą a snem, dopiero gdy drzwi od strony kierowcy otworzyły się gwałtownie, zdał sobie sprawę z tego, że coś się stało. Hałas był straszliwy, zwłaszcza że Piła od razu wleciała do samochodu, Sierotka wrzasnęła na tylnym siedzeniu, a Adam obudził się gwałtownie.

– Nie wiem – powiedziała Blue.

Ronan nie był pewien, co to oznaczało, dopóki nie uświadomił sobie, że nie zwracała się do niego, lecz do osób znajdujących się za nią. Maura, Calla i Gwenllian stały na ulicy w różnym stopniu łóżkowego nieładu.

– Mówiłam, mówiłam – zakrakała Gwenllian.

W jej włosy wplątała się masa piór i dębowych liści.

– Spałeś? – spytała Blue Ronana. Nie spał. Nie był też przytomny, nie do końca. Wpatrywał się w nią. Zapomniał o jej ranie, dopóki nie spojrzął na nią. Była niczym gwałtowny podpis wydrapany na jej skórze. Tak bardzo wbrew zwykłemu zachowaniu Noaha. Wszystko stawało do góry nogami. „Demon, demon”. – Ronanie. Czy widziałeś, dokąd pojechał Gansey?

Teraz był przytomny.

– Ruszył na polowanie! – zaskrzeczała radośnie Gwenllian.

– Zamknij się – zareagowała Blue z niespodziewaną opryskliwością. – Gansey pojechał za Glendowerem. Zabrał Świnię. Gwenllian mówi, że ruszył za ptakami. Widziałeś, w którą stronę? Nie odbiera telefonu!

Wykonała dramatyczny gest dłonią, by podkreślić swe

słowa. Krawężnik przy Fox Way 300 i ulica zasłane były piórami wszelkich barw, a drzwi sąsiadów otwierały się i zamykały z ciekawością.

– Nie może jechać sam – rzekł Adam. – Zrobi coś głupiego.

– Nie mogłabym chyba być bardziej tego świadoma – odparła Blue. – Dzwoniłam do niego. Dzwoniłam też do Henry’ego, żeby spytać, czy możemy użyć robopszczoły. Nikt nie odbiera. Nie wiem nawet, czy rozmowy dochodzą.

– Możecie go zlokalizować? – spytał Adam Maurę i Callę.

– Jest powiązany z linią mocy – stwierdziła Maura. – W jakiś sposób. Gdzieś. Nie widzę go więc. Tyle wiem.

Ronanowi zakołysały się myśli, zaczęła na niego napierać rzeczywistość. Groza spełniających się wszelkich możliwych koszmarów sprawiła, że zadrżały mu palce na kierownicy.

– Może spróbowałbym wieszczyć – zaproponował Adam. – Nie wiem jednak, czy odkryję, gdzie jest. Jeśli znajduje się gdzieś, gdzie nie byłem, nie rozpoznam tego miejsca i będziemy musieli odgadnąć wskazówki.

Blue obróciła się w złości.

– To zajmie wieki – uznała.

Ronan pomyślał nagle o piórach rozrzuconych na ulicy. Każda delikatna krawędź wydawała się ostra, rzeczywista i istotna w porównaniu z zamglonymi wydarzeniami wcześniejszych dni. Gansey pojechał za Glendowerem. Gansey pojechał bez nich. Gansey pojechał bez *niego*.

– Wyśnię coś – powiedział.

Nikt nie dosłyszał go za pierwszym razem, więc powtórzył.

– Co? – spytała Blue, jednocześnie Maura odezwała się:

– Jakie coś?

Zaś Adam zauważył:

– Ale *demon*.

Ronan wciąż miał świeżo w pamięci grozę związaną z widokiem ciała matki. Niedawne wspomnienie bez wysiłku skrzyżowało się z wcześniejszym, kiedy to odnalazł zwłoki ojca, i razem stworzyły trujący, rozkwitający kwiat. Nie chciał wracać teraz do swojej głowy. Musiał jednak.

– Coś, co pozwoli odnaleźć Ganseya. Podobnego do robopszczoły Henry’ego Chenga. Musi spełnić tylko jeden cel. Coś małego. Mogę to zrobić szybko.

– Chciałeś powiedzieć, że możesz szybko zginąć – skomentował Adam.

Ronan nie zareagował na to. Zaczął już się zastanawiać, w jaką formę mógłby wlać taką zdolność. Co najpewniej zdołałby stworzyć, nawet gdyby uwagę odwracał mu szalejący demon? I czego demon na pewno nie zbrukałby częścią siebie?

– Cableswater nie może ci pomóc – naciskał Adam. – Będzie ci jedynie przeszkadzać. Musiałbyś w otoczeniu tego wszystkiego stworzyć coś, co nie będzie straszne, i takie zadanie już wydaje się niemożliwe, a później będziesz musiał przynieść to tutaj ze snu, co sprawia wrażenie niemożliwie niemożliwego.

– Jestem świadom, jak działa śnienie, Parrish – zwrócił się Ronan do kierownicy.

Nie powiedział: „Nie mogę znieść myśli, że odnalazłbym też ciało Ganseya”. Nie powiedział: „Skoro nie mogę ocalić dawnej rodziny, mogę spróbować ocalić nową”. Nie powiedział: „Nie pozwolę, by demon zdobył wszystko”.

Nie powiedział, że jedynym prawdziwym koszmarem była niemożność zrobienia czegoś, a to przynajmniej było *coś*.

– Zamierzam spróbować – rzekł jedynie z nadzieją, że Adam domyślał się już reszty.

Adam się domyślał. Pozostali również.

– Zrobimy, co w naszej mocy, by podtrzymać twoją

energię i powstrzymywać choć trochę to, co najgorsze –
oznajmiła Maura.

Adam podniósł fotel do całkowitego pionu i zablokował go.

– Będę wieszczył – stwierdził.

– Blue – odezwał się Ronan. – Myślę, że powinnaś trzymać
go za rękę.

Camaro się zepsuło.

Wiecznie psuło się i ożywało na nowo, lecz tego wieczora Gansey naprawdę go potrzebował.

Mimo to się zepsuło. Dojechał zaledwie na obrzeża miasta, gdy silnik zakaszłał, a kontrolki na desce rozdzielczej przygasły. Zanim Gansey zdążył zareagować, samochód zdechł.

Wspomaganie kierownicy wysiadło, musiał więc siłować się z autem, by zepchnąć je na pobocze. Spróbował przekręcić kluczyk. Zerknął w lusterko, starał się dojrzeć, czy ptaki czekały. Nie czekały.

„Ustąpcie drogi Królowi Kruków! – krzyczały. – Ustąpcie drogi!”

„Cholerny samochód!”

Nie tak dawno temu podobnie odmówił posłuszeństwa nocą ciemną jak atrament, wpędził go w kłopoty na poboczu i niemal doprowadził do jego śmierci. Adrenalina ruszyła mu żyłami podobnie jak wtedy, natychmiast i silnym strumieniem, zupełnie jakby czas wcale nie pobiegnął dalej.

Nacisnął pedał gazu, puścił, nacisnął, puścił.

Ptaki oddalały się. Nie mógł za nimi jechać.

– No, dalej – prosił.

„Dalej!”

Camaro nie zamierzało odpalić. Kruki wrzeszczały zaciekle. Wyglądały, jakby nie chciały go opuszczać, ale jednocześnie coś wydawało się je ciągnąć. Zaklął lekko, wygrzebał się ze środka i trzasnął drzwiczkami. Nie wiedział, co robić. Zamierzał podjąć pościg pieszo, dopóki nie zgubi stada. Zamierzał...

– Ganseyu. – Henry Cheng. Znajdował się przed

Ganseyem, a jego fisker stał krzywo na drodze z otwartymi drzwiami. – Co się dzieje?

Niemożliwość pojawienia się Henry'ego poruszyła Ganseya bardziej niż wszystkie wypadki tej nocy, choć tak naprawdę była to najmniej niemożliwa rzecz. Znajdowali się niedaleko tej strony miasta, gdzie mieściło się Litchfield, zaś Henry wyraźnie dotarł tu za pomocą samochodu, nie magicznie. Mimo to czas jego przyjazdu przemawiał zdecydowanie na korzyść Ganseya, a Henry, w przeciwieństwie do kruków, nie mógł pojawić się tylko dlatego, że Gansey go o to poprosił.

– Jak się tu znalazłeś? – chciał wiedzieć Gansey.

Henry wskazał w górę. Nie na ptaki, lecz na malutkie, migoczące ciało owada.

– Robopszczole kazano przekazać, by powiedziała mi, jeśli będziesz mnie potrzebować. Indaguję cię przeto znowuż: co się dzieje?

Kruki wciąż wrzeszczały, by Gansey za nimi podążał. Oddalały się jeszcze bardziej i wkrótce nie byłoby ich widać. Puls zadudnił mu w piersi. Z wielkim wysiłkiem zdołał skupić się na pytaniu zadany przez Henry'ego.

– Camaro nie chce ruszyć. Te ptaki. Prowadzą mnie do Glendowera. Muszę *jechać*. Muszę za nimi podążać, inaczej...

– Już. Już. Wsiadaj do mojego samochodu. Wiesz co? Ty prowadź. To cholerstwo mnie przeraża.

Henry rzucił mu kluczyki.

Wsiadł.

Gansey odczuwał jakieś dziwaczne poczucie słuszności, zupełnie jakby zawsze wiedział, jak przebiegnie ten pościg. Gdy zostawili camaro, czas uległ przesunięciu, a on wraz z nim. Ponad nimi kruki wypadały z kotłującej się czerni i wpadały w nią. Czasami było je wyraźnie widać na tle budynków,

czasami nie dało się ich dostrzec na tle drzew. Błyskały i migotały w świetle ostatnich latarni miasta niczym łopaty wentylatora. Gansey i Henry przejechali przez ostatnie oznaki cywilizacji. W umyśle Ganseya Henrietta wydawała się tak wielka, że z pewnym zaskoczeniem stwierdził, iż w czasie, gdy nie zwracał uwagi, światła miasta zniknęły w lusterku wstecznym.

Poza Henriettą ptaki przyspieszyły i skierowały się na północ. Leciały szybciej, niż według Ganseya ptaki powinny, omijały drzewa i wpadały w parowy. Nie było łatwo je śledzić, ponieważ poruszały się w linii prostej, podczas gdy fisker musiał trzymać się dróg. Serce wrzeszczało do niego: „Nie zgub ich! Nie zgub go! Nie teraz!”.

Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że to jego jedyna szansa.

Jego głowa nie myślała. Robiło to za nią serce.

– Jedź, jedź, jedź – polecił Henry. – Ja będę wypatrywał glin. *Jedź, jedź, jedź.*

Wpisał coś na telefonie, po czym pochylił głowę, by obserwować, jak robopszczoła wzlatuje, by wykonać swoje zadanie.

Gansey jechał, jechał, jechał.

Na północny wschód krętymi drogami. Gansey zapewne już tu kiedyś był, lecz nie pamiętał. Czy nie przełaził całego stanu? Kruki prowadziły ich przez góry wijącymi się drózkami, które zamieniały się w nieutwardzone, a później znów stawały się asfaltowe. W pewnym momencie fisker przykleił się do zbocza i spoglądał w stromą przepaść, od której nie oddzielał ich choćby kawałek barierki. Następnie szosa znów pokryła się asfaltem, a drzewa ukryły za sobą niebo.

Kruki natychmiast zniknęły za czarnymi jak noc gałęziami, odlatywały w jakimś kierunku bez nich.

Gansey wdepnął hamulec i odsunął szybę. Nie zadając żadnych pytań, Henry zrobił to samo. Obydwaj wychylili głowy i nasłuchiwali. Zimowe drzewa skrzypiały na wietrze, ciężarówki toczyły się w dole odległą autostradą, kruki nawoływały się natarczywie.

– Tam – powiedział od razu Henry. – Na prawo.

Fisker popędził dalej. Jechali wzdłuż linii mocy, pomyślał Gansey. Dokąd zalecą kruki? Do Waszyngtonu? Bostonu? Na drugą stronę Atlantyku? Musiał wierzyć, że nie udadzą się donikąd, gdzie nie będzie mógł za nimi podążyć. Wszystko musiało skończyć się tej nocy, ponieważ Gansey tak powiedział i tak uważał.

Ptaki leciały, nie zbaczając. W ciemności zamajaczyła tablica drogi międzystanowej.

– Czy tam jest, że to sześćdziesiąta szósta? – spytał Gansey.
– To wjazd na sześćdziesiątą szóstą?

– Nie wiem, stary. Liczby mnie mylą.

Rzeczywiście zbliżali się do autostrady międzystanowej I-66. Ptaki pomknęły naprzód. Gansey wjechał na szeroką arterię. Była szybsza, lecz nieco ryzykowna. Gdyby kruki zmieniły kierunek, nie miałyby jak skręcić za nimi.

Ptaki nie modyfikowały kursu. Gansey wdepnął pedał gazu, a później docisnął go jeszcze bardziej.

Kruki leciały wzdłuż linii mocy, prowadząc Ganseya w kierunku stolicy, Waszyngtonu, jego domu z dzieciństwa. Przyszła mu nagle do głowy straszliwa myśl, że właśnie tam go wiodą. Z powrotem do domu Ganseyów w Georgetown, gdzie dowiedział się, że jego koniec był początkiem, oraz wreszcie zaakceptował, iż musi dorosnąć, aby stać się po prostu kolejnym Ganseyem wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza.

– Mówiłeś, że która to droga? Sześćdziesiąta szósta? –

spytał Henry, znów pisząc coś na telefonie, gdy minęli właśnie kolejną tablicą obwieszczającą, że owszem, była to I-66.

– Jak ty właściwie jeździsz?

– Nie jeżdżę. Ty jeździsz. Który słupek milowy?

– Jedenasty.

Henry przyjrzał się ekranowi podświetlającemu mu twarz błękitem.

– Hej. Hej. Zwolnij. Zaraz gliniarz.

Gansey pozwolił fiskerowi zwolnić do prędkości bliższej dopuszczalnej. I rzeczywiście, za niecały kilometr na pasie zieleni błysnął czarny lakier nieoznakowanego samochodu policyjnego. Gdy go mijali, Henry mu zasalutował.

– Dziękuję ci za służbę, robopszczoło.

Gansey roześmiał się ciężko.

– No dobra, a teraz... Moment, czy robopszczoła może nam znaleźć zjazd?

Z każdym kilometrem kruki oddalały się coraz bardziej od autostrady i stało się już dość oczywiste, że leciały w innym kierunku.

Henry postukał w telefon.

– Trzy kilometry. Zjazd dwadzieścia trzy.

Trzy kilometry w coraz bardziej poszerzającym się trójkącie oznaczało spore oddalenie się od ptaków.

– Czy robopszczoła zdoła dotrzymać im tempa?

– Sprawdzę.

Pędzili więc dalej, zaś stado stawało się coraz trudniejsze do zauważenia w mroku i wreszcie zniknęło. Ganseyowi dudnił puls. Musiał zaufać Henry'emu, a Henry musiał zaufać robopszczole. Na zjeździe Gansey śmignął z autostrady międzystanowej. Nie widzieli śladu kruków, otaczała ich jedynie zwyczajna wirginijska noc. Poczul się dziwnie, gdy rozpoznał,

gdzie się znaleźli: w pobliżu Delaplane, już kawałek od Henrietty. Był to świat starych pieniędzy, hodowli koni, polityków oraz miliarderów z branży oponiarskiej. Okolicy daleko było do archaicznej dzikiej magii. Za dnia zachwycałyby dystygowanym urokiem. Już od tak dawna ją uwielbiano i cywilizowano, że nie dawało się wyobrazić, iż mogłaby nagle pograć się w chaosie.

– Dokąd teraz? – spytał Gansey.

Jechali w nicość, w zwykłość, w życie, jakie Gansey już znał.

Henry nie odpowiedział od razu, pochylał głowę nad telefonem. Gansey chciał docisnąć gaz, ale nie miało to sensu, jeśli jechali w złą stronę.

– Henry.

– Przepraszam, przepraszam. Mam! Do dechy, a później skręcaj w prawo, gdy będziesz mógł.

Gansey spełnił polecenie tak skutecznie, że Henry musiał oprzeć dłoń o sufit.

– Jej – rzekł Henry. – I ziu.

Nagle, niespodziewanie znów pojawiły się kruki. Stado kotłowało się i przeformowywało ponad linią drzew. Idealna czerń na tle ciemnofioletowego nieba. Henry łupnął w sufit w milczącym triumfalnym geście. Fisker wtoczył się na szeroką szosę, pustą w obu kierunkach. Gansey musiał jedynie ponownie przyspieszyć, gdy ptaki zawirowały niczym tornado, poderwane nagłym prądem wznoszącym, i raptownie zmieniły kurs.

Reflektory fiskera odnalazły tablicę na końcu bocznej drogi.

– Tam! Tam! – zawołał Henry. – Stój!

Miał rację. Ptaki skręciły nad podjazd. Gansey już zdążył go minąć. Spojrzał w przód, lecz nie widział nigdzie możliwości zawrócenia. Nie zamierzał stracić stada. Nie mógł go stracić.

Odsunął szybę, wychylił głowę na zewnątrz, by upewnić się, że nocna droga z tyłu pozostaje czarna, po czym wycofał przy akompaniamencie wyjącej z podniecenia skrzyni biegów.

– Spoko – rzekł Henry.

Fisker wspinał się po stromej szosie. Gansey nawet nie zwolnił, choć zastanawiał się, czy może ktoś przebywał w domu. Było późno, on prowadził dziwny, łatwy do zapamiętania samochód i znajdowali się w prywatnym zakątku staroświeckiego świata. Nie miało to znaczenia. Jeśli będzie trzeba, wymyśli, co powiedzieć właścicielom. Nie mógł zostawić kruków. Nie tym razem.

Reflektory oświetlały zaniedbany przepych: droga wytyczona była przerośniętymi zębami kamieni, pomiędzy którymi rosła trawa. Z ogrodzenia zwisała luźno deska. Asfalt popękał i wypluwał z siebie martwe chwasty.

Poczucie przesuwającego się czasu wydawało się teraz jeszcze silniejsze. Był już tu kiedyś. W poprzednim życiu.

– Co za miejsce, człowieku – odezwał się Henry, wychylając głowę i próbując się rozglądać. – Jak w muzeum.

Szosa wznosiła się, dopóki nie znalazła się nad linią drzew. Na jej końcu znajdował się duży okrągły podjazd, dalej zaś ciemny, mający dom. Nie, nie dom. Gansey, który dorastał w rezydencji, potrafił takową rozpoznać. Ta była znacznie większa od obecnej siedziby jego rodziców, ozdobiona kolumnami, tarasami, portykami oraz oszklonymi werandami, rozlewała się szeroko ceglami i kremową barwą.

W przeciwieństwie jednak do domu rodziców wokół tutejszych bukszpanów rozpleniły się cherlawe robinie akacjowe, zaś powój wspinał się po ceglanych ścianach na schody prowadzące do drzwi frontowych. Krzewy różane wyglądały na zdziczałe i brzydkie.

– Nie zachwyca – zauważył Henry. – Przydałby się remont. Ale na dachu dałoby się zrobić niezłe imprezy zombie, joł.

Fisker sunął powoli po kolistym podjeździe, a kruki obserwowały ich z dachu oraz balustrad tarasów. Gansey poczuł *déjà vu*, jakby spoglądał na Noaha i widział jednocześnie jego żywą i martwą wersję.

Dotknął w zadumie dolnej wargi.

– Byłem tu – stwierdził.

Henry spojrział na kruki, które odpowiedziały spojrzeniami, nie poruszając się. Czekały.

– Kiedy?

– To tutaj umarłem.

Zanim jeszcze zasnął, Ronan wiedział już, że w Cableswater będzie niezdanie, ale nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

To wcale nie widoki były najgorsze, lecz emocje. Demon wciąż pracował nad drzewami, ziemią oraz niebem, lecz brukał również *odczucie* lasu, elementy, dzięki którym sen wydawał się snem, nawet gdy nie było w nim scenerii. Teraz kojarzył się z każdym przepełnionym winą oddechem następującym po kłamstwie. Był niczym uczucie opadającego żołądka po tym, jak natknął się na czyjeś ciało. Jak dręczące przecucie, że można cię było zostawić, że sprawiałeś za dużo problemów, że lepiej, gdybyś umarł. Niczym wstyd powiązany z pragnieniem czegoś, czego pragnąć się nie powinno, niczym paskudny dreszczyk emocji towarzyszący stanowi bliskiemu śmierci. A w zasadzie to wszystko naraz.

W koszmarach Ronana pojawiały się kiedyś jedna czy dwie z tych rzeczy. Bardzo rzadko zdarzały się wszystkie. Bywało tak wtedy, gdy sen pragnął widzieć Ronana martwym.

Różnica polegała na tym, że wówczas trafiał do nich samotnie. Teraz Maura i Calla wspierały go na jawie – Calla siedziała na masce, a Maura na tylnym siedzeniu. Wyczuwał ich energię niczym dłonie trzymające mu głowę, niedopuszczające części z tych straszliwych odgłosów. We śnie towarzyszył mu też umysł Adama. W świecie rzeczywistym Parrish wieszczył znów w fotelu pasażera, zaś tutaj stał w zniszczonym lesie zgarbiony, z niepewnym wyrazem twarzy.

Nie. Ronan musiał przyznać sam przed sobą, że choć ułatwiali mu zadanie, ich obecność nie wpływała na różnice pomiędzy dawnymi koszmarami a tym. Prawdziwa rozbieżność polegała na tym, że wtedy koszmary pragnęły jego śmierci, a on

sam również jej chciał.

Rozejrzał się po śnie w poszukiwaniu jakiegoś niezagrożonego miejsca, w którym jego przedmiot mógłby bezpiecznie powstać. Nie istniało takowe. Jedyne niezbrukane elementy snu byli Adam i on.

Musiał więc sam trzymać obiekt. Ronan ścisnął dłonie, wyobrażając sobie formującą się między nimi małą kulę światła. Demona to nie obchodziło. W uchu usłyszał ciężki oddech. Niewątpliwie pochodzący od jego ojca. Niewątpliwie cierpiącego ból. Umierającego samotnie.

„Twoja wina”.

Ronan odepchnął to wrażenie. Wciąż myślał o małej świecącej rzeczy, jaką tworzył, by odnaleźć Ganseya. Wyobrażał sobie jej ciężar, rozmiar, wzór miniaturowych skrzydełek.

– Czy naprawdę sądzisz, że zamierzam tu dla ciebie zostać?
– odezwał się Adam w drugim uchu z całkowicie zimnym lekceważeniem.

Prawdziwy Adam stał z głową przekrzywioną na bok, gdy nieracjonalny sobowtór ojca wrzeszczał mu w twarz głosem idealnie i niepokojąco pasującym do prawdziwego Roberta Parrisha. Usta Adama zastygły w stanowczym wyrazie wyrażającym mniej strach, a bardziej upór. Już od tygodni powoli odplątywał się od ojca i łatwiej mu było opierać się tej kopii.

„Lepiej cię zostawić”.

„Nie proszę go, by został – pomyślał Ronan. – Tylko żeby wrócił”. Tak bardzo pragnął sprawdzić, czy obiekt w jego dłoniach rzeczywiście był tym, co zamierzył, lecz czuł, że demon chciał zbrukać przedmiot, wyrzucić go na nice, uczynić ohydny przeciwnością. Lepiej chować go na razie przed jego wzrokiem w nadziei, że istotnie powstało coś pozytywnego.

Musiał trzymać się koncepcji, co rzecz będzie musiała robić, gdy sprowadzi ją na jawę, a nie idei demona, który to działanie widział zupełnie inaczej.

Coś skrobało Ronana w kark. Lekko, nieszkodliwie, raz za razem, nieustająco, dopóki nie przedarło się przez wierzchnią warstwę skóry i odnalazło krew.

Ronan zignorował to i czuł, jak obiekt pod palcami budzi się do życia.

Sen wypluł przed nim ciało. Czarne i porozrywane, rozszarpane i zbrukane. Gansey. Oczy wciąż żyły, wargi się poruszały. Zniszczony i bezradny. W kąciku ust wciąż tkwił szpon jednego z nocnych koszmarów Ganseya, przebijał policzek.

„Bezsilny”.

Nie. Ronan tak nie sądził. Czuł, jak sen trzepocze mu pod dłońmi.

Adam napotkał wzrok Ronana, choć skopiowana wersja ojca wciąż się na niego wydzierała. Na jego twarzy wyraźnie odznaczało się napięcie wywołane wysiłkiem utrzymywania równowagi.

– Jesteś gotowy?

Ronan miał taką nadzieję. Prawdę mówiąc, dopiero gdy otworzy oczy w bmw, będą wiedzieć, kto zwyciężył w tej rundzie.

– Obudź mnie – powiedział.

Gansey przebywał tu już kiedyś – siedem lat wcześniej z groszami. Jakkolwiek niemożliwe by się to wydawało, trwała wówczas inna zbiórka dobroczynna. Gansey pamiętał, że był podekscytowany wyjazdem, Waszyngton latem stawał się duszny i przytłaczający, jego mieszkańcy wydawali się przypominać niechętnych zakładników z torbami na głowach. Choć rodzina dopiero co wróciła z zagranicznej wycieczki, podczas której odwiedzili plantacje mięty w Pendżabie (była to polityczna wyprawa, której sensu Gansey wciąż do końca nie rozumiał), w jej wyniku najmłodszy członek klanu stał się jedynie bardziej niespokojny. Podwórko ich domu w Georgetown wypełniały od muru do muru kwiaty starsze niż Gansey i nie wolno mu tam było wchodzić latem, ponieważ roiło się od pszczół. I choć rodzice zabierali go na pchle targi, do muzeów, na wyścigi konne i wernisaże, Ganseya coraz bardziej nosiło. Widział już to wszystko. Chciwie pragnął nowych wspaniałości i ciekawostek, spraw, z którymi jeszcze się nie zetknął i których nie potrafił zrozumieć. Chciał jechać.

Wprawdzie nie podniecały go kwestie polityczne, ale podobała mu się sama koncepcja wyjazdu.

– Będzie fajnie – powiedział ojciec. – Przyjadą też inne dzieci.

– Dzieci Martina – dodała matka, po czym oboje zaśmiali się szyderczo, przypominając dawny afront.

Gansey dopiero po chwili uświadomił sobie, że przekazywali tę informację celem zachęty, a nie jedynie stwierdzali fakt w podobny sposób, jakby podawali prognozę pogody. Nigdy nie uważał dzieci za fajne, siebie również. Zawsze spoglądał w przyszłość, w której będzie mógł dowolnie

zmieniać miejsce zamieszkania.

Teraz, po latach, Gansey stał na porośniętych powojem schodach i spoglądał na tabliczkę przy drzwiach. Głosiła: „zielony dom, 1824”. Z bliska trudno było stwierdzić, czy posiadłość wyglądała na groteskową, czy też po prostu zapuszczoną. Obecność kruków na każdej poziomej powierzchni wcale nie przeszkadzała. Sięgnął do klamki, lecz drzwi frontowe okazały się zamknięte. Włączył w telefonie latarkę i próbował zajrzeć do środka. Nie wiedział, czego szukał. Niewykluczone, że stwierdziłby to, gdyby odpowiednia rzecz wpadła mu w oko. Może tylne drzwi nie były zamknięte, może dałoby się uchylić okno. Choć nie istniał żaden konkretny powód, dla którego wewnątrz tego zaniedbanego domu miałyby kryć jakiegokolwiek tajemnice związane z Ganseyem, ta jego część, której dobrze wychodziło odnajdywanie ukrytych rzeczy, chciała wejść.

– Spójrz na to – zawołał Henry z odległości kilku metrów głosem, w którym rozbrzmiewało teatralne zszokowanie. – Odkryłem, że kiedyś te boczne drzwi pewnie zostały rozbite przez jakiegoś nastoletniego koreańskiego wandalę.

Gansey musiał przedostać się po grządce martwych lilii, by dołączyć do niego przy mniej okazałym bocznym wejściu. Henry kończył wybijać popękane fragmenty szybki, aby móc sięgnąć do środka i otworzyć zamek.

– Ta dzisiejsza młodzież – stwierdził. – „Cheng” to nie koreańskie nazwisko, prawda?

– Mój ojciec nie jest Koreańczykiem – odparł Henry. – Ja jestem. Pochodzenie i wandalizm mam po matce. Pozwól nam wejść, Dick, skoro już się włamałem.

Gansey wahał się jednak.

– Wysłałeś robopszczołę, by mnie szukała.

– To był gest przyjaźni.

Wydawał się pragnąć, by Gansey uwierzył w szczerść jego intencji, ten powiedział więc szybko:

– Wiem to. Po prostu... Nie spotykam zbyt wielu osób, które zaprzyjaźniają się tak jak ja. To takie... szybkie.

Henry pokazał mu palcami diabelskie różki.

– *Jeong*, bracie.

– Co to znaczy?

– Kto wie? – odrzekł Henry. – To znaczy henrowość. To znaczy richardowość. *Jeong*. Tego słowa nigdy się nie wymawia, ale i tak żyje się w zgodzie z nim. Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się odnaleźć tego w kimś takim jak ty. Zupełnie jakbyśmy kiedyś się już poznali. Nie, nie do końca. Natychmiast się zaprzyjaźniliśmy, natychmiast robimy dla siebie to, co robią przyjaciele. Nie jesteśmy wyłącznie kumplami. Jesteśmy przyjaciółmi. Braćmi krwi. To się czuje. Nie *ty* oraz *ja*, tylko *my*. To *jeong*.

Gansey był poniekąd świadom, iż ten opis wydawał się melodramatyczny, przerysowany, nielogiczny. Gdzieś w głębi czuł jednak, że to prawda i że w sporym stopniu wyjaśnia jego życie. Tak samo czuł się przy Ronanie, Adamie, Noahu i Blue. Przy każdym z nich natychmiast odczuwał słuszność i ulgę. Wreszcie ich odnalazł. Nie *ty* oraz *ja*, tylko *my*.

– Dobrze – stwierdził.

Henry uśmiechnął się promiennie, po czym otworzył drzwi, które przed chwilę rozbił.

– To czego szukamy?

– Nie jestem pewien – przyznał Gansey. Pochłonał go znajomy zapach wnętrza, złożona woń identyczna we wszystkich tych starych, rozpadających się, kolonialnych domach. Może chodziło o mieszankę pleśni, bukszpanu i starej pasty do podłóg. Coś poczuł, nie konkretne wspomnienie, lecz

raczej ogólnie beztroski okres. – Zapewne czegoś niezwykłego. Myślę, że okaże się oczywiste.

– Powinniśmy się rozdzielić, czy raczej będzie jak w horrorze?

– Wrzeszcz, jeśli coś zacznie cię zjadać – odparł Gansey, czując ulgę na propozycję Henry'ego.

Chciał zostać sam ze swymi myślami. Wyłączył latarkę w tej samej chwili, w której Henry włączył swoją. Cheng wyglądał, jakby chciał spytać o powód, a wtedy Gansey zostałby zmuszony odpowiedzieć: „Mój instynkt robi się wtedy głośniejszy”, lecz Henry jedynie wzruszył ramionami i się rozeszli.

Gansey wędrował w ciszy przez ciemne korytarze Zielonego Domu, a duchy deptały mu po piętach. Tu stał bufet, tam pianino, jeszcze dalej wataha politycznych stażystów, którzy wydawali się tacy światowi. Stał na samym środku tego, co wcześniej było salą balową, i w tym momencie coś uruchomiło na zewnątrz czujnik światła, strasząc go. Widział szeroki kominek z brzydkim, przestarzałym paleniskiem i złowieszczym czarnym wlotem komina. Parapety zasłane były martwymi muchami. Gansey czuł się, jakby został ostatnim żywym człowiekiem na Ziemi.

Dawniej pomieszczenie sprawiało wrażenie ogromnego. Zmrużywszy oczy, wciąż potrafiłby dostrzec przyjęcie. Wiecznie trwało w jakimś punkcie czasu. Gdyby znajdował się teraz w Cableswater, być może mógłby je odtworzyć, cofnąłby się w czasie, by znów je obserwować. Myśl ta okazała się jednocześnie tęskna i nieprzyjemna. Był wówczas młodszy i wiódł prostsze życie, niezakłócone przez takie rzeczy jak odpowiedzialność czy mądrość. Od tamtej chwili działał jednak tak wiele. Perspektywa przeżycia wszystkiego od nowa,

doświadczenia znów trudnych nauczek, ponownej walki o to, by na pewno poznać Ronana, Adama, Noaha oraz Blue – była wyczerpująca i niepokojąca.

Zostawił salę balową i chodził dalej korytarzami, pochylając się pod ramionami, których tam już nie było, przepaszając, gdy przeciskał się między rozmawiającymi ludźmi, którzy dawno już przestali dyskutować. Był szampan, była muzyka, była wszechogarniająca woń perfum. „Jak się masz, Dick?”. Miał się świetnie, wspaniale, doskonale, inaczej nie można było odpowiedzieć na to pytanie. Słońce nigdy nad nim nie zachodziło.

Wszedł na oszkloną werandę i wyjrzał na czarny listopad. Zanedbana trawa wydawała się szara, nagie drzewa – czarne, zaś niebo zabarwiała matowofioletowa poświata znad odległego, groźnego Waszyngtonu. Wszystko było martwe.

Czy wciąż znał którekolwiek z dzieci, z którymi bawił się na tym przyjęciu? Podczas gry w chowanego ukrył się tak dobrze, że stał się martwy, i nawet gdy go wskrzeszono, wciąż nie mogli go znaleźć. Przypadkiem natknął się na inną drogę.

Pchnął drzwi z werandy i wyszedł na wilgotną, martwą trawę podwórza. Tutaj również toczyła się impreza. Starsze dzieci z frustracją grały w krokieta, zahaczając stopami o bramki.

Szare światło, które Gansey wcześniej uruchomił, lśniło po drugiej stronie podwórza. Przeszedł przez trawnik do linii drzew. Blask lampy z werandy docierał aż tutaj i sięgał dalej, niż można się było spodziewać. Las nie był tak nieporządnym, jak go zapamiętał, choć nie mógł zdecydować, czy to dlatego, że teraz był starszy i przemierzył sporo lasów, czy też dlatego, że o tej porze roku nie było liści. Nie wydawał mu się już dobrą kryjówką.

Gdy Gansey pojechał do Walii, by szukać tam Glendowera, stawał na skraju wielu podobnych pól, miejsc, w których stoczono bitwy. Próbował sobie wyobrazić, jakie to uczucie znaleźć się tam wówczas z mieczem w dłoni, na koniu, otoczony pocącymi się i krwawiącymi ludźmi. Jakie to uczucie być Owenem Glendowerem i wiedzieć, że walczą, ponieważ to ty ich do tego wezwałeś.

Gdy Malory wałęsał się na ścieżce albo kręcił przy samochodzie, Gansey wchodził na środek pól, jak najdalej, by możliwie najbardziej zdystansować się od czegokolwiek związanego ze współczesnością. Zamykał oczy, odfiltrowywał odgłosy odległych samolotów i starał się usłyszeć dźwięki sprzed sześciuset lat. Jego najmłodsza wersja żywiła słabiutką nadzieję, że może był nawiedzony, że pole mogło być nawiedzone, że gdyby otworzył oczy, ujrzałby coś więcej niż wcześniej.

Nie miał jednak nawet najmniejszych predyspozycji parapsychicznych i chwile, które zaczynały się Ganseyem samotnym na polu bitwy, kończyły się Ganseyem samotnym na polu bitwy.

Teraz stał może z minutę na skraju wirginijskiego lasu, dopóki samo to stanie nie zaczęło mu się wydawać dziwaczne, zupełnie jakby drżały mu nogi, choć nie drżały. Następnie wykonał krok naprzód.

Nagie gałęzie nad jego głową skrzypiały na wietrze, lecz liście pod stopami były wilgotne i bezgłośnie.

Przed siedmioma laty wszedł tutaj prosto na szerszenie. Przed siedmioma laty umarł. Przed siedmioma laty narodził się na nowo.

Tak bardzo się bał. Dlaczego sprowadzono go tu znowu?
Gałęzie czepiały mu się rękawów swetra. Nie dotarł jeszcze

tam, gdzie to się stało. Powtarzał sobie, że nie ma już tam gniazda, że powalone drzewo, obok którego się przewrócił, już zbutwiało, że w tym widmowym świetle było zbyt ciemno, aby mógł rozpoznać miejsce.

Rozpoznał je.

Drzewo nie zbutwiało. Nie zmieniło się, wydawało się równie krzepkie jak dawniej, lecz czarne od wilgoci i mroku nocy.

To tutaj poczuł pierwsze użądlenie. Gansey wyciągnął rękę, z szokiem i zdumieniem przyglądając się grzbietowi dłoni. Zrobił kolejny, chwiejny krok. To tutaj poczuł je na karku, pełzające po linii włosów. Nie stracił wrażenia, próby zrzucania szerszeni nigdy nie pomagały. Palce poderwały mu się jednak odruchowo w kierunku szyi.

Wykonał jeszcze jeden niepewny krok. Znajdował się już przy tym starym, niezmienionym, czarnym drzewie. Tamten dawny Gansey padł na kolana. Owady łąziły mu po twarzy, zamkniętych powiekach, drżących wargach.

Nie uciekł. Nie dało się przed nimi uciec, zresztą broń i tak już wykonała wtedy swoje zadanie. Pamiętał swoje myśli, że zepsułby tylko imprezę, gdyby pojawił się cały w szerszeniach.

Przez chwilę opierał się na dłoniach, po czym przechylił na łokieć. Jad palił go w żyłach. Leżał na boku, skulony. Mokra liście przyciskały mu się do policzka, gdy każda jego komórka wydawała się dusić. Trząsał się i bał, tak bardzo się bał.

„Dlaczego? – zastanawiał się. – Dlaczego ja? Jaki to miało cel?”.

Otworzył oczy.

Stał z dłońmi zaciśniętymi w pięści, spoglądając na miejsce, w którym to się stało. Musiał zostać ocalony po to, by odnaleźć Glendowera. Musiał zostać ocalony, by zabić tego

demona.

– Dick! Gansey! Dick! Gansey! – poniósł się przez podwórko głos Henry’ego. – Musisz to zobaczyć.

Pod domem znajdowało się wejście do jaskini. Nie wielki, odsłonięty otwór, jak w Cableswater. I nieosłonięta dziura w ziemi, przez którą zeszli do groty z grobowcem Gwenllian. Tutaj była wilgotna, rozwarta paszcza, zawałone ziemne ściany leżały na betonowych kościach i szczątkach mebli, grunt rozszczepił się i część piwnicy wpadła do powstałej jamy. Całość wyglądała tak świeżo, że Gansey zaczął ostrożnie podejrzewać, iż powstała w wyniku polecenia, jakie wydał na Fox Way.

Poprosił o możliwość ujrzenia Króla Kruków. Pokazywano mu drogę do niego, nawet jeśli w tym celu trzeba było poruszyć ziemię.

– Trzeba tu cholernie poważnego remontu – stwierdził Henry, ponieważ ktoś musiał to powiedzieć. – Moim zdaniem powinni coś zrobić z tą jaskinią, jeśli chcą uzyskać dobrą cenę sprzedaży. Podłoga z solidnego drewna, wymiana klamek, *może postawienie z powrotem ściany*.

Gansey dołączył do niego na skraju jamy i zajrzał do środka. Obydwaj przyświecali sobie latarkami w telefonach. W przeciwieństwie do świeżej rany otworu, znajdująca się poniżej jaskinia wyglądała na zużytą, suchą i zakurzoną, zupełnie jakby od zawsze istniała pod domem. Po prostu w odpowiedzi na jego prośbę powstało to wejście.

Gansey wyjrzał przez okno na fiskera zaparkowanego przed domem, mentalnie dostrajając się do autostrady, Henrietty i linii mocy. Wiedział już, rzecz jasna, że rezydencja też na niej stała. Czy nie zostało dawno powiedziane, że przetrwał śmierć na linii tylko dlatego, że w tym samym momencie ktoś inny na niej umarł?

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek istniał prostszy sposób, by dostać się do tej jaskini. Czy gdzieś indziej, również na linii, leżało inne naturalne wejście, a może grota przez cały czas czekała, aż to on nakaże jej się ujawnić?

– No dobrze – rzekł w końcu Gansey. – Wchodzę.

Henry roześmiał się, po czym uświadomił sobie, że jego kompan mówił poważnie.

– Czy do tego rodzaju ekspedycji nie powinieneś mieć kasku i służącego?

– Zapewne. Nie sądzę jednak, abym miał czas, żeby wrócić do Henrietty po sprzęt. Po prostu będę musiał iść powoli.

Nie poprosił Henry'ego, by mu towarzyszył, nie chciał bowiem, by ten czuł się źle, odmawiając. Nie chciał, by Cheng uważał, że Gansey spodziewał się po nim dalszego uczestnictwa w wyprawie, wejścia w tę dziurę w ziemi, skoro jedyną rzeczą, jakiej Henry naprawdę się bał, były właśnie dziury w ziemi.

Gansey zdjął zegarek i włożył do kieszeni, by nie zahaczyć nim o coś. Następnie podwinął nogawki spodni i znów przyjrzał się otworowi. Na dół nie było jakoś okropnie daleko, ale chciał mieć pewność, że zdoła sam się wdrapać z powrotem, jeśli nie będzie dysponował nikim do pomocy. Zmarszczył brwi i przyniósł jedno z krzeseł, które nie zostało zniszczone podczas zawału. Opuścił je w mrok. Gdy ustawił je na dole, da mu tych kilkadziesiąt dodatkowych centymetrów potrzebnych do wydostania się.

– Moment – odezwał się obserwujący to wszystko Henry. – Zniszczysz sobie taki świetny płaszcz, biały człowieku. Weź to.

– Ściągnął swój sweter Aglionby i podał go.

– A zatem oddajesz mi przysłowiową ostatnią koszulę – skomentował Gansey, zdejmując płaszcz. Czuł wdzięczność. Spojrzał na Henry'ego. – Do zobaczenia po drugiej stronie.

Excelsior.

Idąc tunelem, Gansey czuł wzbierające w nim coraz bardziej ogromną radość i smutek. Widział wokół siebie wyłącznie gładkie kamienne ściany, a jednak nie opuszczało go wrażenie, że postępuje słusznie. Tak wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę, a teraz, gdy ją przeżywał, nie potrafił przypomnieć sobie różnicy pomiędzy wyobrażeniem a doświadczeniem. Nie istniała rozbieżność między oczekiwaniami a rzeczywistością, zawsze tak wyczuwalna wcześniej. Zamierzał odnaleźć Glendowera i teraz go odnajdywał.

Radość i smutek, zbyt wielkie, by mogło je pomieścić jego ciało.

Znów miał wrażenie wymykającego się czasu. Tu, na dole, było ono namacalne, zupełnie jakby woda płynęła mu przez myśli. Przyszło mu do głowy, że wymyka mu się nie tylko czas, lecz również odległość. Całkiem możliwe, że tunel zakręcał i prowadził go w zupełnie inne miejsce na linii mocy. Gansey pilnował wskaźnika baterii w telefonie, opadającego szybko z powodu włączonej latarki. Za każdym razem, gdy zerkał na ekran, czas zmieniał się w jakiś niemożliwy sposób: czasami biegł naprzód dwa razy szybciej, czasami chwiał się wstecz, czasami pozostawał na tej samej minucie przez czterysta kroków Ganseya. Zdarzało się, że ekran migotał i zupełnie gasł, wyłączając również latarkę i zostawiając go w absolutnej czerni na sekundę, dwie, cztery.

Nie był pewien, co zrobi, gdy utknie w ciemności. Już podczas poprzednich wypraw speleologicznych odkrył, że łatwo jest wpaść w dziurę, nawet gdy ma się przy sobie latarkę. Choć podziemia wydawały się mieć w zasadzie formę korytarza, nie wiadomo było, dokąd prowadziły.

Mógł ufać jedynie krukowi oraz swemu poczuciu słuszności. Na pewno wszystkie jego dotychczasowe posunięcia doprowadziły go do tej chwili.

Musiał wierzyć, że światło nie wyczerpie się, zanim dotrze na miejsce. To była ta noc, to była ta godzina, od zawsze miał się tutaj znaleźć sam.

Szedł więc i szedł, a wskaźnik baterii zwiększał się i opadał. Głównie opadał.

Gdy osiągnął już ostrzegawczą czerwień, Gansey zawahał się. Mógł teraz zawrócić i na jakiś czas wystarczyłoby mu światła. Resztę drogi odbyłby w mroku, ale przynajmniej wiedział, że w nic by nie wpadł. Mógł też iść dalej aż do ostatniej sekundy blasku w nadziei, że coś znajdzie. W nadziei, że tam, dokąd zmierzał, nie będzie mu już potrzebna latarka.

– Jezu – wydyszał.

Był niczym książka, trzymał swe ostatnie stronicie i chciał dotrzeć do końca, by dowiedzieć się, jak zakończyła się opowieść, a jednocześnie nie chciał jej dokończyć.

Szedł dalej.

Niedługo później zgasło światło. Telefon nie reagował. Gansey znalazł się w zupełnej ciemności.

Gdy stanął nieruchomo, uświadomił sobie, że jest mroźnie. Kropla zimnej wody spadła mu na czubek głowy, a kolejna ześlizgnęła się za kołnierz. Czuł, jak przesiakają mu ramiona pożyczonego od Henry'ego swetra. Ciemność wydawała się jak żywa, osaczała go.

Nie potrafił zdecydować, co robić. Czy miał przeć dalej w mroku, centymetr po centymetrze? Skoro znalazł się w zupełnej ciemności, przypomniał sobie uczucie gruntu uciekającego spod nóg w jaskini kruków. Tutaj nie dysponował liną, która powstrzymałaby upadek. Nie miał Adama, który nie

pozwoili by mu dalej sie ześlizgnąć. Nie miał Ronana, który kazał by brzęczącemu rojowi stać się krukami zamiast os. Nie miał Blue, która szeptałaby do niego, dopóki nie poczuł by na nowo wystarczającej odwagi, aby się uratować.

Mrok znajdował się nie tylko w tunelu, ale też w jego wnętrzu.

– Czy nie chcesz, abym cię znalazł? – wyszeptał. – Jesteś tu?

W tunelu panowała cisza, nie licząc cichego odgłosu kropeł kapiących ze stropu na kamienną podłogę.

Narastał w nim strach. Gdy Ganseya ogarniał strach, przybierał bardzo specyficzny kształt. I w przeciwieństwie do dziury pod Borden House, w takich miejscach dysponował on mocą.

Gansey uświadomił sobie, że w korytarzu nie było już cicho. W oddali zaczął formować się odgłos – coraz bardziej znajomy.

Rój.

Tunelem nie przemieszczał się jeden owad. Nie była to robopszczoła. Rozbrzmiewał narastający szmer setek ciałek odbijających się od ścian i zbliżających.

I choć w korytarzu było ciemno, Gansej *czuł* czerń sączącą się z tamtego drzewa w Cableswater.

W głowie rozwijała mu się cała opowieść, jak to został uratowany po zażądaniu na śmierć siedem lat temu z okładem, gdy zmarł Noah. Teraz zaś, gdy duch Noaha ulegał rozkładowi, Gansej znów umrze z powodu żądań. Być może to wszystko nie miało żadnego innego celu poza powrotem do *status quo*.

Brzęczenie się zbliżało. Przerwy w szmerze skrzydeł były teraz przerywane niemal niesłyszalnymi stuknięciami owadów o siebie nawzajem, gdy pędziły ku niemu przez mrok.

Przypomniął sobie słowa wypowiedziane przez Henry'ego, gdy włożył mu pszczołę w dłoń. Kazał mu myśleć o niej nie jako o czymś, co może go zabić, lecz co może być piękne.

Potrafił to zrobić. Wydawało mu się, że potrafił to zrobić.

„Coś pięknego – mówił sobie. – Coś szlachetnego”.

Brzęczący rój obijał się o ściany blisko niego. Wydawał się ohydnie bliski.

Były tu.

– Coś, co mnie nie skrzywdzi – rzekł głośno.

Przed oczyma zrobiło mu się najpierw czerwono, a później czarno.

Czerwono, potem czarno.

I już tylko czarno.

– Liście – oznajmił pełen zdecydowania głos Ronana Lyncha.

– Pył – powiedział Adam Parrish.

– Wiatr – odezwała się Blue Sargent.

– Gówno – dodał Henry Cheng.

Światło przemknęło obok Ganseya i oddaliło się, później znów czerwień i czerń. Latarka.

W pierwszym przeblysku światła Ganseyowi wydawało się, że ściany podrygują od pokrywających je szerszeni, przy drugim zauważył jednak, że to tylko liście, pył i wiatr, który rozwiewa je w głąb tunelu. W tym blasku dostrzegł również swych przyjaciół drżących w tunelu tam, gdzie wcześniej były liście.

– Ty gówniany dupku – rzekł Ronan.

Miał bardzo brudną koszulę, a bok twarzy pokrywała mu zaschnięta krew, choć nie dawało się stwierdzić, czy należała do niego.

Gansey nie zdołał od razu odnaleźć głosu.

– Wydawało mi się, że zostałeś – odezwał się wreszcie.

– Tak, mnie również – przyznał Henry. – A później pomyślałem, że nie mogę pozwolić Ganseyowi Trzeciemu błąkać się samotnie po tej tajemniczej jamie. Zostało nam tak niewiele starych skarbów i rozrzutnością byłoby dać je zniszczyć. Poza tym ktoś musiał sprowadzić resztę twojego dworu.

– Dlaczego pojechałeś sam? – spytała Blue.

Otuliła go ramionami i poczuł, że drżała.

– Próbowałem zachować się bohatersko – oznajmił Gansey, trzymając ją mocno. Była rzeczywista. Wszyscy byli rzeczywisti. Przyszli tu dla niego w środku nocy. Dzięki absolutnemu szokowi, jaki czuł, uświadomił sobie, że w najmniejszym nawet stopniu nie spodziewał się, iż zrobią dla niego coś takiego. – Nie chciałem już was więcej krzywdzić.

– Ty gówniany dupku – stwierdził Adam.

Roześmiali się niespokojnie, ponieważ tego potrzebowali. Gansey przycisnął policzek do czubka głowy Blue.

– Jak mnie znaleźliście? – spytał.

– Ronan prawie zginął, tworząc coś, co pozwoliło cię wyśledzić – wyjaśnił Adam.

Wskazał ręką, a Ronan otworzył dłoń i pokazał przycupniętego w niej świetlika. Gdy palce przestały go więzić, owad podleciał do Ganseya i usiadł mu na swetrze.

Gansey odczepił go ostrożnie z tkaniny i schował we własnej dłoni. Zerknął na Ronana. Nie rzekł: „Przepraszam”, lecz przepraszał, a Ronan to wiedział.

– Co teraz? – spytał zamiast tego.

– Każ mi poprosić robopszczołę, by znalazła twojego króla – odparł natychmiast Henry.

Gansey był jednak zdolny tylko do rozkazywania magii, nigdy zaś ludziom. Nie leżało w jego zwyczaju, by *kazał*

komukolwiek coś zrobić. Prosił, miał nadzieję. Czyń drugiemu z cichą nadzieją, że i on uczyni tobie.

Przyszli tu dla niego. Przyszli tu dla niego.

„Przyszli tu dla niego”.

– Proszę – powiedział Gansey. – Proszę, pomóż mi.

Henry podrzucił pszczołę w powietrze.

– Myślałem, że już nigdy tego nie zrobisz.

Gansey nie był pewien, jak długo szli, zanim wreszcie to odnalazł.

Oto, jak to ostatecznie wyglądało: kamienne drzwi rzeźbione w kruki i wyśniona pszczoła drepcząca po bluszczu. Tunel za nimi biegł z domu z niemagicznej młodości Ganseya, nie zaś z lasu jego niezwyklej teraźniejszości. Wyszło zupełnie inaczej, niż śnił to sobie na jawie.

Lecz wydawało się zupełnie prawidłowe.

Stał przed drzwiami, wyczuwając, jak wokół niego wymyka się czas, jak on sam stoi nieruchomo w jego wezbranym biegu.

– Czujecie to? – spytał pozostałych. „Czy to tylko ja?”

– Podejdz bliżej z latarką – poprosiła Blue.

Henry trzymał się z tyłu, jako nowy uczestnik poszukiwań czekał uprzejmie. Zamiast tłoczyć się wraz z nimi, podał jej latarkę. Blue przytrzymała ją blisko kamienia, podświetlając drobne szczegóły. W przeciwieństwie do poprzedniego odnalezionego przez nich grobowca, gdzie widniała podobizna rycerza, tutaj trafili na niezliczone kruki. Poprzednie drzwi Ronan kopnął, tych jednak dotknął ostrożnie. Adam jedynie spoglądał na nie z dystansem, ściskając dłonie, jakby było mu zimno. Gansey sięgnął po telefon, by jak zwykle wykonać zdjęcie dokumentujące poszukiwania, przypomniał sobie, że komórka padła, po czym zaczął się zastanawiać, czy miało to jakikolwiek sens, jeśli rzeczywiście trafili na grobowiec Glendowera.

Nie. To była chwila dla niego, nie dla ogółu.

Położył dłoń na drzwiach i na próbę rozpostarł palce. Lekkie kołysanie wskazało, że powinny dać się łatwo otworzyć.

– Mam nadzieję, że nie ma szans, by ten gość w środku był zły? – spytał Henry. – Jestem zbyt młody, by umierać. Naprawdę zbyt młody.

Przez siedem lat Gansey miał dość czasu, by rozważyć wszelkie możliwe ewentualności dla króla ukrytego za tymi drzwiami. Przeczytał wystarczająco wiele materiałów na temat życia Glendowera, by wiedzieć, że w zależności od tego, kto o nim pisał, był uznawany za bohatera lub łajdaka. Sam wyciągnął z grobowca jego córkę i odkrył, że została przez niego doprowadzona do obłądu. Poznał legendy obiecujące przysługi i takie, które obiecywały śmierć. W niektórych z opowieści Glendower przebywał sam, w innych otaczały go dziesiątki śpiących rycerzy, którzy mieli się zbudzić wraz z nim.

W paru wersjach – na przykład w tej ich – znajdował się też demon.

– Możesz poczekać na zewnątrz, jeśli się martwisz, Cheng – powiedział Ronan, lecz jego brawura była cienka niczym pajęczyna i Henry z łatwością to dostrzegł.

– Nie mogę nic zagwarantować w kwestii tego, co czeka po drugiej stronie tych drzwi – stwierdził Gansey. – Wszyscy się zgadzamy, że przysługą będzie zabicie demona, prawda?

Zgadziali się.

Gansey przycisnął dłonie do kamienia zimnego niczym śmierć. Wrota przesunęły się lekko pod jego ciężarem, jakiś przemyślny mechanizm pozwolił na ich obrócenie. A może nie było żadnego mechanizmu, pomyślał Gansey. Może w grę wchodziło coś wyśnionego, wymyślnego, co nie musiało działać zgodnie z zasadami fizyki.

Promień latarki oświetlił wnętrze grobowca.

Gansey wszedł do środka.

Ściany mauzoleum Gwenllian zostały bogato pomalowane.

Niezliczone ptaki goniły za sobą, a pozostające w mroku czerwienie i niebieskości nie spłwiałały. Wisiały zbroje i miecze, czekając na przebudzenie śpiącej. Sarkofag umieszczono na podwyższeniu i nakryto zawile rzeźbionym wiekiem przedstawiającym podobiznę Glendowera. Cały grobowiec pasował do osoby królewskiej krwi.

Natomiast teraz znaleźli się po prostu w pomieszczeniu.

Strop okazał się niski i wykuty w skale. Gansey musiał lekko pochylić głowę, Ronan – mocno. Ściany były z nagiej skały. Promień latarki odnalazł szerokie, ciemne naczynie stojące na podłodze, na jego dnie widniał ciemniejszy krąg. Gansey znał się już wystarczająco na rzeczy, by rozpoznać misę wróżebną. Blue skierowała światło dalej. Na środku pomieszczenia znajdowała się kwadratowa płyta, na której leżał rycerz w zbroi, nieprzykryty i niepogrzebany. Przy jego lewej dłoni leżał miecz, przy prawej – kielich.

Był to Glendower.

Gansey widział już tę chwilę.

Czas przesunął się bardziej szczerze wokół niego. Czuł, jak osnuwa mu kostki, obciąża nogi. Nie słyhać było żadnych odgłosów. Nie licząc piątki czujnych nastolatków, nie miało co wydawać odgłosów.

Nie czuł się zbyt rzeczywisty.

– Ganseyu – wyszeptał Adam.

Pomieszczenie połknęło dźwięk.

Promień Blue wskazywał podłogę za opancerzoną sylwetką. Znajdowało się tam drugie ciało. Wymienili ponure spojrzenia, po czym podeszli tam powoli. Gansey był aż nazbyt świadomy szmeru swoich kroków. W pewnej chwili wszyscy jednocześnie stanęli i obejrzel się na drzwi. W normalnym świecie łatwo byłoby w wyniku rozmowy przekonać się

nawzajem, że nie ma obaw, by drzwi się zamknęły. Jednak już od długiego czasu nie żyli w normalnym świecie.

Blue wciąż oświetlała ciało latarką. Składało się z butów, kości oraz jakiegoś rozpadającego się ubioru o nieokreślonej barwie. Częściowo opierało się o ścianę i miało podpartą czaszkę, jakby wpatrywało się we własne stopy.

„Co ja robię?”, pomyślał Gansey.

– Czy ten ktoś zginął, próbując zrobić to co my? – zapytał Adam.

– Tylko jeśli budzenie królów stanowiło dawniej rozrywkę – odparł Henry – ponieważ ten gość był uzbrojony po średniowieczne zęby.

Gansey i Ronan przykucnęli przy kościach. Ciało trzymało miecz. No dobrze, „trzymało” to niewłaściwe określenie. Klatka piersiowa trzymała miecz, który ją przebijał, a czubek tkwił sugestywnie w łopatce.

– Zgodny z epoką historyczną Glendowera – rzekł Gansey, przede wszystkim po to, by poczuć się bardziej sobą.

Zaległa ciężka cisza. Wszyscy spoglądali na Ganseya. Czuli się, jakby miał zaraz wygłosić mowę przed licznie zgromadzonym tłumem.

– No dobrze – powiedział. – Zrobię to.

– Pospiesz się – zaproponowała Blue. – Czuję się ekstremalnie dziwnie.

A więc nadeszła ta chwila. Gansey podszedł bliżej ciała Glendowera ubranego w zbroję.

Jego dłonie zatrzymały się tuż nad hełmem. Serce biło mu tak mocno, że nie mógł zaczerpnąć tchu.

Zamknął oczy.

„Jestem gotowy”.

Delikatnie rozpiął skórzany pasek, po czym ostrożnie

ściągnął zimny hełm.

Adam wciągnął powietrze.

Gansey nie. W ogóle nie oddychał. Stał jedynie jak wryty, ściskając w dłoniach hełm swego króla. Kazał sobie zaczerpnąć powietrza i zrobił to. Kazał sobie wypuścić powietrze i zrobił to. Nie poruszył się jednak ani nic nie mówił.

Glendower nie żył.

Kości.

Proch.

– Czy to... Czy on powinien tak wyglądać? – spytał Henry. Gansey nie odpowiedział.

Nie tak Glendower miał wyglądać, a jednak wcale nie wydawało się to nieprawdziwe. Gansey miał wrażenie, jakby każdą chwilę z tego dnia już kiedyś przeżył, wyśnił, przerobił na nowo. Ileż razy obawiał się, że po odnalezieniu Glendower okaże się martwy? Obawiał się tylko, że odkryje go zaledwie odrobinę za późno. Minuty, dni, miesiące po śmierci. Ten człowiek nie żył jednak od stuleci. Hełm i czaszka były jedynie metalem i kością. Kubrak pod płytami zbroi zamienił się w luźne pasma i pył.

– Czy my... – zaczął Adam, lecz przerwał niepewny, co powiedzieć.

Położył dłoń na ścianie grobowca.

Gansey zakrył usta dłonią. Miał wrażenie, jakby jego oddech mógł rozwiać szczątki Glendowera. Pozostali wciąż stali w szoku. Żadne z nich nie odzywało się, bo nie mogło znaleźć słów. Gansey czekał na to dłużej, ale pozostali również byli pełni nadziei.

– Czy powinniśmy przebudzić jego kości? – spytała Blue. – Jak ze szkieletami w tamtej jaskini?

– Właśnie to zamierzałem sugerować, ale... – rzekł Adam i znów urwał, a Gansey wiedział dlaczego.

Jaskinia była wypełniona szkieletami, w których wciąż wyczuwało się energię życiową. W powietrzu aż trzeszczało od magii i potencjału. Pomysł ożywienia tamtych kości wydawał się niezwykle, lecz nie niemożliwy.

– Nie mam swojego wzmacniacza snów – oznajmił Ronan.
– Przebudzić. Jego. Kości – powtórzył Henry. – Naprawdę nie chcę brzmieć tu na pesymistę, ponieważ wszyscy najwyraźniej jesteście ekspertami, ale.

Ale.

– A więc zrobmy to – odezwał się Ronan. – I to szybko. Nie cierpię tego miejsca. Mam wrażenie, jakby wysysało ze mnie życie.

Wyglądało na to, że jego zdecydowanie pomogło Ganseyowi skupić zamglone myśli.

– Tak – powiedział, choć w jego głosie nie słychać było nawet cienia pewności. – Zrobmy to. Być może jaskinia kości stanowiła próbę generalną przed tą chwilą i właśnie dlatego Cableswater nas do niej zaprowadziło. – Tam kości nie pozostały długo żywe, lecz przypuszczał, że nie miało to znaczenia. Glendower musiał przebudzić się tylko na dość długo, by dać im przysługę.

Serce Ganseya zgubiło na chwilę rytm na myśl, że jednocześnie próbowali zdobyć przysługę i pozbawić go celu w życiu.

Lepsze to niż nic.

Nastolatki spróbowali ustawić się podobnie jak w jaskini kości, zaś Henry trzymał się z tyłu, zaciekawiony lub ostrożny. Adam położył palce na ścianie, szukając jakiegokolwiek energii, by ją przekazać. Chodził wokół pomieszczenia, wyraźnie niezadowolony z tego, na co trafiał. W końcu stanął tam, gdzie zaczął, i znów oparł dłoń o ścianę.

– Równie dobrze może być tutaj – oznajmił, lecz w jego głosie nie było zbyt wiele nadziei.

Blue ujęła go za rękę. Ronan skrzyżował ramiona. Gansey ostrożnie położył dłoń na piersiach Glendowera.

Wszystko to wydawało się sztuczne. Groteskowe. Gansey próbował przywołać intencję, lecz czuł się pusty. Trzęsły mu się kolana, nie ze strachu czy złości, lecz z silniejszej emocji, której nie chciał uznać za żal.

Żal oznaczałby bowiem, że już się poddał.

– Przebudź się – powiedział, po czym po chwili powtórzył to samo dobitniej: – Przebudź się.

Były to jednak wyłącznie słowa.

– Przebudź – rzekł znów Gansey – się.

Głos i nic więcej. *Vox et praeterea nihil.*

Pierwsza chwila uświadomienia sobie prawdy ustępowała drugiej oraz trzeciej. Każda nowa minuta ujawniała jakiś aspekt, którego Gansey nie pozwolił sobie dotąd rozważyć. Nie da się przebudzić Glendowera, a więc nie będzie przysługi. Nie da się błagać o życie Noaha, nie da się wynegocjować odpędzenia demona. Być może Glendowerowi nie towarzyszyła nigdy żadna magia, a jego ciało zawieszono do Nowego Świata tylko po to, by pogrzebać je poza zasięgiem Anglików. Być może Gansey powinien powiadomić historyków o swoim znalezisku, jeśli można było w ogóle do niego dotrzeć w zwyczajny sposób. Jeśli Glendower już nie żył, nie mógł wcześniej ocalić Ganseya.

Jeśli Glendower nie uratował Ganseyowi życia, chłopak nie wiedział, komu dziękować, kim być ani jak żyć.

Nikt nic nie mówił.

Gansey dotykał czaszki, wystającej kości policzkowej, twarzy swego obiecanego i zniszczonego króla. Wszystko stało się wyschnięte i szare.

To koniec.

Ten człowiek nie miał w żaden sposób związać się z Ganseyem.

– Ganseyu? – odezwała się Blue.

Każda minuta ustępowała miejsca następnej i następnej, po czym wszystkie zapadały się powoli w jego serce, docierając do samego jego środka:

„To koniec”.

Gansey zapomniał już, ile razy mówiono mu, że jest przeznaczony do rzeczy wielkich.

Czy tak to się miało skończyć?

Wyszli na słońce. Podstępna linia mocy skradła im całą godzinę, a oni nawet tego nie poczuli. Znajdowali się teraz w zaniedbanym Zielonym Domu, zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym Gansey umarł. Sam Gansey siedział w sali balowej, oparty o ścianę, cały zawarty w prostokącie słonecznego światła wpadającego przez zakurzone szczeblinowe okna. Otarł dłonią czoło, choć nie był zmęczony. Wprost przeciwnie, czuł się tak rozbudzony, że miał pewność, iż na to linia również musiała w jakiś sposób wpłynąć.

To koniec.

Glendower nie żył.

Przeznaczony do rzeczy wielkich, jak mawiali jasnowidzowie. Jeden w Stuttgarcie. Jeden w Chicago. Jeden w Guadalajarze. Dwóch w Londynie. Gdzie więc podziła się ta wielkość? Być może całą już zużył. Być może polegała tylko na umiejętności odnajdywania historycznych błyskotek. Być może dotyczyła tylko tego, co mógł zrobić dla innych.

– Chodźmy stąd – rzekł Gansey.

Wyruszyli w drogę powrotną do Henrietty dwoma jadącymi blisko siebie samochodami.

Od momentu podłączenia do samochodowego gniazdka zapalniczki telefon Ganseya potrzebował tylko kilku minut, by odzyskać możliwość działania, a później tylko kilku sekund, by lawiną ruszyły wiadomości – wszystkie te, które nadeszły

podczas ich pobytu pod ziemią. Każda była sygnalizowana brzęczeniem i owo brzęczenie nie ustawało.

Przegapili zbiórkę dobroczynną.

Linia mocy nie zabrała im paru godzin. Pozbawiła ich *dnia*.

Gansey poprosił Blue, by czytała mu wiadomości, dopóki nie mógł ich już dłużej znieść. Zaczęło się od uprzejmego zapytania, czy spóźni się parę minut. Następnie pojawiła się troska i rozważania, dlaczego nie odbiera telefonu. Później nastąpiło zirytowanie i niepewność, dlaczego uznał, że stosownie jest spóźnić się na imprezę w szkole. Wreszcie komunikaty pominęły fazę gniewu i przeszły prosto w urazę.

„Wiem, że masz własne życie – nagrała się na pocztce głosowej jego matka. – Miałam tylko nadzieję, że weźmiesz w tym udział przez kilka godzin”.

Gansey poczuł, jak miecz przechodzi mu między żebrami i wyłania się z drugiej strony.

Wcześniej raz za razem odtwarzał w myślach nieudaną próbę przebudzenia Glendowera. Teraz nie mógł powstrzymać obrazu rodziny czekającej na niego w Aglionby. Matka sądziła, że tylko się spóźniał. Ojciec myślał, że chował urazę. Helen... Helen wiedziała, że zamiast tego robił coś swojego. Jedyne SMS od niej przyszedł pod koniec wieczoru. „Wychodzi na to, że król zawsze zwycięży, prawda?”.

Będzie musiał do nich zadzwonić. Ale co miał powiedzieć? Poczucie winy pęczniało mu w piersi, w gardle i za oczyma.

– Wiesz co? – odezwał się w końcu Henry. – Zatrzymaj się. Tam.

Gansey w milczeniu wyhamował fiskera na wskazanym parkingu, bmw podjechało za nimi. Stali w pojedynczym rzędzie miejsc przed wymyślnym ceglany budynkiem z toaletami,

oprócz nich nie było innych samochodów. Słońce ustąpiło chmurom i zapowiadało się na deszcz.

– A teraz wysiądź – rzekł Henry.

Gansey spojrzał na niego.

– Słucham?

– Przestań prowadzić – wyjaśnił Henry. – Wiem, że musisz. I to odkąd wyjechaliśmy. Zatem wysiądź.

Gansey zamierzał się sprzeciwić, lecz odkrył, że słowa formowały mu się dość niepewnie w ustach. Czuł się podobnie jak wcześniej w grobowcu, gdy trzęsły mu się kolana.

Nic więc nie powiedział i wysiadł. Bardzo cicho. Pomyślał, czy nie pójść do toalety, lecz w ostatniej chwili skręcił do części piknikowej. Niewidocznej z samochodów. I bardzo spokojnej. Doszedł do ławki, lecz nie usiadł na niej. Zamiast tego osunął się obok niej i otoczył głowę dłońmi. Skulił się tak, że ocierał się czołem o trawę.

Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem płakał.

Oplakiwał nie tylko Glendowera. Również wszystkie wersje Ganseya, którymi był przez ostatnich siedem lat. Tego Ganseya, który poszukiwał zaginionego króla z młodzieńczym optymizmem i poczuciem celu. I tego Ganseya, który poszukiwał go z coraz większym zatroskaniem. A także tego Ganseya, który miał umrzeć. Wszystko to bowiem miało pewien fatalistyczny sens. Ocalenie Ronana i Adama wymagało śmierci. Pocałunek Blue miał okazać się śmiertelny dla jej prawdziwej miłości. Śmierć Ganseya została przepowiedziana na ten rok. Chodziło o niego. Zawsze miało chodzić o niego.

Glendower nie żył. Miał na zawsze pozostać martwy.

Zaś Gansey poniekąd chciał żyć.

W końcu usłyszał kroki zbliżające się po zeschniętych liściach. To również było straszne. Nie chciał wstać, pokazać im

zapłakanej twarzy i otrzymać wyrazów współczucia. Koncepcja takiej podyktowanej dobrymi intencjami uprzejmości wydawała się niemal równie nie do zniesienia, jak myśl o zbliżającej się śmierci. Po raz pierwszy Gansey całkowicie rozumiał Adama Parrisha.

Wyprostował się i wstał, starając się zachować jak najwięcej godności. Zobaczył jednak tylko Blue i z jakiegoś powodu nie wydawało mu się upokarzające, iż widziała go tak załamane. Patrzyła na niego tylko, gdy strzepywał ze spodni sosnowe igły, gdy zaś usadowił się na stole piknikowym, siedziała obok niego, dopóki pozostali nie wysiedli z samochodów, by sprawdzić, co robią.

Stali w półokręgu wokół jego piknikowego tronu.

– Chodzi o ofiarę – powiedział Gansey.

Nikt się nie odezwał. Nie potrafił nawet stwierdzić, czy mówił to na głos.

– Czy coś powiedziałem? – spytał.

– Tak – odparła Blue. – Ale nie chcieliśmy o tym rozmawiać.

– Przepraszam, jeśli to elementarne pytanie – wtrącił Henry – ale przyszedłem spóźniony na lekcję. Nie przypuszczam jednak, by twój drzewny ojciec przekazał ci jakieś inne porady dotyczące zabijania demonów?

– Nie, mówił tylko o ofierze – odrzekła Blue, po czym dodała ostrożnie: – Wydaje mi się... Może wiedział o Glendowerze. Niekoniecznie od razu. Mógł się domyślić, gdy wałęsał się tam na dole po rozstaniu z moją mamą, a mógł też znać sprawę od początku. Sądzę jednak, że był jednym z magów Glendowera. Może również ten... drugi.

Chodziło jej o drugie ciało z grobowca. Nie było trudno pójść za jej tokiem rozumowania, w którym Artemus próbował

ułożyć Glendowera do snu i coś mu nie wyszło.

– A więc pozostała nam ofiara – naciskał Gansey. – Chyba że macie lepsze pomysły. Adamie?

Adam spoglądał spod zmrużonych powiek na cherlawe sosny otaczające obszar piknikowy.

– Staram się wymyślić, co innego mogłoby zadowolić linię mocy, ale sformułowanie „dobrowolna śmierć płaci za niedobrowolną śmierć” nie pozostawia pola do manewru – powiedział.

– Niech zatem tak będzie – odparł Gansey, czując, jak żołądek ściska mu się ze strachu.

– Nie – odezwał się Ronan.

W jego głosie nie słyhać było nuty sprzeciwu, złości czy zdenerwowania. Po prostu stwierdził, że „nie”. Rzeczowo.

– Ronanie...

– Nie. – Rzeczowo. – Nie przyjechałem wyciągać cię z tej nory tylko po to, żebyś celowo umarł.

– Blue widziała mojego ducha na linii mocy – wytłumaczył w podobnym tonie Gansey – wiem już więc, że umrę w tym roku. Zasada niemnożenia bytów ponad miarę sugeruje, że najprostsze rozwiązanie jest najszlachetniejsze: uznajemy, że to będę ja.

– *Co* widziała Blue? – spytał ostro Ronan. – Kiedy zamierzała mi powiedzieć?

– Nigdy – odrzekła Blue.

W jej głosie nie słyhać było nuty sprzeciwu, złości czy zdenerwowania. Po prostu stwierdziła, że „nigdy”. Rzeczowo.

– Nie patrz tak na mnie – odezwał się Gansey. – Nie chcę umierać. Szczerze mówiąc, jestem przerażony. Nie widzę jednak innego wyboru. Poza tym chcę czegoś dokonać, zanim umrę. Wydawało mi się, że będzie to związane z Glendowerem, ale

najwyraźniej nie. Równie dobrze mogę więc zrobić coś istotnego. I... królewskiego.

Ten ostatni fragment był nieco melodramatyczny, ale padł w melodramatycznej sytuacji.

– Chyba mylisz „króla” z „męczennikiem” – uznał Henry.

– Jestem otwarty na inne propozycje – stwierdził Gansey. – Właściwie to nawet je preferuję.

– Jesteśmy twoimi magami, prawda? – wtrąciła nagle Blue.

Tak, jego magami, jego dworem, on zaś był ich bezcelowym królem, niemogącym im zaoferować niczego poza swoim tętnem. Jakże *stuszne* wydawało się cały czas, że spotkał ich wszystkich. Jakże pewne, że pędzili w kierunku czegoś ważniejszego nawet niż ta chwila.

– Tak – przyznał.

– Po prostu... Uważam, że musi istnieć coś, co możemy wszyscy zrobić, jak w jaskini kości – rzekła. – W grobowcu nie zadziałało, ponieważ nie było tam życia. Czy czegoś. Nie było energii. Gdybyśmy mieli jednak więcej prawidłowych elementów?

– Nie rozumiem wystarczająco dobrze magii – stwierdził Gansey.

– Parrish rozumie – podsunął Ronan.

– Nie – zaprotestował Adam. – Nie sędzę, abym rozumiał.

– Na pewno lepiej niż reszta z nas – powiedział Ronan. – Podsuń nam coś.

Adam wzruszył ramionami. Zacisnął dłonie tak mocno, że pobielały mu kostki.

– Może... Może mógłbyś umrzeć, a później wrócić.

Gdybyśmy wykorzystali Cabeswater, by zabiło cię w jakiś sposób, który nie uszkodziłby twego ciała, wtedy doprowadziłoby to do wstrzymania czasu, jak o 6.21. Jedna

minuta rozgrywałaby się wciąż na nowo i nie miałbyś czasu, by, że tak powiem, oddalić się zbytnio od ciała. Nie stałbyś się zbyt martwy. A później... – Gansey słyszał, że Adam wymyślał na poczekaniu, snując prawdopodobną bajeczkę dla Ronana. – To musiałyby się dziać w Cableswater. Mógłbym wieszczyć w strefie snu, podczas gdy Blue by wzmacniała, i podczas jednego ze skurczów czasu moglibyśmy powiedzieć twojej duszy, żeby wróciła do ciała, zanim stałbyś się prawdziwie martwy. Spełniłbyś wymagania ofiary i umarł. Nikt nie powiedział, że musisz pozostać martwy.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

– Tak – odezwał się w końcu Gansey. Rzeczowo. – To wydaje się słuszne. Czy to wystarczająco królewskie dla ciebie, Ronanie? Nie nazbyt męczeńskie, Henry?

Nie wyglądali na zachwyconych, ale widać było, że chcą spróbować, reszta nie miała zatem znaczenia. Musieli jedynie pragnąć uwierzyć, a nie naprawdę uwierzyć.

– Jedźmy do Cableswater – stwierdził Gansey.

Dopiero co ruszyli z powrotem do samochodów, gdy Adam zaatakował Ronana.

Ronan potrzebował zbyt wiele czasu, by uświadomić sobie, że Adam go zabijał.

Na szyi zaciskały się dłonie Adama, w tętnice wbijały się kciuki, oczy wywróciły mu się na drugą stronę. Ronan widział jedynie błyski światła. Jego ciało było pozbawione powietrza dopiero od minuty, a już za nim tęskniło. Czuł swój puls w gałkach ocznych.

– Adamie? – krzyknęła Blue.

Część Ronana wciąż sądziła, że nastąpiła pomyłka.

Ronan wciąż nie mógł odetchnąć, gdy zatoczyli się z powrotem przez sosny w kierunku części piknikowej. Pozostali znajdowali się wokół nich, lecz Ronan nie mógł się skupić, by zobaczyć, co robili.

– Walcz – warknął Adam do Ronana cichym, zdesperowanym głosem, jak zwierzę ciągnięte za szyję. Choć jego głos protestował, ciało w tym samym czasie uderzyło Ronanem o pień sosny. – Uderz mnie. Powal mnie!

Demon. To demon zawładnął jego dłońmi.

Każde uderzenie serca Ronana było niczym wagon wykolejającego się pociągu. Złapał Adama za nadgarstki. Wydawały się kruche, łamliwe, zimne. Miał do wyboru śmierć albo skrzywdzenie Parrisha, czyli w zasadzie żaden wybór.

Adam nagle stracił chwyt i upadł na kolana, lecz szybko się podniósł. Henry odskoczył, gdy Adam zamachnął się na jego twarz w sposób przerażający w swej niestosowności. Żaden człowiek nie walczył w taki sposób, lecz istota, która kierowała jego rękoma i oczyma, nie była człowiekiem.

– Powstrzymajcie mnie! – błagał Adam.

Gansey chciał złapać Adama za palce, lecz ten z łatwością

je wyrwał, po czym pochwycił nimi ucho Ronana, zaś drugą dłonią wczepił mu się w żuchwę, szarpiąc w przeciwną stronę. Oczy skierowane miał w swoją lewą stronę, jakby czekał, aż przeciwnicy go unieruchomią.

– *Powstrzymajcie mnie...*

Ból był niczym porwana kartka papieru. Ronan pomyślał, jak bardzo go bolało, po czym pozwolił sobie na jedną głębszą dawkę bólu i wyrwał się z chwytu Adama. Korzystając z okazji, Blue rzuciła się naprzód i złapała garść jego włosów. Natychmiast obrócił się ku niej i z błyskawiczną precyzją rozerwał jej szwy.

Blue wypuściła w szoku powietrze, gdy krew znów zaczęła zalewać jej powiekę. Gansey odciągnął ją, zanim Adam zdążył ponownie ją podrapać.

– Uderzcie mnie – rzekł żałośnie Adam. – Nie pozwólcie mi tego robić.

Mogłoby się wydawać, że zadanie powinno być proste. W końcu ich było czworo, a Adam sam. Żadne z nich nie chciało jednak zrobić krzywdy Adamowi Parrishowi, mimo tego, jak się zachowywał. Natomiast demon kontrolujący jego kończyny posiadał supermoc: nie przejmował się ograniczeniami człowieka, do którego należały. Nie przejmował się bólem. Nie przejmował się długowiecznością. Knykcie Adama bez najmniejszego wahania przemknęły więc obok Ronana i uderzyły w pień sosny. Adam wciągnął gwałtownie powietrze. Oddechy wszystkich zamieniały się w białe obłoczki, wyglądające jak chmury pyłu.

– On mu połamie pieprzone ręce – powiedział Ronan.

Blue pochwyciła jeden z nadgarstków Adama. Rozległ się straszliwy odgłos, gdy Adam zamachnął się w drugą stronę i wyrwał nóż techniczny z luźnej kieszeni jej swetra. Ostrze

wysunęło się.

Dysponował ich niepodzielną uwagą.

Jego wywracające się oczy, kontrolowane przez demona, skupiły się na Ronanie.

Jednak Adam – prawdziwy Adam – również nie przestawał walczyć. Zarzucił ciałem, odsuwając je od nastolatków, wpadł na ławkę piknikową, po czym uderzył w nią ponownie, próbując zablokować rękę z nożem. Udało mu się przycisnąć ją własnym ciężarem, lecz druga dłoń pięła się w górę. Szybko, niczym kot, podrapała go po własnej twarzy. Natychmiast skropiła się krew. Paznokcie drapały mocniej. Karały go.

– N i e – oznajmił Gansey. Nie mógł tego znieść. Pobiegnął w stronę Adama. Gdy przypadł do niego, chwytając tę rozwścieczoną dłoń, Henry był tuż za nim, tak więc kiedy Adam uniósł nóż, by zamachnąć się na Ganseya, Henry mógł go złapać za nadgarstek i wykorzystać całą swą siłę przeciwko jednej ręce Adama. Oczy Parrisha rozglądały się szaleńczo, próbował zdecydować się na następne posunięcie. Następne posunięcie demona.

Adama obchodziła wyłącznie jego własna niezawisłość.

Gdy Adam szarpnął nadgarstkiem trzymanym przez Henry'ego, ten zawołał:

– Przestań, idioto, zaraz go złamiesz! – Parrish zamachnęła się pięścią w zęby Ganseya. – W porządku, Adamie, wiemy, że to nie ty!

Ronan otoczył go ramionami, blokując mu ręce.

Demon został powstrzymany.

– *Forsan et haec olim meminisse juvabit* – powiedział Ronan prosto w nadstawione ucho Adamowi i jego tors oklapł mu w objęciach, czuć było jedynie ciężko poruszającą się pierś.

Dłonie wciąż podrygiwały i próbowały się wydostać.

– Ty dupku – wydyszał Parrish, lecz Ronan słyszał, jak bliski był łoż.

– Najpierw zwiążmy mu ręce, a później zastanowimy się, co dalej – zasugerowała Blue. – Czy moglibyście... Och, ależ jesteś zmyślna, dziękuję.

To dlatego, że Sierotka przewidziała już, jak sytuacja może się potoczyć, i przyniosła długą czerwoną wstęgę nieznanego pochodzenia. Blue przyjęła ją i wcisnęła się między Henry'ego oraz Ganseya.

– Zróbcie mi trochę miejsca – poprosiła. – I ściśnijcie mu nadgarstki.

– Nie, prezydencie – wysapał bez tchu Henry. – Trzeba je tak skrzyżować. Nie widziałeś żadnych seriali policyjnych?

Blue splotła Adamowi palce, co wymagało pewnego wysiłku, ponieważ jeszcze poruszały się z własnej woli, po czym skrępowała mu podrygujące wciąż nadgarstki. Owinęła je wstążką i zawiązała. Adamowi wciąż drżały barki, nie mógł jednak rozplątać palców.

Wreszcie zapanował spokój.

Westchnęła głęboko i odsunęła się. Gansey z troską dotknął jej zakrwawionego czoła, po czym spojrzął na knykcie Henry'ego, które musiały podrapać się w którymś momencie szamotaniny.

Dłonie Adama przestały się poruszać, gdy demon uświadomił sobie, że zostały dobrze zabezpieczone. Głowa spoczywała żałośnie na ramieniu Ronana. Trząśł się. Stał tylko dlatego, że Ronan nie pozwalał mu upaść.

W Ronanie wzrastała świeża zgroza wywołana zbrukaniem Adama Parrisha i martwotą Glendowera.

Sierotka podkradła się bliżej. Ostrożnie rozpięła pasek brudnego zegarka, po czym luźno założyła go Adamowi na

nadgarstek ponad więzami. Następnie pocałowała go w rękę.

– Dziękuję ci – powiedział słabo, po czym zwrócił się cicho do Ganseya: – Równie dobrze to ja mogę zostać ofiarą. I tak jestem zniszczony.

– Nie – oznajmili jednocześnie Blue, Gansey i Ronan.

– Nie dajmy się ponieść emocjom tylko dlatego, że próbowałeś kogoś zabić – wyjaśnił Henry.

Wsunął zakrwawione palce do ust.

Adam uniósł głowę.

– A zatem lepiej zakryjcie mi oczy – rzekł.

– Co? – spytał z zaskoczeniem Gansey.

– Ponieważ – odparł gorzko Adam – inaczej was zdradzą.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła o Seondeok.

Nie zamierzała wcale zostawać międzynarodową marszandką, a po godzinach szefową zorganizowanej przestępczości. Zaczęło się od zwykłego pragnienia „czegoś więcej”, a później uświadomienia sobie, że nie ma szans na owo „coś więcej” na bieżącej ścieżce. Była zameżna z mądrym człowiekiem, którego poznała w Hong Kongu, miała kilkoro błyskotliwych dzieci, z których wszystkie poza jednym wrodziły się głównie w niego, i widziała, jak potoczy się jej dalsze życie.

A później zwariowała.

Obłąd nie trwał długo. Może rok napadów, wizji oraz błąkania się po ulicach. Gdy zaś dopłynęła na drugi brzeg, odkryła, iż posiadała oczy jasnowidzki i dotyk szamanki, uznała więc, że robi na tym karierę. Nazwała się Seondeok i tak oto narodziła się legenda.

Codziennie miała do czynienia z cudami.

Mechaniczna pszczoła pozwoliła jej uświadomić sobie, że znalazła się na właściwej ścieżce. Henry, jej środkowy syn, lśnił silnym blaskiem, lecz nigdy nie wydawał się zdolny do skierowania tego światła poza siebie. Gdy więc Niall Lynch zaproponował błyskotkę, magiczną zabawkę, która mogła mu pomóc, słuchała uważnie. Piękna pszczoła zauroczyła ją od pierwszego spojrzenia. Lynch pokazał ją oczywiście również Laumonierowi, Greenmantle’owi, Valquezowi, Mackey’emu i Xi, choć można się było tego spodziewać, ponieważ pozostawał niereformowalnym łajdakiem. Kiedy jednak poznał Henry’ego, pozwolił Seondeok kupić ją niemal za bezcen i nie zapomniała mu tego.

Rzecz jasna, był to nie tylko podarunek, ale i kara, ponieważ później Laumonier porwał z jej powodu Henry'ego. Zamierzała to pomścić.

Nie żałowała. Nie potrafiła zmusić się do żalu, choćby w grę wchodziło zagrożenie dla jej dzieci. Stała na ścieżce wskazanej przez los i czuła się na niej odpowiednio, nawet gdy bywało ciężko.

Gdy na parkingu poza kampusem Akademii Aglionby znalazła się obok Szarego Mężczyzny, osiłka wynajmowanego wcześniej przez Greenmantle'a, i odkryła, że krew na jego butach należała do Laumoniera, natychmiast zaciekawilo ją, co miał do powiedzenia.

– Śmiały nowy sposób prowadzenia interesów – powiedział cicho Szary Mężczyzna, ponieważ parking szybko zaczynał wypełniać się niewielką, lecz znaczącą liczbą złowrogo wyglądających ludzi. Niekoniecznie chodziło o to, że wyglądali niebezpiecznie, a raczej, że po prostu dziwnie, w sposób sugerujący, iż nie postrzegali świata jak zwykli śmiertelnicy. Zdecydowanie różnili się od grupy, która pojawiła się w szkole dzień wcześniej. Technicznie rzecz biorąc, obydwie zgromadzenia miały sporo wspólnego z polityką. – Etyczny sposób. Przy sklepach meblowych nie stoją uzbrojeni strażnicy, pilnujący, by ludzie nie walili sprzedawców po głowach i nie wynosili tapczanów. Takiego biznesu chcę.

– Nie będzie łatwo to osiągnąć – stwierdziła równie cichym głosem Seondeok. Wciąż przypatrywała się podjeżdżającym samochodom oraz swemu telefonowi. Kazała Henry'emu trzymać się z dala i wierzyła, że nie będzie się wychylał, ale też w najmniejszym nawet stopniu nie ufała Laumonierowi. Nie było sensu kusić go, pokazując, że Henry (a więc i jego pszczoła) znajdował się w pobliżu. – Ludzie przyzwyczaili się

do wynoszenia tapczanów i nie zgodzą się przestać ich kraść, skoro inni się na to nie zgodzili.

– Na początku może okazać się potrzebna perswazja – przyznał Szary Mężczyzna.

– Mówisz o perspektywie lat.

– Jestem na to zdecydowany – odparł. – Jeśli tylko zdołam pozyskać odpowiednią liczbę ludzi zainteresowanych tą wizją. Ludzi, których lubię.

Pojawił się wreszcie Laumonier w dwóch elementach. Jeden z nich trzymał telefon i jego twarz sugerowała, że próbował skontaktować się z trzecim, lecz nie bardzo był on w stanie odebrać. Szary Mężczyzna zamierzał to omówić z Laumonierem po zakończeniu licytacji. Omówić w przekonujący sposób, ze wsparciem naprawdę fantastycznej broni, jaką znalazł w gospodarstwie Lynchów.

– Nie należę do ludzi, których lubisz – rzekła Seondeok.

– Należysz do ludzi, których szanuję, a to prawie to samo.

Jej uśmiech wskazywał, że wiedziała, iż jej się podlizywał, a ona akceptowała to mimo wszystko.

– Być może, panie Szary. Jest to zgodne z moimi interesami.

Właśnie wtedy przybyła Piper Greenmantle.

Z tym, że z początku to nie była ona. Najpierw pojawiła się zgroza, później Piper. Wszyscy odczuli to niczym falę mdłości, przetaczającą się po nich od stóp do czubka głowy, posyłającą dłonie do gardeł, a kolana na chodnik. Było dopiero wczesne popołudnie, a jednak niebo nagle wydało się ciemniejsze. Tak wyglądała pierwsza oznaka, że sprzedaż miała okazać się pamiętna.

Zatem najpierw zgroza, później Piper. Na dodatek przyleciała, co stanowiło drugą oznakę, że sytuacja okaże się

cokolwiek niezwykła.

Gdy wylądowała, stało się oczywiste, że dotarła na latającym dywanie z maleńkich czarnych pszczoł, który rozpadł się, gdy tylko dotknęły asfaltu.

Wyglądała dobrze.

Okazało się to uderzające z kilku powodów. Po pierwsze, ponieważ plotki głosiły, że zmarła, zanim jej służalczy mąż został zabity przez osy w swoim domu, a jednak najwyraźniej żyła. Po drugie zaś, ponieważ trzymała osę długą na niemal trzydzieści centymetrów, zaś większość ludzi trzymających owady dowolnych rozmiarów nie wyglądała na tak spokojnych i opanowanych jak ona.

Podeszła do Laumoniera, najwyraźniej chcąc go pocałować w policzek, lecz obydwaj odsunęli się przed insektem. Była to trzecia oznaka, że coś jest na rzeczy, ponieważ Laumonier zwykle pilnował, by nigdy nie wyglądać na zaniepokojonego.

– Nie jest dobrze – powiedział Szary Mężczyzna pod nosem.

Było bowiem oczywiste, że poczucie zgrozy pochodziło od Piper albo od osy. Wrażenie to wciąż zalewało Seondeok falami mdłości, boleśnie przypominając jej o roku szaleństwa. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że *werbalnie* przypominało jej o roku szaleństwa. Słyszała słowa wypowiedane bezpośrednio w jej głowie. Po koreańsku.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie – oznajmiła uroczyście Piper. Przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy. Seondeok wiedziała, że również słyszała szepty. – Skoro jestem samotna, zamierzam prowadzić niezależne interesy w dziedzinie luksusowych magicznych przedmiotów, zajmując się wyłącznie najbardziej niezwykłymi i nieziemskimi szalonymi cholerstwami. Mam nadzieję, że wszyscy uznacie mnie za źródło

wysokiej jakości towaru. Zaś na początek oferuję coś, po co wszyscy przebyliście tak długą drogę: to. – Uniosła rękę i osa podeszła o krok w kierunku jej dłoni. Tłum zadrżał jednocześnie, ponieważ w istocie było w tym coś niewłaściwego: zgroza, rozmiar, ciężar przemieszczający się po tkaninie rękawa. – Oto demon.

Tak. Seondeok jej wierzyła.

– Jest mi przychylny, jak zapewne możecie stwierdzić po moich wspaniałych włosach i cerze, lecz jestem gotowa przekazać go następnemu użytkownikowi, aby móc znaleźć kolejną wspaniałą rzecz! W końcu najważniejsze to nie stać w miejscu, prawda? Prawda!

– Czy to... – zaczął jeden z mężczyzn w grupie.

Rodney, tak chyba miał na imię, pomyślała Seondeok. Wydawał się nie wiedzieć, jak dokończyć pytanie.

– Jak to działa? – spytała Seondeok.

– Zwykle proszę go, by robił różne rzeczy – odparła Piper – a on je robi. Nie jestem szczególnie religijna, sądzę jednak, że ktoś bardziej wierzący mógłby go skłonić do naprawdę fajnych sztuczek. Wykonał dla mnie dom i te balerinki. Co mógłby zrobić dla was? Rozmaite rzeczy. Zaczniemy licytację, tato?

Laumonier wciąż jeszcze nie do końca doszedł do siebie. Obecność demona sprawiała, że robiło się gorzej zamiast lepiej. Stanowiło to przeciwieństwo przyzwyczajania się. Zupełnie jakby ktoś pogłębiał ci ranę. Szepty okazywały się trudne do zniesienia, ponieważ tak naprawdę wcale nie były szeptami. Bardziej myślami mieszającymi się z twoimi, trudnymi do uszeregowania według stopnia ważności. Seondeok przetrwała jednak rok szaleństwa i teraz mogła to znieść. Określenie, które myśli pochodziły od demona, nie było niemożliwe: te najohydniejsze, najbardziej wypaczone. Takie, które niweczyły

myślącego.

Parę osób na tyłach odchodziło. Wycofywali się bez słowa do samochodów, zanim sytuacja stanie się paskudna.

Paskudniejsza. Najpaskudniejsza.

– Hej! – rzekła Piper. – Nie odchodźcie tak po prostu ode mnie. Demonie!

Osa poruszyła czułkami i ludzie zadrżeli zgodnie z ich rytmem. Wirowali w miejscu z oczyma szeroko otwartymi w szoku.

– Widzicie – oznajmiła Piper przez zaciśnięte zęby. – Naprawdę bywa całkiem przydatny.

– Wydaje mi się – stwierdził ostrożnie Laumonier, spoglądając na unieruchomionych kupujących, później na pozostałych i wreszcie na swą córkę – że to nie jest najlepszy sposób prezentowania tego konkretnego towaru.

Miał na myśli, że demon wszystkich przerażał i trudno było pozbyć się wizji, iż wszyscy mogą w każdej chwili zginąć, co okazywało się kiepskie dla bieżących i przyszłych interesów.

– Nie używaj na mnie tej swojej pasywnej agresji – powiedziała Piper. – Czytałam artykuł o tym, jak w zasadzie podkopywałeś moją osobowość przez całe moje życie, i to *zdecydowanie* jest tego przykład.

– To zdecydowanie jest przykład tego, że wykraczasz poza swą wiedzę – odparł Laumonier. – Twoja ambicja nieustannie przeważa nad wykształceniem! Nawet nie wiesz, jak przekazać demona.

– *Zażyczę* sobie tego, nie pojmujesz? – spytała Piper. – Musi mi być przychylny! Zrobi to, co powiem.

Seondeok nie była jednak tego taka pewna.

– Tak sądzisz? – zapytał Laumonier. – Ty kontrolujesz jego czy on ciebie?

– Och, *przestań* – rzekła Piper. – Demonie, odmroź tych ludzi! Demonie, niech zrobi się słonecznie! Demonie, zmień moje ubranie na zupełnie białe. Demonie, zrób, co mówię. Zrób, co mówię!

Ludzie odzyskali zdolność ruchu, niebo na zaledwie sekundę zrobiło się tak jasne, jakby rozpalone do białości, jej stroje zbieleły, a demon wzniósł się z brzęczeniem w powietrze. Szepty w głowie Seondeok stały się dość zaciekle.

Laumonier zastrzelił swoją córkę.

Z powodu tłumika rozległo się jedynie ciche stuknięcie. Laumonier wyglądał na zszokowanego. Obydwaj nic nie powiedzieli, jedynie wpatrywali się najpierw w jej ciało, a później w demona, który do nich szeptał.

Teraz wszyscy zaczęli uciekać. Jeśli Laumonier był zdolny do zastrzelenia córki, wszystko mogło się zdarzyć.

Demon wylądował na ranie w szyi Piper. Jego odnóża zanurzyły się we krwi, a głowa pochyliła się do otworu.

Zmieniał się. Ona się zmieniała. Wszystko zostawało niweczone, przeradzało się w przemoc i perwersję.

– Zadzwoń do mnie później – odezwała się Seondeok do Szarego Mężczyzny. – A teraz spadaj stąd.

Wrzask Piper rozbrzmiał wspan. Seondeok nie zdawała sobie sprawy, że ona wciąż żyła.

Krew na jej szyi stała się czarna.

„Ambicja chciwość nienawiść przemoc pogarda ambicja chciwość nienawiść przemoc pogarda”.

Nie żyła.

Demon zaczął powstawać.

„Niweczyciel, niweczyciel, budzę się, budzę, budzę”.

Adam nie mógł się zdecydować, czy była to najgorsza rzecz, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła, czy też tylko tak mu się wydawało, ponieważ ostatnio bywał tak bezrozumnie szczęśliwy, że kontrast okazał się ogromny.

Siedział na tylnej kanapie bmw, wciąż miał związane dłonie, zasłonięte oczy, jedno ucho głuche. Nie czuł się nawet rzeczywisty. Był zmęczony, lecz nie senny, raczej znużony wysiłkiem niemożności korzystania ze zmysłów. A jednak demon wciąż od czasu do czasu ocierał się o wstążkę – jakże skóra paliła go z bólu – i wbrew jego woli wywracał mu oczyma. Na jego prośbę Blue siedziała obok niego, za nią zaś Sierotka. Nie miał pojęcia, czy zdołałby wyrwać się z więzów, ale wiedział, że demon skrzywdziłby Blue tylko podczas próby dopadnięcia Ronana lub Sierotki, gdyby więc znów nim zawładnął, przynajmniej będą mieć ostrzeżenie.

„Boże, Boże”. Niemal zabił Ronana. Mógł go zabić. Dopiero co się z nim całował, a jednak jego dłonie zamordowałyby go na jego oczach.

Jak mógł po czymś takim wrócić do szkoły? Jak mógł robić *cokolwiek...*

Zdradził go oddech, ponieważ Blue oparła się na jego barku.

– Nie... – ostrzegł.

Uniosła głowę, lecz po chwili poczuł jej palce w swoich włosach. Pogładziły je lekko, a później dotknęły skóry na jego policzku w miejscu, w którym się podrapał. Nic nie mówiła.

Zamknął oczy za opaską, nasłuchując powolnego stukotu deszczu o przednią szybę i szmeru wycieraczek. Nie miał pojęcia, ile im jeszcze zostało do Cabeswater.

Dlaczego nie potrafił wymyślić innej drogi obejścia ofiary? Gansey tak się spieszył tylko ze względu na niego, ponieważ zawarty przez Adama pakt przerodził się w sytuację kryzysową. W ostatecznym rozrachunku Parrish i tak miał go zabić, podobnie jak w wizji. Była to pokrętna wersja winy, zupełnie na opak, ale mimo to Adam stał u steru. Nie dawało się jednak zaprzeczyć, że to dzięki niemu sytuacja stała się kryzysowa.

Gdzieś w głębi siebie Adam usłyszał złe przeczucie, ale nie potrafił określić, czy chodziło o poczucie winy, czy też ostrzeżenie ze strony Cabeswater.

– Co to? – dobiegł z fotela pasażera głos Ganseya. – Na drodze?

Blue odsunęła się od Adama. Usłyszał, jak wsunęła się między przednie fotele.

– Czy to... krew?

W jej głosie słychać było wątpliwości.

– Z czego? – spytał Ronan.

– Może z niczego – odparł Gansey. – Jest prawdziwa?

– Deszcz w nią uderza – rzekł Ronan.

– Czy powinniśmy... po niej przejechać? – spytał Gansey.

– Blue, jak wygląda twarz Henry'ego? Widzisz ją?

Adam poczuł, jak Blue ociera się o niego ciałem, obracając się, by spojrzeć na jadącego za nimi fiskera. Dłonie napięły mu się i zadrżały, nieskończenie wygłodniałe. Demon wydawał się... blisko.

– Daj mi telefon – powiedziała Blue. – Chcę zadzwonić do mamy.

– Co się dzieje? – zapytał Adam.

– Droga jest zalana – odparła Blue. – Tyle że to wygląda jak krew. I coś w niej pływa. Co to jest, Ganseyu? Czy to... płatki? Niebieskie płatki?

We wnętrzu samochodu zapadła ciężka cisza.

– Czy zdarza wam się czuć, że sytuacja zatacza pełen okrąg? – odezwał się po chwili cicho Ronan. – Czy...

Nie dokończył zdania. W aucie znów panowało milczenie i nic się nie poruszało. Najwyraźniej Ronan nie zdecydował jeszcze, czy przejechać przez zalany docinek. Deszcz rozpryskiwał się o szyby i karoserię. Wycieraczki znów stęknęły.

– Chyba musimy... Jezu – odezwał się nagle Gansey. – *Jezu. Ronanie?*

W jego głosie rozbrzmiewało przerażenie.

– *Ronanie?* – powtórzył Gansey.

Rozległo się metaliczne stuknięcie. Skrzypnięcie fotela. Szelest. Samochód poruszył się pod nimi, gdy Gansey przesuwiał swój ciężar. Ronan wciąż nie odpowiadał. W tle jego słów rozbrzmiewał niski pomruk. Silnik. Ronan naciskał pedał gazu, choć skrzynia biegów znajdowała się na luzie.

Dziwne przecucie w żołądku Adama urosło do niepokoju.

Pomruk gwałtownie ucichł, silnik wyłączył się.

– O nie – powiedziała Blue. – Nie, dziewczynka też!

Odsunęła się szybko od Adama. Usłyszała, jak otwiera drzwi po drugiej stronie samochodu. Chłodne, wilgotne powietrze wdarło się do wnętrza bmw. Otworzyły się kolejne drzwi i jeszcze jedno. Wszystkie poza tymi obok Adama. Z zewnątrz dobiegł głos Henry'ego: głęboki, poważny oraz zupełnie wyzuty z poczucia humoru.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć Adam.

– Czy możemy... – Głos Blue wpadał w łkanie i dochodził od strony drzwi kierowcy. – Czy możemy to z niego zdjąć?

– Nie – wydyszał Ronan. – Nie dotykajcie tego... Nie...

Fotel kierowcy poruszył się tak mocno, że uderzył Adama

w kolana. Parrish usłyszał odgłos, który niewątpliwie musiał pochodzić od Ronana starającego się zaczerpnąć tchu.

– O Jezu – rzekł Gansey. – Powiedz mi, co mogę zrobić.

Fotel znów się zakołysał. Dłonie Adama szarpnęły się w stronę oparcia wbrew jego woli. Cokolwiek się działo, chciał to przyspieszyć. Telefon Ronana zaczął dzwonić, dzwonić, dzwonić. Był to cichy nudny dzwonek zaprogramowany przez Ronana jako sygnał połączenia od Declana.

Najgorsze, że Adam wiedział, co to oznaczało: coś się działo z Matthew. Nie, najgorsze było, że Adam nie mógł nic na to poradzić.

– Ronanie, Ronanie, nie zamykaj oczu – odezwała się Blue, teraz już płakała. – Dzwonię... Dzwonię do mamy.

– Ej, odsuń się! – wrzasnął Gansey.

Całe auto zakołysało się.

– Co *to* było? – spytał gwałtownie Henry.

– On to sprowadził ze snu – odrzekł Gansey. – Gdy stracił przytomność. Nie skrzywdzi nas.

– *Co się dzieje?* – wciąż chciał wiedzieć Adam.

– Jest niweczony – odparł Gansey cichym, żalonym, łamiącym się głosem.

Nie dało się uwierzyć, że poprzednią chwilę Adam uważał za najgorszą.

Najgorsze było bowiem to: siedzenie z zasłoniętymi oczyma i związanymi dłońmi na tylnym siedzeniu samochodu oraz świadomość, że cichy, dyszący dźwięk to Ronan Lynch starający się złapać oddech za każdym razem, gdy wracała mu przytomność. Ronan w tak znacznej mierze składał się z brawury, która opuściła go zupełnie.

Zaś Adam był jedynie bronią mającą go szybciej zabić.

Czuł się, jakby minęły lata, odkąd zawarł pakt z Cableswater. „Będę twoimi rękoma, będę twoimi oczyma”. Jakże przerażony był wówczas Gansey i być może miał rację. Adam został bowiem w prosty sposób pozbawiony jakichkolwiek możliwości, uczyniony zupełnie bezsilnym.

Jego myśli były teraz niczym pole bitwy i Adam uciekł w czerń panującą za opaską. Wieszczenie, gdy Cableswater stało się tak zagrożone, stanowiło niebezpieczną grę, zwłaszcza że wszyscy pozostali byli zbyt zajęci, by zauważyć, że mógłby umrzeć na tylnej kanapie, ale tylko w ten sposób mógł przetrwać, znajdując się tak blisko bolesnych sapanieć Ronana.

Odpląnął daleko i szybko, odrzucił swą podświadomość od świadomych myśli, oddalił się jak najbardziej i najszybciej od rzeczywistości samochodu. Z Cableswater pozostało bardzo, bardzo niewiele. Głównie mrok. Może nie zdoła odnaleźć drogi powrotnej do zbrukanego ciała. Może się zgubi, jak...

Persefona.

„Persefona”.

Gdy tylko sformułował w myślach jej imię, uświadomił sobie, że była obok niego. Nie potrafił stwierdzić, skąd to

wiedział, ponieważ jej nie widział. Zresztą niczego nie widział. W zasadzie doszedł do przekonania, że znów w pełni odczuwał tkaninę opaski na oczach oraz tępy ból palców splecionych i ściśniętych ze sobą. W pełni odczuwał swą fizyczną rzeczywistość, znów tkwił uwięziony w bezużytecznym ciele.

– Wypchnęłaś mnie tutaj – stwierdził oskarżycielsko.

„Poniekąd – odparła. – W znacznej mierze sam pozwoliłeś się wypchnąć”.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Był zbyt boleśnie szczęśliwy, że znów czuje jej obecność. Nie chodziło o to, że Persefona, nieokreślona Persefona, była osobą napawającą jakąś szczególną otuchą, lecz jej rozsądek, wiedza oraz zasady przynosiły mu sporą pociechę, gdy pogrążył się w chaosie, i choć tak naprawdę nic mu nie powiedziała, samo wspomnienie tej pociechy napełniało go nagle przemożną radością.

– Jestem w strzępach.

„Yhm”.

– To moja wina.

„Yhm”.

– Gansey miał rację.

„Yhm”.

– Przestań powtarzać „yhm”!

„To może ty przestań powtarzać rzeczy, których wypowiedzianie męczyło cię już kilka tygodni temu”.

– Ale moje dłonie. Moje oczy.

Gdy je określił, poczuł je. Drapiące dłonie. Wywracające się oczy. Napawały się możliwością zniszczenia Ronana. Taki był ich cel. Jakże pragnęły pomóc w tym straszliwym zadaniu.

„Z kim zawarłeś tę umowę?”.

– Z Cableswater.

„Kto korzysta z twoich dłoni?”.

– Demon.

„To nie to samo”.

Adam nie odpowiedział. Persefona znów dawała mu radę, która brzmiała dobrze, ale nie dało się jej zastosować w świecie rzeczywistym. To była wiedza, nie obiekt licytacji.

„Zawarłeś umowę z Cebeswater, nie z demonem. Choć wyglądają tak samo i wydają się tym samym, nie są tym samym”.

– Wydają się tym samym.

„Nie są tym samym. Demon nie ma do ciebie żadnych praw. Nie wybrałeś demona. Wybrałeś Cebeswater”.

– Nie wiem, co zrobić – przyznał Adam.

„Owszem, wiesz. Musisz dalej wybierać”.

Jednak Cebeswater umierało. Wkrótce nie będzie można go wybrać. Wkrótce może być już tylko umysł Adama, ciało Adama oraz demon. Nie wypowiedział tego na głos. Nie miało to znaczenia. W tym miejscu jego myśli i słowa były tym samym.

„To nie czyni cię demonem. Zostaniesz jednym z tych bogów bez magicznych mocy. Jak się ich nazywa?”.

– Nie sądzę, by istniało określenie...

„Królowie. Zapewne. Będę już się zbierać”.

– Persefono, proszę... Ja... tęsknię za tobą.

Został sam, odeszła. Jak zawsze po spotkaniu z nią odczuwał po równo otuchę i niepewność. Uczucie, że wiedział, jak postąpić, oraz wątpliwość, czy był do tego zdolny. Tym razem przebyła jednak okropnie długą drogę, by przekazać mu tę lekcję. Nie wiedział, czy wciąż go widziała, lecz nie chciał jej zawieść.

I prawdę mówiąc, gdy myślał o rzeczach, które kochał w Cebeswater, nie było trudno określić różnicę pomiędzy lasem

a demonem. Wyrastały z tej samej gleby, lecz nie było w nich nic podobnego.

„Te oczy i dłonie są moje”, pomyślał Adam.

I były. Nie musiał tego udowadniać. Gdy tylko w to uwierzył, stało się faktem.

Obrócił głowę i zdarł opaskę z oczu.

Ujrzał koniec świata.

Demon powoli rozplątywał nici śniącego.

Śniący byli istotami trudnymi do zniweczenia. Tak duża ich część nie istniała w fizycznym ciele. Tak wiele z ich skomplikowanych elementów wiło się wokół gwiazd i oplątywało korzenie drzew. Tyle z nich spływało rzekami i wybuchało w powietrzu między kroplami deszczu.

Śniący walczył.

Demonowi chodziło o niweczenie i nicość, śpiącemu o tworzenie i pełnię. Śniący uosabiał jedno i drugie aż do ekstremum, był nowym królem w swym wymyślonym królestwie.

Walczył.

Demon wciąż pozbawiał go przytomności i w tych krótkich chwilach czerni śniący chwycił światło, gdy zaś dopływał z powrotem do świadomości, wypychał sen w rzeczywistość. Kształtował go w trzepoczące stworzenia, lecące ku Ziemi gwiazdy, płonące korony, złote nuty, które same śpiewały, miętowe listki porozrzucane na zakrwawionym chodniku oraz skrawki papieru, na których zapisano nierównym pismem:
Unguibus et rostro.

Mimo to umierał.

Chcieć żyć, lecz akceptować śmierć, by ocalić innych – na tym polegała odwaga. W ten sposób miała się objawić wielkość Ganseya.

– To musi się stać teraz – powiedział. – Muszę złożyć ofiarę.

Gdy już nadeszła ta chwila, dostrzegało się w niej pewną chwałę. Nie chciał umrzeć, ale przynajmniej robił to dla tych ludzi, dla swej odnalezionej rodziny. Przynajmniej robił to dla ludzi, którzy, jak wiedział, zamierzali naprawdę żyć. Przynajmniej nie umierał bezsensownie zażądany przez osy. Przynajmniej tym razem jego śmierć będzie miała znaczenie.

Oto, gdzie miał umrzeć: na pochyłym polu usianym dębowymi liśćmi. Daleko wyżej pały się czarne krowy, machając ogonami w ulewnym deszczu. Trawa była zaskakująco zielona jak na październik i kontrast tego koloru z jesiennymi liśćmi sprawiał, że cały widok wyglądał jak zdjęcie z kalendarza. W odległości kilometrów nie było nikogo innego. Jedynymi rzeczami niepasującymi do całości były usiana kwiatami rzeczka krwi po drugiej stronie krętej drogi oraz młody człowiek umierający w samochodzie.

– Ale jesteśmy daleko od Cableswater! – rzekła Blue.

Telefon Ronana wciąż dzwonił: „Declan, Declan, Declan”. Wszystko wszędzie się rozpadało.

Ronan odzyskał na chwilę przytomność. Jego oczy nabiegły czernią, a strumyk migoczących kamyczków wysypywał mu się z dłoni, zatrzymując na zakrwawionym krawężniku. Sierotka obserwowała to pustym wzrokiem z tylnego siedzenia, a z jej ucha powoli wypływała czern. Gdy dostrzegła, że Gansey na nią patrzył, bezgłośnie wypowiedziała: Kerah.

– Czy jesteśmy na linii mocy?

Liczyło się tylko to, czy znajdowali się na linii, aby ofiara pozwoliła zabić demona.

– Tak, ale wciąż mamy daleko do Caveswater. Po prostu *umrzesz*.

Jedną z najwspanialszych cech Blue Sargent było to, że nigdy nie traciła do końca nadziei. Mógłby to jej powiedzieć, lecz wiedział, że tylko by to ją bardziej wytrąciło z równowagi.

– Blue, nie mogę patrzeć, jak Ronan umiera – rzekł. – I Adam... I Matthew. To wszystko? Nie mamy innych pomysłów. Widziałaś już mojego ducha. Wiesz już, co wybierzemy!

Blue zamknęła oczy i popłynęły z nich dwie łzy. Nie płakała głośno ani w sposób sugerujący mu, by powiedział coś innego. Była ufna, ale i rozsądna.

– Rozwiążcie mnie – odezwał się z tylnego siedzenia Adam. – Jeśli zamierzacie zrobić to teraz, to rozwiążcie mnie, na litość boską.

Zdjął opaskę i patrzył na Ganseya własnymi oczyma, nie demona. Pierś unosiła mu się szybko. Gansey wiedział, że gdyby istniał inny sposób, Adam by mu go podał.

– Czy to bezpieczne? – spytał Gansey.

– Równie bezpieczne jak życie – odparł Adam. –

Rozwiążcie mnie.

Henry czekał, aż będzie mógł coś zrobić. Wyraźnie nie wiedział, jak poradzić sobie z tym wszystkim bez żadnego przydzielonego zadania, doskoczył więc, by rozplątać więzy. Potrząsając zaczerwienionymi, uwolnionymi ze wstążki nadgarstkami, Adam dotknął czubka głowy Sierotki.

– Wszystko będzie w porządku – wyszeptał, po czym wysiadł z samochodu i stanął przed Ganseyem.

Co mógł w takiej sytuacji powiedzieć?

Gansey zrobił z nim żółwika i skinęli sobie głowami. Było to głupie i niewystarczające.

Ronan dogrzebał się na chwilę do świadomości i z samochodu wysypały się kwiaty w odcieniach niebieskiego, jakich Gansey nigdy dotąd nie widział. Lynch pozostawał nieruchomy, jak zawsze po śnie, i czerń wypływała mu powoli jednym z nozdrzy.

Gansey nigdy tak naprawdę nie rozumiał, co dla Ronana oznaczała konieczność życia z własnymi koszmarami. Teraz to pojął.

Nie mieli czasu.

– Dzięki za wszystko, Henry – rzekł Gansey. – Jesteś księciem pośród ludzi.

Twarz Henry’ego nie wyrażała nic.

– Nie chcę tego robić – stwierdziła Blue.

Musieli jednak. Gansey poczuł, że wymyka mu się czas – po raz ostatni. Znów miał wrażenie, jakby już to kiedyś robił. Delikatnie oparł grzbiety dłoni na jej policzkach.

– Uda się – wyszeptał. – Jestem gotów. Blue, pocałuj mnie.

Deszcz rozpryskiwał się wokół nich, podrywał krople czerni i czerwieni, poruszał płatkami kwiatów. Wyśnione rzeczy ze świeżo uleczonej wyobraźni Ronana piętrzyły im się u stóp. W deszczu wszystko pachniało jesiennymi wirginijskimi górami: liśćmi dębu, polami z sianem, ozonem i przewróconą ziemią. Było tu pięknie i Ganseyowi się podobało. Zajęło to długo, lecz ostatecznie wylądował tam, gdzie chciał.

Blue go pocałowała.

Często o tym śnił i oto się stało, urzeczywistniło. W innym świecie byłaby to po prostu dziewczyna miękko dotykająca swymi wargami ust chłopca. Tutaj jednak Gansey od razu poczuł

efekty. Blue zwierciadło, Blue wzmacniacz, dziwna półdrzewna dusza, przez którą przepływała magia linii mocy. Oraz Gansey, przywrócony kiedyś do życia przez tę linię, obdarzony przez nią pełnym energii sercem, stanowiący inny rodzaj lustra. Gdy obydwaj skierowały się do siebie, to słabsze ustąpiło.

Gansey otrzymał swe serce mocy w darze, nie wykształcił go.

Odsunął się od niej.

– Niech dzięki temu zginie demon – powiedział z poczuciem celowości, głosem niepozostawiającym miejsca na wątpliwości.

Zaraz po tych słowach Blue zarzuciła mu mocno ręce na szyję. Zaraz po tych słowach przycisnęła policzek do jego policzka. Zaraz po tych słowach trzymała go, jakby krzyczała: „Miłość, miłość, miłość”.

W milczeniu osunął się w jej ramionach.

Był królem.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła o Noahu Czernym.

Gdy jest się martwym, problem z twoimi opowieściami polega na tym, że przestają być liniowe, a przybierają strukturę cykliczną. Zaczynają się i kończą w tym samym momencie: w chwili śmierci. Trudno było skupić się na innych metodach narracji i pamiętać, że żywych interesowała konkretna kolejność wydarzeń. *Chronologia*. Było to ważne określenie. Noaha bardziej interesował duchowy ciężar minuty. Momentu zabójstwa. To w nim tkwiła opowieść. Nigdy nie przestał dostrzegać tej chwili. Za każdym razem, gdy ją widział, zwalniał i obserwował, przypominając sobie dokładnie każde fizyczne odczucie, jakiego doświadczał podczas morderstwa.

Morderstwa.

Czasami wpadał w pętlę nieustannego uświadamiania sobie, że został zamordowany, i wściekłość kazała mu rozbijać rzeczy w pokoju Ronana, skopywać doniczkę z krzaczkiem mięty z biurka Ganseya albo tłuc szybkę na schodach do mieszkania.

Czasami zamiast tego wpadał w *ten* moment. Śmierć Ganseya. Raz za razem obserwował, jak Gansey umierał. Zastanawiał się, czy okazałby się tak odważny w lesie, gdyby Wheelk poprosił go, by umarł, zamiast go do tego zmuszać. Nie sądził. Nie był pewien, czy aż tak się przyjaźnili. Czasami, gdy znów widział wciąż żywego Ganseya, zapominał, czy ten Gansey już miał świadomość, że umrze. Łatwo było wszystko wiedzieć, gdy czas miał strukturę cykliczną, lecz trudniej pamiętać, jak z tej wiedzy korzystać.

– Ganseyu – powiedział. – To tyle.

Nie była to właściwa chwila. Noah został wciągnięty w życie duchowe Ganseya stanowiące zupełnie odrębną linię. Odsunął się od niej. Nie chodziło o czynnik przestrzenny, lecz czasowy. Trochę przypominało to skakanie przez skakanę kręconą przez dwie osoby – Noah nie pamiętał już, z kim bawił się w coś takiego, a tylko, że w którymś momencie życia musiał to robić, skoro zachował wspomnienie – należało poczekać na odpowiedni moment, by skoczyć, inaczej uderzała cię skakanka.

Nie zawsze pamiętał, dlaczego to robił, pamiętał jednak, co robił: szukał pierwszej śmierci Ganseya.

Nie pamiętał pierwszego razu, gdy dokonał tego wyboru. Trudno było teraz sobie przypomnieć, co rzeczywiście było przypomnieniem, a co jedynie powtarzaniem. W tym momencie nie był już nawet pewien, co robił.

Noah wiedział jedynie, że musiał to robić, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Musiał jedynie pozostać materialny na tyle długo, by wszystko się utrzymało.

Oto byli: Gansey, tak młody, podrygujący i umierający na liściach w lesie w tej samej chwili, w której Noah, oddalony o wiele kilometrów, podrygiwał i umierał na liściach w innym lesie.

Za każdym razem było tak samo. Gdy tylko Noah gasł, jego duch, napełniony liną mocy, ukochany przez Cabeswater, czuł się rozpostarty na wszystkich chwilach, których doświadczył i których miał doświadczyć. Łatwo było wyglądać mądrze, gdy czas miał naturę cykliczną.

Noah przykucnął nad ciałem Ganseya.

– Będziesz żył dzięki Glendowerowi – rzekł po raz ostatni.

Ktoś inny na linii mocy umiera, choć nie powinien, a ty będziesz żył, choć nie powinienes.

Gansey umarł.

– Żegnaj – oznajmił Noah. – Nie zmarnuj tego.
Cicho wyślizgnął się z czasu.

Blue Sargent zapomniała już, ile razy jej mówiono, że zabije swą prawdziwą miłość.

Członkinie jej rodziny handlowały przepowiedniami. Odczytywały karty, przeprowadzały seanse spirytystyczne i wysypywały zawartość herbacianych filiżanek na spodeczki. Blue nigdy w tym nie uczestniczyła, nie licząc jednego istotnego aspektu: ze wszystkich domowników to jej dotyczyła najstarsza przepowiednia.

„Jeśli pocałujesz mężczyznę, którego naprawdę kochasz, on umrze”.

Przez większą część życia zastanawiała się, jak to się stanie. Ostrzegały ją wszelkiego rodzaju jasnowidzki. Choć nie miała nawet cienia zdolności parapsychicznych, żyła pogrążona w świecie w równych częściach składającym się z teraźniejszości i przyszłości, w pewnym stopniu zawsze wiedząc, ku czemu zmierzała.

Teraz to się skończyło.

Teraz spoglądała na martwe ciało Ganseya w mokrym od deszczu swetrze z dekoltem w serek i myślała: „Nie mam pojęcia, co się dalej wydarzy”.

Krew spływała z drogi, a kruki wylądowały parę metrów dalej, by ją dziobać. Wszelkie oznaki demonicznej działalności od razu zniknęły.

– Zabierzcie go – zaczął Ronan, po czym zebrał się w sobie, by dokończyć z warknięciem: – Zabierzcie go z drogi. Nie jest *zwierzęciem*.

Odciągnęli ciało Ganseya na zieloną trawę na poboczu wąskiej szosy. Wciąż wyglądał zupełnie jak żywy. Zmarł zaledwie przed minutą czy dwiema i po prostu nie widać było

jeszcze różnicy pomiędzy śmiercią a snem.

Ronan przykucnął obok niego z czernią wciąż rozsmarowaną pod nosem i wokół uszu. Wyśniony przez niego świetlik usiadł Ganseyowi na sercu.

– Obudź się, gnojku – powiedział. – Ty skurwysunu. Nie wierzę, że mogłeś...

I zaczął płakać.

Adam nie ronił łez i puste spojrzenie kierował w nicość, lecz Sierotka ścisnęła mu rękę, jakby pocieszała kogoś rozpaczającego. Jego zegarek wciąż wracał do tej samej minuty.

Blue przestała płakać. Już wcześniej zużyła wszystkie łzy.

Docierały do nich odgłosy Henrietty. Gdzieś zawodziła karetka pogotowia albo wóz straży pożarnej. Ryczały silniki. Odzywał się głośnik. Na pobliskim drzewie śpiewały ptaszki. Krowy zaczęły do nich schodzić po zboczu, zaciekawione tym, że tak długo stoją na poboczu.

– Naprawdę nie wiem, co zrobić – przyznał Henry. – Nie sądziłem, że to się tak skończy. Wydawało mi się, że wszyscy polecimy do Wenezueli.

Mówił cierpko i pragmatycznie. Blue dostrzegała, że tylko w taki sposób potrafił radzić sobie z tym, iż na trawie leżało martwe ciało Richarda Ganseya.

– Nie potrafię o tym myśleć – stwierdziła zgodnie z prawdą Blue. Nie umiała wręcz o niczym myśleć. Wszystko dobiegło końca w jednej chwili. Po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, jakby każdy skrawek jej przyszłości nie został jeszcze zapisany. Czy powinni zadzwonić po pogotowie? Rozpościerały się przed nią praktyczne troski o martwych ukochanych i stwierdziła, że na żadnej z nich nie mogła się skupić. – Nie potrafię... w ogóle myśleć. Zupełnie jakby ktoś nałożył mi na głowę klosz. Wciąż czekam na... Sama nie wiem, na co.

Adam nagle usiadł. Nic nie mówił, ukrył jedynie twarz w dłoniach.

Henry odetchnął bardzo niepewnie.

– Powinniśmy ściągnąć auta z drogi – rzekł. – Skoro nic już nie krwawi, jadące samochody... – Przerwał, po czym dodał po chwili: – To nie jest w porządku.

Blue pokręciła głową.

– Po prostu nie rozumiem – powiedział Henry. – Byłem przekonany, że to... wszystko zmieni. Nie sądziłem, że tak się skończy.

– Ja zawsze wiedziałam, że to tak się skończy – odparła – ale mimo to nie jest w porządku. Czy kiedykolwiek zacznie się takie wydawać?

Henry przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą. Rozglądał się za innymi samochodami i nie podchodził do ich pojazdów, choć wcześniej przejmował się ruchem ulicznym. Spojrzał na swój zegarek – podobnie jak u Adama, wciąż odmierzał tę samą minutę, choć nie tak gwałtownie jak wcześniej.

– Po prostu nie rozumiem – powtórzył. – Jaki sens ma magia, jeśli nie ma służyć czemuś takiemu?

– Czemu?

Henry wskazał dłonią ciało Ganseya.

– Aby on nie był martwy. Podobno jesteście magami Ganseya. *Zróbcie coś.*

– *Ja* nie jestem magiem.

– Właśnie *zabiłaś* go swoimi *ustami*. – Henry pokazał następnie na Ronana. – A on dopiero co wyśnił tę stertę cholerstwa leżącą przy samochodzie! Tamten z kolei uratował sobie życie, gdy dachówki spadały mu na głowę z dachu!

Na te słowa Adam skupił gwałtownie uwagę.

– To coś innego – odrzekł głosem zaostrozonym przez żal.

– W czym innego? Też łamało zasady!

– Ponieważ odmienną rzeczą jest łamanie zasad fizyki za pomocą magii – warknął Adam – a odmienną przywracanie kogoś z martwych.

– Dlaczego? – Nie ustępował Henry. – Już raz został przywrócony.

Z tym nie dało się spierać.

– Ale wtedy potrzeba było ofiary – wyjaśniła Blue. – Śmierci Noaha.

– Znajdźmy więc inną ofiarę – zaproponował Henry.

– Sugerujesz *siebie*? – spytał ostro Adam.

Blue rozumiała jednak jego złość. W tej sytuacji nawet odrobina nadziei okazywała się nieznośna.

Zapadła cisza. Henry znów spojrzał na drogę.

– *Bądźcie magami* – powiedział w końcu.

– Zamknij się – warknął nagle Ronan. – Zamknij się! Już nie mogę tego wytrzymać. Daj *spokój*.

Smutek Ronana był tak silny, że Henry aż cofnął się o krok. Wszyscy umilkli. Blue nie mogła oderwać wzroku od zegarka Henry'ego ukazującego drgający czas. Wydawał się biec coraz mniej szaleńczo, im więcej chwil mijało od pocałunku, a Blue bała się momentu, w którym powróci do normalnego rytmu. Pomyślała, że wtedy Gansey stanie się prawdziwie martwy.

Wskazówka minutowa wzdygnęła się. I ponownie.

Blue już była zmęczona linią czasu, w której brakowało Ganseya.

Adam podniósł wzrok z miejsca, w którym kulił się na trawie.

– A co z Cableswater? – spytał cicho.

– A co niby ma być? – chciał wiedzieć Ronan. – Jest już zbyt słabe, by cokolwiek zrobić.

– Wiem – odrzekł Adam. – Ale gdybyś poprosił, być może umarłoby dla niego.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o Cableswater.

Cableswater nie było lasem. Było czymś, co obecnie miało akurat formę lasu. Jego wyjątkowa magia oznaczała, że jednocześnie wydawało się bardzo stare i bardzo młode. Zawsze istniało, a jednak wiecznie uczyło się siebie samego. Zawsze żyło i pragnęło żyć wiecznie.

Nigdy dotąd nie umarło celowo.

Aczkolwiek nigdy wcześniej go o to nie poproszono.

„Proszę – powiedział Greywaren. – *Amabo te*”.

Nie było to możliwe. Nie w takim sensie, jak mu się wydawało. Życie za życie stanowiło odpowiednią ofiarę, wspaniałą podstawę dla fantastycznej i wyjątkowej magii, lecz Cableswater nie całkiem było śmiertelne, zaś chłopiec, którego ludzie chcieli uratować – owszem. Sprawa nie wyglądała tak prosto, że Cableswater by umarło, on zaś ożył. Jeśli cokolwiek miało z tego wyjść, Cableswater musiałoby uformować jakąś zasadniczą część siebie w kształt człowieka, a nawet ono nie było pewne, czy to możliwe.

Umysł chłopięcego maga błąkał się wśród poszarpanych myśli lasu, próbując zrozumieć, co *było* możliwe. Wyświetlał własne obrazy, by pomóc Cableswater zrozumieć cel wskrzeszenia. Nie zdawał sobie sprawy, że jemu było znacznie trudniej pojąć tę ideę niż samemu lasowi. Cableswater od zawsze umierało i ożywało na nowo. Skoro wszystkie czasy okazywały się takie same, we wskrzeszeniu chodziło jedynie o przeniesienie świadomości z jednej minuty do innej. Wieczne życie nie było dla lasu trudne do wyobrażenia, w przeciwieństwie do ożywienia ludzkiego ciała w skończonej linii czasu.

Cabeswater zrobiło, co mogło, by mu to ukazać, choć przy takim wyczerpaniu linii mocy trudno było zaprezentować niuanse. Ich ograniczona komunikacja i tak okazywała się możliwa tylko dlatego, że towarzyszyła mu córka jasnowidzki, która zawsze zresztą w jakiejś formie przy nim była, wzmacniając zarówno las, jak i maga.

Cabeswater starało się dać im do zrozumienia, że jego istotą był proces tworzenia. Kreacji. Konstrukcji. Nie mogło zniweczyć samego siebie na cele tej ofiary, ponieważ wykraczałoby to przeciwko jego naturze. Nie mogło *umrzeć*, by wykonać kopię zmarłej dopiero co istoty, lecz oni nie chcieli kopii. Pragnęli tego samego człowieka, którego właśnie stracili. Nie dało się ożywić go w identycznej formie, ponieważ jego ciało stało się nieodwracalnie martwe.

Mogło jednak zostać przekształcone w coś nowego.

Las musiał sobie tylko przypomnieć, jacy byli ludzie.

Obrazy płynęły od strony Cabeswater do maga, który szeptał ich treść córce jasnowidzki. Zaczęła kierować swą lustrzaną magię w drzewa, które pozostały w Cabeswater, i szeptała przy tym „proszę”, zaś *tir e e 'lintes* rozpoznali ją jako jedną ze swoich.

Następnie las zabrał się do pracy.

Ludzie byli tak dziwnymi i skomplikowanymi istotami.

Gdy wziął się do tkania życia ze swej sennej materii, pozostałe drzewa zaczęły wspólnie nucić i śpiewać. Dawniej ich pieśni brzmiały inaczej, lecz obecnie śpiewały to, co otrzymały od Greywarena. Rozbrzmiewała zawodząca, wznosząca się melodia, pełna jednocześnie cierpienia i radości. Zaś gdy Cabeswater sączyło swą magię, owe drzewa zaczęły upadać, jedno po drugim.

Smutek córki jasnowidzki przebił się przez las i Cabeswater

go również wchłonęło, po czym wlało w kształtowane właśnie życie.

Przewróciło się następne drzewo i jeszcze jedno, a Cableswater wracało raz za razem do ludzi, którzy złożyli prośbę. Musiało pamiętać, jacy byli. Musiało pamiętać, by nadać sobie wystarczająco niewielką formę.

Rozpacz i zachwyty Greywarena płynęły przez zmniejszający się las. Drzewa śpiewały mu kojącą pieśń, pełną możliwości, mocy i snów. Cableswater zebrało jego zachwyty, po czym wlało w kształtowane właśnie życie.

I wreszcie tęskny żal maga zaczął widać się między tym, co pozostało z drzew. Kim był bez nich? Po prostu człowiekiem, człowiekiem, człowiekiem. Cableswater po raz ostatni przycisnęło liście do jego policzka, one zaś wzięły to człowieczeństwo dla kształtowanego właśnie życia.

Niemal uzyskało już ludzki kształt. Nadałby się wystarczająco. Nic nigdy nie było idealne.

„Ustąpcie drogi Królowi Kruków”.

Ostatnie drzewo upadło i las zniknął. Zapadła absolutna cisza.

Blue dotknęła twarzy Ganseya.

– Przebudź się – wyszeptała.

Epilog

Czerwcowe wieczory w Singer's Falls były przepiękne, bujne, ciemne, świat malował się skompilowanymi odcieniami zieleni. Drzewa, wszędzie rosły drzewa. Adam wracał krętą drogą do Henrietty w smukłym małym bmw pachnącym Ronanem. Radio grało okropne Ronanowe techno, lecz Adam go nie wyłączał. Świat wydawał się ogromny.

Jechał na parking z przyczepami.

Nadeszła pora.

Droga ze Stodólek trwała pół godziny, miał więc mnóstwo czasu, by zmienić zdanie, by zamiast tego wrócić do kościoła Świętej Agnieszki lub Monmouth Manufacturing.

Przejechał jednak przez Henriettę, a następnie ruszył długą, wyboistą drogą prowadzącą do przyczep. Opony wzbijały za autem nietrwałe chmury dymu. Psy wyskoczyły, by gonić bmw, lecz zniknęły, zanim zajechał przed dawny dom.

Nie musiał pytać sam siebie, czy naprawdę to robił.

W końcu był tutaj, prawda?

Adam wspiał się po rozklekotanych schodkach. Niegdyś były porządnie pomalowane, lecz teraz farba popękała i odłaziła płatami. Stopnie, w których owady wyryły idealnie okrągłe otwory, nie różniły się zbyt wiele od tych prowadzących do jego mieszkania nad parafią Świętej Agnieszki. Po prostu tutaj było ich mniej.

U szczytu schodów przyglądał się drzwiom, próbując zdecydować, czy zapukać. Nie minęło zbyt wiele czasu, odkąd tu mieszkał. Wówczas przychodził i wychodził bez zapowiedzi, lecz miał wrażenie, jakby od tamtych chwil minęły dekady. Czuł się też wyższy niż wtedy, gdy przebywał tu ostatnim razem, choć nie mógł przecież tyle urosnąć od ostatniego lata.

I tak nie był to jego prawdziwy dom, więc zapukał.

Czekał z dłońmi w kieszeniach wyprasowanych spodni khaki, przenosząc wzrok z czubków czystych butów na zakurzone drzwi.

Otworzyły się i stanął w nich jego ojciec. Znaleźli się twarzą w twarz. Adam czuł odrobinę więcej sympatii do poprzedniej wersji siebie, która obawiała się o to, że wyrośnie na takiego mężczyznę. Choć bowiem Robert Parrish i Adam Parrish na pierwszy rzut oka nie wydawali się do siebie podobni, wzrok Roberta miał w sobie coś introwertycznego, co przypominało Adamowi o nim samym. Podobieństwo widniało również w zmarszczonych brwiach, zaś bruzda między nimi miała kształt utrzymującej się rozbieżności pomiędzy oczekiwaniami życiowymi a rzeczywistością.

Adam nie był Robertem, lecz mógłby się nim stać i wybaczał dawnemu Adamowi strach przed taką możliwością.

Robert Parrish wpatrywał się w syna. Tuż za nim, w ciemnym pomieszczeniu, Adam dostrzegł matkę, która spoglądała na stojące za jego plecami bmw.

– Zaproś mnie – powiedział Adam.

Ojciec ociągał się przez chwilę, poruszając nerwowo jednym nozdrzem, lecz cofnął się do środka. Obrócił dłoń w pogardliwej parodii zaproszenia, udawanym wyrazie szacunku wobec fałszywego króla.

Adam wszedł. Zapomniał już, jak skompresowane było ich życie. Zapomniał, że kuchnia była tym samym co salon i główna sypialnia, dalej zaś znajdował się jego maleńki pokój. Nie mógł ich winić, że tak ograniczyli mu przestrzeń. W przyczepie nie dało się znaleźć innego miejsca, z którego nie byłoby widać reszty. Zapomniał, że na zewnątrz wyganiał go nie tylko strach, lecz także klaustrofobia.

– To miło, że zadzwoniłeś – rzekła matka.

Zawsze zapominał, że jej również zdarzało się go odpychać. Jej słowa stanowiły jedynie gładszą formę napaści, wymykały mu się ze wspomnień łatwiej niż fizyczne ciosy ojca, prześlizgiwały się między zebrami młodego Adama, gdy nie zwracał uwagi. Nie bez powodu nauczył się ukrywać samotnie, nie z nią.

– Nie widziałem cię dzisiaj na ceremonii zakończenia szkoły – odparł z opanowaniem Adam.

– Nie czułam się mile widziana.

– Prosiłem, żebyś przyszła.

– Sprawileś, że zrobiło się paskudnie.

– To nie ja sprawilem, że zrobiło się paskudnie.

Umknęła od niego wzrokiem. Większość jej osoby zniknęła na pierwszy znak aktywnego konfliktu.

– Czego chcesz, Adamie? – spytał ojciec. Wciąż wpatrywał się w ubranie syna, jakby uważał, że to właśnie ono się zmieniło.

– Nie sądzę, żebyś chciał błagać o możliwość ponownego wprowadzenia się tutaj, skoro skończyłeś szkołę, ubierasz się szykownie i jeździsz beemką swojego chłopaka.

– Przyszedłem przekonać się, czy istnieje możliwość nawiązania normalnych kontaktów z moimi rodzicami, zanim wyjadę do college’u – odrzekł Adam.

Ojciec poruszył ustami. Trudno było stwierdzić, czy zszokowała go treść stwierdzenia syna, czy też sam głos Adama. Nieczęsto słyszano go w tym pomieszczeniu. Adam czuł zaskoczenie, że tak długo uważał to za coś normalnego. Pamiętał, jak sąsiedzi odwracali wzrok od jego posiniaczonej twarzy. Dawniej myślał głupio, że nic nie mówili, ponieważ uważali, że z jakiegoś powodu na to zasłużył. Teraz jednak zastanawiał się, ile z tych osób kuliło się na podłodze przy

kanapach, kryło się w swoich pokojach albo płakało w silnym deszczu pod niewielkimi gankami. Poczul nagłą ochotę, by uratować tych wszystkich Adamów chowających się na widoku, choć nie miał pojęcia, czy by go posłuchali. Uznał, że taka myśl pasowałaby bardziej do Ganseya lub Blue. Trzymając się w umyśle tej maleńkiej, bohaterskiej iskierki, uświadomił sobie, że tylko dzięki przekonaniu, iż ocalił samego siebie, mógł wyobrazić sobie uratowanie kogoś innego.

– To przez ciebie tak się stało – powiedział ojciec. – To ty sprawiłeś, że zrobiło się paskudnie, jak mówiła twoja matka.

Wydawał się teraz Adamowi jedynie nadąsany, nie groźny. Cała jego mowa ciała, barki wygięte jak liście paproci, cofnięty podbródek, wskazywały, że równie trudno byłoby mu uderzyć Adama, jak własnego szefa. Gdy ostatnim razem podniósł rękę na swego syna, musiał wyciągać z niej zakrwawiony cierń i Adam widział, że wciąż nie potrafił uwierzyć w wydarzenia z tamtej chwili. Adam stał się inny. Nie potrzebował mocy Cabeswater, by czuć, jak coś błyszczący mu chłodem w oczach, i nie czynił nic, by to ukryć. Był magiem.

– Paskudnie zrobiło się znacznie wcześniej, tato – stwierdził. – Czy jesteś świadom, że nie słyszę na to ucho? Przekrzykiwałeś mnie na sali sądowej, gdy o tym mówiłem.

Ojciec wydał z siebie pogardliwy odgłos, ale Adam mu przerwał:

– Gansey zabrał mnie do szpitala. To ty powinieneś to zrobić, tato. Owszem, to zdecydowanie nie powinno się wydarzyć, ale gdyby to naprawdę był wypadek, ty powinieneś mi towarzyszyć.

Nawet gdy wypowiadał słowa, które chciał wypowiedzieć, nie mógł uwierzyć, że to robił. Czy kiedykolwiek odcinał się ojcu z przekonaniem, że miał rację? I czy potrafił przez cały czas

patrzeć mu w oczy? Nie mógł uwierzyć, że się nie bał. Okazało się, że jeśli samemu nie czuło się strachu, ojciec wcale nie wydawał się go wzbudzać.

Ojciec zachnął się i wsunął dłonie do kieszeni.

– Jestem głuchy na to ucho, tato, i to twoja wina.

Ojciec wpatrywał się w podłogę i Adam dzięki temu wiedział, że mu uwierzył. Całkiem możliwe, że wyłącznie tego pragnął po tym spotkaniu: odwróconego wzroku Roberta Parrisha. Pewności, że ojciec wiedział, co uczynił.

– Czego od nas chcesz? – spytał starszy Parrish.

Po drodze Adam zastanawiał się nad tym. Tak naprawdę chciał uzyskać spokój. Nie ze strony ojca, który nie mógł już wpływać na jego życie, lecz od jego idei, znacznie potężniejszej w każdym aspekcie.

– Za każdym razem, gdy nie potrafię stwierdzić, czy ktoś mnie woła, za każdym razem, gdy uderzam głową w ściankę kabiny prysznicowej, i za każdym razem, gdy bezwiednie zaczynam wkładać zatyczki do obu uszu, myślę o tobie. Czy sądzisz, że może istnieć przyszłość, w której będę mógł o tobie myśleć z innych powodów?

Po ich twarzach widział, że w najbliższej przyszłości odpowiedź na to pytanie nie mogła stać się pozytywna, ale nie przeszkadzało mu to. Nie przyjechał tu z żadnymi oczekiwaniami, nie czuł więc rozczarowania.

– Raczej nie wiem – odrzekł w końcu ojciec. – Wyrosłeś na kogoś, za kim zbytnio nie przepadam, i nie obawiam się tego powiedzieć.

– To uczciwe – odparł Adam. On też nie przejmował się zbytnio ojcem. Gansey użyłby w takiej chwili słów „Doceniam twoją szczerość” i Adam postanowił skorzystać z tego wspomnienia o potędze uprzejmości. – Doceniam twoją

szczerosc.

Po twarzy Roberta widać było, że Adam właśnie doskonale zilustrował jego myśli.

– Chciałabym, żebyś czasami dzwonił – odezwała się matka. – Chciałabym wiedzieć, co u ciebie.

Uniosła głowę i światło wpadające przez okno utworzyło idealny błyszczący kwadrat na szkle jej okularów. W tej samej chwili Adam cofnął się we wspomnieniach i jego myśli podążyły tym samym kanałem, z jakiego korzystał jego paranormalny zmysł. Widział siebie, jak pukał, a ona stała po drugiej stronie drzwi i nie otwierała. Widział siebie, jak pukał, a ona stała za przyczepą i wstrzymywała oddech, dopóki nie odszedł. Widział nawet siebie, jak telefonował, a ona trzymała w dłoniach dzwoniący aparat. Jednak widział też, jak otwierała ulotkę college'u. Widział, jak wycinała jego nazwisko z gazety. Jak przyklejała na lodówce jego zdjęcia w eleganckiej marynarce i ładnych spodniach oraz ze swobodnym uśmiechem.

W pewnym momencie wypuściła go i nie chciała go z powrotem. Pragnęła jedynie zobaczyć, co się stało.

To również mu odpowiadało. To było coś. Mógł to zrobić. Prawdę mówiąc, było to zapewne wszystko, co mógł zrobić.

W zadumie zastukał palcami w szafkę i wyciągnął kluczyki do bmw.

– Tak zrobię – powiedział.

Zaczekał jeszcze chwilę, dając im okazję do wypełnienia pustki, do wykroczenia ponad oczekiwania.

Nie skorzystali z niej. Adam ustawił poprzeczkę dokładnie na wysokości, do której mogli doskoczyć, ani centymetra wyżej.

– Trafie do wyjścia – rzekł.

Trafił.

Po drugiej stronie Henrietty Gansey, Blue i Henry wysiadali właśnie ze Świni. Henry był ostatni, ponieważ siedział z tyłu, i gramolił się zza fotela pasażera, jakby właśnie się rodził. Zamknął drzwi i popatrzył na nie spod zmrużonych brwi.

– Musisz trzasnąć – rzekł Gansey.

Henry zamknął.

– *Trzaśnij.*

Henry trzasnął.

– Wszędzie przemoc – stwierdził.

Znajdowali się na tym odludziu z powodu Ronana. Tego popołudnia przekazał im mgliste informacje. Najwyraźniej mieli poszukiwać prezentu dla Blue z okazji ukończenia szkoły. Przestała do niej uczęszczać już kilka tygodni wcześniej i Ronan sugerował, że podarunek czekał, lecz nie chciał zdradzić wskazówek, dopóki Gansey i Henry również nie skończyli nauki. „Musicie skorzystać z niego wspólnie”, powiedział złowieszczo. Poprosili go, by przyjechał – i na uroczystość w Aglionby, i na poszukiwania – ale odparł jedynie, że obydwa miejsca były dla niego zbyt przepełnione złymi wspomnieniami i że zobaczy się z nimi po drugiej stronie.

Szli więc teraz żwirową drogą w kierunku zwartej linii drzew ukrywającej wszystko przed ich wzrokiem. Było przyjemnie ciepło. Insekty czuły się przytulnie w koszulkach nastolatków i wokół ich kostek. Gansey miał wrażenie, jakby robił to już kiedyś, ale nie potrafił stwierdzić, czy rzeczywiście tak było. Wiedział teraz, że wrażenie wymykania się czasu, z którym żył tak długo, nie było wynikiem jego pierwszej śmierci, lecz drugiej. Efektem ubocznym elementów zebranych przez Cableswater, by dać mu nowe życie. Ludzie nie powinni doświadczać naraz wszystkich czasów, lecz Gansey nie miał

wyjścia.

Blue sięgnęła po jego dłoń i z radością spleli ze sobą palce. Byli wolni, wolni, wolni. Skończyła się szkoła i czekało ich lato. Gansey postawił na rok przerwy i wygrał. Henry od początku nosił się z zamiarem zrobienia sobie odpoczynku przed studiami. Wszystko świetnie się złożyło, ponieważ Blue miesiącami planowała, jak tanio przejechać autostopem przez cały kraj po zakończeniu szkoły, kierując się ku konkretnemu celowi: życiu. Lepiej było w towarzystwie. Lepiej było we troje. Trzy, jak zawsze mawiała Persefona, to najsilniejsza liczba.

Przeszli przez linię drzew i znaleźli się na wielkim zarośniętym polu, któremu podobne często spotykało się w tej części Wirginii. Czyściec wełniste już wyłaniały się ponad trawę, zaś osty wciąż były niskie i podstępne.

– Och, Ronanie – rzekł Gansey, choć Ronan nie mógł tego słyszeć, ponieważ właśnie uświadomił sobie, dokąd zawiodły ich otrzymane wskazówki.

Pole okazało się pełne samochodów, niemal wyłącznie białych mitsubishi. Były niemal identyczne, choć każdy z nich charakteryzowało coś dziwnego. Rosnąca wokół nich trawa i pyłki pokrywające szyby sprawiały, że cała sceneria wydawała się dość apokaliptyczna.

– Nie chcę żadnego z nich na naszą wspaniałą podróż przez Amerykę – powiedział z niesmakiem Henry. – Nie obchodzi mnie, że są darmowe i magiczne.

– Takoz – zgodził się Gansey.

Blue nie wydawała się jednak przejmować.

– Mówił, że domyślimy się, iż jeden jest specjalnie dla nas.

– Wiedziałaś, że chodzi o samochód? – spytał ze zdziwieniem Gansey. Nie udało mu się wyciągnąć od Ronana choćby najmniejszej podpowiedzi.

– Nie zamierzałam iść za jego wskazówkami bez jakichkolwiek informacji – zripostowała Blue.

Przedzierali się przez trawę, a nad nimi brzęczała szarańcza. Blue i Henry szukali intensywnie, porównywali samochody. Gansey snuł się, czując, jak wieczorne letnie powietrze wypełnia mu płuca. Dotarł do prezentu właśnie dzięki temu, że coraz bardziej oddalał się od pozostałych.

– Słuchajcie, znalazłem.

Zdecydowanie się wyróżniał: pomiędzy wszystkimi mitsubishi stało wściekle pomarańczowe stare camaro. Wydawało się tak zupełnie identyczne ze Świnią, że Ronan musiał je wyśnić.

– Ronan uważa, że jest bardzo zabawny – stwierdził Gansey, gdy Blue i Henry do niego doszli.

Henry zdjął sobie z ręki kleszcza i odrzucił go w trawę, by nakarmił się kimś innym.

– Chce, żebyście jeździli takimi samymi samochodami? To dość sentymentalne jak na człowieka bez duszy.

– Powiedział *mi*, że pod maską znajdę coś, co mi się bardzo spodoba – rzekła Blue.

Przeszła i zaczęła szukać dźwigni otwierającej. Uniosła maskę i zaczęła się śmiać.

Zajrzeli i Gansey również się roześmiał. W komorze silnikowej camaro nie było *nic*. Nie widzieli silnika, nie widzieli żadnych mechanizmów, jedynie pustą przestrzeń aż do trawy rosnącej wokół kół.

– Bardziej ekologicznego samochodu już się nie znajdzie – uznał Gansey.

– Myślicie, że naprawdę jeździ? – spytał w tym samym czasie Henry.

Blue klaskała w dłonie i podskakiwała. Henry zrobił jej

przy tym zdjęcie, lecz była zbyt rozweselona, by się skrzywić do obiektywu. Przeskoczyła na stronę kierowcy i wsiadła. Ledwo było ją widać za deską rozdzielczą, lecz wciąż uśmiechała się od ucha do ucha. Ronan będzie żałował, że go to ominęło, lecz Gansey rozumiał jego powody.

Sekundę później silnik ożył z rykiem. A raczej samochód ożył z rykiem. Nie wiadomo, skąd dobiegał ten dźwięk. Blue wydała z siebie donośny, radosny okrzyk.

Przed nimi rozciągał się cały rok: magiczny, ogromny i zupełnie niezapisany.

Było wspaniale.

– Myślicie, że kiedykolwiek się zepsuje? – zawołał Gansey nad odgłosami niesilnika.

Henry zaczął się śmiać.

– To będzie wspaniała wyprawa – rzekł.

Niezależnie od tego, w którym miejscu zacząć tę opowieść, mówiła ona o długim łańcuchu górskim przecinającym wyjątkowo potężny odcinek linii mocy. Przed miesiącami leżało tam Cableswater zaludnione przez sny, kipiące magią. Teraz pozostał zwykły wirginijski las pełen zielonych ciernistych krzewów, miękkich platanów, dębów i sosen, smukłych dzięki wysiłkowi, jaki był potrzebny, by wyrosnąć na skałach.

Według Ronana całkiem udanie przypominał Cableswater, ale jednak nim nie był.

Na brzegu strumienia chuda dziewczynka z kopytkami przedzierała się wesoło przez poszycie, nucąc i brzydko mlaszcząc. Wszystko w lesie było dla niej interesujące, zaś interesujące rzeczy wymagały spróbowania. Adam stwierdził, że bardzo przypominała Ronana. Ronan postanowił uznać to za

komplement.

– Opal – warknął, ona zaś wypluła grzyby. – Przestań się wygłupiać!

Dziewczynka przykłusowała do niego, lecz nie zatrzymała. Woląca formować wokół niego krzywy perymetr szaleńczej aktywności. Każde inne zachowanie mogłoby sprawiać wrażenie dobrowolnego posłuszeństwa i była gotowa na wiele, by tego uniknąć.

– Kerah! – wrzasnęła przed nimi Piła.

Wydzierała się, dopóki Ronan do niej nie podszedł. Zapewne znalazła coś nietypowego. Odkopnął liście i znalazł metalowy przedmiot wyglądający na kilkusetletni. Było to koło od camaro z 1973, takie samo jak to, które znaleźli na linii mocy kilka miesięcy wcześniej. Wówczas Ronan uznał, że w jakimś momencie przyszłości zniszczą samochód podczas poszukiwań Glendowera, a zakrzywienie czasu pośle ich najpierw wstecz, a później znów w przód. Wszystkie czasy wydawały się na linii mocy tym samym.

Wyglądało jednak na to, że nie dotarli jeszcze do tego punktu. Na linii czekały na nich przyszłe przygody.

Była to ekscytująca i przerażająca perspektywa.

– Dobre znalezisko, łobuzico – powiedział Pile. –
Wracajmy do domu.

Po powrocie do Stodółek Ronan rozmyślał o wszystkim, co lubił i czego nie lubił w Cabeswater, a także, co zrobiłby inaczej, gdy miał teraz objawić las. Co zapewniłoby lasowi lepszą ochronę przed dalszymi niebezpieczeństwami, co pozwoliłoby na lepszą komunikację z innymi podobnymi miejscami położonymi na linii mocy, co stanowiłoby prawdziwsze

odzwierciedlenie jego samego.

Następnie, trzymając to wszystko w myślach, wspiał się na dach i wpatrzył w niebo.

Zamknął oczy i zaczął śnić.

Podziękowania

Kruczy cykl powstawał przez ponad dziesięć lat i w tym czasie w ten czy inny sposób pomogły mi niezliczone osoby. Z konieczności te podziękowania będą okropnie wybrakowane.

Przede wszystkim muszę podziękować rycerzom: Tessa Graton i Brenna Yovanoff zawsze były gotowe walczyć z moimi smokami. Sarah Batista-Pereira zabijała smoki, których zbliżania się nawet nie widziałam. Court Stevens podczas ostatecznego starcia podał mi nowy miecz.

Lśniący dwór: Laura Rennert, moja żarliwa agentka, oraz Barry Eisler, jej mążzonek. David Levithan, mój redaktor, który podarował mi najlepszą rzecz, o jakiej może marzyć pisarz: czas. Rachel Coun, Lizette Serrano oraz Tracy van Straaten: wiedźmowe trio zawodowych jasnowidzek. Becky Amsel, kakao na zawsze.

Rodzina: szczególnie moi rodzice, którzy zbudowali mi zamek z książek. Również Erin, która pokazała mi, jak stworzyć zbroję.

Moja prawdziwa miłość: Ed, przepraszam, że bitwa się nie kończy. Poniekąd przepraszam. W zasadzie to nie przepraszam. Słuchaj, sam wiedziałeś, w co się pakujesz, gdy wyciągałeś ten miecz z kamienia. Zawsze czuję wdzięczność, że jesteś u mego boku.

O autorce

Maggie Stiefvater jest autorką bestsellerowych powieści *Drżenie*, *Niepokój*, *Ukojenie* i *Grzesznik*. Jej powieść *Wyścig śmierci* otrzymała przyznawaną przez American Library Association nagrodę Michael L. Printz Honor Book. Pierwsza pozycja z nowego cyklu, *Król Kruków*, została uznana za książkę roku według magazynu „Publishers Weekly”, zaś druga i trzecia, *Złodzieje snów* oraz *Wiedźma z lustra*, otrzymały nagrodę ALA Best Book for Young Adults. Autorka napisała również *Lament. Intrygę królowej elfów* oraz *Balladę. Taniec mrocznych elfów*. Mieszka w Wirginii z mężem i dwójką dzieci. Można ją odwiedzić w sieci pod adresem www.maggiestiefvater.com.

¹ Fragment staroangielskiego poematu *The Seafarer*, umieszczonego w manuskrypcie *Księga z Exeter*: antologii poezji elegijnej oraz religijnej, a także licznych zagadek poetyckich.

² Przekład Piotr Kucharski.

³ Przysłowie francuskie. „Nie było czym się przejmować” (dosł. „nie ma powodu, by batożyć kota”) (przyp. tłum).

⁴ W.B. Yeats, *Skradzione dziecko*, fragment w tłumaczeniu Ernesta Brylla i Małgorzaty Goraj.

Przekład: Piotr Kucharski

Redakcja: Jerzy Wachowski

Korekta: Magdalena Marciniak

Projekt okładki: Christopher Stengel

Ilustracja na okładce: © 2016 by Adam S. Doyle

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3717-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa
Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo

